

I TOM Z SERII: **INSPEKTOR GAMACHE**

LOUISE PENNY

*martwa
natura*

I TOM Z SERII: **INSPEKTOR GAMACHE**

LOUISE PENNY

martwa natura

Przełożyła Kamila Sławinski



Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Podziękowania

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Przypisy

Tytuł oryginału: STILL LIFE
Przełożyła: KAMILA SLAWINSKI

Zdjęcie na okładce: Frenta / stock.adobre.com
Opracowanie typograficzne i skład: MARZENNA DOBROWOLSKA
Redakcja: JOANNA MORAWSKA
Korekta: MAGDALENA GERAGA

STILL LIFE
Copyright © 2005 Louise Penny
All rights reserved.
Copyright © for the Polish translation by Kamila Slawinski
Copyright © for the Polish edition by Poradnia K, 2018

Wydanie I

ISBN 978-83-66005-01-3

Poradnia K sp. z o.o.
ul. Wilcza 25 lok. 6, 00-544 Warszawa
e-mail: poradniak@poradniak.pl
www: www.poradniak.pl
Zapraszamy do naszej księgarni internetowej: sklep.poradniak.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)

*Książkę tę, wraz z moim sercem,
daję w prezencie Michaelowi.*

Podziękowania

Ta książka jest dla mego męża, Michaela, który stworzył dla nas życie pełne miłości i dobroci. Pozwolił mi zrezygnować z pracy, udawać, że piszę, a potem chwalił mnie niezmiernie nawet wtedy, gdy produkt był kiepski. Uświadomiłam sobie, że każdy może być krytykiem, ale by chwalić, trzeba być nadzwyczajną osobą. Michael nią jest. Podobnie jak Liz Davidson, moja cudowna przyjaciółka i inspiracja. Pozwoliła mi kraść ze swojego życia, poezji i znakomitej sztuki. W zamian opowiadałam jej o każdym beknięciu mego dziecka – książki. Jakież to szczęście. Jestem wdzięczna jej mężowi, Johnowi Ballantyne’owi, który także pozwolił mi zapożyczać ze swego życia; oraz Margaret Ballantyne-Power – bardziej siostrze niż przyjaciółce – za jej wieloletnie wsparcie; jak też Shanon i Jimowi, którzy nigdy nie przegapili okazji do świętowania. Dziękuję wesołym i napompowanym kofeiną członkom Les Girls: Liz, France, Michele, Johanne, Christinie, Daphne i Brigitte; specjalne podziękowania ślę Cheryl za jej miłość i za modlitewny rytuał z kijem za *Martwą naturę*. Dziękuję klubowi czytelniczemu No Rules Book Club, Christinie Davidson Richards, Kirkowi Lawrence, Sheili Fischman, Neilowi McKenty, Cotton Aimers oraz Sue i Mike’owi Riddellom. Dziękuję Chrisowi Roy za lekcje łucznictwa oraz za to, że się nie naśmiewał. A przynajmniej sądzę, że nie. Dziękuję moim braciom, Robowi i Dougowi, oraz ich rodzinom, które podarowały mi bezgraniczną miłość i wsparcie.

Martwa natura nigdy nie zostałaby dostrzeżona w gronie innych znakomitych nieopublikowanych powieści, gdyby nie hojność brytyjskiego Crime Writers’ Association. CWA stworzyło nagrodę Debut Dagger dla niepublikowanych pierwszych powieści. Jestem pewna, że moja książka nigdy nie zostałaby zauważona, gdyby nie to, że *Martwa natura* doczekała się umieszczenia na liście „gorąco polecanych” pozycji, uzyskując drugie miejsce w konkursie CWA Debut Dagger w 2004 roku. Była to jedna z najbardziej niezwykłych rzeczy, jakie mi się kiedykolwiek przydarzyły. Oto grupa autorów, którzy odnieśli sukces, poświęca czas, by czytać, wspierać i zachęcać nowych

autorów kryminałów. Dali mi szansę, jakiej większość z nich nigdy nie miała, i będę im za to zawsze wdzięczna. Wiem także, że ten dar powinien być przekazany następnym.

Kay Mitchell z CWA była cudowna, a jej powieści sprawiły mi wielką przyjemność. Dziękuję też Sarah Turner, która jest w naszym domu bohaterką, oraz Maximowi Jakubowskiemu.

Moimi redaktorami byli: w wydawnictwie Hodder Headline – Sherise Hobbs, a w St. Martin's Minotaur – Ben Sevier. Za sprawą swej krytyki, stanowczych sugestii i entuzjazmu obydwójce uczynili *Martwą naturę* lepszą. Praca z nimi była przyjemnością i nauką.

Dziękuję Kim McArthur za wzięcie mnie pod swoje literackie skrzydła.

Dziękuję wreszcie mojej agentce, Teresie Chris. To jej wyłączna zasługa, że czytelnik ma teraz w ręku *Martwą naturę*. Teresa jest błyskotliwa i zabawna, świetny z niej i niebywale zwięzły redaktor oraz znakomity agent. Mam ogromne szczęście, że z nią pracuję, szczególnie że przy pierwszym spotkaniu o mało jej nie przejechałam – nie polecam tej strategii początkującym autorom, ale w moim wypadku najwyraźniej zadziałała. Dziękuję, Tereso.

W moim życiu był okres, gdy nie miałam przyjaciół, telefon nigdy nie dzwonił i myślałam, że umrę z samotności. Wiem, że największym błogosławieństwem nie jest to, że wydałam książkę, ale to, że muszę podziękować tylu ludziom.

1

Panna Jane Neal poszła na spotkanie swego Stwórcy w porannej mgle w niedzielę Święta Dziękczynienia^[1], czym wszystkich mocno zaskoczyła. Śmierć panny Neal nie była naturalnym zgonem – no chyba, że ktoś nie wierzy, że stało się tak, jak stać się musiało. Jeśli tak jest w istocie, Jane Neal kroczyła przez siedemdziesiąt pięć lat w kierunku tego ostatniego momentu, gdy śmierć dopadła ją w klonowym zagajniku na obrzeżach miasteczka Three Pines. Jane padła z rozkrzyżowanymi ramionami i nogami, jakby robiła orła w kolorowych, szeleszczących liściach.

Nadinspektor Armand Gamache z Sûreté du Québec przyklęknął; jego kolana zatrzeszczały, a duże, ekspresyjne dłonie unosiły się nad kolistą plamą krwi na puszystym kardiganie panny Neal – jak gdyby mógł, niczym magik, usunąć ranę i przywrócić kobietę do życia. Jednak nie na tym polegał jego dar. Na szczęście posiadał inne. W pół drogi poczuł zapach kulek na mole, perfum jego babci. Łagodne, dobre oczy Jane patrzyły jakby w zdumieniu, że go widzi.

Gamache'a zaskoczył jej widok. Nie, nie widział jej nigdy przedtem. Jego małą tajemnicą było, że nawet teraz, gdy przekroczył pięćdziesiątkę, w trakcie najwyraźniej nieposuwającej się naprzód kariery, nagła śmierć ciągle wprawiała go w zdumienie. To dość niezwykle, jeśli jest się nadinspektorem w wydziale zabójstw, i może wyjaśnia to, dlaczego nadinspektor nie zaszedł dalej w cynicznym świecie Sûreté. Gamache zawsze miał nadzieję, że może się pomylił i nie znaleziono żadnego ciała. W przypadku szybko sztywniejącej panny Neal nie było jednak mowy o pomyłce. Prostując się, by pomóc inspektorowi Beauvoirovi, Gamache zapiął prochowiec Burberry, chroniący przed październikowym chłodem, i zagłębił się w myślach.

Kilka dni wcześniej Jane Neal umówiła się na kawę w lokalnym bistro ze swą drogą przyjaciółką i sąsiadką, Clarą Morrow. Clara siedziała przy stoliku, nie mogąc się doczekać nadejścia przyjaciółki. Cierpliwość nie była jej największą zaletą. Mieszanina zniecierpliwienia i café au lait wywoływała w niej

niespokojną wibrację. Dygocąc lekko, Clara spoglądała przez okno na zieleń miasteczka, stare domy i klony otaczające skwer miejski. Liście drzew, przybierające zapierające dech w piersiach odcienie czerwieni i bursztynu, były bodaj jedyną zmieniającą się rzeczą w tym czcigodnym miasteczku.

Za szybą, ulicą du Moulin, jechał w stronę wsi pikap z piękną sarną ułożoną na masce. Samochód wolno okrążał skwer, blokując przechodzących mieszkańców w pół drogi.

Trwał sezon myśliwski w okolicy znanej z polowań. Ale tutejsi myśliwi najczęściej przyjeżdżali z Montrealu albo innego miasta. Wynajmowali pikapy i kręcili się po drogach nad ranem w poszukiwaniu saren jak drapieżniki w porze karmienia. Kiedy zaś jakąś wypatrzyli, zatrzymywali się z piskiem opon, wysiadali i strzelali. Potem przywiązywali sarnę na masce półciężarówki i jeździli po miasteczku w przekonaniu, że martwy zwierz na samochodzie świadczy o znakomitości tych, którzy go zabili. Clara wiedziała, że nie wszyscy myśliwi są tacy, ale wystarczająco wielu zachowywało się dokładnie w ten sposób.

Co roku strzelali do krów, koni, zwierząt domowych i do innych myśliwych. Co niewiarygodne, czasami strzelali sami do siebie, być może padając ofiarą epizodów psychotycznych, w których wydawało im się, że są własnym obiadem. Co mądrzejsi wiedzieli, że myśliwi – nie wszyscy, ale niektórzy – mieli problem z odróżnieniem sosny od kuropatwy albo człowieka.

Clara zastanawiała się, co też mogło przydarzyć się Jane. Rzadko się spóźniała, więc łatwo było jej wybaczyć, jeśli się to zdarzało. Clara w ogóle łatwo wybaczała większość rzeczy większości ludzi. Jej mąż, Peter, często ostrzegał ją, że zbyt łatwo. Jednak Clara miała swój słodki sekret: nigdy niczego nie zapominała. Różne rzeczy zachowywała, tuliła w pamięci i przywoływała, gdy miała potrzebę znaleźć ukojenie w nieuprzejmości innych ludzi.

Na jej stoliku okruszki croissanta opadały na „Montreal Gazette”. Pomiedzy kruszynami Clara odczytała nagłówki: *Partia Quebecka obiecuje referendum secesyjne; Wielka operacja antynarkotykowa na prowincji; Turyści zabłądzili w Tremblant Park*. Uniosła wzrok znad ponurych nagłówek. Ona i Peter dawno zrezygnowali z prenumeraty gazet z Quebecu. Niewiedza zaiste była słodka. Woleli lokalny periodyk „Williamsburg County News”, w którym mogli przeczytać o krowie Wayne’a, Guylaine, odwiedzającej wnuki albo

o patchworku wystawionym na aukcję na rzecz domu spokojnej starości. Od czasu do czasu Clara zastanawiała się, czy aby nie stchórzyli, uciekając od rzeczywistości i odpowiedzialności. Ale potem uzmysławiała sobie, że nic jej to nie obchodzi. Poza tym o wszystkim, co naprawdę musiała jakoś przeżyć, dowiadywała się tu, w bistro Oliviera leżącym w sercu Three Pines.

– Myślam, jesteś daleko stąd – usłyszała znajomy, kochany głos. Oto i Jane, zasapana i uśmiechnięta, z twarzą naznaczoną zmarszczkami od uśmiechów, różową od jesiennego chłodu i szybkiego truchtu z domku położonego po drugiej stronie skweru.

– Przepraszam, że się spóźniłam – szepnęła Clarze do ucha, gdy ścisnęły się na powitanie: jedna maleńka, pulchna i zasapana, druga o trzydzieści lat młodsza, szczupła i wciąż nakręcona od kofeiny. – Trzęsiesz się – powiedziała Jane, siadając i zamawiając dla siebie kolejną café au lait. – Nie przypuszczałam, że aż tak się przejmiesz.

– Ty niedobra kobieto, denerwowałam się! – zaśmiała się Clara.

– Słyszałaś, co się stało?

– Nie, co się stało? – Clara pochyliła się w przód, niecierpliwie wyczekując wieści. Pojechali z Peterem do Montrealu kupić płótna i akryle. Obydwoje byli artystami. Peter odniósł sukces. Clara do tej pory nie została odkryta i – jak podejrzewała skrycie większość jej znajomych – miało tak pozostać, jeśli nadal będzie z uporem maniaka malować takie niezrozumiałe rzeczy. Clara musiała przyznać, że jej seria wojowniczych macic nie dotarła jakoś do szerszego grona nabywców, choć przedmioty domowego użytku jej autorstwa, ozdobione puchatym owłosieniem i wielkimi stopami, odniosły pewien sukces. Sprzedała jeden. Pozostałe, jakieś pięćdziesiąt sztuk, stały w piwnicy, która wyglądała trochę jak warsztat Walta Disneya.

– Nie może być – wyszeptała Clara kilka minut później, najszczerzej zaszokowana. Przez całe dwadzieścia pięć lat spędzone w Three Pines nigdy nie słyszała o przestępstwie. Jedyńm powodem, dla którego zamykało się tu drzwi, była chęć powstrzymania sąsiadów od podrzucenia koszyka cukinii w porze zbiorów. Owszem, jak to jasno stwierdzał nagłówek w „Gazette”, inną chętnie uprawianą w okolicy rośliną była marihuana. Ale ci, którzy nie angażowali się w ten proceder bezpośrednio, puszczali to mimo uszu. Poza tym przestępstwa się nie zdarzały. Nie było włamań, wandalizmu, napadów. W Three Pines nie

było nawet policji. Od czasu do czasu Robert Lemieux z lokalnej Sûreté przejeżdżał dookoła skweru, żeby się pokazać, ale tak naprawdę nie istniała taka potrzeba.

Aż do tego ranka.

– Może to taki dowcip? – zasugerowała Clara, mocując się w myślach z paskudnym obrazem, jaki namalowała Jane.

– Nie, nie dowcip – odparła Jane i przypomniała sobie: – Jeden z chłopców się śmiał. Brzmiało to jakoś znajomo, skoro już o tym mowa. Nie był to śmiech radości. – Jane zwróciła swe błękitne oczy ku Clarze. Oczy pełne zdziwienia. – To rodzaj śmiechu, jaki słyszałam jako nauczycielka. Nieczęsto, Bogu dzięki. Dźwięk, jaki wydają chłopcy, gdy na coś polują i mają z tego frajdę. – Jane wzdrygnęła się na to wspomnienie i naciągnęła na siebie kardigan. – Paskudny dźwięk. Dobrze, że cię przy tym nie było.

Powiedziała to w tym samym momencie, gdy Clara wyciągnęła rękę ku niej przez ciemny blat drewnianego stolika, ujęła chłodną, maleńką dłoń Jane i oświadczyła, że z całego serca wołałaby, by to ona tam była, nie Jane.

– Mówisz, że to tylko dzieciaki?

– Mieli na sobie maski narciarskie, więc trudno było powiedzieć, ale ja ich poznałam.

– Kto to był?

– Philippe Croft, Gus Hennessey i Claude LaPierre – wyszeptła nazwiska Jane, rozglądając się, czy aby ktoś nie podsłuchuje.

– Pewna jesteś? – Clara знаła wszystkich chłopaków. Nie byli szczególnie w typie harcerzy, ale nie wyglądali też na takich, którzy zrobiliby coś podobnego.

– Nie – przyznała Jane.

– Lepiej nie mów nikomu.

– Za późno.

– Jak to: za późno?

– Wypowiedziałam ich nazwiska dziś rano, kiedy to się stało.

– Szeptem? – Clara czuła, jak krew napływa, buzując z palców rąk i nóg w kierunku serca. – Proszę, proszę, proszę – błagała bezgłośnie.

– Wykrzyczałam je.

Widząc wyraz twarzy Clary, Jane próbowała się wytłumaczyć.

– Chciałam ich powstrzymać. I zadziałało. Przeszli.

Jane wciąż widziała, jak chłopcy uciekają, potykając się, przez ulicę du Moulin, poza miasteczko. Ten w jaskrawozielonej masce zatrzymał się, by się jej przyjrzeć. Z jego rąk ciągle spływał kaczyni nawóz. Nawóz, który nałożono jako jesienną zaprawę na kwietniki i jeszcze nie rozrzucono. Stokroć wolałaby nie oglądać wyrazu twarzy chłopaka. Czy był wściekły? Przestraszony? Rozbawiony?

– No więc miałaś rację. Znaczą, w sprawie nazwisk.

– Najprawdopodobniej. Nie przypuszczałam, że dożyję dnia, kiedy coś takiego się tutaj wydarzy.

– Czy to dlatego się spóźniłaś? Musiałaś posprzątać?

– Tak. To znaczy nie.

– Możesz być bardziej niezdecydowana?

– Może. Jesteś w jury następnej wystawy Art Williamsburg, prawda?

– Tak. Mamy spotkanie dziś wieczorem. Peter pewnie też. Czemu? – Clara niemal bała się oddychać. Czy to już? Po wszystkich tych niekończących się namowach, nieznacznym dźganiu pod żebro, a czasem nie do końca delikatnym popychaniu, czy Jane w końcu to zrobi?

– Jestem gotowa. – Jane wypuściła głośno powietrze, aż okruszki croissanta poleciały z pierwszej strony „Gazette” prosto na podolek Clary.

– Spóźniłam się, bo musiałam zdecydować – powiedziała Jane powoli, a jej ręce zaczęły drżeć. – Mam obraz, który chciałam zgłosić do konkursu.

Po czym się rozplakała.

To, że Jane maluje, było w Three Pines tajemnicą poliszynela. Od czasu do czasu ktoś spacerujący po lesie natykał się na nią, skupioną na płótnie. Ale zawsze przymuszała przypadkowych widzów, by przysięgli, że nie podejda, nie popatrzą, że odwrócą wzrok od płótna, jakby to było coś niemal obscenicznego, i że z całą pewnością nie wspomną o tym nikomu. Jedynie raz Clara widziała złościącą się Jane – wtedy, gdy Gabri zaszedł ją od tyłu w trakcie pracy nad obrazem. Myślał, że Jane żartuje, gdy zabroniła mu popatrzeć.

Mylił się. Mówiła poważnie. Zabrało kilka miesięcy, zanim Jane i Gabri wrócili do normalnych, przyjacielskich stosunków; każde z nich czuło, że drugie zdradziło. Jednak ich naturalna dobroduszość i wzajemne ciepłe uczucia pozwoliły przejść nad tym incydentem do porządku dziennego.

Nikomu nie wolno było oglądać sztuki Jane.

A przynajmniej do tej pory. Teraz artystkę zalała fala uczuć tak silnych, że siedziała w bistro i płakała. Clara była wstrząśnięta i przerażona. Ostrożnie rozglądała się wokół, mając nadzieję, że nikt nie patrzy, a jednocześnie miała desperacką nadzieję, że jednak ktoś widzi, i że ta osoba wie, co zrobić. Potem zadała sobie proste pytanie: co Jane zrobiłaby na jej miejscu? I zaraz znalazła odpowiedź. Jane pozwoliłaby się jej wypłakać, wyszłochać. Pozwoliłaby jej rzucać porcelaną, jeśli by tego potrzebowała. Jane by nie uciekła. Po zakończeniu tej zawieruchy Jane byłaby wciąż na miejscu. Potem otoczyłaby Clarę ramionami, utuliła ją, dała do zrozumienia, że nie jest sama. Nigdy nie jest sama. Więc Clara patrzyła i czekała. Rozumiała rozpacz kogoś, kto nic nie może zrobić. Płacz powoli ustał.

Clara wstała z przesadnym spokojem. Wzięła Jane w ramiona i poczuła, jak stare ciało wraca do normalnego stanu. Potem zmówiła krótką modlitwę dziękczynną do bóstw, które udzielają łaski. Łaski ronienia łez i łaski patrzenia, jak ktoś płacze.

– Jane, gdybym wiedziała, że sprawi ci to taki ból, nigdy nie upierałabym się przy tym, żebyś pokazywała swoją sztukę. Strasznie mi przykro.

– Och, nie, kochana. – Jane znowu sięgnęła nad stolikiem, przy którym siedziały, i ujęła Clarę za rękę. – Nie rozumiesz. To nie były łzy bólu. Nie. Byłam zaskoczona radością. – Jane spojrzała w dal i pokiwała głową, jakby prowadziła jakąś własną, prywatną rozmowę. – Nareszcie.

– Jaki ma tytuł ten obraz?

– *Dzień jarmarku*. Przedstawia paradę zamykającą jarmark w miasteczku.

I tak to w piątek przed Świętem Dziękczynienia obraz ustawiono na sztaludze w galerii Arts Williamsburg. Był zapakowany w szary papier i obwiązany sznurkiem, owinięty jak w powijaki chroniące przed zimnem i okrutnymi żywiołami. Powoli i starannie Peter Morrow ujął sznurek za koniec i pociągnął, aż węzeł całkiem się rozplątał. Potem obwiązał sznurek wokół dłoni jak pasmo

włóczki. Clara była gotowa go zamordować za tę zwłokę, chciała, krzycząc, zerwać się z krzesła i odepchnąć na bok, rzucić żalosny kłębek sznurka na ziemię, a może i Petera wraz z nim, zerwać woskowany papier z powierzchni płótna. Po chwili uspokoiła się trochę.

Peter starannie odsłonił papier najpierw z jednego rogu, potem z drugiego, wygładzając załamania ręką. Clare czuła, jak brzeg krzesła uwiera ją w pośladki. Miała w sobie dość niepokoju, by obdzielić nim wszystkich obecnych.

Wreszcie można było usunąć papier. Peter odwrócił się, by stanąć naprzeciwko reszty jurorów i wygłosić małą przemowę na temat obrazu, zanim zostanie odsłonięty. Coś krótkiego i w dobrym tonie. Trochę kontekstu, trochę... Pochwycił spojrzenie wytrzeszczonych oczu żony na purpurowej twarzy i wiedział, że nie było już czasu na przemówienia.

Szybko odwrócił się z powrotem w stronę obrazu i zerwał szary papier, odsłaniając *Dzień jarmarku*.

Clara ze zdumienia otworzyła usta, jej oczy się rozszerzyły. No więc to był *Dzień jarmarku*... Zaparło jej dech w piersiach. Zauważyła, że i inni jurorzy czuli się podobnie. Na twarzach zgromadzonych w półkolu ludzi malował się różny stopień niedowierzania. Nawet przewodnicząca jury, Elise Jacob, milczała. Szczerze mówiąc, wyglądała, jakby właśnie miała dostać wylewu.

Clara nienawidziła oceniać pracy innych, a to teraz było najgorsze ze wszystkiego do tej pory. Nie mogła sobie darować, że namówiła Jane do wystawienia swego pierwszego dzieła w konkursie, w którym była sędzią. Czy to było ego? Czy tylko głupota?

– Ten obraz nosi tytuł *Dzień jarmarku* – przeczytała Elise z notatek. – Nadesłany przez Jane Neal z Three Pines, od wielu lat wspierającej Arts Williamsburg, ale wystawiającej po raz pierwszy. Elise rozejrzała się dokoła. – Jakież komentarze?

– Jest fantastyczny – skłamała Clare. Inni spojrzeli na nią w osłupieniu. Temat stojącego przed nimi na sztaludze nieobramowanego płótna był oczywisty. Konie wyglądały jak konie, krowy jak krowy, a ludzie dawali się rozpoznać – nie tylko jako ludzie, ale jako konkretni mieszkańcy miasteczka. Ale wszyscy byli jak figury z patyczków. A w najlepszym razie figury z patyczków na kolejnym szczeblu ewolucji. W wojnie pomiędzy figurami

z patyczków a postaciami z *Dnia jarmarku* prawdopodobnie te ostatnie odniosłyby zwycięstwo, ale tylko dlatego, że miały trochę więcej mięśni. I palce. Ale jasne było, że te postaci żyją jedynie w dwóch wymiarach. Clara, która próbowała ogarnąć to, co zobaczyła, i uniknąć oczywistych porównań, czuła, że to trochę jak rysunek z jaskini przeniesiony na płótno. Jeśli neandertalczyki urządzaliby jarmarki, wyglądałyby one właśnie tak.

– *Mon Dieu*. Moje czteroletnie dziecko potrafi lepiej – powiedział Henri Lariviere, używając oczywistego porównania. Henri był robotnikiem w kamieniołomach, zanim odkrył, że kamień do niego przemawia. A wtedy usłuchał. Potem, oczywiście, nie było już odwrotu, choć jego rodzina wolałaby, żeby zarabiał choćby minimalną stawkę, zamiast robić olbrzymie rzeźby. Jego twarz, tak jak zawsze, była szeroka, surowa i nieprzenikniona, ale dłonie mówiły za niego, zwrócone w górę w geście prośby czy rezygnacji. Ciężko mu było znaleźć odpowiednie słowa, wiedział bowiem, że wielu z jurorów przyjaźni się z Jane. – Jest okropny. – Najwyraźniej poddał się i postanowił zwrócić się z powrotem ku prawdzie albo jego opis był w istocie dużo łaskawszy niż to, co naprawdę myślał. Dzieło Jane w odważnych, jaskrawych kolorach pokazywało paradę tuż przed zakończeniem jarmarku. Świnie dawało się odróżnić od kóz tylko po tym, że były jasnoczerwone. Dzieci wyglądały jak mniejsi dorośli. Clara, pochylając się ostrożnie, jak gdyby obraz mógł zadać jej kolejny cios, pomyślała, że właściwie to nie były dzieci, lecz mali dorośli. Rozpoznała Oliviera i Gabriego, prowadzących błękitne króliki. Na ławkach w głębi za paradą zasiadał tłum, wiele postaci z profilu spoglądających na siebie albo odwracających od siebie spojrzenia. Niektórzy – niewielu – patrzyli wprost na Clarę. Wszystkie policzki były perfekcyjnymi, czerwonymi kółkami wskazującymi, jak przypuszczała Clara, na zdrowy rumieniec. Okropność.

– No cóż, to przynajmniej łatwa decyzja – oświadczyła Irenée Calfat. – Odrzucamy.

Clara poczuła, jak jej stopy i dłonie robią się zimne i drętwieją. Irenée Calfat była ceramikiem. Brała bryły gliny i zamieniała w cudeńka. Była pionierką nowego rodzaju polewy i w tej chwili jednym z najbardziej poszukiwanych artystów ceramików na świecie. Oczywiście po tym, jak odbyli z Peterem pielgrzymkę do studia Irenée Calfat w St. Remy i spędzili pięć minut w towarzystwie Bogini Gliny, wiedzieli od razu, że to był błąd. Irenée Calfat

okazała się jedną z najbardziej małostkowych i samolubnych osób na tym świecie.

Clara zastanawiała się, jak ktoś tak kompletnie pozbawiony normalnych ludzkich uczuć mógł tworzyć tak przepiękne prace. „I to podczas, gdy ty sama walczysz, by zostać zauważona” – powiedział paskudny głosik w jej głowie.

Spojrzała na Petera sponad brzegu kubka. Kawalek czekoladowej babeczki przylepił mu się do twarzy. Clare instynktownie otarła własną, nieuchronnie rozsmarowując sobie orzechy włoskie po włosach. Nawet z tym czekoladowym okruchem Peter przykuwał uwagę. Klasycznie przystojny. Wysoki, o szerokich jak u drwała barach, wcale nie wyglądał na delikatnego artystę. Jego falujące włosy były teraz siwe, nosił okulary, zmarszczki znaczyły kąciki oczu i powierzchnię gładko ogolonej twarzy. Tuż po pięćdziesiątce, wyglądał jak biznesmen na wakacjach. Niemal każdego poranka Clara budziła się i patrzyła na niego, gdy spał, chcąc ochraniać go ze wszystkich sił.

Clara przyciągała okruchy jak magnes. Peter za to był zawsze bez skazy. Czasami jednak, w tych wspaniałych, rzadkich momentach, jego naturalna aura zawodziła i kawałeczek czegoś przyklejał mu się do twarzy. Clara wiedziała, że powinna mu powiedzieć. Ale nie zrobiła tego.

– Wiecie co? – odezwał się Peter i nawet Irenée popatrzyła na niego. – Ja myślę, że jest świetny.

Irenée chrząknęła i rzuciła Henriemu wymowne spojrzenie, on jednak ją zignorował. Peter szukał wzrokiem Clary. Gdy wchodził do jakiegoś wnętrza, zawsze skanował je oczami, aż znalazł Clare. Wtedy się relaksował. Świat patrzył na wysokiego, szacownego mężczyznę z rozczochraną żoną i zastanawiał się, dlaczego są razem. Niektórzy, zwłaszcza matka Petera, zawsze uważali to za coś wbrew naturze. Clara była dla niego centrum świata i wszystkim, co w nim dobre, zdrowe i szczęśliwe. Gdy patrzył na nią, nie widział dzikich, zmierzwionych włosów, falujących ubrań, tanich okularów w rogowej oprawie. Nie. Widział swą bezpieczną przystań. Chociaż w tej dokładnie chwili widział też orzechy włoskie we włosach, które były dla niej dosyć charakterystyczne. Instynktownie przesunął ręką po własnych włosach, strącając okruch babeczki z policzka.

– Co widzisz? – zapytała Petera Elise.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Ale wiem, że muszę to zaakceptować.

Ta zwięzła odpowiedź w jakimś sensie uwiarygodniła jego opinię.

– To ryzykowne – uznała Elise.

– Zgadza się – rzekła Clara. – Ale co takiego się może stać? W najgorszym razie ludzie zobaczą wystawę i uznają, że popełniliśmy błąd. Zawsze tak uważają.

Elise pokiwała z uznaniem głową.

– Już wam mówię, jakie to ryzyko – powiedziała Irénée, dając reszcie do zrozumienia, że myśli: „Idioci z was” w miarę, jak brnęła dalej. – To jest grupa społecznościowa i ledwie wiążemy koniec z końcem. Jedynym, co mamy, jest nasza wiarygodność. Jeśli ludzie zaczną wierzyć, że przyjmujemy prace nie jako dzieła sztuki, ale dlatego, że przyjaźnimy się z artystą, że jesteśmy grupą koleśków, to koniec. Takie jest ryzyko. Nikt z nas nie będzie traktowany poważnie. Artyści nie będą chcieli wystawiać tutaj z obawy, że jesteśmy nieobiektywni. Publiczność przestanie przychodzić, bo będzie musiała oglądać takie knoty jak... – Zabrakło jej słów i tylko wskazała na płótno.

I wtedy Clara zobaczyła. Jakby przelotny błysk, drobiazg, który przemknął na pograniczu jej świadomości. Przez ulotną chwilę *Dzień jarmarku* zalśnił. Fragmenty złożyły się w całość, ale moment zaraz przeminął. Clara uświadomiła sobie, że znów wstrzymała oddech, ale pojęła też, że patrzy na wybitne dzieło sztuki. Podobnie jak Peter nie wiedziała, dlaczego ani jak, ale przez ten ułamek sekundy świat, który – jak się zdawało – stanął na głowie, wrócił do normalnej pozycji. Wiedziała, że *Dzień jarmarku* był niezwykłym dziełem.

– Myślę, że jest więcej niż świetny, jest genialny – powiedziała.

– Jak Boga kocham. Nie widzisz, że mówisz tak tylko dlatego, by poprzeć męża?

– Irénée, słyszeliśmy twoją opinię. Mów dalej, Claro – zachęciła Elise. Henri pochylił się ku przodowi, jego krzesło aż jęknęło.

Clara wstała i podeszła wolno do obrazu na sztaludze. Poruszył ją do głębi, dotknął głębokiego smutku i straty, że aż nie mogła powstrzymać łez. Jak to możliwe? – pytała sama siebie. Obrazy były tak dziecinne, tak proste. Niemal głupie, z tańczącymi gęsiami i uśmiechniętymi ludźmi. Ale kryły coś jeszcze. Coś, czego nie potrafiła ogarnąć.

– Przepraszam. Wstyd mi to przyznać – uśmiechnęła się, czując, jak jej policzki płoną – ale naprawdę nie jestem w stanie tego wytłumaczyć.

– Może odłożymy *Dzień jarmarku* i popatrzymy na pozostałe prace. Wrócimy do niego pod koniec.

Reszta popołudnia przeszła gładko. Kiedy znowu popatrzyli na *Dzień jarmarku*, słońce chyliło się ku zachodowi, czyniąc pokój jeszcze chłodniejszym. Wszyscy byli wykończeni i nie mogli się doczekać, aż to się skończy. Peter przestawił reflektory na suficie i postawił obraz Jane z powrotem na sztaludze.

– *D'accord*. Czy ktoś zmienił zdanie na temat *Dnia jarmarku*?

Cisza.

– Rozumiem, że mamy dwa głosy za przyjęciem i dwa przeciwko.

Elise gapiła się w milczeniu na *Dzień jarmarku*. Poznała Jane Neal przelotnie i podobało jej się to, co w niej zobaczyła. Zawsze uważała Jane za wrażliwą, miłą i inteligentną kobietę. Za kogoś, z kim ma się ochotę przebywać. Jak to możliwe, że ta kobieta stworzyła coś tak byle jakiego i dziecinnego? Ale... Nowa myśl przyszła jej do głowy. Niekoniecznie zupełnie nowa, jednak zaświtała jej tego dnia po raz pierwszy.

– *Dzień jarmarku* zostaje przyjęty. Zostanie pokazany wraz z innymi pracami.

Clara podskoczyła na siedzeniu z zachwyty, przewracając krzesło.

– Och, dajże spokój – powiedziała Irenée.

– Tak! Świetna robota. Obie potwierdziłyście, że mam rację. – Elise się uśmiechnęła.

– W czym masz rację?

– Z jakiegoś powodu *Dzień jarmarku* stanowi dla nas wyzwanie. Porusza nas. Złości. – Tu Elise skłoniła się ku Irenée. – Wprawia w zakłopotanie – tu posłała przelotne, lecz znaczące spojrzenie Henriemu, który lekko skinął głową – aż po... – Popatrzyła na Petera i Clarę.

– Radość – dokończył Peter, a dosłownie w tym samym momencie Clara rzekła: – Smutek. Popatrzyli na siebie i wybuchnęli śmiechem.

– Cóż, ja, podobnie jak Henri, patrzę na niego po prostu zdezorientowana.

Szczerze powiedziawszy, nie wiem, czy *Dzień jarmarku* jest genialnym przykładem sztuki naiwnej, czy też żalosnym bazgrołem wyjątkowo pozbawionej talentu i kompletnie pogrążonej w iluzjach starej kobiety. To powoduje napięcie. I dlatego ten obraz musi się znaleźć na wystawie. Gwarantuję wam, że to o tym właśnie obrazie ludzie będą rozmawiać w kafejkach po wernisażu.

* * *

– Ohyda – podsumowała Ruth Zardo później tego samego wieczoru, opierając się na lasce i wychylając szklanekę szkockiej. Przyjaciele Clary i Petera zgromadzili się w ich salonie wokół pomrukującego kominka na kolację przed Świętem Dziękczynienia.

To była cisza przed burzą. Rodzina i przyjaciele, zaproszeni czy nie, mieli przybyć nazajutrz i zostać aż do długiego weekendu Święta Dziękczynienia. Lasy miały być pełne myśliwych i spacerowiczów – dość niefortunna kombinacja. Doroczny mecz futbolu bezkontaktowego miał się odbyć w niedzielę rano na skwerku, a po nim, po południu, jarmark z okazji zbiorów, ostatnia próba pozbycia się pomidorów i cukinii. Wieczorem zamierzano rozpalić ognisko, które wypełni Three Pines smakowitym zapachem palonych liści i drewna oraz podejrzanym posmakiem gazpacho.

Three Pines nie umieszczano na turystycznych mapach, bo leżało zbyt daleko od głównych, a nawet bocznych dróg. Podobnie jak na Narnię, zwykle natykano się na nie przypadkiem i ze sporą dozą zdumienia, że tak dawno założone miasteczko przez cały czas ukrywało się w tej dolinie. Ktokolwiek natrafił na nie raz, najczęściej wracał. A Święto Dziękczynienia, w początkach października, stwarzało idealną okazję. Dni były zwykle bezchmurne i chłodne, a letnie zapachy starych odmian róż i floksów mieszały się z piżmową wonią jesiennych liści, dymu palonego drewna i pieczonego indyka.

Olivier i Gabri opowiadali o wydarzeniach tego ranka. Ich opis był tak barwny, że wszyscy w przytulnym salonie mogli niemal zobaczyć trzech zamaskowanych chłopaków wybierających grudki kaczego nawozu na brzegu miejskiego skwerku: chłopcy podnosili ręce, nawóz spływał im pomiędzy palcami, a potem rzucali nim w stary, ceglany budynek. Po chwili breja kapiała z błękitno-białych markiz z napisem „Campari”. Nawóz spływał ze ścian

i z szyldu „Bistro”. W kilka minut czyściutka fasada kafejki w sercu Three Pines była brudna, i to nie tylko za sprawą kaczego łajna. Całe miasteczko zostało umazane słowami, które wypełniły powietrze:

– Pedałły! Zboczeńcy! *Déqueulasse!* – krzyczeli chłopcy.

Słuchając Oliviera i Gabriego, Jane przypomniała sobie, jak wyszła ze swojego kamiennego domku po drugiej stronie skweru, a gdy podbiegła bliżej, zobaczyła, jak Olivier i Gabri wychodzą z bistro. Chłopcy zamruczeli z zadowoleniem i zaczęli celować w mężczyzn, obrzucając ich nawozem.

Jane przyspieszyła, żałując w duchu, że jej tęgie nogi nie są dłuższe. A potem zobaczyła, jak Oliver robi coś nadzwyczajnego. Podczas gdy chłopcy wrzeszczeli i miotali garście pełne nawozu, Oliver powoli, spokojnie ujął dłoń Gabriego i przytrzymał ją elegancko, po czym uniósł do ust. Gromada chłopaków patrzyła w osłupieniu, jak Oliver całował umazaną nawozem rękę swymi umazanymi nawozem ustami. Chłopaków najwyraźniej zatkało w obliczu tego aktu miłości i sprzeciwu. Ale tylko na chwilę. Ich nienawiść zatriumfowała i po chwili zaatakowali ze zdwojoną siłą.

– Przestańcie! – zawołała Jane zdecydowanie.

Ramiona chłopaków zastygły w połowie zamachu, instynktownie reagując na władczy głos. Odwrócili się jak na komendę i zobaczyli drobną Jane Neal w kwiecistej sukience i żółtym kardiganie. Jeden z chłopaków, w pomarańczowej masce, uniósł rękę, by rzucić w starszą panią.

– Nie waż się, młody człowieku.

Zawahał się na wystarczająco długą chwilę, by Jane zdążyła popatrzeć im wszystkim w oczy.

– Philippe Croft, Gus Hennessey, Claude LaPierre – wyliczyła powoli i z namysłem. To wystarczyło. Chłopcy upuścili to, co mieli w ręku, i uciekli w kierunku pagórka, przemykając obok Jane i potykając się; ten w pomarańczowej masce chichotał. Był to dźwięk tak wstrętny, że przyćmił nawet nawóz. Jeden z chłopaków odwrócił się i popatrzył, podczas gdy pozostali wpadli na niego, pociągając go z powrotem w dół ku ulicy du Moulin.

To miało miejsce dziś rano. A już wydawało się jak sen.

– To było ohydne – powiedział Gabri, zgadzając się z Ruth i opadając na jedno z antycznych krzeseł, którego wyblakła tapicerka zagrzała się od ognia. –

Oczywiście mieli rację: jestem gejem.

– I to nieźle zboczonym – dodał Olivier, opierając się o poręcz fotela Gabriela.

– Awansowałem na jednego ze statecznych homosów Quebecu – podsumował Gabri, parafrazując Quentina Crispa^[2]. – Mój widok zapiera dech w piersiach.

Oliver zaśmiał się i dorzucił kolejne drwa do kominka.

– Dziś rano wyglądałeś bardzo statecznie – ocenił Ben Hadley, najlepszy przyjaciel Petera.

– Chyba miałeś na myśli: statycznie?

– Owszem, to prawda, bardziej jak kawałek poletka leżący odłogiem.

W kuchni Clara witała się z Myrną Landers.

– Stół wygląda wspaniale – powiedziała Myrna, zdejmując płaszcz i odsłaniając jaskrawofioletowy kaftan. Clara zastanawiała się, jak też Myrna przeciska się przez drzwi. Chwilę później Myrna wyciągnęła swój prezent na uświetnienie wieczoru, kompozycję kwiatową. – Gdzie ci to postawić, dziecinko?

Clara gapiała się w osłupieniu. Bukiet był olbrzymi, niepojęty i nieoczekiwany. W skład wiązanki wchodziły gałęzie dębu i klonu, zerwane nad rzeką Bella Bella, płynącą za księgarnią, którą prowadziła Myrna, oraz gałęzie jabłoni z wiszącymi z nich wciąż mekintoszami, jak również spore naręcza ziół.

– A to co?

– Gdzie?

– Tu, w środku wiązanki.

– Kielbasa.

– Kielbasa?

– Yhy. A popatrz tutaj. – Myrna wskazała wewnątrz płataniny łądyg.

– *Dzieła zebrane* W.H. Audena – przeczytała Clare. – Żarty sobie robisz!

– To dla chłopców.

– Co jeszcze jest w tym bukiecie? – Clara obrzuciła spojrzeniem wiązanke.

– Denzel Washington. Ale nie mów Gabriemu!

W salonie Jane kontynuowała opowieść.

– No i wtedy Gabri powiedział do mnie: „Mam twój nawóz. Vita Sackville West zawsze nosiła go w taki sposób”^[3].

Olivier szepnął do ucha Gabriemu:

– Jesteś zboczony.

– Nie cieszysz się, że jeden z nas jest? – odpowiedział wielokrotnie używanym, bezpiecznym żartem.

– Jak się macie? – Myrna, a za nią Clara, weszły do kuchni; Myrna uściskała Gabriego i Oliviera, podczas gdy Peter nalewał jej szkockiej.

– Chyba wszystko w porządku. – Olivier ucałował Myrnę w obydwie policzki. – Prawdziwa niespodzianka w tym, że wcześniej nam się to nie przydarzyło. Jesteśmy tu ile, dwanaście lat? – Gabri przytaknął z ustami pełnymi camembertu. – A zaczepiono nas pierwszy raz. W dzieciństwie, w Montrealu, zdarzało mi się być ofiarą takich ataków ze strony grup dorosłych facetów. To było przerażające. – Zapadła cisza wypełniona jedynie szumem i strzelaniem ognia w kominku w tle, aż Olivier przemówił znowu: – Bili mnie patykami. To śmieszne, ale gdy sobie to przypominam, ta część sprawiła mi największą przykrość. Nie zadrapania i siniaki, ale to, że zanim uderzyli, jakoś tak mnie dziabali... No wiesz. – Pokazał gestem ręki. – Jakbym nie był człowiekiem.

– To obowiązkowy pierwszy krok – powiedziała Myrna. – Pozbawić ofiarę człowieczeństwa. Bardzo dobrze to ująłeś.

Myrna wiedziała z doświadczenia, o czym mowa. Zanim przyjechała do Three Pines, pracowała w Montrealu jako psycholog. A ponieważ była czarnoskóra, знаła doskonale ten wyjątkowy rodzaj spojrzenia, jakim obdarzali ją ludzie, traktując jak mebel.

Ruth zwróciła się do Oliviera, zmieniając temat.

– Przeglądałam piwnicę i natrafiłam na kilka rzeczy, które mógłbyś dla mnie sprzedać. – Piwnica Ruth była jej bankiem.

– Znakomicie. Co takiego?

– Trochę rubinowego szkła...

– Och, cudownie! – Olivier uwielbiał kolorowe szkło. – Ręcznie wydmuchiwane?

– Czy masz mnie za idiotkę? Oczywiście, że ręcznie wydmuchiwane.

– Jesteś pewna, że nie chcesz go zatrzymać? – Olivier zawsze pytał o to przyjaciół.

– Przestań mnie o to pytać. Myślisz, że wspominałabym o tym, gdybym miała wątpliwości?

– Suka.

– Puszczalski.

– No dobra, powiedz coś więcej – poprosił Olivier. Towar, jaki Ruth wyciągała z piwnicy, był niesamowity. Jakby miała portal do przeszłości. Część z tego to były rupiecie, jak stare, popsute ekspresy do kawy i spalone tostery. Ale większość wprawiała go w pełen rozkoszy dygot. Siedzący w nim chciwy handlarz antyków, który zajmował większą część jego osobowości, niż Olivier chciałby kiedykolwiek przyznać, był podniecony, mogąc mieć wyłączny dostęp do skarbów Ruth. Olivier pogrążał się czasem w marzeniach o tej jej piwnicy.

O ile piwnica Ruth wprawiała go w podniecenie, o tyle na myśl o domu Jane Olivier niemal wyłaził ze skóry z pożądania. Zabiłby, by móc zajrzeć za jej kuchenne drzwi. Sama jej kuchnia zawierała antyki warte dziesiątki tysięcy dolarów. Kiedy po raz pierwszy przyjechał do Three Pines, niemal odebrało mu mowę, kiedy zobaczył posadzkę na podłodze przedpokoju Jane. Jeśli przedpokój był muzeum, a kuchnia świątynią, cóż mogło kryć się dalej? Olivier odpędził tę myśl, wiedząc, że pewnie byłby rozczarowany. IKEA. I dywan udający futro. Już dawno przestał się zastanawiać, czy to nie dziwne, że Jane nigdy nie zapraszała nikogo za uchylne drzwi salonu ani dalej.

– A co do tego nawozu, Jane – Gabri pochylił się nad jednym z puzzli Petera – to mogę go przywieźć jutro. Czy potrzebna ci pomoc przy skopywaniu ogrodu?

– Nie, już prawie skończyłam. Ale to może być ostatni rok. Już nie daję rady.

Gabri poczuł ulgę, że nie musi jej pomagać. Praca we własnym ogrodzie była wystarczająco ciężka.

– Mam masę sadzonek malw – powiedziała Jane. – Jak ci poszło z tymi pojedynczymi, żółtymi? Nie widziałem ich.

– Posadziłem je na jesieni, ale żadne mi się nie urodziły. Dasz mi jeszcze parę? Mogę się zamienić na pysznogłówki.

– Boże, nie!

Pysznoślówki były cukiniami w świecie kwiatów. Zawsze widziało się je na jarmarku żniwnym, a później w ogniskach na Święto Dziękczynienia, którym nadawały lekki zapach bergamotki, co sprawiało, że w Three Pines pachniało tak, jakby w każdym domu parzono earl greya.

– Mówiliśmy ci, co się stało tego popołudnia, jak już wszyscy poszliście? – spytał Gabri scenicznym szeptem, sprawiając, że dokładnie wszystkie uszy w pokoju zwróciły się w jego stronę. – Właśnie przygotowaliśmy groszek na dzisiaj...

Clara wywróciła oczami i wymamrotała do Jane:

– Pewnie zginął im nóż do konserw.

– ...kiedy rozległ się dzwonek do drzwi i okazało się, że to Matthew Croft i Philippe.

– No nie! I co się stało?

– Philippe wybełkotał: „Przepraszam za dziś rano”.

– I co odpowiedzieliście? – spytała Myrna.

– Powiedzieliśmy, żeby udowodnił, że mu przykro.

– Nie może być! – Clara gwizdnęła z podziwu, rozbawiona i pod wrażeniem.

– Jak Boga kocham. Coś w tych przeprosinach brzmiało nieszczerze. Żałował, że go przyłapano i że jego postępowanie przyniosło skutki. Ale nie podejrzewam, by żałował, że to zrobił.

– Sumienie i tchórzostwo – powiedziała Clara.

– Co masz na myśli? – spytał Ben.

– Oscar Wilde napisał, że sumienie i tchórzostwo to jedno i to samo. Przed robieniem okropnych rzeczy powstrzymuje nas nie sumienie, ale lęk przed przyłapaniem.

– Zastanawiam się, czy to prawda – rzekła Jane.

– A ty byś robiła? – zapytała Clare Myrna.

– Okropne rzeczy, jeśli uszłoby mi to na sucho?

– Zdradzała Petera – zasugerował Olivier. – Rabowała banki. Albo jeszcze lepiej, kradła pomysły innym artystom?

– Ech, dziecinada – zachnęła się Ruth. – Może weźmy morderstwo. Czy

przejechałabyś kogoś samochodem? Albo otruła, albo wrzuciła do rzeki podczas wiosennych roztopów? Albo – rozejrzała się dokoła, gdy ciepłe światło kominka odbijało się na z lekka zmartwionych twarzach – mogłybyśmy wzniecić pożar i nie uratować ich.

– Co za „my”? Białe kobiety? – zapytała Myrna.

– Szczerze? Tak. Ale nie morderstwo. – Clara spojrzała na Ruth, która mrugnęła do niej konspiracyjnie.

– Wyobraź sobie, jak wyglądałby świat, gdyby można było robić wszystko. Wszystko. I to bezkarnie. – Myrna na nowo podchwyciła temat. – Cóż za władza. Kto z nas nie dałby się jej skorumpować?

– Jane by się oparła. Ale reszta z was? – Ruth wzruszyła ramionami.

– A ty? – zapytał Ruth Olivier, niezłe zirytowany faktem, że został wrzucony do jednego worka z innymi, gdzie, jak w cichości ducha wiedział, było jego miejsce.

– Ja? Ależ znasz mnie już na tyle, Olivierze. Ja byłabym najgorsza. Oszukiwałabym, kradła i czyniłabym życie koszmarem dla całej reszty.

– Bardziej niż teraz? – zapytał Olivier, wciąż nadąsany.

– Teraz to już jesteś na czarnej liście – powiedziała Ruth. Tu Olivier przypomniał sobie, że najbardziej zbliżoną do policji organizacją w okolicy była ochotnicza straż pożarna, do której sam należał, ale to Ruth nią dowodziła.

Gdy Ruth Zardo wzywała do pożaru, szło się. Była straszniejsza niż płonący budynek.

– Gabri, a ty? – zapytała Clara.

– Zdarzało się, że byłem tak wściekły, że chciałem kogoś zabić, i mógłbym, jeślibym wiedział, że mi to ujdzie na sucho.

– Co cię tak rozzłościło? – Clara była zdziwiona.

– Zdrada, zawsze i wyłącznie zdrada.

– I co z tym zrobiłeś? – zapytała Myrna.

– Poszedłem na terapię. I tam spotkałem tego gościa. – Gabri wyciągnął rękę i poklepał dłoń Oliviera. – Chyba obydwaj chodziliśmy do tego terapeuty przez rok dłużej niż potrzebowaliśmy, po to tylko, żeby się spotykać w poczekalni.

– Czy to niezdrowe? – spytał Olivier, przyglądając swoje przerzedzające się

blond włosy. Były jak jedwab i nieustannie spadały mu na oczy, niezależnie od tego, jakich kosmetyków używał.

– Naśmiewaj się ze mnie, ile chcesz, ale wszystko się dzieje w jakimś celu – powiedział Gabri. Gdyby nie było zdrady, nie byłoby gniewu. Bez gniewu nie byłoby terapii. Bez terapii nie byłoby Oliviera. Bez Oliviera nie byłoby...

– Wystarczy. – Olivier podniósł ręce jakby w geście kapitulacji.

– Zawsze lubiłam Matthew Crofta – oświadczyła Jane.

– Był twoim uczniem? – zapytała Clara.

– Dawno temu. Był w przedostatniej klasie, która uczyła się w starym budynku szkolnym, zanim go zamknęli.

– Do dziś uważam, że to wstyd, że go zamknęto – wtrącił Ben.

– Dajże spokój, Ben, szkołę zamknęto dwadzieścia lat temu. Opuść. – Jedna Ruth mogła to powiedzieć.

Gdy Ruth po raz pierwszy przyjechała do Three Pines, Myrna zastanawiała się, czy Ruth miała wylew. Czasami, jak Myrna wiedziała z doświadczenia, ofiary wylewu nie miały kontroli nad impulsami. Kiedy zapytała o to Clare, ta odpowiedziała, że jeśli Ruth miała wylew, to w życiu płodowym. O ile wiedziała, Ruth zawsze była taka.

– No to dlaczego wszyscy ją lubią? – spytała wtedy Myrna. Clara zaśmiała się i wzruszyła ramionami.

– Wiesz, są dni, że sama się nad tym zastanawiam. Ta kobieta potrafi być taka nieznośna. Ale myślę, że warto się dla niej postarać.

– No dobra. – Gabri był zirytowany tym, że chwilowo przestał być w centrum uwagi. – Philippe zgodził się przepracować piętnaście godzin społecznie na rzecz bistro.

– Założę się, że nie był z tego powodu szczęśliwy – zauważył Peter, wstając.

– Masz rację – rzekł Olivier z uśmiechem.

– Proponuję toast – powiedział Gabri – Za naszych przyjaciół, którzy stanęli dziś w naszej obronie. Za naszych przyjaciół, którzy spędzili cały rano, sprząając w bistro.

Myrna zauważyła już wcześniej ten fenomen: zdolność niektórych ludzi do obracania okropnych wydarzeń w triumf. Myślała o tym dziś rano, z nawozem

za paznokciami, gdy przerwała pracę na moment, by popatrzeć na innych, starych i młodych, którzy przyłączyli się do pomocy. Była jedną z nich. I po raz kolejny błogosławiła dzień, gdy zdecydowała się opuścić miasto i przyjechać tu, by sprzedawać tym ludziom książki. Wreszcie była u siebie. A potem przypomniał jej się inny obraz, który zagubił się wśród krzątania tego poranka. Obraz Ruth, opierającej się na lasce i odwracającej się od innych, tak że tylko Myrna zauważyła grymas bólu wykrzywający jej twarz; a potem ta starsza pani opadła na kolana i w milczeniu szorowała dalej. Przez cały ranek.

– Kolacja gotowa! – ogłosił Peter.

– Fantastycznie. Zupełnie jak u mamy.

– Le Sieur? – zapytała kilka minut potem Jane, podnosząc do ust widelec pełen groszku z mięsnym sosem.

– *Bien sûr*. Od pana Beliveau – przytaknął Olivier.

– No na miłość boską! – zawołała Clara znad skrzypiącego sosnowego stołu. – To konserwowy groszek! Z warzywniaka. I ty uważasz się za szefa kuchni?

– Le Sieur to złoty standard w kategorii groszku konserwowego. Tylko tak dalej, panienko, a w przyszłym roku dostaniesz groszek z firmy krzak. Żadnej wdzięczności! – zaszeptał Olivier do Jane scenicznym szeptem. – I to w Święto Dziękczynienia. Wstyd!

Jedli przy świetle świec – różnego kształtu i koloru – których płomienie migotały w całej kuchni. Na talerzach piętrzył się indyk, kasztanowe nadzienie, karmelizowane bataty, ziemniaki, groszek i sos. Każdy przyniósł coś do jedzenia, z wyjątkiem Bena, który nie gotował. Przyniósł za to parę butelek wina. To było tradycyjne spotkanie; składkowa kolacja to jedyny rodzaj wspólnego posiłku, na którą Peter i Clara mogli sobie pozwolić.

Olivier pochylił się ku Myrnie.

– Kolejna udana kompozycja kwiatowa.

– Dziękuję. A skoro o tym mowa, jest w niej ukryte coś dla ciebie i Gabriego.

– Naprawdę? – Gabri natychmiast skoczył na równe nogi. Poszedł na drugi koniec kuchni, do bukietu. W odróżnieniu od Oliviera, który był samodzielny i wręcz wybredny jak kot, Gabri bardziej przypominał bernardyna, choć raczej się nie ślinił. Zbadał dokładnie gęsty zagajnik bukietu i nagle zakrzyknął: –

Zawsze to chciałem dostać! – I wyciągnął kiełbasę.

– Nie to. To jest dla Clary. – Wszyscy popatrzyli na Clare, zaalarmowani, szczególnie Peter.

Olivier wyglądał, jakby poczuł ulgę. Gabri znowu sięgnął do środka i wyciągnął grubą książkę.

– *Dzieła zebrane* W.H. Audena. – Gabri starał się, by w jego głosie nie słychać było rozczarowania. Ale bez przesady. – Nie znam go.

– Och, Gabri, czeka cię prawdziwa uczta – zapewniła Jane.

– No dobra, nie zniosę tego dłużej – powiedziała nagle Ruth, pochylając się przez stół do Jane. – Czy Arts Williamsburg przyjęło twoją pracę?

– Tak.

To słowo jakby uruchomiło sprężyny w krzesłach, na których siedzieli. Wszyscy zerwali się na równe nogi i skoczyli w stronę Jane, która wstała i entuzjastycznie przyjmowała ich uściski. Wydawało się, że lśni blaskiem mocniejszym niż świece w pokoju. Clara, wycofawszy się na moment, by przyglądać się tej scenie, czuła, jak serce jej się ściska, duch ulatuje lekko i przepelnia ją poczucie wdzięczności, że może w tym uczestniczyć.

– Wielcy artyści wkładają wiele z siebie w swoje prace – powiedziała Clara, gdy towarzystwo wróciło na krzesła.

– Jakie specjalne znaczenie ma *Dzień jarmarku*? – zapytał Ben.

– Gdybym odpowiedziała, to by było oszustwo. Musicie sami się domyśleć. Ale jest tam. – Jane zwróciła się do Bena z uśmiechem. – Jestem pewna, że się domyślicie.

– Dlaczego nazywa się *Dzień jarmarku*? – zapytał.

– Namalowałam go na jarmarku, na zamykającej go paradzie. – Jane obrzuciła Bena znaczącym spojrzeniem. Tego popołudnia zmarła Timmer, matka Bena, a jej przyjaciółka. Czy to tylko miesiąc temu? Całe miasteczko przyszło na paradę, z wyjątkiem Timmer, która samotnie umierała na raka w łóżku, a jej syn, Ben, był w podróży, w Ottawie, na aukcji antyków. To Clara i Peter donieśli mu o jej śmierci. Clara nigdy nie zapomni wyrazu twarzy Bena, gdy Peter powiedział mu, że jego matka nie żyje. Nie smutek, nawet jeszcze nie ból. Ale totalne niedowierzanie. Nie on jeden nie mógł w to uwierzyć.

– „Zło nie rzuca się w oczy i zawsze jest ludzkie. Dzieli z nami łożę, je przy

naszym stole”^[4] – zacytowała Jane niemal pod nosem. – Auden – wyjaśniła, kiwając głową ku książce w ręku Gabriego i uśmiechając się na moment uśmiechem, który przełamał nieoczekiwane i niewyjaśnione napięcie.

– Może się przemknę ukradkiem i spojrzę na *Dzień jarmarku* przed wystawą – powiedział Ben.

Jane wzięła głęboki wdech.

– Chciałabym zaprosić was wszystkich na drinka po wernisażu. U mnie w salonie. – Jeśli ogłosiłaby, że będzie nago, nie zrobiłoby to takiego wrażenia. – Mam dla was małą niespodziankę.

– Poważnie? – spytała Ruth.

Z żołądkami pełnymi indyka, ciasta z dyni, porto i espresso, zmęczeni goście rozeszli się do domów, a światła ich latarek migotały jak wielkie świetliki. Jane ucałowała Clarę i Petera na dobranoc. To było przyjemne, niewyróżniające się niczym wczesne Święto Dziękczynienia w gronie przyjaciół. Clara przyglądała się, jak Jane wędrowała przez las wijącą się dróżką, łączącą oba domy. Długo po tym, jak Jane zniknęła z oczu, widać było jej latarkę, jasne, białe światło, jak z Diogenesa. Dopiero gdy usłyszała entuzjastyczne szczekanie Lucy, psa Jane, Clara delikatnie zamknęła drzwi. Jane była w domu. Bezpieczna.

2

Armand Gamache odebrał telefon w niedzielę Święta Dziękczynienia, gdy właśnie miał opuścić swoje mieszkanie w Montrealu.

Jego żona, Reine-Marie, czekała już w samochodzie; jedynym powodem, dla którego nie jechał już na chrzest swojej ciotecznej wnuczki, było to, że nagle musiał skorzystać z toalety.

– *Oui, allô?*

– Pan nadinspektor? – zapytał uprzejmy głos na drugim końcu linii. – Mówi agentka Nichol. Naczelnik prosił, żebym do pana zadzwoniła. Wydarzyło się morderstwo. – Po dziesiątkach lat pracy w Sûreté du Québec, z których większość spędził w wydziale zabójstw, te słowa ciągle przeszywały Gamache’a dreszczem.

– Gdzie? – Nadinspektor już sięgał po papier i długopis, które leżały gotowe do użycia przy każdym telefonie w mieszkaniu.

– W miasteczku w Kantonach Wschodnich. Three Pines. Mogę po pana przyjechać za kwadrans.

– Czy to ty zamordowałeś tę osobę? – spytała męża Reine-Marie, gdy Armand poinformował ją, że nie będzie uczestniczył w dwugodzinnej uroczystości na twardych ławkach w nieznanym kościele.

– Jeśliby tak było, doszedłbym do tego. Chcesz jechać ze mną?

– A co byś zrobił, gdybym kiedyś powiedziała, że tak?

– Byłbym zachwycony – odpowiedział uczciwie. Po trzydziestu dwóch latach małżeństwa wciąż nie mógł się nacieszyć towarzystwem Reine-Marie. Wiedział, że jeśliby towarzyszyła mu w śledztwie o morderstwo, zachowywałaby się stosownie. Jakoś zawsze wiedziała, jak się znaleźć w każdej sytuacji. Żadnych hysterii, żadnego zamieszania. Ufał jej.

Po raz kolejny zrobiła, co było stosowne: odmówiła jego zaproszeniu.

– Powiem im po prostu, że znowu się upiłeś – odparła, gdy zapytał, czy

rodzina nie będzie rozczarowana jego nieobecnością.

– A nie powiedziałaś im przypadkiem, że jestem na leczeniu, ostatnim razem, gdy ominęło mnie rodzinne spotkanie?

– Cóż, widać tego nie kupili.

– To bardzo smutne dla ciebie.

– Cierpię męczeństwo za mego męża – orzekła Reine-Marie, przesiadając się na fotel kierowcy. – Uważaj na siebie, kochanie.

– Będę, *mon coeur*. – Nadinspektor poszedł z powrotem do swego gabinetu w ich mieszkaniu na pierwszym piętrze i popatrzył na wielką mapę Quebecu, rozwieszoną na jednej ze ścian. Przesunął palcem na południe od Montrealu w kierunku Kantonów Wschodnich i zatrzymał się w okolicy granicy ze Stanami Zjednoczonymi. – Three Pines... Three Pines – powtarzał, próbując znaleźć miejscowość na mapie. – Czy może pod inną nazwą? – zapytał sam siebie, po raz pierwszy nie mogąc zlokalizować miasteczka na tak szczegółowej mapie. – Może Trois Pins? Nie, nie zobaczył takiego. Nie martwił się, bo znalezienie miasteczka było zadaniem Nichol.

Przeszedł przez rozległe mieszkanie w montrealskiej dzielnicy Outremont, które kupił, gdy urodziły się jego dzieci. Chociaż dawno dorosły, wyprowadziły się i już miały własne dzieci, mieszkanie nigdy nie wydawało się puste. Wystarczało, że dzielił je z Reine-Marie. Na pianinie stały fotografie, regały ugiwały się od książek – świadectwo dobrze spędzonego życia. Reine-Marie namawiała go, by zawiesił swoje dyplomy, ale łagodnie odmówił. Za każdym razem, gdy znalazł w szafie swego gabinetu oprawiony w ramki dyplom, przypominał sobie nie ceremonię jego wręczenia w Sûreté, ale twarze zmarłych i tych, których osierocili. Nie. Nie było dla nich miejsca na ścianach jego domu. A od czasu sprawy Arnot dyplomy się skończyły. Poza tym rodzina była dla niego najlepszym dyplomem.

Agentka Yvette Nichol biegała po swoim mieszkaniu w poszukiwaniu portfela.

– Och, tato, musiałeś go widzieć! – mówiła proszącym tonem, patrząc na zegar ścienny i bezlitosny ruch jego wskazówek.

Jej ojciec zmarł. Widział jej portfel. Wziął go wcześniej tego samego dnia

i wsunął do niego dwadzieścia dolarów. To była ich mała zabawa. On podrzucał jej pieniądze, a ona udawała, że tego nie widzi. Czasem zdarzało się, że wracał z nocnej zmiany w browarze i zastawał w lodówce eklerkę ze swoim imieniem, wypisanym na karteczce jej czytelnym, niemal dziecinnym pismem.

Kilka minut wcześniej wziął jej portfel, by podrzucić do niego pieniądze, ale potem – gdy zadzwonił telefon informujący jego córkę, że miało miejsce morderstwo – zrobił coś, czego nie robił nigdy wcześniej: schował go razem z jej legitymacją Sûreté. Ten mały dokument, na który pracowała całymimi latami. Teraz przyglądał się, jak córka zrzuca poduszki z kanapy na podłogę. Uświadomił sobie, że wywróci mieszkanie do góry nogami w jego poszukiwaniu.

– Pomóż mi, tato, muszę go znaleźć – zwróciła się do niego z oczami rozszerzonymi w desperacji. Czemuż on tak tu stoi, zamiast coś zrobić? – zastanawiała się. To była jej wielka szansa, moment, o którym od lat rozmawiali. Ileż to razy dzielili marzenia o tym, jak któregoś dnia awansuje do Sûreté? To się w końcu zdarzyło, a teraz, dzięki ogromowi ciężkiej pracy i – szczerze mówiąc – jej wrodzonemu talentowi śledczemu – w końcu trafiała jej się szansa pracy nad sprawą o zabójstwo razem z Gamache'em. Jej tata wszystko o nim wiedział. Śledził jego karierę w gazetach.

– Twój wuj Saul miał kiedyś szansę na pracę w policji, ale się wypalił – powiedział jej ojciec, potrząsając głową. – Wstyd. A wiesz, co się dzieje z nieudacznikami?

– Umierają. – Yvette znała poprawną odpowiedź. Wysłuchiwała tej rodzinnej historii, odkąd sięgała pamięcią.

– Wuj Saul, twoi dziadkowie. Wszyscy. Teraz to ty jesteś rodzinnym mądrałą, Yvette. Liczymy na ciebie.

Yvette przerosła wszelkie oczekiwania, kwalifikując się do Sûreté. W ciągu jednego pokolenia jej rodzina – ofiary władzy czechosłowackiej – zdobyła status tych, którzy ustanawiają reguły. Przewędrowali z jednego końca pistoletu na drugi.

Podobało jej się na tym końcu.

Teraz jednak jedna, jedyna rzecz stała pomiędzy spełnieniem ich marzeń a sromotnym upadkiem w stylu głupiego wuja Saula: jej zaginiony portfel

z legitymacją policyjną. Czas upływał. Powiedziała nadinspektorowi, że będzie u niego za piętnaście minut. To było pięć minut temu. Zostało jej dziesięć minut, by przejechać przez miasto i po drodze złapać kawę.

– Pomóż mi – poprosiła, wysypując zawartość torebki na podłogę salonu.

– Tu jest. – Jej siostra Angelina nadeszła z kuchni, trzymając w ręku portfel i legitymację. Nichol prawie upadła na Angelinę, całując ją, po czym pospieszyła po swój płaszcz.

Ari Nikulas obserwował ukochane najmłodsze dziecko, starając się zapamiętać każdy centymetr tej drogiej mu twarzy i nie poddać się przekłębemu lękowi, gnieżdżącemu się w trzewiach. Co też zrobił najlepszego, kładąc jej do głowy ten idiotyczny pomysł? Nie stracił nikogo z rodziny w Czechosłowacji. Zmyślił to, by się przystosować, by wyglądać na bohatera. By być kimś ważnym w swoim nowym kraju. Ale jego córka w to uwierzyła, wierzyła, że żyli kiedyś głupi wuj Saul i wymordowana rodzina. Sprawy zaszły za daleko. Nie mógł jej powiedzieć prawdy. Wpadła w jego ramiona i pocałowała w drapiący policzek. Trzymał ją w objęciach o chwilę za długo; zatrzymała się i spojrzała w jego zmęczone, pełne napięcia oczy.

– Nie martw się, tato. Nie zawiodę cię – obiecała Yvette i wyszła.

Zdażył tylko zauważyć, jak loczek jej ciemnych włosów zwisa z boku ucha.

Yvette Nichol zadzwoniła do drzwi przed upłynięciem piętnastu minut od chwili, gdy odłożyła telefon. Skrępowana, stała na podeście schodów przy wejściu i rozglądała się. To była bardzo ładna, pełna zieleni dzielnica, położona kilka kroków od sklepów i restauracji Rue Bernard. Mieszkała tu głównie intelektualna i polityczna elita francuskojęzycznego Quebecu. Yvette widywała nadinspektora w kwaterze głównej, gdy maszerował korytarzami, zawsze otoczony grupą innych osób. Dosłużył się bardzo wysokiej rangi i cieszył się opinią mentora wśród tych, którzy mieli szczęście z nim pracować. Uważała się za szczęściarę.

Gamache otworzył drzwi, poprawiając na głowie tweedową czapkę i obdarzając Nichol ciepłym uśmiechem. Wyciągnął do niej rękę, którą po chwili wahania uścisnęła.

– Jestem nadinspektor Gamache.

– To zaszczyt pana poznać.

W momencie, gdy otwierano przed nim drzwi po stronie pasażera nieoznakowanego samochodu, Gamache uchwycił charakterystyczny zapach kawy od Tima Hortona, dolatujący z papierowego kubka, oraz jeszcze jakiś aromat. Brioszka. Młoda agentka odrobiła lekcje. Tylko w trakcie pracy nad morderstwami pijał fastfoodową kawę. W jego świadomości kojarzyła się ona z pracą w zespole, długimi dniami pracy, wystawianiem na zimnie i wilgoci do tego stopnia, że serce biło mu szybciej za każdym razem, gdy czuł zapach przemysłowej kawy i mokrej tektury.

– Ściągnęłam z sieci wstępny raport z miejsca zbrodni. Wydruk jest z tyłu, w teczce. – Nichol wykonała ruch ręką w kierunku tylnego siedzenia, jednocześnie przejeżdżając przez bulwar St. Denis w kierunku autostrady, która miała ich wyprowadzić przez most Champlain w kierunku wiejskich okolic.

Reszta podróży upłynęła w milczeniu; nadinspektor przeglądał skąpe informacje, popijał kawę, jadł ciastko i przyglądał się, jak płaskie pola uprawne wokół Montrealu zamieniały się we wzgórza, a potem większe góry, pokryte barwnymi jesiennymi liśćmi.

Jakieś dwadzieścia minut od zjazdu z autostrady, prowadzącej do Wschodnich Kantonów, minęli mały, dziobaty drogowskaz informujący, że Three Pines leży dwa kilometry od tej bocznej drogi. Po nadzwyczaj nieprzyjemnej minucie lub dwóch jazdy po wyboistej, bitej drodze ujrzeli stary młyn na brzegu stawu; południowe słońce ogrzewało jego polne kamienie. Wokół stały klony, brzozy i dzikie wiśnie, ich liście drżały na wietrze jak tysiące rąk machających na powitanie. A pośród drzew samochody policyjne – niczym węże w raju. Chociaż, jak Gamache wiedział, to nie policja odgrywała tu rolę czarnego charakteru. Wąż był już na miejscu wcześniej.

Nadinspektor podążył wprost w kierunku zgromadzonego tu niespokojnego tłumu. Zbliżając się, zauważył, że droga opada, łagodnym łukiem przecinając malownicze miasteczko. Rosnący tłum stał na zboczu wzgórza; niektórzy spoglądali w stronę lasu, gdzie między drzewami mogli zobaczyć policjantów w jasnożółtych kurtkach; większość jednak patrzyła na niego. Gamache wielokrotnie widział taki wyraz twarzy: zdesperowani ludzie wyczekujący na wiadomości, których nie chcieli usłyszeć.

– Kto to? Czy może nam pan powiedzieć, co się stało? – Wysoki,

dystyngowany mężczyzna przemówił w imieniu innych.

– Przykro mi, sam muszę dopiero zobaczyć. Powiem państwu tak szybko, jak to będzie możliwe.

Mężczyzna wyglądał na niezadowolonego z tej odpowiedzi, ale kiwnął głową. Gamache spojrział na zegarek: była jedenasta rano, w niedzielę Święta Dziękczynienia. Odwrócił się od tłumu i poszedł w stronę, w którą wszyscy się gapili, w kierunku tego, co działo się w lesie, w jedynym miejscu, o którym wiedział, że będzie trwało w ciszy i bezruchu.

Żółta, plastikowa taśma okrążała ciało; zespół śledczy pracował wewnątrz tego kręgu, kłaniając się jak w jakimś pogańskim rytuale. Większość z nich pracowała z Gamache'em od lat, ale nadinspektor zawsze trzymał jedno wolne miejsce dla osoby, która będzie się u niego szkolić.

– Inspektor Guy Beauvoir; to jest agentka Yvette Nichol.

Beauvoir skłonił się swobodnie.

– Witamy.

Trzydziestopięcioletni, atletycznie zbudowany Jean Guy Beauvoir był prawą ręką Gamache'a od prawie dekady. Miał na sobie sztruksy, wełniany sweter, skórzaną kurtkę i byle jak zawiązany szalik. Ta nonszalancja w ubiorze wyraźnie kłóciła się z jego pełną napięcia, sztywną postawą.

– Dziękuję, sir. – Nichol zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie się czuła na miejscu zbrodni tak swobodnie, jak ci tutaj.

– Nadinspektorze Gamache, to jest Robert Lemieux – przedstawił Beauvoir młodego oficera stojącego w pełnej szacunku pozycji tuż za policyjnym kordonem. – Agent Lemieux był oficerem dyżurnym Sûreté w Cowansville. Przyjechał tu natychmiast po odebraniu telefonu. Zabezpieczył miejsce zajścia i potem nas wezwał.

– Dobra robota – pochwalił Gamache, ściskając jego prawicę. – Czy coś zwróciło pańską uwagę, gdy pan tu przybył?

Lemieux wyglądał, jakby go zamurowało. W najlepszym razie spodziewał się, że pozwolą mu zostać i popatrzeć, zamiast wyrzucić go z miejsca zajścia. W żadnym razie nie spodziewał się, że pozna Gamache'a, ani że zostanie przez niego o coś zapytany.

– *Bien sûr*, widziałem tam mężczyznę. Sądząc z ubioru i bladości, *Anglais*.

Jak zauważyłem, Anglicy mają słabe żołądki. – Lemieux był ukontentowany, że może podzielić się z nadinspektorem tym spostrzeżeniem, mimo że zmyślił je na poczekaniu. Nie miał pojęcia, czy *les Anglais* są z natury bledsi niż mieszkańcy Quebecu, ale to dobrze brzmiało. Z doświadczenia Lemieux wynikało też, że Anglicy nie potrafią się ubrać, a ten człowiek w kraciastej, flanelowej koszuli na pewno nie mógł być frankofonem. – Nazywa się Benjamin Hadley.

Na obrzeżu kręgu Gamache zauważył mężczyznę w średnim wieku, niemal siedzącego pod klonem. Był wysoki, szczupły i wyglądał na bardzo, bardzo chorego. Beauvoir podążył wzrokiem za spojrzaniem Gamache'a.

– To on znalazł ciało – powiedział Beauvoir. – Hadley? Ten od młyna Hadleya?

Beauvoir się uśmiechnął. Nie mógł wykombinować, skąd to wiedział, ale wiedział.

– Ten sam. Zna go pan?

– Nie. Jeszcze nie.

Beauvoir uniósł brew, spoglądając na szefa, i czekał. Gamache wyjaśnił:

– Na szczycie młyna jest wyblakły napis.

– Młyn Hadleya.

– Dobra dedukcja, Beauvoir.

– Zgadywałem na ślepo, sir.

Nichol miała ochotę sama się kopnąć. Była wszędzie tam, gdzie Gamache, i on zauważył, a ona nie. Co jeszcze widział? Czego jeszcze ona nie widziała? Cholera. Popatrzyła na Lemieux podejrzliwie. Najwyraźniej podlizywał się nadinspektorowi.

– *Merci*, agencie Lemieux – powiedziała, wyciągając rękę w momencie, kiedy nadinspektor odwrócił się plecami, by popatrzeć na nieszczęsnego *Anglais*. Lemieux uściśnął jej rękę, tak jak się spodziewała. – *Au revoir*. – Lemieux przez moment stał, wahając się i patrząc na szerokie plecy Gamache'a. Po czym wrzucił ramionami i odszedł.

Armand Gamache odwrócił swą uwagę od żywych i skierował ją ku martwym. Przeszedł parę kroków i przyklęknął przy zwłokach, z powodu których tu przyjechali.

Pukiel włosów opadł na otwarte oczy Jane Neal. Nadinspektor chciał go odgarnąć. To było nieżyciowe, wiedział o tym, ale i on był nieżyciowy. Nauczył się pozwalać sobie na niejaką swobodę w tym zakresie. Beauvoir z kolei był wcieleniem rozsądku, co czyniło z nich doskonały zespół.

Gamache wpatrywał się w milczeniu w Jane Neal. Nichol odchrząknęła, myśląc, że być może zapomniał, gdzie się znajduje. On jednak nie zareagował. Ani drgnął. On i Jane byli jak zamrożeni w czasie, oboje spoglądający – ona w górę, on w dół. Potem jego wzrok przebiegł wzdłuż jej ciała, w stronę znoszonego kardiganu z wielbłądziej wełny i jasnobłękitnego golfu. Żadnej biżuterii. Obrabowano ją? Będzie musiał zapytać Beauvoira. Jej tweedowa spódnica znajdowała się tam, gdzie należało się jej spodziewać na kimś, kto upadł. Jej jednoczęściowa bielizna, połatana w przynajmniej jednym miejscu, była poza tym nietknięta. Być może ją obrabowano, ale nie zrobiono jej krzywdy. Poza zabiciem jej, ma się rozumieć.

Przenikliwe, brązowe oczy nadinspektora zatrzymały się na jej poznaczonych plamami wątrobowymi dłoniach. Szorstkie, opalone dłonie, które znały się na ogrodniczych sezonach. Na palcu brak obrączki; brak też śladu, by kiedykolwiek na nim była. Zawsze czuł ostry ból, patrząc na dłonie świeżo zmarłych, wyobrażając sobie wszystkie przedmioty, które trzymali, ludzi, których obejmowali, gesty, którymi okazywali zachwyt lub smutek. I ten ostatni gest, którym próbowali osłonić się przed zabójczym ciosem. Najbardziej poruszające były ręce młodych ludzi – ci już nigdy nie odgarną w roztargnieniu kosmyka siwych włosów, wpadającego do oczu.

Podniósł się z pomocą Beauvoira i zapytał:

- Obrabowano ją?
- Przypuszczamy, że nie. Pan Hadley mówi, że nigdy nie nosiła biżuterii i rzadko chodziła z torebką. Mówi, że znajdziemy ją w jej domu.
- Klucze do domu?
- Nie. Nie ma kluczy. Ale znowu, pan Hadley mówi, że w tej okolicy ludzie nie zamykają drzwi na klucz.
- Teraz zacznę. – Gamache pochylił się nad ciałem i spoglądał na małą ranę, wydawało się, że za małą, by mogło przez nią wysączyć się czyjeś całe życie. Była wielkości opuszka małego palca nadinspektora.

– Jakieś pomysły, skąd ta rana?

– Jest sezon myśliwski, więc może kula, choć to nie wygląda jak żadna z ran postrzałowych, jakie kiedykolwiek oglądałem.

– Jest sezon na polowania z łuku. Sezon na broń palną zaczyna się dopiero za dwa tygodnie – wtrąciła Nichol.

Obydwaj mężczyźni popatrzyli na nią. Gamache skinął głową i cała trójka wpatrywała się w ranę tak intensywnie, jak gdyby przy wystarczającej koncentracji mogła przemówić.

– To gdzie jest strzała? – zapytał Beauvoir.

– Czy jest rana wylotowa?

– Nie wiem – odparł Beauvoir. – Nie pozwoliliśmy lekarzowi sądowemu jej ruszać.

– Podejdźmy tam – zaproponował Gamache, podczas gdy Beauvoir zamachał do młodej kobiety w dzinsach i kurtce polowej z lekarską torbą.

– Panie nadinspektorze – powiedziała doktor Sharon Harris, kiwając głową i przyklękając. – Nie żyje od jakichś pięciu godzin, może trochę krócej. To tylko domysły.

Dr Harris odwróciła Jane. Zeschnięte liście przyczepiły się do jej swetra. Rozległ się odgłos krztuszenia się, a gdy Nichol spojrzała w jego stronę, Ben Hadley, zwrócony plecami ku nim, wymiotował.

– Owszem, jest rana wylotowa.

– Dziękuję, pani doktor. Zostawimy panią przy tej pracy. Niech się pan przejdzie ze mną, Beauvoir, i pani też, agentko Nichol. Powiedźcie mi, co wiecie.

Przez wszystkie te lata, gdy Jean Guy Beauvoir pracował z Gamache'em, przez wszystkie morderstwa i chaos, to proste zdanie nigdy nie przestało go ekscytować. „Powiedźcie mi, co wiecie” – tak brzmiał sygnał do rozpoczęcia polowania. On był psem przodownikiem stada, a nadinspektor Gamache – Wielkim Łowczym.

– Nazywała się Jane Neal. Lat siedemdziesiąt pięć. Nigdy nie wyszła za mąż. Mamy te informacje od pana Hadleya, który powiedział, że była w tym samym wieku, co jego matka, która zmarła miesiąc temu.

– To ciekawe. Dwie starsze kobiety umierają w odstępie miesiąca w tym maleńkim miasteczku. Zastanawia mnie to.

– Mnie też to zastanowiło, więc zapytałem. Jego matka zmarła po długiej walce z rakiem. Od roku wiadomo było, że to się tak skończy.

– Proszę mówić dalej.

– Pan Hadley przechadzał się po lesie około ósmej rano, robi to regularnie. Ciało panny Neal leżało w poprzek ścieżki. Nie sposób było go nie zauważyć.

– Co zrobił?

– Od razu ją poznał. Przyklęknął i potrząsnął nią. Myślał, że dostała wylewu albo ataku serca. Mówił, że miał zacząć ją reanimować, gdy zauważył ranę.

– Nie zauważył martwego spojrzenia ani tego, że była zimna jak marmur? – Nichol poczuła się pewniej.

– A pani by zauważyła?

– Oczywiście. Nie sposób tego nie dostrzec.

– Chyba, że... – Gamache zapraszał ją tu, by dyskutowała sama z sobą. Nie chciała tego robić. Chciała mieć rację. Najwyraźniej on myślał, że jej nie ma.

– Chyba że... Chyba że, jak sędzę, byłabym w szoku. – Tak naprawdę wiedziała, że to było mało prawdopodobne.

– Proszę na niego popatrzeć. Minęły trzy godziny, odkąd ją znalazł, a wciąż mu niedobrze. Przed chwilą zwymiotował. Ta kobieta była dla niego ważna – wyjaśnił Gamache, spoglądając na Bena Hadleya. – Chyba że udaje.

– Słucham, sir?

– Cóż, to nie jest trudne wsadzić sobie palec w gardło i zwymiotować. To robi niezłe wrażenie. – Gamache zwrócił się do Beauvoira: – Czy ktoś jeszcze wie o śmierci panny Neal?

– Na drodze była grupa mieszkańców miasteczka, sir – powiedziała Nichol. Gamache i Beauvoir popatrzyli na nią. Uświadomiła sobie, że znów to zrobiła. Próbując zrobić na nich wrażenie, zrobiła coś wręcz odwrotnego. Odpowiedziała na pytanie, które nie do niej zostało skierowane, przerywając starszemu rangą i podając informację, która była oczywistością nawet dla trzylatka.

Nadinspektor Gamache widział tych ludzi, tak samo jak ona. Cholera!

Z ponurym dreszczem Nichol pojęła, że próbując zaimponować im swoją inteligencją, zrobiła coś kompletnie przeciwnego. Wychodziła na idiotkę.

– Przepraszam, sir.

– Inspektorze Beauvoir?

– Staralem się nie dopuścić do zanieczyszczenia miejsca zbrodni – zwrócił się do Nichol. – Nikogo z zewnątrz, żadnych rozmów na temat zbrodni poza tą okolicą.

Nichol zaczerwieniła się mocno. Była wściekła, że inspektor uznał, że musi jej to tłumaczyć, a nawet bardziej, że to wyjaśnienie okazało się potrzebne.

– Ale... – Beauvoir wzruszył ramionami.

– Czas porozmawiać z panem Hadleyem – zdecydował Gamache, podążając niespiesznie w jego stronę.

Ben Hadley obserwował ich, uświadamiając sobie, że przyszedł ktoś, kto tutaj rządzi.

– Panie Hadley, jestem nadinspektor Armand Gamache z Sûreté du Québec.

Ben spodziewał się frankofona, może nawet detektywa mówiącego tylko w jednym języku, spędził więc kilka minut, ćwicząc swój francuski, starając się wytłumaczyć, co i jak zrobił. Ale oto pojawił się nienagannie wyglądający mężczyzna z przyciętym wąsem, ciemnobrązowymi oczami spoglądającymi zza brzegu okularów w kształcie półksiężyców, w trzyczęściowym garniturze i płaszczu Burberry oraz tweedowej czapce przykrywającej siwiejące włosy. Wyciągał do Bena rękę, jak gdyby poznali się podczas nieco formalnego spotkania w interesach, i mówił po angielsku z brytyjskim akcentem.

Hadley słyszał jednak urywki rozmowy nadinspektora z kolegami, która z pewnością odbywała się w szybkiej, płynnej francuszczyźnie. W Quebecu nie było rzadkością, by ludzie mówili w obydwu językach, a nawet byli w obydwu biegli. Ale nie zdarzało się często, by frankofon mówił jak dziedziczny członek Izby Lordów.

– To jest inspektor Jean Guy Beauvoir i agentka Nichol. – Wszyscy podali sobie ręce, choć Nichol była nieco zdystansowana, nie mając pewności, czy Hadley aby nie wytarł tą ręką twarzy po tym, jak zwymiotował.

– W czym mogę pomóc?

– Przejdźmy się kawałek dalej stąd. – Gamache wskazał w kierunku ścieżki

prowadzącej przez las.

– Dziękuję – powiedział Ben, szczerze wdzięczny.

– Przykro mi z powodu śmierci panny Neal. Czy była pańską bliską przyjaciółką?

– Bardzo bliską. Tak się składa, że była moją nauczycielką w tutejszej szkole.

Gamache przyglądał mu się uważnie, utkwivszy ciemnobrązowe oczy w twarzy Bena, chłonąc to, co mówił, niczego nie osądzając, nie rzucając oskarżeń. Po raz pierwszy od wielu godzin Ben czuł, że się odpręża. Gamache się nie odzywał, czekał na dalsze słowa Hadleya.

– To była cudowna kobieta. Co bym dał za elokwencję, by móc ją panu opisać! – Ben odwrócił twarz, zawstydzony łzami, które znów napłynęły mu do oczu. Zwinął dłonie w pięści i z ulgą powitał ból towarzyszący wbijaniu się paznokci w ręce. Rozumiał ten rodzaj bólu. Ten inny pozostawał dla niego nie do pojęcia. Co dziwne, ból był większy niż ten, który czuł, gdy zmarła jego matka. Znów wziął się w garść. – Nie rozumiem, co się stało. Śmierć Jane nie była naturalnym zgonem, prawda?

– Nie, panie Hadley, nie była.

– Ktoś ją zabił?

– Proszę mi opowiedzieć o tym poranku.

Zatrzymali się.

– Znalazłem Jane po prostu leżącą...

Gamache przerwał mu.

– Proszę zacząć od momentu, kiedy się pan obudził.

Ben uniósł brew, ale zrobił, jak mu polecono.

– Obudziłem się około siódmej. Zawsze wstaję razem ze słońcem. Światło wpada do mojej sypialni i nigdy nie zadałem sobie trudu założenia zasłon. Wstałem, wziąłem prysznic, odpocząłem, nakarmiłem Daisy. – Patrzył uważnie na ich twarze, sprawdzając, czy podaje im za dużo lub zbyt mało detali. Agentka wyglądała na równie zdezorientowaną jak on sam. Wysoki inspektor zapisywał każde słowo. A szef wyglądał na zainteresowanego i zachęcał go. – Potem wyszliśmy na spacer, ale ona ma artretyzm i dziś rano wszystko ją bolało. Daisy to pies, skoro o tym mowa. Tak czy inaczej, odprowadziłem ją

z powrotem do domu, a sam poszedłem się przejść. Było kwadrans przed ósmą. – Ben doszedł do wniosku, słusznego, że czas będzie ich interesował. Dojście tam zajmuje tylko parę minut, idzie się drogą obok szkoły i dalej przez las.

– Czy widział pan kogoś? – zapytał Beauvoir.

– Nie, nie widziałem. Niewykluczone, że ktoś widział mnie, ale ja nikogo nie zauważyłem. Zwykle spaceruję, patrząc w dół, zagłębiony w myślach. Zdarzało mi się przejść obok kogoś i kompletnie go nie zauważyć. Przyjaciele wiedzą o tym i nie mają mi tego za złe. Szedłem ścieżką i z jakiegoś powodu popatrzyłem w górę.

– Proszę, panie Hadley, niech spróbuje sobie pan przypomnieć. Jeśli normalnie spaceruje pan ze spuszczoną głową, dlaczego ją pan uniósł?

– Dziwne, prawda? Nie pamiętam. Niestety, jak już wspomniałem, zwykle jestem zamyślony. Nie myślę o niczym szczególnie głębokim ani ważnym. Moja matka śmiała się ze mnie i mówiła, że niektórzy ludzie próbują być w dwóch miejscach na raz. Ja za to zwykle jestem w zasadzie nigdzie. – Ben zaśmiał się, ale Nichol pomyślała, że to okropne, kiedy matka tak o kimś mówi. – Oczywiście miała rację. Na przykład dzisiaj. Piękne słońce. Idę przez cudny las. Jak z pocztówki, ale ja tego nie zauważam, nie doceniam, może później, gdy jestem już gdzie indziej i myślę o tym spacerze. To tak, jakby mój umysł był permanentnie o krok za ciałem.

– Ale o tym spojrzeniu w górę, proszę pana – przypomniał mu Beauvoir.

– Naprawdę nie przychodzi mi do głowy, dlaczego spojrzałem w górę, ale dobrze, że to zrobiłem. Byłbym się o nią przewrócił. Zabawne, ale nie przyszło mi do głowy, że ona nie żyje. Nie chciałem jej przeszkadzać. Podeszedłem niemal na paluszkach i zawołałem ją po imieniu. Potem dostrzegłem jej bezruch i mój umysł jakby eksplodował. Myślałem, że miała wylew albo zawał. – Potrząsnął głową, wciąż nie dowierzając.

– Czy dotknął pan rany? – zapytał Beauvoir.

– Mogłem to zrobić. Pamiętam tylko, że odskoczyłem i wytarłem ręce w spodnie. Wpadłem w panikę jak, nie wiem, rozhisteryzowane dziecko i biegałem w kółko. Idiota! Tak czy inaczej, w końcu wziąłem się w garść i z komórki zadzwoniłem na pogotowie.

– Ciekawi mnie, dlaczego zabrał pan komórkę na spacer do lasu? – spytał Gamache.

– Te lasy należą do mojej rodziny i co roku jesienią myśliwi wchodzą mi na posesję. Nie jestem, obawiam się, odważniakiem, boję się, ale nie toleruję zabijania. Zabijania czegokolwiek. Mam w domu pająki, którym nadałem imiona. Gdy rano wychodzę na spacer, zabieram komórkę. Po części z obawy, że natknę się na jakiegoś pijanego myśliwego i będę musiał zadzwonić po pomoc, a po części dlatego, żeby móc zadzwonić do służby leśnej i wezwać strażnika, jeśli kogoś przyuważę.

– A jaki jest numer do nich? – zapytał nadinspektor przyjemnym tonem.

– Nie wiem. Ale mam ich na liście szybkiego wybierania. Wiem, że gdy się zdenerwuję, trzęsą mi się ręce, więc wbiłem numer do pamięci telefonu. – Po raz pierwszy w tej rozmowie Ben wyglądał na zaniepokojonego, więc Gamache ujął go za ramię i poprowadził dalej ścieżką.

– Bardzo przepraszam za te wszystkie pytania. Jest pan bardzo ważnym świadkiem, a szczerze mówiąc, osoba, która znajduje ciało, jest zawsze bardzo wysoko na naszej liście podejrzanych.

Ben stanął i popatrzył na nadinspektora z niedowierzaniem.

– Podejrzanych o co? Co pan mówi? – Ben odwrócił się i popatrzył w kierunku, z którego przyszli, ku ciału Jane. – To Jane Neal. Emerytowana nauczycielka, która pielęgnowała róże i kierowała PSKA, Przykościelnym Stowarzyszeniem Kobiet Anglikańskich. To musiał być wypadek. Pan nie rozumie. To wykluczone, by ktoś ją zabił naumyślnie.

Nichol przyglądała się im i czekała teraz z satysfakcją, by nadinspektor Gamache wyprowadził tego głupka z błędu.

– Ma pan absolutną rację, panie Hadley. Najprawdopodobniej tak właśnie było.

Yvette Nichol nie wierzyła własnym uszom. Dlaczego nadinspektor nie powiedział Hadleyowi, żeby przestał się wymądrzać i pozwolił im po prostu robić, co do nich należy? W końcu to ten dureń poruszył ciało i latał jak opętany, robiąc bałagan i zanieczyszczając miejsce zbrodni. Nijak nie miał prawa pouczać kogoś tak wysokiej rangi i tak szanowanego jak Gamache.

– W ciągu tych paru godzin, gdy tu stoimy, czy coś wokół lub dotyczącego

panny Neal wydawało się panu niezwykajne?

Gamache był pod wrażeniem, że Ben nie stwierdził oczywistości, tylko zamyślił się na chwilę.

– Tak. Lucy, jej pies. Nie przypominam sobie, by Jane kiedykolwiek wychodziła na spacer bez Lucy, szczególnie rano.

– Czy dzwonił pan z komórki do kogoś jeszcze?

Ben wyglądał, jakby ktoś podsunął mu kompletnie nowy, genialny pomysł.

– Och. Co za idiota ze mnie! Nie wierzę. Nie przyszło mi nawet do głowy, by zadzwonić do Petera, Clary czy kogokolwiek innego. Proszę bardzo, siedziałem tu całkiem sam, nie chcąc zostawić Jane, ale zmuszony zawiadomić policję. I nawet do głowy mi nie przyszło, by zadzwonić po pomoc, poza wezwaniem pogotowia. O Boże, to szok, jak przypuszczam.

Nichol pomyślała, że może naprawdę jest idiotą. Jak do tej pory ciężko było sobie wyobrazić kogoś mniej zaradnego niż Ben Hadley.

– Kto to są Peter i Clara? – zapytał Beauvoir.

– Peter i Clara Morrow. Moi najbliżsi przyjaciele. Mieszkają obok Jane. Jane i Clara były jak matka i córka. Och, biedna Clara. Myślą państwo, że już wiedzą?

– No cóż, dowiedzmy się – powiedział Gamache nagle, idąc z zastanawiającą szybkością ścieżką w stronę ciała. Gdy byli na miejscu, zwrócił się do Beauvoira: – Inspektorze, proszę przejąć sprawę tutaj. Wie pan, czego szukać. Agentko Nichol, proszę zostać z inspektorem i pomóc. Która godzina?

– Jedenasta trzydzieści, sir – odpowiedziała Nichol.

– Tak. Inspektorze, czy w miasteczku jest kafejka albo restauracja?

– Tak, jest bistro Oliviera.

Gamache zwrócił się do Beauvoira.

– Niech pan zbierze zespół w bistro Oliviera o pierwszej trzydzieści. Powinniśmy przybyć już po szczycie lunchowym i mieć lokal praktycznie do naszej dyspozycji. Czy tak, panie Hadley?

– Trudno powiedzieć. Możliwe, że jeśli wieść się rozniesie, całe miasteczko się tam zbierze. Dla Three Pines bistro Oliviera jest dworcem głównym. Ale on ma tam salę z tyłu, którą otwiera tylko w porze kolacji. Z widokiem na rzekę.

Pewnie otworzyłyby je dla pana i pańskiego zespołu.

Gamache spojrzał na Bena z zainteresowaniem.

– To znakomity pomysł. Inspektorze Beauvoir, wstąpię tam i porozmawiam z panem Olivierem...

– Olivierem Brulé – przerwał mu Ben. – On i jego partner Gabriel Dubeau prowadzą to bistro i jedyny pensjonat w miasteczku.

– Porozmawiam z nimi i zorganizuję prywatną salę na lunch. Czy mogę przejść się z panem do miasteczka, panie Hadley? Jeszcze tam nie byłem.

– Tak, oczywiście. – Ben niemal dodał, że z przyjemnością, ale zastopował. Z jakiegoś powodu ten policjant emanował grzecznością do pewnego stopnia formalną, i zapraszał, by z taką go traktować. Mimo że byli mniej więcej w tym samym wieku, Ben czuł się jak w towarzystwie swojego dziadka. – Oto i Peter Morrow. – Wyciągnął rękę w stronę tłumu ludzi. Wszyscy odwrócili się jak na komendę, gdy obaj z nadinspektorem wyszli z lasu. Ben wskazywał na wysokiego, zmartwionego mężczyznę, który rozmawiał z Gamache'em wcześniej.

– Powiem państwu wszystko, co teraz mogę powiedzieć – zwrócił się nadinspektor do jakichś trzydziestu mieszkańców miasteczka. Zauważył, jak Ben podszedł bliżej Petera Morrowa i stanął obok niego.

– Zmarła nazywa się Jane Neal. – Gamache wiedział, że to tylko pozorna uprzejmość, próbować w ten sposób złagodzić cios. Kilka osób zaczęło płakać, niektórzy podnieśli ręce do ust. Większość spuściła głowy, jak gdyby ta informacja była zbyt ciężka. Peter Morrow gapił się na Gamache'a. A potem na Bena.

Gamache zapamiętywał to wszystko. Pan Morrow nie okazał zdziwienia. Ani smutku. Niepokój, owszem. Zmartwienie, bez wątpienia. Ale smutek?

– Jak to się stało? – zapytał ktoś.

– Jeszcze nie wiemy. Ale zgon nie był naturalny.

Nad tłumem uniósł się jęk, niekontrolowany i z głębi serca. Jęknęli wszyscy z wyjątkiem Petera Morrowa.

– Gdzie jest Clara? – Ben rozejrzał się dokoła. Nie było normalne widzieć jedno z małżonków Morrow bez drugiego.

Peter skłonił głowę w stronę miasteczka.

– U Świętego Tomasza.

Trzej mężczyźni znaleźli Clarę samą w kaplicy, z zamkniętymi oczami i pochyloną głową. Peter stał w otwartych drzwiach, spoglądając na jej zgarbione plecy oczekujące ciosu, który miał na nią spaść. Cicho przeszedł niedługi dystans pomiędzy ławkami, czując się, jakby płynął nad własnym ciałem, obserwując własne ruchy.

Tego ranka to pastor przyniósł wiadomość, że policja robi coś w lesie za starym budynkiem szkoły. Później, w miarę jak uroczystości Święta Dziękczynienia nabierały rozpędu, ich niepokój wzrastał. Wkrótce maleńki kościół buzował od plotek o wypadku przy polowaniu. Kobieta. Ranna? Nie, zabita. Nie wiadomo kto. Okropne. Okropne. W głębi trzewi Clara wiedziała, jakie to było okropne. Za każdym razem, gdy otwierały się drzwi, z każdym wpadającym promieniem słońca błagała, by pojawiła się Jane, spóźniona, zakłopotana i cała w przeprosinach. „Po prostu zasnęłam. Głupio z mojej strony. Lucy, biedne maleństwo, obudziła mnie skamlaniem o spacer. Strasznie przepraszam”. Pastor, albo kompletnie obojętny na tragedię, albo nią przytłoczony, po prostu mamrotał swoje. Słońce wpadało przez szyby witraża przedstawiającego chłopców w uniformach z I wojny światowej, rozrzucając błękity, ciemną czerwień i żółć po sosnowych deskach podłogi i dębowych ławkach. Kaplica pachniała jak każdy mały kościół, w jakim Clara była. Pieniądze na tacę, sosna i zakurzone stare książki. Gdy jeden z chłopców z chóru wstał, by zaśpiewać kolejny hymn, Clara zwróciła się do Petera.

– Mógłbyś iść i rzucić okiem?

Peter ujął dłoń Clary, zaskoczony, jaka była lodowato zimna. Przez chwilę rozcierał ją między własnymi dłońmi.

– Pójdę. Wszystko będzie dobrze. Spójrz na mnie – powiedział, próbując na chwilę zatrzymać wir jej niespokojnych myśli.

– Chwal, duszo moja, Pana niebieskiego – zaśpiewał chór. Clara mrugnęła. – Wszystko będzie dobrze?

– Tak.

– Alleluja, alleluja. Chwała Panu wiekuistemu.

To się działo godzinę temu, a teraz wszyscy już poszli, łącznie z pastorem, spóźnionym na nabożeństwo Święta Dziękczynienia w Cleghorn Halt. Clara

słyszała, jak drzwi się otworzyły, widziała, jak kwadrat światła słonecznego na podłodze rozrósł się w przejściu między ławkami, i zobaczyła, jak pojawił się cień, sylwetka znajoma nawet w zniekształceniu.

Peter zawahał się, po czym powoli przeszedł wzdłuż rzędu ławek. Wtedy już wiedziała.

3

Clara siedziała u siebie w kuchni, wykończona i ogarnięta bezgraniczną potrzebą zadzwonienia do Jane, by o wszystkim jej opowiedzieć. To, co się stało, było nie do pojęcia. Nagle świat został brutalnie pozbawiony Jane. Pozbawiony tego dotyku, tego komfortu, tej dobroci. Clara czuła tak dojmujący ból, jakby wyrywano jej serce z piersi. Spoglądając na ręce złożone na podołku, zastanawiała się, jak to możliwe, że jej serce wciąż biło? Musiała zadzwonić do Jane.

Po tym, jak wyszli z kościoła, poszli, za zgodą Gamache'a, po Lucy, golden retrievera Jane. Pies kulił się teraz u stóp Clary, jakby utulając własną, niepowetowaną stratę.

Peter zmusił się, by zagotować wodę na herbatę, która sprawiłaby, że to wszystko rozplynie się w niebyt. Pomyślał, że jeśli zrobi herbaty i zagada, czas się cofnie i to, co złe, się odstanie. Mieszkał jednak z Clarą dość długo, by nie móc się schronić w zaprzeczaniu faktom. Jane nie żyła. Została zabita. A on musiał pocieszyć Clarę, sprawić jakoś, żeby to było do przyjęcia. I nie wiedział jak. Grzebiąc w kuchennej szafce jak chirurg w czasie wojny gorączkowo poszukujący właściwego bandaża, Peter odsunął na bok herbatki Yogi Tea i mieszankę ziołową Harmonii, ale zawahał się przez moment nad rumiankiem. Ale nie. „Nie rozpraszać się” – zganił sam siebie. Wiedział, że opium Anglosasów gdzieś tu jest.

I właśnie gdy ujął w dłoń właściwą puszkę, czajnik zagwizdał. Nagła śmierć wymaga earl greya. Wyjrzał przez okno. Sparzył sobie rękę przy nalewaniu wrzątku do imbryka i czując bolesne ukłucia na dłoni, zobaczył nadinspektora Gamache'a, siedzącego samotnie na ławce na miejskim skwerku. Wyglądało, że policjant karmi ptaki, ale to chyba nie mogła być prawda. Peter ponownie skupił uwagę na ważnym zadaniu zaparzenia herbaty.

Armand Gamache siedział na ławce i obserwował ptaki – ale przede wszystkim obserwował miasteczko. Na jego oczach Three Pines spowalniało.

Coś tłumilo uporczywość życia, jego kipiącą energię. Głosy przycichły, kroki zwolniły. Gamache siedział i robił to, w czym był najlepszy. Obserwował. Ludzi, ich twarze, ich zachowania, a jeśli to było możliwe, słuchał, co mówili – chociaż ludzie byli na tyle daleko od jego drewnianej ławki, że niewiele do niego docierało. Notował sobie w pamięci, kto dotykał innych, a kto nie. Kto się obejmował, a kto podawał ręce. Kto miał zaczerwienione oczy, a kto sprawiał wrażenie, że wszystko jest jak zwykle.

Gamache, siedząc na dalekim krańcu skweru, miał przed sobą trzy olbrzymie sosny. Między nim a drzewami pobłyskiwał staw, który okrążyła gromadka dzieciarni polującej na żaby – jak przypuszczał nadinspektor. Skwerek miejski znajdował się w centrum miasteczka, okrążała go ulica znana jako Commons, przy której stały domy mieszkalne, z wyjątkiem odcinka tuż za nim, przy którym mieściły się sklepy. To było bardzo małe centrum handlowe. Składało się, o ile Gamache mógł dojrzeć ze swego miejsca, ze sklepu wielobranżowego, na którego szyldzie reklamującym Pepsi napisane było „Beliveau”. Obok znajdowały się piekarnia, bistro i księgarnia. Do Commons prowadziły cztery ulice, zbiegające się jak szprychy koła albo róża kompasu.

Gdy tak siedział, pozwalając, by dokoła niego rozgrywało się życie miasteczka, był pod wrażeniem uroku tego miejsca: te domy z widokiem na zieleń, z wiekowymi ogrodami i drzewami. Wszystko wyglądało tu naturalnie, jakby nikt niczego nie projektował. Społeczność nosiła całun smutku, jaki na nią opadł, z godnością i żalem, jak coś znajomego. Miasteczko było wiekowe, a nie sposób być wiekowym, nie zaznając żalu i straty.

– Mówią, że jutro będzie padać. – Gamache spojrzał w górę i zobaczył Bena, trzymającego na smyczy prastarego i, sądząc z zapachu, rozkładającego się psa.

– O, tak? – Gamache wskazał na miejsce obok siebie i Ben usiadł, a Daisy z wdzięcznością padła na ziemię u jego stóp.

– Ma zacząć padać rano. I ochłodzi się.

Przez chwilę lub dwie obydwaj mężczyźni siedzieli w milczeniu.

– To dom Jane. – Ben wskazał na mały, kamienny domek po lewej stronie. – A ten obok należy do Petera i Clary.

Gamache przesunął spojrzenie dalej. Ich dom był nieco większy niż dom Jane; jej zbudowano z polnego kamienia, ich – z czerwonej cegły, w stylu

znanym jako „lojalistyczny”. Z przodu budynku, na prostej, drewnianej werandzie stały dwa wiklinowe bujane fotele. Po obu stronach drzwi frontowych znajdowały się okna, a na piętrze jeszcze dwa, z okiennicami pomalowanymi na ciepły, głęboki błękit. W ładnym, frontowym ogródku posadzono róże, byliny i drzewa owocowe. Gamache pomyślał, że to pewnie dzikie jabłonie. Dom Jane dzielił od domu Clary i Petera szpaler drzew, głównie klonów. Teraz jednak dzieliło ich coś więcej niż tylko drzewa.

– Ja mieszkam tam. – Ben skinął w kierunku ślicznego domku z białym szalunkiem, werandą na dole i trzema mansardowymi oknami powyżej. – Ale chyba i to na górze jest moje. – Uczynił nieznaczny gest w kierunku niebios. Gamache uznał, że Ben ma tu na myśli metaforę, a może nawet meteorologię. Potem jednak jego spojrzenie ześlizgnęło się z kłębiastych obłoków i wylądowało na dachu domu na zboczu, górującego nad Three Pines wzgórza. – Należał do rodziny od pokoleń. Moja matka tam mieszkała.

Gamache nie był pewien, co na to odpowiedzieć. Widział wcześniej takie domy. Nie raz. Takie budowle za czasów jego studiów w Christ’s College w Cambridge określano jako „trupcy wiktoriańskie”. Nad wyraz opisowa nazwa, jak mu się zawsze wydawało. Quebec, a szczególnie Montreal, szczyciły się sporą kolekcją owych „trupców”, pobudowanych przez szkockich magnatów gumowych, którzy wzbogacili się na kolejach, alkoholu i bankowości. Trzymały się w kupie tylko dzięki ich próżności, która jest wiązaniem w najlepszym razie krótkoterminowym. Dlatego też większość z nich dawno już zburzono lub podarowano uniwersytetowi McGill, któremu kolejny taki wiktoriański potworek potrzebny był jak wirus ebola. Ben patrzył na ten budynek z wielką czułością.

– Przeprowadzi się pan do tego wielkiego domu?

– O, tak. Ale najpierw wymaga napraw. Niektóre części są całkiem jak z horroru. W makabrycznym stanie.

Ben przypomniał sobie, jak opowiadał Clarze, jak to razem z Peterem jako dzieci bawili się w wojnę w piwnicy i znaleźli gniazdo węży. Nigdy nie widział, żeby ktoś pozieleniał, ale Clarze się to udało.

– Czy miasteczko nazwano Three Pines na cześć tych drzew? – zapytał Gamache, wskazując na kępę sosen na skwerze.

– Nie zna pan tej historii? Te sosny to nie te oryginalne, oczywiście. Mają

tylko sześćdziesiąt lat. Moja matka pomagała je sadzić jako dziecko. Ale zawsze były sosny, od założenia miasteczka ponad dwieście lat temu. I zawsze w grupach po trzy. Three Pines.

– Ale dlaczego? – Gamache pochylił się w przód zaciekawiony.

– To szyfr. Na oznaczenie lojalistów Zjednoczonego Imperium. Osiedlili się wszędzie tutaj, oczywiście poza ziemią Indian Abenaki. – Gamache zauważył, że w jednym zdaniu Ben zdeprecjonował tysiąc lat osadnictwa aborygenów. – Jesteśmy ledwie parę kilometrów od granicy ze Stanami. Kiedy wierni poddani Korony Brytyjskiej uciekali w czasie wojny o amerykańską niepodległość, nie wiedzieli, gdzie będą bezpieczni. Wymyślono więc szyfr. Kępa trzech sosen oznaczała, że lojaliści są mile widziani.

– *Mon Dieu, c'est incroyable!* Takie eleganckie. Takie proste – powiedział Gamache szczerze pod wrażeniem. – Ale czemu nigdy o tym nie słyszałem? Sam interesuję się historią Quebecu, ale to dla mnie kompletna nowość.

– Może Anglicy woleli utrzymać to w tajemnicy, na wypadek jeśli jeszcze kiedyś byłoby nam potrzebne. – Ben miał chociaż tyle przyzwoitości, by się zarumienić, kiedy to wyjaśniał. Gamache odwrócił się i popatrzył na tego wysokiego, przygarbionego mężczyznę luźno trzymającego smycz psa w długich, wrażliwych palcach.

– Pan mówi poważnie?

– Jak pan wie, ostatnie referendum w sprawie niepodległości było niebezpiecznie blisko decyzji o secesji. A kampania wyborcza bywała bardzo nieprzyjemna. Nie zawsze jest wygodnie być mniejszością we własnym kraju – odrzekł Ben.

– Doceniam to, ale nawet jeśli Quebec oddzieli się od Kanady, z pewnością nie będzie pan czuł się zagrożony? Wie pan, że prawo pana ochroni.

– Czy na pewno? Będę miał prawo wywiesić szyld w moim własnym języku? Albo prowadzić interesy wyłącznie po angielsku? Nie. Policja językowa mi nie pozwoli. L'Office Québécois de la Langue Française. Jestem ofiarą dyskryminacji. Nawet Sąd Najwyższy jest tego zdania. Chcę mówić po angielsku, nadinspektorze.

– Ależ mówi pan po angielsku. I ja także. Oraz wszyscy moi policjanci. Czy się to panu podoba czy nie, panie Hadley, w Quebecu szanuje się Anglików.

– Nie zawsze i nie wszyscy.

– To prawda. Nie wszyscy też szanują policję. Tak to w życiu jest.

– Nie szanują was z powodu waszego postępowania, tego, co policja Quebecu zrobiła w przeszłości. Nas nie szanują wyłącznie za to, że jesteśmy Anglikami. To nie to samo. Czy ma pan pojęcie, jak bardzo zmieniło się życie tutaj przez ostatnie dwadzieścia lat? Ile praw utraciliśmy? Ilu sąsiadów wyprowadziło się z powodu tutejszych drakońskich praw? Moja matka ledwie mówiła po francusku, ale ja jestem dwujęzyczny. Staramy się, nadinspektorze, ale i tak się tu z Anglików naśmiewają. I obwiniają o wszystko. *Tête carrée*^[5]. Nie. – Ben Hadley skinął głową w kierunku trzech mocnych sosen kołyszących się lekko na wietrze. – Ja pokładam wiarę w jednostkach, nie w społecznościach.

To właśnie jest jedna z fundamentalnych różnic między anglo- i francuskojęzycznymi obywatelami Quebecu: Anglicy wierzyli w prawa jednostki, a Francuzi uważali, że muszą bronić praw społeczności, chronić jej język i kulturę – pomyślał Gamache.

To był znany i nieraz gorzki spór, ale rzadko zatruwał osobiste stosunki międzyludzkie. Gamache przypomniał sobie, jak czytał w „Montreal Gazette” kilka lat temu artykuł redaktora, który zauważył, że Quebec funkcjonuje naprawdę, nie tylko na papierze.

– Wie pan, panie Hadley, wszystko się zmienia – powiedział Gamache łagodnie, mając nadzieję, że uda mu się rozładować napięcie, które zawisło nad ich parkową ławeczką. Debata angielsko-francuska w Quebecu tworzyła podziały. Najlepiej było, jak uważał Gamache, zostawić ją politykom i dziennikarzom, którzy nic więcej nie mają do roboty.

– Czy aby na pewno, nadinspektorze? Naprawdę robimy się bardziej cywilizowani? Bardziej tolerancyjni? Mniej skłonni do przemocy? Jeśliby wszystko się zmieniało, nie byłoby pana tutaj.

– Chodzi panu o śmierć panny Neal. Czy myśli pan, że to było morderstwo? – Gamache sam się nad tym zastanawiał.

– Nie, nie sędzę. Ale wiem, że ktokolwiek to zrobił, miał zamiar dokonać dziś rano mordu w pewnym sensie. W najmniej okropnym razie na niewinnej sarnie. To nie jest cywilizowane działanie. Nie, nadinspektorze, ludzie nie

umieją się zmienić. – Ben opuścił głowę i miętosił w rękę smycz. – Prawdopodobnie się myłę. – Popatrzył na Gamache’a i uśmiechnął się rozbrajająco.

Gamache podzielał odczucia Bena względem polowania, ale zupełnie nie zgadzał się z nim w kwestii ludzi. Tak czy inaczej, to była wiele wyjaśniająca rozmowa, i na tym polegała jego praca. Na nakłanianiu ludzi, żeby dali się poznać.

Przez te dwie godziny, odkąd rozstał się z Beauvoirem, miał ręce pełne roboty. Poszedł z Peterem Morrowem i Benem Hadleyem do kościoła, gdzie Peter zakomunikował żonie wiadomość o śmierci Jane. Gamache przyglądał się, stojąc z tyłu przy drzwiach, chcąc zobaczyć jej reakcję. Zostawił ich tam i wraz z panem Hadleyem poszli drogą dalej, do miasteczka.

Rozstał się z Benem Hadleyem przy wejściu do czarującego miasteczka i poszedł prosto do bistro. Łatwo je było zauważyć: biało-niebieskie markizy, okrągłe stoliki i krzesła na chodniku. Kilka osób sączyło kawę; kiedy szedł wzdłuż Commons, wszystkie spojrzenia skierowały się na niego.

Gdy jego wzrok przyzwyczaił się do wnętrza bistro, zobaczył nie jedno spore pomieszczenie, jakiego się spodziewał, ale dwa, każde z własnym kominkiem, na którym wesoło strzelał ogień. Zabytkowe krzesła i stoły stanowiły przyjemny miszmasz. Przy niektórych stolikach stały fotele pokryte wyblakłą, staromodną tapicerką. Każdy mebel wyglądał, jakby się tu urodził. Nadinspektor spędził w życiu wystarczająco dużo czasu, polując na antyki, by odróżnić dobre od złych: stojąca w kącie dekorowana w romby szafka z witrynką ze szkłem i sztucami była rzadkim znaleziskiem. Z tyłu pomieszczenia na długim, drewnianym barze stała kasa. Słoje lukrecjowych fajeczek^[6] i lizaków, lasek cynamonu i barwnych gumisiów dzieliły kantorek z jednoosobowymi pudełkami płatków śniadaniowych.

Za tymi dwoma pomieszczeniami przeszklone drzwi otwierały się niewątpliwie na jadalnię. Gamache pomyślał, że właśnie to miejsce polecał Ben Hadley.

– W czym mogę pomóc? – zapytała go w nienagannej francuszczyźnie duża dziewczyna o kiepskiej cerze.

– Chciałbym porozmawiać z właścicielem. Z panem Olivierem Brulé, jeśli się nie myłę.

– Jeśli zechce pan usiąść, zaraz go zawołam. Czy może kawy w międzyczasie?

W lesie było chłodno i myśl o café au lait przy kominku niezwykle nęciła. I może też fajeczka lukrecjowa albo dwie. Oczekując na pana Brulé i na swoją kawę, nadinspektor próbował zgadnąć, co może być niezwykłego czy nieoczekiwanego w tym ślicznym bistro. Jakiś drobiazg się tu nie zgadzał.

– Wybacz pan, że przeszkadzam – usłyszał gardłowy głos. Spojrzał w górę i zobaczył starszą kobietę z krótko przyciętymi, siwymi włosami, opierającą się na poobtłukiwanej lasce. Zrywając się na nogi, zauważył, że kobieta była wyższa, niż się spodziewał. Nawet schylona, niemal dorównywała mu wzrostem; miał też wrażenie, że nie jest tak słabowita, jak się mogło zdawać.

Armand Gamache skłonił się nieznacznie i wskazał na krzesło przy swoim stoliku. Kobieta zawahała się, ale wreszcie usiadła.

– Nazywam się Ruth Zardo – powiedziała głośno, jak do tępego dziecka. – Czy to prawda? Jane nie żyje?

– Tak, madame Zardo. Bardzo mi przykro.

Nagły łomot wypełnił bistro, tak gwałtowny i niespodziewany, że Gamache aż podskoczył. Nikt z innych gości, jak zauważył, nawet nie mrugnął. Zajął mu moment, żeby uświadomić sobie, że hałas powodowała Ruth Zardo, waląca laską w podłogę jak jaskiniowiec tłukący maczugą. Nigdy wcześniej nie widział, żeby ktoś tak robił. Widywał ludzi o lasce, którzy podnosili ją i stukali w podłogę w irytujący sposób, próbując zwrócić na siebie uwagę, co zwykle działało. Ale Ruth Zardo uniosła laskę szybkim i najwyraźniej wyćwiczonym ruchem, złapała za prosty koniec i zamachnęła się nad głową, aż zagięta rączka trzasnęła o podłogę.

– To co pan tutaj robi, skoro Jane leży martwa w lesie? Co z pana za policjant? Kto zabił Jane?

W bistro natychmiast zapadła cisza; po chwili pomruk rozmów uniósł się na nowo. Swoimi mądrymi oczami Armand Gamache wytrzymał jej władcze spojrzenie i powoli nachylił się ku niej przez stół, aż mógł być pewny, że tylko ona usłyszy. Ruth, wierząc, że być może wyszepce do niej nazwisko osoby, która zabiła jej przyjaciółkę, pochyliła się także.

– Ruth Zardo, moim zadaniem jest dowiedzieć się, kto zabił pani

przyjaciółkę. I dowiem się. Za pomocą metod, które uznam za właściwe. Nie pozwolę się terroryzować ani sobą poniewierać. To moje śledztwo. Jeśli ma pani coś do powiedzenia, proszę mi powiedzieć. Ale proszę nigdy więcej nie machać laską w moim towarzystwie. I proszę nie mówić do mnie więcej takim tonem.

– Jakże ja śmiem! Pan policjant na pewno pracuje jak szalony. – Ruth podniosła się, jej głos także. – Nie wolno przeszkadzać temu asowi Sûreté!

Gamache zastanawiał się, czy Ruth Zardo spodziewała się, że jej sarkazm przyniesie rezultaty. Zastanawiał się także, dlaczego w ogóle zaczynała takim tonem.

– Co pani podać, pani Zardo? – zapytała młoda kelnerka, jak gdyby żadne z tych dramatycznych wydarzeń nie miało miejsca. A może to tylko był antrakt.

– Poproszę szkocką, Marie – powiedziała Ruth, nagle wypuszczając powietrze i opadając z powrotem na krzesło. – Przepraszam. Zechce mi pan wybaczyć.

Gamache pomyślał, że Ruth brzmi jak ktoś, kto przywykł do przeproszania.

– Przypuszczam, że mogłabym winić śmierć Jane za moje okropne zachowanie, ale jak się pan zorientuje, taka już jestem. Nie mam talentu do wybierania, o co warto walczyć. Tak się dziwnie składa, że dla mnie całe życie to walka. Calusieńkie.

– Czyli powinienem się spodziewać więcej takich rzeczy?

– O, tak sędzę. Ale nie będzie pan sam w okopach. I obiecuję, że nie będę więcej tłuc laską, a przynajmniej nie w pańskiej obecności.

Armand Gamache odchylił się w tył na krześle dokładnie w chwili, gdy przyniesiono szkocką i café au lait. Wziął napoje i z całą godnością, na jaką było go stać, zwrócił się do Ruth:

– Fajeczkę, madame?

Ruth wybrała największą i zaraz odgryzła koniec czerwonego cukierka.

– Jak to się stało? – zapytała.

– Wygląda na wypadek przy polowaniu. Ale czy przychodzi pani do głowy ktoś, kto mógłby celowo chcieć zabić pani przyjaciółkę?

Ruth opowiedziała Gamache'owi o chłopakach rzucających nawozem.

Kiedy skończyła, Gamache zapytał:

– Dlaczego uważa pani, że ci chłopcy mogliby chcieć ją zabić? Zgadzam się, że ich postępowanie było obrzydliwe, ale ona już wypowiedziała ich nazwiska, więc zabicie jej nie mogło temu zapobiec. Jaki z tego zysk?

– Zemsta? – zasugerowała Ruth. – W tym wieku upokorzenie uchodzi za śmiertelną zniewagę. Co prawda to oni próbowali upokorzyć Oliviera i Gabri, ale sytuacja się odwróciła. A dręczyciele nie lubią być obiektem dręczenia.

Gamache skinął głową. To było możliwe. Ale, rzecz jasna, jeśli nie ma się do czynienia z psychopatą, to zemsta może przybrać różne formy, niekoniecznie postać mordu z zimną krwią.

– Jak długo znała pani panią Neal?

– Pannę. Nigdy nie wyszła za mąż – wyjaśniła Ruth. – Chociaż raz mało brakowało. Jakże on się nazywał...? – Przeglądała notatnik adresowy w swojej głowie. – Andy. Andy Selchuk. Nie. Sel... Sel... Selinsky. To było lata temu. Pięćdziesiąt albo więcej.

– Proszę mi opowiedzieć – zachęcił Gamache.

Ruth skinęła głową i w roztargnieniu zamieszała szkocką końcem lukrecjowej fajeczki.

– Andy Selinsky był drwalem. Na tych wzgórzach od setek lat było pełno wyrębów. Teraz większość z nich pozamykano. Andy pracował na Mont Echo, u pani Thompson. Drwale potrafią być gwałtowni. Pracowali na górze przez cały tydzień, przesypiając sezon burz i aktywności niedźwiedzi, a gzy musiały doprowadzać ich do szaleństwa. Smarowali się niedźwiedzim tłuszczem, żeby odpędzić robactwo. Bardziej się bali gzów niż niedźwiedzi. Tylko w weekendy wychodzili z lasu, brudni jak nieboskie stworzenia.

Gamache słuchał uważnie, szczerze zainteresowany, choć nie do końca pewien, jaki związek może to mieć ze śledztwem.

– Ale u Kaye Thompson było inaczej. Nie wiem, jak to robiła, ale potrafiła jakoś zapanować nad tymi wielkimi facetami. Z Kaye nikt nie zadzierał – powiedziała Ruth z uznaniem. – Andy Selinsky dorobił się posady brygadzysty. Był urodzonym przywódcą. Jane się w nim zakochała, choć przyznać muszę, że większość z nas się w nim podkochiwała. Te olbrzymie ramiona, ta surowa twarz...

Gamache czuł, jak się odsuwa w miarę, jak ona opowiadała i zapadała w przeszłość.

– Był olbrzymi, ale delikatny. Chociaż delikatny to niewłaściwe słowo. Przyzwoity. Mógł być twardy, a nawet brutalny. Ale był czysty. Pachniał jak mydło Ivory. Przychodził do miasta razem z innymi drwalami od Thompson i zawsze się wyróżniał, bo reszta śmierdziała zjełczalym niedźwiedzim tłuszczem. Kaye pewnie musiała ich szorować ługiem...

Gamache zastanawiał się, jak nisko musiała być zawieszona poprzeczka, skoro jedyne, co mężczyzna musiał zrobić, by być atrakcyjny dla kobiety, to nie śmierdzieć rozkładającym się niedźwiedziem.

– Na potańcówce z okazji otwarcia lokalnego jarmarku Andy wybrał Jane. – Ruth zamilkła, wspominając. – Do dziś tego nie rozumiem. Znaczy się, Jane była miła i w ogóle. Wszyscy ją lubili. Ale szczerze powiedziawszy, była brzydka jak noc. Wyglądała jak koza.

Roześmiała się głośno na myśl o obrazie, jaki przywołała. To była prawda. Twarz Jane w młodości wydawała się za długa w stosunku do reszty ciała, nos wydłużony, podbródek cofnięty. Jane miała też słaby wzrok. Jej rodzice nie chcąc przyznać, że własne dziecko nie jest idealne, ignorowali jej krótkowzroczność. To tylko podkreślało wrażenie, że wyglądała ku czemuś, wyciągając głowę na całą długość szyi, starając się, by świat nabrał ostrości. Zawsze miała wyraz twarzy, jakby chciała zapytać: „Czy to jest jadalne?”. Poza tym w młodości Jane była pulchna. I pozostała pulchna przez całą resztę życia.

– Z jakiegoś niepojętego powodu Andreas Selinsky wybrał ją. Tańczyli całą noc. To był niezły widok. – Głos Ruth stwardniał.

Gamache próbował wyobrazić sobie młodą Jane, niską, sztywną i krągłą, tańczącą z tym wielkim mężczyzną z gór.

– Zakochali się w sobie, ale gdy jej rodzice się dowiedzieli, kazali Jane przestać się z nim widywać. Zrobiła się niezła afera. Było nie do pomyślenia, żeby córka głównego księgowego w młynie Hadleya wyszła za drwala.

– Co się wydarzyło? – nie mógł się powstrzymać, by nie zapytać. Ruth spojrzała na niego jakby zaskoczona, że ciągle tu jest.

– Och, Andy umarł.

Gamache uniósł brew.

– Nie ma powodu się ekscytować, inspektorze Clouseau – powiedziała Ruth. – Wypadek w lesie. Drzewo go przygniotło. Masa świadków. Chociaż niektórzy mieli romantyczną teorię, że Jane złamała mu serce, więc celowo nie uważał. Bzdura. Ja też go znałam. Podobała mu się, może nawet się w niej zakochał, ale nie był wariatem. Wszystkim nam się kiedyś zdarza zostać porzuconym i nie zabijamy się z tego powodu. Nie, to był zwykły wypadek.

– Co zrobiła Jane?

– Wyjechała na studia. Wróciła kilka lat później z dyplomem nauczycielskim i przejęła lokalną szkołę tutaj. Szkołę numer sześć.

Gamache zauważył lekki cień na swoim ramieniu i spojrzał w górę. Obok stał około trzydziestopięcioletni mężczyzna. Blondyn, szczupły, dobrze, choć nieformalnie ubrany, jakby wyszedł z katalogu Land's End. Wyglądał na zmęczonego, ale chętnego do pomocy.

– Przepraszam, że tak długo mi to zajęło. Jestem Olivier Brulé.

– Armand Gamache. Jestem nadinspektorem z wydziału zabójstw w Sûreté du Québec.

Ruth, czego Gamache nie widział, uniosła brwi. Nie doceniła człowieka. Był ważną figurą. Nazwała go inspektorem Clouseau; to jedyna zniewaga, jaką mogła sobie przypomnieć.

Po tym, jak Gamache zaaranżował lunch, Olivier zwrócił się do Ruth:

– Jak się masz? – dotknął lekko jej ramienia. Odskokczyła jak oparzona.

– Nie najgorzej. Jak Gabri?

– Kiepsko. Wiesz, jaki on jest, serce na dłoni.

Bywało, że Olivier zastanawiał się, czy Gabri aby nie urodził się wywrócony podszewką na wierzch.

Zanim Ruth poszła, opowiedziała Gamache'owi krótką historię życia Jane. Podała mu również nazwisko najbliższej spadkobierczyni – Yolande Fontaine, agentki nieruchomości w St. Remy. Nadinspektor spojrzał na zegarek: dwunasta trzydzieści. Do St. Remy było jakieś piętnaście minut drogi. Mógł zdążyć. Gdy sięgał do kieszeni po portfel, zauważył, że Olivier właśnie wychodzi i zastanowił się, czy mógłby zrobić dwie rzeczy naraz.

Biorąc płaszcz i kapelusz z wieszaka, zauważył małą, białą metkę, wiszącą na jednym z haczyków. Coś zaskoczyło mu w głowie. To było coś

niezwykłego, coś, co nie pasowało. Odwrócił się, wkładając płaszcz i spojrzał na stoliki, krzesła, lustra i inne antyki w bistro. Wszystkie miały metki. To był sklep. Nadinspektor mógł zjeść croissanta i kupić swój talerz. Poczłwał fałę satysfakcji z rozwiązania tej małej zagadki. Kilka minut później siedział w samochodzie Oliviera, jadąc do St. Remy. Nietrudno było przekonać Oliviera, by go podwiózł. Olivier palił się do pomocy.

– Idzie deszcz – zauważył Olivier, telepiąc się po zwirowej drodze.

– I jutro się ochłodzi – dodał Gamache. Obydwaj skinęli głowami w milczeniu. Po kilku kilometrach Gamache zapytał: – Jaka była panna Neal?

– Nie chce się wierzyć, że ktoś ją zabił. Była cudowną osobą. Miłą i delikatną.

Olivier podświadomie stawiał znak równości pomiędzy tym, jak ludzie żyli i jak umierali. Gamache zawsze był pod wrażeniem takiego myślenia. Niemal powszechnie spodziewano się, że dobry człowiek nie zasługuje na kiepski koniec, a ofiarami morderstwa padają tylko ci, którzy sobie zasłużyli. Jakkolwiek zawołowane i subtelne było takie myślenie, zawsze miało się wrażenie, że ktoś, kto został zamordowany, prosił się o to. Stąd szok, kiedy ofiarą okazywał się ktoś miły i dobry. Ludzie myśleli, że z pewnością zaszła jakaś pomyłka.

– Nigdy nie spotkałem osoby, która byłaby zawsze miła i dobra. Czy nie miała żadnych wad? Nie zaszła komuś za skórę?

Nastąpiła długa pauza i Gamache zaczął się zastanawiać, czy aby Olivier nie zapomniał o pytaniu. Ale czekał. Armand Gamache był cierpliwy.

– Gabri i ja jesteśmy tu dopiero dwanaście lat. Nie znałem jej wcześniej. Ale muszę uczciwie powiedzieć, że nigdy nie słyzałem złęgo słowa o Jane.

Dojechali do St. Remy, miasta, które Gamache trochę znał, bo gdy jego dzieci były małe, jeździł na nartach na górze wznoszącej się ponad miejscowością.

– Zanim pan pójdzie, zechce mi pan coś powiedzieć o jej siostrzenicy Yolande?

Gamache dostrzegł gorliwość w głosie Oliviera. Najwyraźniej było o czym opowiadać.

– Nie teraz, w drodze powrotnej.

– Świetnie. – Olivier zaparkował samochód i wskazał agencję nieruchomości w małym centrum handlowym. Podczas gdy pobliski Williamsburg był z rozmysłem osobliwy, St. Remy było po prostu starym miastem w Kantonach. Pozbawione planu czy projektu miasteczko robotnicze, w pewien sposób o wiele bardziej autentyczne niż ładniejszy Williamsburg, główne miasto tego regionu. Umówili się, że spotkają się o pierwszej piętnaście po południu. Gamache zauważył, że chociaż na tylnym siedzeniu leżało kilka rzeczy, Olivier nie zamknął samochodu. Po prostu odszedł od niego.

W drzwiach powitała nadinspektora blondynka z wielkim, pięknym uśmiechem.

– Panie Gamache, jestem Yolande Fontaine. – Machała wyciągniętą ręką, jeszcze zanim ujęła jego dłoń. Poczul, jak omiata go i taksuje wprawne spojrzenie. Zanim opuścił Three Pines, zadzwonił, by upewnić się, że zastanie ją w biurze; najwyraźniej albo on, albo jego Burberry dorównał oczekiwaniom.

– Niechże pan siada. Jaki rodzaj nieruchomości pana interesuje? – Usadowiła go w półkolistym fotelu z pomarańczową tapicerką. Przysuwając jej pod nos swoją legitymację policyjną, przyglądał się, jak jej uśmiech blednie.

– Cóż ten cholerny dzieciak zbroił tym razem? *Tabarnacle*^[7]! – Nienaganny francuski zniknął, ustępując miejsca ulicznemu slangowi, dziwacznemu i chropawemu, jakby słowa były pokryte pyłem.

– Nie, madame. Czy jest pani siostrzenicą Jane Neal? Z Three Pines?

– Tak. Dlaczego?

– Przykro mi, ale mam złą wiadomość. Dziś rano znaleziono ciało pani ciotki.

– Och, nie! – odpowiedziała z uczuciem, z jakim wita się plamę na starej koszulce. – Serce?

– Nie. To nie był naturalny zgon.

Yolande Fontaine gapiła się na niego, próbując zrozumieć to, co powiedział. Z pewnością znała znaczenie poszczególnych słów, ale wszystkie razem jakoś nie miały sensu.

– Nie był naturalny? Co to znaczy?

Gamache spojrzął na siedzącą przed nim kobietę. Polakierowane paznokcie, blond włosy nastroszone i ułożone, twarz – w samo południe – umalowana jak na bal. Była tuż po trzydziestce, jak zgadywał, ale perwersyjnie ciężki makijaż

nadawał jej wygląd pięćdziesięciolatki. Nie sprawiała wrażenia osoby prowadzącej zdrowy tryb życia.

– Znalaziono ją w lesie. Zabitą.

– Zamordowaną? – szepnęła.

– Nie wiemy. Rozumiem, że pani jest jej najbliższą krewną, czy to prawda?

– Tak. Moja matka była jej młodszą siostrą. Zmarła na raka cztery lata temu. Były bardzo blisko. Tak blisko. – Tu Yolande próbowała skrzyżować palce, ale paznokcie wchodziły jej w drogę, co sprawiało, że gest wyglądał jak pacynkowa wersja wrestlingu. Poddała się i popatrzyła na Gamache wymownie.

– Kiedy będę mogła wejść do domu?

– Słucham?

– W Three Pines. Ciotka Jane mówiła, że mi go zapisze.

Gamache oglądał w życiu dość żalu, by wiedzieć, że każdy radzi sobie z nim po swojemu. Jego własna matka, obudziwszy się w łóżku u boku martwego męża, z którym spędziła pięćdziesiąt lat, najpierw zadzwoniła do fryzjerki, by odwołać wizytę. Gamache wiedział, że nie należy osądzać ludzi po tym, jak reagują na złe wiadomości. Ale i tak pytanie było dziwaczne.

– Nie wiem. Nie byliśmy tam jeszcze.

Yolande wpadła w podniecenie.

– Cóż, ja mam klucze. Czy mogę tam wejść przed wami, żeby trochę posprzątać?

Przez moment zastanawiał się, czy to jest odruchowe pytanie agentki nieruchomości.

– Nie.

Rysy Yolande stężały, kobieta zaczerwieniła się pod kolor paznokci. Nie była przyzwyczajona, by ktoś jej odmawiał i nie umiała zapanować nad gniewem.

– Dzwonię do prawnika. Dom jest mój i nie zgadzam się, byście tam wchodzili. Zrozumiano?

– Skoro mowa o prawnikach, czy wie pani może, kto był prawnikiem pani ciotki?

– Stickley. Norman Stickley. – Jej głos stał się szorstki. – My także używamy go od czasu do czasu przy transakcjach nieruchomościowych w okolicach

Williamsburga.

– Czy mógłbym prosić o namiary na niego?

Kiedy zapisywała je dla niego ozdobnym pismem, Gamache rozejrzał się i zauważył, że niektóre z ofert w dziale „Na sprzedaż” dotyczyły wielkich posiadłości i pięknych, rozległych, starodawnych domów. Większość była skromna. Yolande miała sporo apartamentów i drewnianych przyczep – baraków. Tak czy inaczej, ktoś je musiał sprzedawać, i pewnie większych zdolności handlowych wymagała sprzedaż baraku niż wiekowego domu. Ale trzeba było sprzedać masę baraków, by związać koniec z końcem.

– Proszę. – Rzuciła karteczkę przez biurko. – Mój prawnik będzie w kontakcie.

Gamache zastał Oliviera czekającego już na niego przy samochodzie.

– Spóźniłem się? – zapytał, spoglądając na zegarek. Wskazywał dziesięć po pierwszej.

– Nie, nawet jest pan chwilę wcześniej. Musiałem tylko kupić szalotki na dzisiejszą kolację.

Gamache zauważył w samochodzie charakterystyczny, przyjemny zapach.

– Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że rozmowa z Yolande zajmie dużo czasu.

Olivier uśmiechnął się, prowadząc samochód ulicą Principale.

– Jak poszło?

– Nie do końca tak, jak się spodziewałem – przyznał Gamache.

Olivier wybuchnął gardłowym śmiechem.

– Niezły z niej numer, z tej naszej Yolande. Czy płakała rozdzierająco?

– A właśnie nie.

– Cóż, to niespodzianka. Myślałem, że jeśli będzie miała publiczność, i to w dodatku policję, da z siebie wszystko, odgrywając rolę jedynej spadkobierczyni. Ona jest uosobieniem triumfu autokreacji nad rzeczywistością. Nie wiem nawet, czy w ogóle wie jeszcze, co to jest rzeczywistość, tak jest zajęta własnym wizerunkiem.

– A co to za wizerunek?

– Sukces. Chce być postrzegana jako szczęśliwa i spełniona żona i matka.

– Czyż wszyscy o to nie zabiegamy?

Tu Olivier rzucił mu łobuzerskie i otwarcie gejowskie spojrzenie. Gamache zdał sobie sprawę, co tamten powiedział. Uniósł brwi, jakby odwzajemniając spojrzenie. Olivier znowu się roześmiał.

– To znaczy: wszyscy mamy jakiś publiczny wizerunek – poprawił się z uśmiechem Gamache.

Olivier skinął głową. Szczególnie w społeczności gejowskiej, gdzie należało być zabawnym, sprytnym, cynicznym, a nade wszystko atrakcyjnym. To było wykańczające, wyglądać na tak nieustannie znudzonego. Między innymi z tego powodu uciekł na prowincję. Myślał, że w Three Pines będzie miał szansę być sobą. Natomiast nie spodziewał się, że tyle czasu zajmie mu wykombinowanie, co to „bycie sobą” dla niego znaczy.

– To prawda. Ale w przypadku Yolande to sięga głębiej, jak sądzę. Ona jest jak hollywoodzka dekoracja. Z wielką, sztuczną fasadą, za którą jest pusto i brzydko. Jest płytka.

– Jak się układały jej stosunki z panną Neal?

– Cóż, zdaje się, że były blisko, gdy Yolande była mała, ale potem doszło do jakiegoś rozłamu. Nie mam pojęcia, o co poszło. Yolande prędzej czy później wszystkich wkurza, ale to musiała być grubsza sprawa. Od tamtej pory Jane nie chciała więcej widzieć Yolande.

– Naprawdę? Czemu?

– Nie mam pojęcia. Clara może wiedzieć. Timmer Hadley z pewnością by panu powiedziała, ale ona nie żyje.

Znowu o tym mowa. Śmierć Timmer, tak niedługo przed Jane.

– A mimo to Yolande Fontaine jest przekonana, że panna Neal zapisała jej cały majątek.

– Cóż, może i tak zrobiła. Dla niektórych krew nie woda i tak dalej.

– Najwyraźniej nie może się doczekać, by wejść do domu panny Neal przed nami. Czy to ma pańskim zdaniem jakiś sens?

Olivier pomyślał chwilę.

– Trudno powiedzieć. Nie sądzę, żeby ktokolwiek mógł odpowiedzieć na to pytanie, bo nikt z nas nigdy nie był w domu Jane.

– Przepraszam, co? – Gamache myślał, że się przesłyszał.

– Zabawne, tak do tego przywykłem, że nie przyszło mi do głowy o tym wspomnieć. Tak. To było jedyne dziwactwo Jane. Przyjmowała nas w przedpokoju albo w kuchni. Ale nigdy, przenigdy dalej niż w kuchni.

– Clara na pewno...

– Nawet Clary nie. Ani Timmer. Nikogo.

Gamache odnotował, by zrobić to jako pierwszą rzecz zaraz po lunchu. Dojechali na miejsce kilka minut przed czasem. Gamache usadowił się na ławce na skwerku i przyglądał się, jak Three Pines zajmuje się własnym życiem i swoją niezwykłą śmiercią. Ben przyłączył się do niego na kilka minut pogawędki, po czym pociągnął Daisy z powrotem do domu. Przed wyruszeniem do bistro na lunch Gamache zastanowił się nad tym, co usłyszał do tej pory, oraz nad tym, któż mógłby chcieć zabić dobroć.

Beauvoir ustawił duży stojak z papierem i flamastrami. Gamache zajął miejsce obok niego w prywatnym pomieszczeniu na tyłach restauracji Oliviera i popatrzył przez przeszkloną ścianę drzwi. Widział stoliki z zamkniętymi parasolami, a za nimi rzekę. Bella Bella. Uznał, że faktycznie jest piękna.

Pomieszczenie wypełniło się głodnymi i zmarzniętymi oficerami Sûreté. Gamache zauważył, że agentka Nichol siedzi sama i zastanowił się, dlaczego wybrała tak odizolowane miejsce. Beauvoir pierwszy składał raport w przerwach między kęsami kanapki z szynką; zawierała ona grube plastry szynki, odcięte najwyraźniej od całej pieczeni, glazurowanej sokiem klonowym; do tego była musztarda miodowa i plastry dojrzałego cheddara na świeżym croissancie.

– Przeszukaliśmy miejsce zajścia i znaleźliśmy – Beauvoir sprawdził w notatniku, rozmazując na stronie odrobinę musztardy – trzy stare butelki po piwie.

Gamache uniósł brwi.

– To wszystko?

– I piętnaście milionów liści. Tak wygląda rana. – Beauvoir narysował kółko czerwonym flamastrem. Oficerowie przyglądali się bez zainteresowania. Wtem Beauvoir uniósł ramię i dokończył rysunek, kreśląc cztery linie promieniujące

od kółka, jak róża kompasu. Kilku policjantów opuściło ręce z kanapkami. Teraz byli ciekawi. To wyglądało jak szkicowa mapa Three Pines. Kontemplując makabryczny rysunek, Gamache zastanawiał się, czy zabójca mógł zrobić to naumyślnie.

– Czy taką ranę mogła zrobić strzała? – zapytał Beauvoir.

Najwyraźniej nikt nie wiedział.

Jeśli to była rana od strzały, myślał Gamache, to gdzie się ona podziała? Powinna być w ciele. Gamache wyobrażał sobie to tak, jak widział w Notre-Dame de Bon-Secours, kościele, do którego on i Reine-Marie sporadycznie chodzili. Całe ściany były tam aż gęste od malowideł, przedstawiających świętych w różnych stanach bólu i ekstazy. Teraz przypłynął do niego jeden z tych obrazów. Święty Sebastian, wijący się i upadający, z ciałem naszpikowanym strzałami. Każda z nich sterczała z jego umęczonego ciała jak oskarżycielski palec. Z ciała Jane Neal powinna wystawać strzała, która wskazywałaby na sprawcę. Nie powinno być rany wylotowej. Ale była. Kolejna zagadka.

– Zostawmy to i przejdźmy dalej. Następny raport.

Lunch ciągnął się dalej, policjanci siedzieli wkoło, słuchając i myśląc na głos, w atmosferze zachęcającej do współpracy. Gamache mocno wierzył we współpracę, a nie współzawodnictwo w swoim zespole. Zdawał sobie sprawę, że pod tym względem należał do mniejszości wśród kierownictwa Sûreté. Jego zdaniem ten, kto potrafi przewodzić, winien też podążać za innymi. Zachęcał członków swojego zespołu, by się nawzajem szanowali, słuchali pomysłów innych, wspierali się. Nie wszyscy to rozumieli. Ta profesja opierała się na silnej konkurencji: kto miał wyniki, dostawał awans. Bycie drugim z kolei w rozwiązaniu zagadki morderstwa się nie liczyło. Gamache wiedział, że w Sûreté nagradzano niewłaściwych ludzi, toteż sam nagradzał tych, którzy umieli pracować w zespole. Miał niemal stuprocentowe wyniki w rozwiązywaniu spraw i nie awansował powyżej rangi, którą miał obecnie i którą sprawował od dwunastu lat. Ale był szczęśliwym człowiekiem.

Gamache ugryzł bagietkę z grillowanym kurczakiem i pieczonymi warzywami, i zdecydował, że jądanie posiłków w tym miejscu będzie dla niego przyjemnością. Niektórzy oficerowie zamówili piwo, ale nie Gamache – nie miał ochoty na alkohol. Sterta kanapek szybko zniknęła.

– Koroner znalazł coś bardzo dziwnego – zaraportowała Isabelle Lacoste. – Dwa skrawki pióra zagrzebane w ranie.

– Czyż strzały nie mają lotek z piór? – zapytał Gamache. Znów zobaczył Świętego Sebastiana z jego strzałami.

– Kiedyś miały – powiedziała Nichol, zadowolona, że może się wykazać. – Teraz robią je z plastiku.

Gamache pokiwał głową.

– Nie wiedziałem o tym. Coś jeszcze?

– Jak pan widział, krwi było niewiele, co wskazuje, że śmierć nastąpiła natychmiast. Zabito ją tam, gdzie ją znaleziono. Nie przesuwano ciała. Czas zgonu pomiędzy szóstą trzydzieści a siódmą dziś rano.

Gamache opowiedział im, czego dowiedział się od Oliviera i Yolande, i rozdysonował zadania. Pierwszym było przeszukanie domu Jane Neal. W tym momencie komórka Gamache'a zadzwoniła. Telefonował prawnik Yolande Fontaine. Gamache ani razu nie podniósł głosu, ale jego frustracja była oczywista. – Nie możemy jeszcze wejść do domu Jane Neal – zaraportował, zamykając telefon. – Co niepojęte, prawnik pani Fontaine zdołał znaleźć sędziego, który podpisał nakaz uniemożliwiający nam przeszukanie domu.

– Aż do...? – zapytał Beauvoir.

– Aż do czasu, gdy udowodnimy, że to było morderstwo – albo aż do czasu, kiedy okaże się, że pani Fontaine nie odziedziczyła domu. Oto najnowsze priorytety. Znaleźć testament Jane Neal; uzyskać informację o okolicznych łucznikach; chcę też wiedzieć, dlaczego myśliwy, który przypadkowo postrzelił Jane Neal, zadał sobie trud wyjęcia strzały. Musimy też dowiedzieć się więcej o śmierci Timmer Hadley. Zorganizuję nam biuro operacyjne gdzieś w Three Pines. Porozmawiam też z Morrowami. Beauvoir, chciałbym, żeby poszedł pan ze mną. Pani także, agentko Nichol.

– Jest Święto Dziękczynienia – powiedział Beauvoir.

Gamache zatrzymał się. Zapomniał.

– Kto ma plany na kolację z okazji Święta Dziękczynienia?

Wszystkie ręce się podniosły. Inspektor uświadomił sobie, że on także ma plany. Reine-Marie zaprosiła na kolację ich najbliższych przyjaciół. W małym gronie, więc z pewnością zauważono by jego nieobecność. Wątpił, czy tym

razem kupiliby wymówkę o sanatorium.

– Zmiana planów. Około czwartej wyjeżdżamy do Montrealu, czyli za półtorej godziny. Postarajcie się zrobić tyle, ile zdążycie. Nie chcemy, żeby trop się urwał, bo nam indyk stygnie.

Beauvoir otworzył drewnianą furtkę, prowadzącą ku ścieżce wijącej się do drzwi domku. Wokół domu kwitły hortensje, zmieniające na zimnie kolor na różowy. Po drodze mijali stare krzewy róż, pod którymi posadzono fioletowe kwiaty, które, jak myślał Gamache, mogły być lawendą. Odnotował w pamięci, by zapytać o to panią Morrow przy sposobniejszej okazji. Naparstnice i malwy rozpoznał od razu. Jedyne, czego nie mógł odżałować w swoim mieszkaniu w Outremont, to że tylko w skrzynkach pod oknem można było coś posadzić. Bardzo chciałby mieć ogród, dokładnie taki jak ten. Idealnie pasował do skromnego, ceglanego domu, do którego nadinspektor się zbliżał. Peter otworzył ciemnoniebieskie drzwi, jeszcze zanim do nich zastukali. Weszli do niewielkiej sieni z kolekcją płaszczy i kurtek na haczykach oraz butów upchniętych pod długą, drewnianą ławką.

– W wiadomościach z Burlington podają, że idzie deszcz – powiedział Peter, odwieszając ich płaszcze i prowadząc do obszernej wiejskiej kuchni. – Oczywiście niemal na pewno się mylą. Wygląda, że my tu mamy mikroklimat. Pewnie z powodu gór.

Pomieszczenie było ciepłe i wygodne, z błyszczącymi blatami z ciemnego drewna i otwartymi szafkami, w których stały puszki, porcelana i szkło. Szmaciane chodniki wyglądały, jakby je dosłownie rozrzucano tu i tam po winylowej podłodze, co nadawało wnętrzu niekrępujący urok. Olbrzymi bukiet, niemal wyspa, stał przy końcu sosnowego stołu jadalnego. Przy drugim jego końcu siedziała Clara, owinięta w różnokolorową, dzierganą chustę. Wyglądała blado i nieobecnie.

– Kawy? – Peter nie był pewien, jaka etykieta obowiązuje, ale cała trójka odmówiła.

Clara uśmiechnęła się i wstała, wyciągając rękę, chusta zsunęła jej się z ramion.

Gamache wiedział, że nawyk bycia uprzejmym jest tak silnie zakorzeniony, że nawet ludzie przeżywający głęboką, osobistą stratę wciąż się uśmiechają.

– Tak mi przykro – zwrócił się do Clary.

– Dziękuję.

– Niech pani usiądzie tam – szepnął Gamache do Nichol, wskazując proste, sosnowe krzesło przy drzwiach do sieni – i robi notatki.

– Notatki – powiedziała do siebie Nichol. – Traktuje mnie jak sekretarkę. Dwa lata w Sûreté du Québec i każą mi robić notatki! – Reszta siedziała przy kuchennym stole. Jak zauważyła, ani Gamache, ani Beauvoir nie wyjęli notatników.

– Myślmy, że śmierć Jane Neal była nieszczęśliwym wypadkiem – zaczął Gamache – ale mamy problem. Nie możemy znaleźć broni i nikt się nie przyznał, więc obawiam się, że będziemy musieli zbadać tę śmierć jako podejrzaną. Czy przychodzi państwu do głowy ktoś, kto mógłby chcieć skrzywdzić pani przyjaciółkę?

– Nie. Nikt zupełnie. Jane urządziła sprzedaż domowych ciastek i wyprzedaż rupieci dla PSKA tu, w St. Thomas. Była emerytowaną nauczycielką. Prowadziła ciche, zwyczajne życie.

– Pani Morrow?

Clara myślała przez moment, a przynajmniej sprawiała takie wrażenie. Ale jej mózg był odrętwiały, niezdolny udzielić jednoznacznej odpowiedzi.

– Czy ktoś czerpie korzyści z jej śmierci? – Gamache postanowił sformułować pytanie bardziej bezpośrednio.

– Nie sądzę. – Clara zebrała się w sobie, czując się jak idiotka, że tak przepełniają ją uczucia. – Niczego jej nie brakowało, jak myślę, chociaż nigdy nie rozmawialiśmy o tym. Tutaj za niewielkie pieniądze można sporo kupić, Bogu dzięki. Hodowała własne warzywa, ale większość z nich rozdawała. Zawsze myślałam, że robi to bardziej dla przyjemności niż z potrzeby.

– A jej dom? – zapytał Beauvoir.

– Tak, to może być sporo warte – powiedział Peter. – Ale sporo jak na standardy Three Pines, nie Montrealu. Mogłaby za niego dostać jakieś sto pięćdziesiąt tysięcy. Może trochę więcej.

– Czy może ktoś skorzystałby na jej śmierci w inny sposób?

– Nic oczywistego nie przychodzi na myśl.

Gamache podniósł się do wyjścia.

– Potrzebne nam tak zwane biuro operacyjne. Spokojne miejsce, gdzie moglibyśmy mieć tymczasową kwaterę w Three Pines. Znają państwo jakieś stosowne miejsce?

– Stacja kolejowa. Nie jest już używana. Ochotnicza straż pożarna ma tam swoją siedzibę. Przypuszczam, że nie mieliby nic przeciwko podzieleniu się nią.

– Obawiam się, że potrzebne nam będzie bardziej prywatne pomieszczenie.

– Jest stara szkoła – zasugerowała Clara.

– Czy to ta, w której pracowała panna Neal?

– Ta sama – odparł Peter. – Przechodziliśmy koło niej dziś rano. Właścicielami są Hadleyowie, ale dzisiaj używa jej kółko łucznicze.

– Kółko łucznicze? – zapytał Beauvoir, nie wierząc własnym uszom.

– Istnieje od lat. Ben i ja założyliśmy je wiele lat temu.

– Czy jest zamknięte? Ma pan klucze?

– Myślę, że mam gdzieś klucze. Ben też ma. Ale nigdy nie zamykamy na zamek. Choć może powinniśmy. – Spojrzał na Clare, starając się odgadnąć, co myśli, lub jakoś ją pocieszyć. Napotkał tylko jej pozbawioną wyrazu twarz. Gamache skinął do Beauvoira, który wyjął komórkę i zadzwonił, gdy pozostali rozmawiali.

– Chciałbym zwołać zebranie społeczności jutro rano – powiedział Gamache – o jedenastej trzydzieści u Świętego Tomasza. Ale musimy rozgłosić tę informację.

– To proste. Proszę powiedzieć Olivierowi. Sprowadzi całą prowincję plus obsadę musicalu *Koty*. A jego partner, Gabri, jest kierownikiem kościelnego chóru.

– Nie sądzę, byśmy potrzebowali muzyki – zauważył Gamache.

– Ja też nie, ale będzie wam potrzebny, żebyście mogli wejść do środka. Ma komplet kluczy.

– Klub łuczniczy jest otwarty, ale kościół zamknięty?

– Pastor jest z Montrealu – wyjaśnił Peter.

Gamache pożegnał się i cała trójka powędrowała przez znajomy już miejski skwerek. Szli, kopiąc opadłe liście, rozrzucając je i wznosząc piżmowy zapach

jesieni.

Hotelik stał na skos od rzędu budynków handlowych, na rogu Old Stage Road, innej drogi wyjazdowej z Three Pines. Kiedyś był tu przystanek dylżansów na popularnej trasie między Williamsburgiem i St. Remy. Dawno już nieużyteczny, od czasu przybycia Oliviera i Gabriego odkrył na nowo swoje powołanie jako dom dla strudzonych podróżnych. Gamache powiedział Beauvoirovi, że zamierza tu uzyskać zarówno informację, jak i rezerwację.

– Na jak długo?

– Aż sprawa zostanie rozwikłana albo nam ją zabiorą.

– To musiała być piekielnie dobra bagietka.

– Powiem panu, Jean Guy, jeśliby jeszcze dodał do niej pieczarki, zaraz bym kupił to cholerne bistro i od razu się wprowadził. Tu będzie znacznie wygodniej niż w miejscach, które sami znajdowaliśmy.

To była prawda. Śledztwa nieraz prowadziły ich z dala od domu, do Kuujuaq, Gaspé, Shefferville i do James Bay. Czasami wyjeżdżali na całe tygodnie. Beauvoir miał nadzieję, że tym razem będzie inaczej, skoro to tak niedaleko Montrealu. Ale widać nie.

– Proszę i mnie zameldować.

– Nichol?! – zawołał przez ramię. – Czy i pani chce się tu zatrzymać?

Yvette Nichol poczuła się, jakby właśnie wygrała na loterii.

– Świetnie. Nie wzięłam żadnych ubrań, ale to nie problem, mogę jakieś pożyczyć albo przeprać wieczorem...

Gamache uniósł rękę.

– Nie słuchała pani. Dziś wieczorem jedziemy do domu i zaczynamy tu od jutra.

Cholera! Za każdym razem, gdy okazywała entuzjazm, kopało ją to w tyłek. Czy się wreszcie nauczy?

Rzeźbione dynie przycupnęły na każdym stopniu schodów prowadzących na rozległą werandę hoteliku. Wewnątrz Gamache zobaczył przetarte, orientalne dywany, wyściełane rozłożyste meble, żyrandole z frędzlami i niezliczone lampy. Poczuł się jak w domu swoich dziadków. To wrażenie podkreślał jeszcze wypełniający pomieszczenie zapach świeżych wypieków. W tej samej

chwili do środka wszedł przez wahadłowe drzwi duży mężczyzna w fartuchu z napisem „Nigdy nie ufaj chudym kucharzom”. Gamache w osłupieniu skonstatował, że był on całkiem podobny do jego babci.

Gabri westchnął głęboko i przyłożył dłoń do czoła w geście podpatrzonym u gwiazdy kina niemego, Glorii Swanson.

– Muffinka?

Pytanie padło tak nieoczekiwanie, że Gamache kompletnie nie był na nie przygotowany.

– Pan wybaczy?

– Mam marchewkowe, daktylowe, bananowe i o specjalnym smaku na cześć Jane, pod nazwą „Charles de Mills”.

To mówiąc, Gabri zniknął i za moment znów się pojawił z tacą zastawioną rzędami muffinków, wspaniale udekorowanych owocami i różami.

– Oczywiście nie są to róże Charles de Mills; te dawno przekwitły. – Twarz Gabriego zalała się łzami, a taca niebezpiecznie się przechyliła. Tylko szybka akcja Beauvoira, motywowana łakomstwem, uratowała babeczki. – *Désolé. Excusez-moi.* Jest mi po prostu tak smutno. – Gabri opadł na jedną z otoman, rozkładając nogi i ramiona. Gamache przeczuwał, że pomimo całej teatralności ten człowiek jest szczerze przejęty. Dał mu chwilę na pozbieranie się, zdając sobie doskonale sprawę, że być może Gabri nigdy nie był „pozbierany”. Potem Gamache poprosił o ogłoszenie wiadomości o publicznym mityngu nazajutrz i otworzenie kościoła. Zabukował także pokój ze śniadaniem w pensjonacie.

– To raczej pokój z brunchem, ale pan może dostać brunch na śniadanie, jeśli pan sobie życzy, jako że pomaga pan wymierzyć sprawiedliwość temu brutalowi. Wiecie już, kto ją zabił? Pewnie myśliwy, czyż nie?

– Jeszcze nie wiemy. Ale jeśli nie myśliwy, kto jeszcze przychodzi panu na myśl?

Gabri sięgnął po muffinka. Beauvoir uznał to za zachętę, by samemu się poczęstować. Były jeszcze ciepłe, prosto z piekarnika.

Gabri zjadł dwa muffinki, po czym powiedział cicho:

– Nikt mi nie przychodzi do głowy, ale... – zwrócił swe przenikliwe brązowe oczy ku Gamache’owi – czy może mi przyjść? Czyż nie to jest najokropniejsze w morderstwach? Nie spodziewamy się ich. Nie najlepiej się wyraziłem. –

Sięgnął po kolejnego muffinka i zjadł go całego, razem z różą. – Ludzie, na których najbardziej bywałem wściekły, nawet o tym nie wiedzieli. Czy to ma sens?

– Ma. Jak najbardziej – odparł Gamache, i to szczerze. Niewielu ludzi tak dobrze rozumiało, że większość morderstw z premedytacją bierze się z zakisłych, tłumionych emocji: chciwości, zazdrości, strachu. Jak powiedział Gabri, ludzie się tego nie spodziewają, bo morderca jest mistrzem pozorów, fałszywych fasad, udawanego rozsądku, nawet zewnętrznego spokoju. Ale wszystko to skrywa pod spodem horror. Dlatego wyrazem, jaki najczęściej oglądał na twarzach ofiar, nie był strach ani gniew, lecz zdziwienie.

– Któż odgadnie, jakie zło ukrywa się w ludzkim sercu? – zapytał Gabri, a Gamache zastanawiał się, czy zaczerpnął ten cytat ze starego słuchowiska radiowego. Lecz wtedy Gabri puścił oczko. Zniknął na chwilę, po czym wrócił i wręczył Gamache’owi małą torbę muffinków.

– Jeszcze jedno. – Gamache zatrzymał się w drzwiach, z jedną ręką na torbie z muffinkami, a drugą na klamce. – Wspomniał pan o różach Charles de Mills.

– To były ulubione kwiaty Jane. Nie byle jakie róże, nadinspektorze. Te uważane są przez znawców róż za najpiękniejsze na świecie. To stara odmiana. Kwitną tylko raz w sezonie, ale niezwykle efektownie. A potem znikają. To dlatego zrobiłem muffinki z wodą różaną, w hołdzie Jane. A potem je zjadłem, jak pan widział. Zawsze zjadam własny ból. – Gabri uśmiechnął się lekko. Przyglądając się, jaki jest wielki, Gamache zastanawiał się, ile musi być w nim bólu. I pewnie też lęku. I gniewu? Któż to wie, doprawdy.

Ben Hadley czekał pod szkołą, tak jak prosił Beauvoir, gdy do niego dzwonił.

– Czy z zewnątrz wszystko wygląda jak powinno, panie Hadley? – zapytał Gamache.

Ben, nieco zaskoczony pytaniem, rozejrzał się dokoła. Gamache zastanawiał się, czy Ben Hadley nie był nieustannie zaskoczony.

– Tak. Czy chce pan zajrzeć do środka? – Ben sięgnął do klamki, ale Beauvoir szybko go powstrzymał. Inspektor wyciągnął z kieszeni kurtki rolkę taśmy policyjnej i wręczył ją Nichol. Podczas gdy Nichol rozwieszała żółtą taśmę z napisem „Zakaz wstępu, miejsce zbrodni” na drzwiach i oknach, Beauvoir tłumaczył.

– Wygląda na to, że panna Neal została zabita strzałą. Musimy starannie zbadać pomieszczenie klubowe na wypadek, gdyby broń pochodziła stąd.

– Ale to bez sensu.

– Czemu?

Ben po prostu rozejrzał się dookoła, jak gdyby sielska okolica była wystarczającym powodem. Złożył klucze na wyciągniętej dłoni Beauvoira.

Jadąc przez most Champlain w stronę Montrealu, agentka Nichol spojrzała kątem oka na nadinspektora Gamache'a, milczącego i zatopionego w myślach na siedzeniu obok, a także na zarys miasta: wielki krzyż na szczycie Mont Royal właśnie się rozpałał. Wiedziała, że jej rodzina poczeka na nią z kolacją na Święto Dziękczynienia. Wiedziała, że zrobiliby dla niej wszystko, a pewność ta wywołała w niej jednocześnie poczucie komfortu i świadomość, że jest im coś winna. Dla nich musiała odnieść sukces.

Wchodząc do własnego domu tego wieczoru, Gamache poczuł zapach pieczonych kuropatw. To była jedna ze świątecznych specjalności Reine-Marie: małe ptaszki owinięte boczkami, wolno pieczone w sosie z wina z przyprawami i jagodami jałowca. Zazwyczaj to on przyrządzał nadzienie z dzikiego ryżu, ale tym razem zrobiła je żona.

Gdy rozbierał się i szedł pod prysznic, wymienili się wieściami. On opowiedział mu o chrzcie i o późniejszym poczęstunku. Była całkiem pewna, że poszła na właściwy chrzest, chociaż rozpoznała niewielu z obecnych. On opowiedział jej o swoim dniu i o śledztwie. Niczego nie ukrywał. To nie było standardem, ale nie potrafił sobie wyobrazić, jak mógłby stworzyć głęboki partnerski związek z Reine-Marie, utrzymując tę część swego życia w tajemnicy. Mówił jej więc wszystko – i ona mówiła mu wszystko. Jak do tej pory, po czterdziestu pięciu latach, wyglądało na to, że to działa.

Przyszli ich przyjaciele; wieczór był niewymuszony i spokojny. Parę butelek dobrego wina, znakomita świąteczna kolacja, serdeczne i uprzejme towarzystwo. Gamache'owi przypomniał się początek *Orlanda* Virginii Woolf. Przez stulecia Orlando nie szukał sławy ani zaszczytów. Nie; jedyne, czego Orlando pragnął, to towarzystwo.

Clara kołysała się w tył i w przód, w tył i w przód, tuląc swoją stratę.

Wcześniej tego dnia miała wrażenie, jakby ktoś wydłubał jej serce i mózg. Teraz czuła, że je odzyskała, ale złamane. Myśli miotały się w kółko jak szalone, ale zawsze wracały w to samo, bolesne miejsce.

Peter podkradł się pod drzwi sypialni i zajrzał do środka. Niech mu Bóg wybaczy: po części był zazdrosny. Zazdrosny o to, jaką władzę miała Jane nad Clarą. Zastanawiał się, czy gdyby to on umarł, Clara zachowywałaby się w ten sposób. I uświadomił sobie, że gdyby to on zginął w lesie, Clara miałaby Jane, która by ją pocieszała. Jane wiedziałyby, co zrobić. W tym momencie przed Peterem jakby otworzyły się drzwi. Po raz pierwszy w życiu zadał sobie pytanie, co zrobiłby ktoś inny. Co zrobiłaby Jane, gdyby tu była, a to on by nie żył? I znalazł odpowiedź. Cicho położył się obok Clary i otulił ją sobą. Po raz pierwszy od momentu, gdy dostała wiadomość, jej serce i umysł uspokoiły się. Zatrzymały się tylko na ten jeden, błogosławiony moment, w miejscu, w którym kryła się miłość, a nie strata.

4

– Tosta? – zaproponował Peter nazajutrz rano szlochającej Clarze.

– Eeechce aaaadnego ooosta – płakała i chlipała, aż cieniutka nitka śliny spłynęła na podłogę, tworząc małą, błyszczącą kałużę u jej stóp. Stali boso w kuchni, gdzie zaczęli przygotowywać śniadanie. Normalnie byliby już po prysznicu, a jeśli jeszcze nie ubrani, to przynajmniej mieliby kaptcie na nogach i szlafroki na flanelowych pidżamach. Aż do tej chwili Peter nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo ten poranek był nienormalny.

Leżąc całą noc i obejmując Clarę, ośmielił się mieć nadzieję, że najgorsze minęło. Że być może smutek, jakkolwiek nadal obecny, pozwoli jego żonie być choćby częściowo obecną. Ale kobieta, którą znał i kochał, bez reszty pograżyła się w rozpacz.

– Claro? Musimy porozmawiać. Możemy porozmawiać? – Peter pragnął wgramolić się z powrotem do łóżka z dzbankiem kawy, tostami i dżemem oraz najnowszym katalogiem z narzędziami. Stał jednak boso pośrodku zimnej kuchennej podłogi, dzierżąc bagietkę jak różdżkę nad plecami Clary. Nie podobała mu się ta wizja różdżki. Może miecz. Ale czy to uchodzi? Machać mieczem nad własną żoną? Zamachnął się kilka razy i chrupka bułka się złamała. Pomyślał, że może to i lepiej. Te wizje stawały się zbyt zagmatwane.

– Musimy porozmawiać o Jane. – Przypomniał sobie, gdzie się naprawdę znajduje, złożył tragicznie złamany miecz na blacie i położył rękę na jej ramieniu. Przez moment czuł miękką flanelę, ale ramię uwolniło się od jego ręki.

– Pamiętasz, jak ty i Jane rozmawiałyście, a ja rzucałem jakiś niegrzeczny komentarz i wychodziłem? – Clara gapiała się w przestrzeń, pociągając nosem od czasu do czasu. – Szedłem do swojego studio i malowałem. Ale zostawiałem drzwi otwarte. Nie wiedziałaś o tym, prawda? – Po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin zauważył błysk zainteresowania. Zwróciła twarz ku niemu, wycierając nos o spód dłoni. Peter oparł się przemożnej potrzebie sięgnięcia po

chusteczki.

– Co tydzień, gdy ty i Jane rozmawialiście, ja słuchałem i malowałem. Przez całe lata. Namalowałem swoje najlepsze rzeczy, przysłuchując się wam dwóm. Trochę jak wtedy, gdy byłem dzieckiem, leżałem w łóżku i słuchałem, jak mama i tata rozmawiali na dole. To przynosiło ukojenie. A nawet więcej. Ty i Jane rozmawialiście o wszystkim. O ogrodnictwie, o książkach, relacjach, gotowaniu. Rozmawialiście też o tym, w co wierzycie. Pamiętasz?

Popatrzyła w dół na swoje dłonie.

– Obie wierzyliście w Boga. Claro, musisz się dowiedzieć, w co wierzysz.

– O co ci chodzi? Wiem, w co wierzę.

– W co? Powiedz mi.

– Odwal się. Zostaw mnie w spokoju! – Teraz skupiła się na nim. – Gdzie twoje łzy? Co? Jesteś bardziej martwy niż ona. Nie umiesz nawet płakać. I teraz co? Chcesz, żebym ja przestała? Nawet dzień jeszcze nie minął, a ty co? Znudziłeś się już tym? Nie jesteś dłużej centrum wszechświata? Chcesz, żeby wszystko wróciło do poprzedniego stanu, ot tak. – Pstryknęła mu palcami przed nosem. – Brzydzę się tobą!

Peter uchylił się przed tym atakiem, zraniony i przepelniony chęcią powiedzenia rzeczy, które – jak wiedział – zraniłyby ją tak samo, jak ona właśnie zraniła jego.

– Idź sobie! – krzyknęła w przerwie pomiędzy czkawką a haustami przełykanego powietrza. Chciał odejść. Chciał odejść od wczoraj o tej samej porze. Ale został. A teraz, bardziej niż kiedykolwiek, chciał uciec. Chociaż na chwilkę. Na spacer po skwerku, na kawę z Benem. Pod prysznic. To brzmiało tak rozsądnie, wydawało się takie usprawiedliwione. Jednak znowu pochylił się ku niej, ujął jej usmarowane gilmami dłonie w swoje i ucałował je. Próbowwała się wyrwać, ale trzymał mocno.

– Claro, kocham cię. I znam cię. Musisz się zdecydować, w co wierzysz, w co naprawdę, głęboko wierzysz. Przez wszystkie te lata mówiłaś o Bogu. Pisałaś o wierze. Robiłaś tańczące anioły i tęskniące boginie. Czy Bóg jest tu teraz, Claro? Czy jest w tym pokoju?

Łagodny głos męża uspokoił Clare. Zaczęła słuchać.

– Czy jest tutaj? – Powoli podniósł palec ku piersi żony, nie dotykając jej. –

Czy Jane jest z nim?

Nalegał. Wiedział, dokąd musi podążać. I tym razem to nie było gdzieś indziej.

– Ona zna odpowiedź na wszystkie te pytania, nad którymi razem debatowaliście, z których śmiałyście się i kłóciłyście o nie. Jane spotkała Boga.

Clara rozchyliła usta i gapiła się przed siebie. Tu był jej ład. To na nim mogła złożyć swój żal. Jane umarła. Teraz była z Bogiem. Peter miał rację. Albo wierzyła w Boga, albo nie. Obie możliwości były do przyjęcia. Ale nie mogła dłużej twierdzić, że wierzy w Boga i zachowywać się, jakby nie wierzyła. Wierzyła w Boga. I wierzyła, że Jane jest z nim. Niespodziewanie jej ból i żal stały się ludzkie i naturalne. I do przeżycia. Miała miejsce, w którym mogła je złożyć, miejsce, w którym Jane jest z Bogiem.

To była taka ulga. Popatrzyła na Petera, na jego twarz pochyloną ku niej. Ciemne cienie pod oczami. Jego siwe, falujące włosy, sterczące na boki. Pomacała ręką we własnych włosach i znalazła tam spinkę, zagrzebaną w skłębionych pasmach. Wyjęła ją z odrobiną własnych włosów i ujęła dłonią tył głowy Petera. W milczeniu przyciągnęła ją w swoją stronę, przyglądała kosmyk jego zmierzwionych włosów i wpięła w nie klamerkę. Robiąc to, wyszeptała mu do ucha:

– Dziękuję. Przepraszam.

Peter ku własnej zgrozie poczuł, że oczy go pieką i wzbierają łzami, a w tyle gardła coś przeszkadza. Nie mógł dłużej nad tym zapanować i się rozplakał. Ostatnim razem płakał jako dziecko, gdy leżąc w łóżku i przysłuchując się kojącym rozmowom rodziców na dole, uświadomił sobie, że rozmawiają o rozwodzie. Wziął Clarę w ramiona, tulił ją do piersi i modlił się, żeby nigdy jej nie stracić.

Spotkanie w kwaterze głównej Sûreté w Montrealu nie trwało długo. Koroner miała nadzieję, że wstępny raport będzie gotowy tego samego popołudnia i miała przywieźć go do Three Pines po drodze do domu. Jean Guy Beauvoir zaraportował o swojej rozmowie z Robertem Lemieux z Sûreté w Cowansville, wciąż chętnym do pomocy.

– Powiedział, że sama Yolande Fontaine jest czysta. Są drobne podejrzenia

odnośnie jej mętnych postępów jako agentki nieruchomości, ale nic niezgodnego z prawem jak do tej pory. Ale jej mąż i syn są dosyć popularni na policji, zarówno lokalnej, jak i w Sûreté. Jej mąż to André Malenfant, lat trzydzieści siedem. Pięć zatrzymań za awantury po pijanemu. Dwa za napaść. Dwa za włamanie.

– Był w więzieniu? – zapytał Gamache.

– Kilka razy w Bordeaux; wiele razy spędził noc w lokalnym areszcie.

– A syn?

– Bernard Malenfant. Lat czternaście. Wygląda, że idzie w ślady ojca. Nie panują nad nim. Masę skarg ze szkoły. Mnóstwo skarg od innych rodziców.

– Postawiono chłopakowi jakieś zarzuty?

– Nie. Parę razy tylko ostro upomniano.

Kilku oficerów w pokoju chrząknęło cynicznie. Gamache znał Jean Guy Beauvoira dość dobrze, by wiedzieć, że najlepsze zawsze zostawiał na koniec. A jego gestykulacja dała Gamache'owi znać, że to jeszcze nie koniec.

– Ale – powiedział Beauvoir i wzrok rozpałił mu się triumfalnie – André Malenfant jest myśliwym. Z wyrokiem nie ma szansy dostać pozwolenia na broń palną. Jednak...

Gamache czerpał przyjemność z przyglądania się, jak Beauvoir daje upust swojej efekciarskiej naturze, a to było apogeum efekciarstwa. Dramatyczna pauza.

– ...w tym roku po raz pierwszy wystąpił o pozwolenie na polowanie z łuku i otrzymał je.

Bum!

Zgromadzenie się rozchodziło. Beauvoir rozdał polecenia i zespoły wyruszyły do roboty. Gdy pokój opustoszał, Nichol zamierzała wstać, ale Gamache ją powstrzymał. Byli teraz sami i chciał spokojnie porozmawiać. Przyglądał się jej w trakcie spotkania: po raz kolejny wybrała miejsce o jedno krzesło dalej od najbliższej osoby i nie częstowała się kawą i bułeczką, gdy inni to robili. W ogóle nie robiła nic z tego, co robili inni. To odseparowanie się od zespołu wydawało się niemal zamierzone. Miała na sobie proste ubranie – rzecz nietypowa dla mniej więcej dwudziestopięcioletniej mieszkanki Montrealu. Yvette była kompletnie pozbawiona typowej dla mieszkańców Quebecu

skłonności do efekciarstwa. Nadinspektor uświadomił sobie, że przywykł do pewnego indywidualizmu członków swojego zespołu. Ale Nichol sprawiała wrażenie, jakby chciała być niewidoczna. Nosila garsonkę w pozbawionym wyrazu odcieniu błękitu i z taniej tkaniny. Ramiona żakietu były lekko wywatowane; grube warstwy gąbki wołały wielkim głosem, że wyciągnęła go z kosza z przeceną. Pod pachami widniały białe smugi, znaczące miejsce, gdzie zalew potu zatrzymał się ostatnim razem, kiedy miała tę garsonkę na sobie. Nie wyprała jej. Gamache zastanawiał się, czy Nichol sama szyje swoje ubrania. Czy ciągle mieszka z rodzicami? Jak muszą być z niej dumni i jaką presję osiągnięcia sukcesu musiała odczuwać? Zastanawiał się też, czy to tłumaczy jedyną cechę, która odróżniała ją od reszty: jej samozadowolenie.

– Jest pani stażystką, ma się pani tutaj uczyć – powiedział cicho, patrząc jej prosto w oczy i ignorując nadąsaną minę. – Toteż konieczna jest pewna doza nauk. Lubi się pani uczyć?

– Tak, sir.

– A jak się pani uczy?

– Słucham, sir?

– To proste pytanie. Proszę się zastanowić i odpowiedzieć.

Jego brązowe oczy były jak zawsze żywe i ciepłe. Mówił spokojnie, ale stanowczo. Bez wrogości, ale z oczekiwaniem. Tonem szefa mówiącego do stażystki. Zaskoczył Yvette. Wczoraj był taki przyjazny, taki uprzejmy, więc myślała, że może to wykorzystać. Teraz zaczęła sobie zdawać sprawę ze swej pomyłki.

– Uczę się, przyglądając się i słuchając, sir.

– I?

I co? Siedzieli tak, Gamache z wyrazem twarzy, jakby miał do dyspozycji cały dzień – chociaż Nichol wiedziała, że za niecałe dwie godziny musiał poprowadzić spotkanie z mieszkańcami Three Pines, a jeszcze trzeba było tam dojechać. Mózg Nichol odmówił współpracy. I... i...

– Proszę o tym pomyśleć. Dziś wieczorem może mi pani opowiedzieć, co wymyśliła. Na razie jednak pozwoli pani, że jej powiem, jak ja pracuję i jakie są moje oczekiwania.

– Tak jest.

– Obserwuję. Jestem w tym bardzo dobry. W zauważaniu rzeczy. I w słuchaniu. Aktywnie słucham, co ludzie mówią, jak dobierają słowa, jakim tonem mówią. Czego nie mówią. I to, agentko Nichol, jest kluczowe. Wybór.

– Wybór?

– Wybieramy, o czym myśleć. Wybieramy, jak postrzegamy rzeczy. Wybieramy nasze podejście do nich. Możemy myśleć, że nie, ale tak się dzieje. Wiem ponad wszelką wątpliwość, że tak jest. Widziałem niezliczone ku temu dowody, raz za razem, tragedia za tragedią. Chodzi o wybór.

– Jak wybór szkoły? Albo kolacji?

– Ubioru, fryzury, przyjaciół. Od tego się zaczyna. Życie to wybór. Nieustannie, każdego dnia. Z kim rozmawiamy, gdzie siedzimy, co mówimy i jak to mówimy. Nasze wybory definiują nasze życie. To takie proste. I takie skomplikowane. Oraz takie potężne. Kiedy więc obserwuję, to na to właśnie patrzę. Jakich wyborów ludzie dokonują.

– Co mogę zrobić, sir?

– Może się pani nauczyć. Może pani patrzeć, słuchać i robić, co pani każą. Jest pani stażystką. Nikt nie oczekuje, że będzie pani cokolwiek wiedzieć. Jeśli udaje pani, że wie, niczego się pani nie uczy.

Nichol poczuła, że się rumieni i przeklinała własne ciało, które zdradzało ją, odkąd sięgała pamięcią. Była z tych, którzy się rumienią. Może – powiedział jej głosik z głębi jaźni, umiejscowiony poniżej poziomu rumienienia się – może jeśli przestaniesz udawać, przestaniesz się też rumienić. Ale to był bardzo słaby głosik.

– Przyglądałem się pani wczoraj. Zrobiła pani trochę dobrej roboty. Wcześniej podsunęła możliwość, że strzała była narzędziem. Znakomicie. Ale musi pani także słuchać. Słuchać mieszkańców miasteczka, słuchać podejrzanych, słuchać plotek, własnych instynktów i słuchać swoich kolegów.

Nichol podobało się, jak to zabrzmiało. Kolegów. Nigdy wcześniej nie miała kolegów. W wydziale drogowym Sûreté pracowała mniej lub bardziej sama, a przedtem, w lokalnej policji Repentigny, miała wrażenie, że nieustannie ją oceniają. Byłoby miło mieć kolegów. Gamache pochylił się ku niej.

– Musi się pani nauczyć, że ma wybór. Są cztery rzeczy wiodące ku mądrości. Jest pani gotowa usłyszeć, jakie?

Skinęła głową, zastanawiając się, gdzie się zacznie policyjna robota.

– Są cztery zdania, których musimy się nauczyć i wierzyć w nie. – Gamache uniósł dłoń i odliczał na palcach przy każdym z nich. – Nie wiem. Potrzebuję pomocy. Przepraszam. I jeszcze jedno. – Gamache myślał przez moment, ale nie mógł sobie przypomnieć. – Nie pamiętam. Ale porozmawiamy o tym więcej dziś wieczorem, prawda?

– Tak, sir. Dziękuję panu. – Co dziwne, uświadomiła sobie, że naprawdę była mu wdzięczna.

Po wyjściu Gamache’a Nichol wyjęła swój notatnik. Nie chciała robić notatek, kiedy mówił. Pomyślała, że będzie wyglądać na głupią. Teraz szybko zapisała: „przepraszam”, „nie wiem”, „potrzebuję pomocy”, „nie pamiętam”.

Gdy Peter po porannym prysznicu wszedł do kuchni, zauważył dwie rzeczy. Kawa była gotowa, a Clara układała się wokół zwiniętej w kulkę Lucy.

– Wczoraj wieczorem to mi pomogło – powiedziała Clara, odchylając się, by spojrzeć na kaptur Petera i pod jego szlafrok.

Peter przyklęknął i pocałował Clary. A potem pocałował łeb Lucy. Ale pies ani drgnął.

– Biedulka.

– Dałam jej trochę banana, ale nawet nie podniosła głowy.

Każdego dnia, przez całe życie Lucy, Jane kroїła banana na śniadanie i jakimś cudem zawsze upuszczała idealne krążki na podłogę, na której leżały przez sekundę, zanim zostały pożarte. Co rano modły Lucy zostawały wysłuchane, utwierdzając ją w przekonaniu, że Bóg jest stary, niezgrabny, pachnie różami i mieszka w kuchni. Ale już tak nie było.

Lucy wiedziała, że Bóg umarł. Odkryła teraz, że to nie banan był cudem, ale ręka, która go dawała.

Po śniadaniu Peter i Clara założyli jesienne ubrania i ruszyli przez skwerek miejski do Bena. Szare chmury groziły deszczem, a wiatr był wilgotny i ostry. Gdy wstąpili na werandę domu Bena, powitał ich zapach smażonego czosnku i cebuli. Clara wiedziała, że nawet, gdyby oślepla, zdołałaby stwierdzić, że znalazła się u Bena. Czuć było śmierdzącego psa i stare książki. Wszystkie psy Bena śmierdziały, nie tylko Daisy – i najwyraźniej nie miało to nic wspólnego

z ich wiekiem. Clara nie była pewna, czy Ben to sprawiał, czy tylko przyciągał takie psy. Teraz jednak miejsce to nagle zapachniało domową kuchnią. Zamiast się tym cieszyć, Clara poczuła lekkie mdłości, jak gdyby zabrano jej coś, co dawało poczucie pewności. Chciała, by stary zapach powrócił. Chciała, by Jane powróciła. Chciała, żeby wszystko zostało po starym.

– Och, chciałem wam zrobić niespodziankę – powiedział Ben, podchodząc, by uścisnąć Clarę. – *Chili con carne*.

– Moje ulubione danie na poprawę nastroju.

– Nigdy wcześniej nie robiłem, ale mam jakieś stare książki kucharskie mojej mamy i znalazłem *The Joy of Cooking*^[8]. Nie wróci nam Jane, ale może złagodzi trochę ból po jej stracie.

Clara popatrzyła na wielgachną książkę kucharską na blacie i poczuła odrazę. Książka pochodziła z tamtego domu. Z domu Timmer. Domu, który odstraszał miłość i śmiech, a zapraszał węże i myszy. Nie chciała mieć z nim nic do czynienia i uświadomiła sobie, że jej obrzydzenie rozciąga się nawet na rzeczy, która stamtąd pochodziły.

– Ależ, Ben, ty też kochałeś Jane. Ty ją znalazłeś. To musiał być koszmar.

– Owszem. – Opowiedział im o tym pokrótce, zwrócony do nich plecami, nie ośmielając się spojrzeć w twarz Peterowi i Clarze, jakby był za wszystko odpowiedzialny. Zamieszał smażące się mielone mięso, podczas gdy Clara otwierała puszki ze składnikami i słuchała, co mówił Ben. Po chwili musiała oddać otwieracz do konserw Peterowi i usiąść. Opowieść Bena grała jej w głowie jak film. Ciągle miała nadzieję, że Jane powstanie. Gdy Ben skończył, Clara przeprosiła i przeszła z kuchni do salonu.

Dołożyła kolejny kawałek drewna do kominka i słuchała cichego pomruku rozmowy Petera i Bena. Nie rozróżniała słów, poznawała tylko znajome głosy. Zalała ją kolejna fala smutku. Straciła towarzyszkę mrujących rozmów, osobę, z którą wspólnie wydawała kojące dźwięki. Poczuła też coś jeszcze: ukłucie zazdrości, że Peter wciąż ma Bena. On mógł przyjść w odwiedziny w każdej chwili, ale jej najlepsza przyjaciółka odeszła. Wiedziała, że to obrzydliwie małostkowe i samolubne, ale tak było. Wzięła głęboki wdech, wciągając woń czosnku, cebuli, smażonego mielonego mięsa i inne niosące komfort wonie. Nellie musiała niedawno sprzątać, bo czuło się świeżą woń detergentów. Czystość. Clara poczuła się lepiej i wiedziała, że Ben

jest także jej przyjacielem, nie tylko Petera. I że nie była sama, chyba że tak wybierze. Wiedziała także, że woń Daisy w końcu przebijie smażony czosnek i powróci zwycięska.

Kościół Świętego Tomasza zapełniał się, gdy zjawili się Peter, Clara i Ben. Właśnie zaczynało padać, więc ruch panował niewielki. Małe parking z boku kaplicy był zastawiony samochodami, a auta i ciężarówki stały też wzdłuż półkolistej alei Commons. W ciepłym wnętrzu kościółka zgromadziło się mnóstwo ludzi. Pachniało wilgotną wełną i ziemią wniesioną na butach. Ich trójka wcisnęła się pomiędzy rząd siedzących wzdłuż tylnej ściany a opartych o nią. Clara poczuła, jak coś wbija się jej w plecy. Odwróciła się i odkryła, że za nią wisi korkowa tablica ogłoszeniowa. Anonsy o odbywającej się dwa razy do roku sprzedaży herbaty i rękodzieła, zbiórka zuchów, zajęcia gimnastyczne z Hanną codziennie rano, kółko brydżowe w środy o siódmej trzydzieści wieczorem oraz pożółkły anons o „nowych” godzinach otwarcia kościoła, z 1967 roku.

– Nazywam się Armand Gamache. – Wielki mężczyzna stanął na środku. Tego ranka ubrany był w tweedową marynarkę i szare, flanelowe spodnie, a pod kołnierzykiem koszuli zawiązał prosty, elegancki krawat w kolorze czerwonego wina. Zdjął kapelusz i Clara zauważyła, że łysieje i nie stara się tego ukryć. Jego włosy były przyprószone siwizną, wąs przycięty. Sprawiał wrażenie pana dziedzica, zwracającego się do mieszkańców miasteczka. To był człowiek przyzwyczajony do sprawowania zwierzchnictwa i było mu z tym do twarzy. W pomieszczeniu natychmiast zapadła cisza, przerywana jedynie przez uporczywy kaszel gdzieś z tyłu. – Jestem nadinspektorem w wydziale zabójstw Sûreté du Québec. – To spowodowało pomruk w sali, który nadinspektor przeczekał.

– To mój zastępca, inspektor Jean Guy Beauvoir. – Beauvoir wystąpił naprzód i skłonił głowę. – Są tu dzisiaj także inni funkcjonariusze Sûreté. Przypuszczam, że bez trudu ich państwo rozpoznacie. – Nie wspomniał, że większość z jego zespołu jest zajęta wywracaniem pomieszczenia klubu łuczniczego do góry nogami.

Clara uświadomiła sobie, że osoba, która zabiła Jane, prawdopodobnie była w tłumie zgromadzonym w kościele Świętego Tomasza. Rozejrzała się dookoła

i dostrzegła Nellie i jej męża Wayne'a, Myrnę i Ruth, Oliviera i Gabriego. Matthew i Suzanne Croft siedzieli w rzędzie za nimi. Nie było jednak Philippe'a.

– Myślmy, że śmierć Jane Neal była nieszczęśliwym wypadkiem, ale jak do tej pory nikt się nie przyznał. – Gamache przerwał, a Clara zauważyła, jaki potrafił być nieruchomy i skupiony. Zanim znów przemówił, jego inteligentne oczy omiotły pomieszczenie. – Jeśli to był wypadek i osoba, która ją zabiła, jest tutaj, chciałbym jej powiedzieć kilka rzeczy.

Clara pomyślała, że we wnętrzu nie mogła już zapaść większa cisza. Nawet kaszel ucichł, cudem uleczony przez ciekawość.

– To musiało być straszne, gdy ta osoba uświadomiła sobie, co zrobiła. Ale musi się do tego przyznać. Im dłużej zwleka, tym to będzie trudniejsze. Dla nas, dla społeczności miasteczka i dla tej osoby. – Nadinspektor Gamache przerwał i z wolna rozejrzał się wokoło, a każdy z obecnych poczuł, że przeszywa ich spojrzeniem na wylot. Wszyscy czekali w napięciu, mając nadzieję, że może jednak ktoś odpowiedzialny za wypadek wstanie z miejsca.

Clara uchwyciła spojrzenie Yolande Fontaine, która uśmiechnęła się blado. Clara bardzo jej nie lubiła, ale odpowiedziała uśmiechem. André, chudy mąż Yolande, skubał i obryzgał skórki wokół paznokci. Zastanawiająco brzydki syn Fontaie'ów, Bernard, siedział przygarbiony na ławce, z rozdziawioną gębą i naburmuszoną miną. Wyglądał, jakby się nudził; w przerwach między przeżuwaniami garści cukierków robił miny do swoich kolegów po drugiej stronie.

Nikt się nie poruszył.

– Znajdziemy tę osobę. To nasza specjalność. – Gamache wziął głęboki oddech, jakby miał zmienić temat. – Prowadzimy śledztwo w tej sprawie tak, jakby to było morderstwo, chociaż wątpimy, czy tak jest w istocie. Mam tu wstępny raport koronera. – Otworzył swojego PalmPilota. – Potwierdza on, że Jane Neal zmarła między szóstą trzydzieści a siódmą wczoraj rano. Wygląda na to, że narzędziem była strzała.

To wywołało więcej niż jeden pomruk.

– Mówię, że „wygląda na to”, ponieważ broni nie znaleziono. A to jest problem, bo zaprzecza teorii, że to był nieszczęśliwy wypadek. To oraz fakt, że

nikt nie wziął za to odpowiedzialności, sprawia, że traktujemy tę śmierć jako podejrzaną.

Gamache przerwał i spojrzał na zebranych. W większości wydawali się pełni dobrych chęci, tylko na niektórych twarzach malowało się rozdrażnienie. Nadinspektor pomyślał, że nie mają pojęcia, co ich jeszcze czeka.

– To jest początek. Będziemy zadawać pytania, sprawdzać fakty, rozmawiać nie tylko z wami, ale też z waszymi rodzinami i przyjaciółmi.

Kolejny pomruk, tym razem zaprawiony odrobiną wrogości. Gamache był niemal pewien, że usłyszał „faszyści” gdzieś ze swojej lewej strony. Rzucił ukradkowe spojrzenie i zobaczył, że siedzi tam Ruth Zardo.

– Nie prosiliście się o to w żaden sposób, ale się stało. Jane Neal nie żyje i wszyscy musimy sobie z tym radzić. My musimy robić, co do nas należy, i potrzebujemy państwa pomocy, co oznacza, że będziecie musieli zaakceptować rzeczy, których normalnie byście nie zaakceptowali. Takie jest życie. Przykro mi z tego powodu. Ale to nie zmienia faktów.

Pomruki ucichły, a kilka głów nawet pokiwało potwierdzająco.

– Wszyscy mamy sekrety, zanim to się skończy, poznam większość waszych tajemnic. Jeśli nie dotyczą sprawy, zabiorę je z sobą do grobu. Ale poznam je. Późnymi popołudniami będę na ogół w bistro pana Brulé, przeglądając notatki. Jeśli ktoś chce się ze mną napić i porozmawiać, zapraszam.

Zbrodnia była bardzo ludzka, Gamache wiedział o tym. Przyczyna i skutek. A jedyną metodą schwytania przestępcy było nawiązanie kontaktu z ludźmi zaangażowanymi w sprawę. Pogaduszki w kawiarni pozostawały najbardziej przyjemną i rozbijającą formą takiego działania.

– Jakież pytania?

– Czy grozi nam niebezpieczeństwo? – zapytała Hanna Parra, lokalna radna.

Gamache spodziewał się tego. To było trudne pytanie, bo nie wiedzieli naprawdę, czy mają do czynienia z wypadkiem, czy z morderstwem.

– Nie sądzę. Czy powinniście zamykać drzwi na noc? Zawsze. Czy powinniście być ostrożni, spacerując po lesie albo nawet po skwerku? Tak. Ale jeśli nie będziecie, to co?

Przerwał i zobaczył całe zgromadzenie zaniepokojonych.

– Czy zamknąłeś drzwi wczoraj wieczorem? – szepnęła Clara do Petera. Ten

przytaknął, więc uściśniła jego rękę z ulgą. – A ty? – zapytała Bena, który pokręcił głową.

– Nie, ale dziś to zrobię.

– To od was zależy – powiedział Gamache. – Najczęściej obserwuję, że większość zachowuje ostrożność przez jakiś tydzień po tego rodzaju wydarzeniu. Potem ludzie wracają do nawyków, z którymi jest im najwygodniej. Niektórzy pilnują się do końca życia. Większość znajduje roztropny kompromis. Nie ma lepszej i gorszej metody. Szczerze mówiąc, ja bym teraz uważał, ale absolutnie nie widzę powodów do paniki. – Uśmiechnął się i dodał: – Nie wyglądacie mi na panikarzy.

Faktycznie, nie wyglądali, chociaż większość oczu była otwarta szerzej niż wówczas, gdy tu przyszli.

– Zatrzymałem się w pensjonacie, jeśli mają państwo jakieś problemy.

– Nazywam się Old Mundin. – Mniej więcej dwudziestopięcioletni mężczyzna podniósł się z miejsca. Był niemożliwie przystojny: ciemne, kręcone włosy, surowa twarz, ciało, które mówiło o częstym podnoszeniu ciężarów. Beauvoir rzucił Gamache'owi rozbawione i zaskoczone spojrzenie. Czy ten człowiek naprawdę nazywał się Old Mundin? Zapisał to bez przekonania.

– Tak, panie Mundin?

– Słyszałem, że Lucy nie było z Jane, kiedy umarła. Czy to prawda?

– Tak. Rozumiem, że to bardzo niezwykcyjne.

– Szczera prawda. Wszędzie chodziła z tym psem. Nie poszłaby do lasu bez Lucy.

– Bo z psem czuła się bezpieczniej?

– Nie, tak po prostu. Co za sens mieć psa, jeśli się go nie wyprowadza? Szczególnie rano, kiedy pies potrzebuje się wybiegać i załatwić. Nie, sir. To się kupy nie trzyma.

Gamache zwrócił się do zgromadzonych.

– Czy ktoś zna powód, dla którego Jane mogłaby zostawić Lucy w domu?

Clara była pod wrażeniem tego pytania. Oto kierujący dochodzeniem wysokiej rangi oficer Sûreté pytał ich o zdanie. Nagle nastrój zmienił się z pasywnej żałoby w aktywne zaangażowanie. Nagle to było „ich” śledztwo.

– Jeśli Lucy byłaby chora lub miała cieczkę, Jane mogłaby ją zostawić – odezwała się Sue Williams.

– To prawda – odparł Peter – ale Lucy jest wysterylizowana i zdrowa.

– Czy mogło się zdarzyć, że Jane zauważyła myśliwych i odprowadziła Lucy do domu, żeby jej przez przypadek nie postrzelili? – zapytał Wayne Robertson, po czym dostał ataku kaszlu i usiadł. Jego żona, Nellie, otoczyła go swoim obfitym ramieniem, jakby jej ciało mogło osłonić przed chorobą.

– Ale – zapytał Gamache – czy poszłaby sama do lasu, żeby nakrzyczeć na myśliwego?

– Niewykluczone – odrzekł Ben. – Robiła to w przeszłości. Pamiętacie, jak parę lat temu przyłapała... – przerwał i zawstydzził się. Jego niedokończoną uwadze towarzyszyły niestosowne śmiechy i pomruki. Gamache uniósł brwi i czekał.

– To byłem ja, jak wszyscy wiecie. – Jakiś mężczyzna podniósł się z miejsca. – Nazywam się Matthew Croft.

Gamache zgadywał, że mógł mieć jakieś trzydzieści pięć lat, był średniej budowy ciała, raczej się nie wyróżniał. Obok niego siedziała szczupła, spięta kobieta. Nazwisko brzmiało znajomo.

– Trzy lata temu nielegalnie polowałem na terenie należącym do pana Hadleya. Panna Neal rozmawiała ze mną, poprosiła mnie o jego opuszczenie.

– Zrobił pan to?

– Tak.

– Dlaczego w ogóle pan tam był?

– Moja rodzina mieszkała tu od setek lat i wychowano nas w przekonaniu, że w sezonie myśliwskim własność prywatna nie ma znaczenia.

– To nieprawda – rezonował głos z tyłu sali. Beauvoir szybko robił notatki.

Croft zwrócił twarz w kierunku głosu.

– To ty, Henri?

Henri Lariviere, artysta kamieniarz, wstał majestatycznie.

– Tak mnie wychowano – kontynuował Croft. – Nauczono mnie, że to jak najbardziej w porządku polować, gdzie się chce, bo przetrwanie zależy od tego, czy zabezpieczy się dość mięsa na zimę.

– Są sklepy spożywcze, Matthew. Loblaws ci nie wystarcza? – spytał cicho Henri.

– IGA, Provigo! – krzyczeli inni.

– Albo ja – powiedział Jacques Beliveau, właściciel lokalnego sklepu wielobranżowego.

Wszyscy się roześmiali.

Gamache pozwalał, by dyskusja się toczyła, przyglądając się, przysłuchując, patrząc, dokąd też zaprowadzi.

– Owszem, czasy się zmieniły – zgodził się Croft, zirytowany. – Nie jest to już dłużej konieczne, ale to piękna tradycja. I piękna filozofia, by sąsiad pomagał sąsiadowi. Ja w to wierzę.

– Nikt ci tego nie odmawia, Matt – zapewnił Peter, występując naprzód. – I nie sądzę, byś musiał się tłumaczyć ze swojego postępowania, szczególnie sprzed tylu lat.

– Ależ musi, panie Morrow – wtrącił się Gamache; Beauvoir właśnie wręczał mu notkę. – Jane Neal prawdopodobnie została zabita przez myśliwego, nielegalnie przebywającego na posesji pana Hadleya. Ktokolwiek miał na koncie podobne postępowanie, musi się tłumaczyć. – Gamache spojrział na notatkę. Drukowanymi literami Beauvoir napisał: „Philippe Croft rzucał nawozem. Syn?”. Gamache złożył notkę i włożył ją do kieszeni.

– Ciągle poluje pan, gdzie się panu podoba, panie Croft?

– Nie, sir.

– Dlaczego nie?

– Bo szanowałem pannę Neal i ponieważ w końcu dotarło do mnie, co mi ludzie przez lata mówili. I zgodziłem się z tym. Tak się składa, że w ogóle już nie poluję, nigdzie.

– Ma pan łuczniczy zestaw myśliwski?

– Tak, sir, mam.

Gamache rozejrzył się po pomieszczeniu.

– Chciałbym, żeby każdy, kto ma łuczniczy zestaw myśliwski, podał swoje nazwisko i adres inspektorowi Beauvoir, nawet jeśli od lat go nie używał.

– Tylko zestawy myśliwskie? – zapytał Peter.

– Dlaczego? Co pan ma na myśli?

– Łuki i strzały do łucznictwa rekreacyjnego noszą nazwę refleksyjnych i różnią się od sprzętu myśliwskiego. Te ostatnie to łuki bloczkowe.

– Ale użyte przeciwko komuś miałyby taki sam efekt?

– Tak sądzę – Peter zwrócił się do Bena, który zastanowił się przez chwilę.

– Tak – powiedział Ben. – Chociaż strzały są inne. Trzeba mieć wyjątkowe szczęście, czy też wyjątkowego pecha, jak sądzę, żeby kogoś zabić strzałą przeznaczoną do strzelania do tarczy.

– Dlaczego?

– Cóż, strzała do ćwiczeń w strzelaniu do celu ma bardzo małą główkę, podobną trochę do kuli karabinowej. Ale strzała myśliwska, cóż, to inna historia. Ja nigdy z takich nie strzelałem, ale ty, Matt, owszem.

– Strzała myśliwska ma na końcu cztery, a czasem pięć ostrzy zebranych w grot.

Beauvoir ustawił stojak z papierem niedaleko ołtarza. Gamache podszedł do niego i szybko narysował duże czarne kółko, z wychodzącymi z niego promieniście czterema kreskami – duplikat rysunku, który dzień wcześniej Beauvoir nakreślił w trakcie lunchu.

– Czy to spowodowałoby taką ranę?

Matthew Croft podszedł kawałek naprzód i jakby pociągnął za sobą wszystkich zgromadzonych, którzy pochylili się za nim na swoich miejscach.

– Dokładnie taką.

Gamache i Beauvoir spojrzeli na siebie. Mieli przynajmniej jedną odpowiedź.

– Tak więc – powiedział Gamache niemal do siebie – to musiała być strzała myśliwska.

Matthew Croft nie był pewien, czy Gamache mówił do niego, ale i tak odpowiedział:

– Tak, sir. Niewątpliwie.

– Jakie są strzały myśliwskie?

– Są wykonane z metalu, bardzo lekkie i puste w środku, z lotkami z tyłu.

– A łuk?

– Łuk myśliwski nosi nazwę bloczkowego i jest zrobiony ze stopów kompozytowych.

– Ze stopu? – zapytał Gamache. – To musi być jakiś metal. Myślałem, że łuki są z drewna.

– Kiedyś tak było – zgodził się Matthew.

– Niektóre nadal są z drewna! – krzyknął ktoś z tłumu ku ogólnemu rozbawieniu.

– Naśmiewają się ze mnie, nadinspektorze – przyznał Ben. – Kiedy założyłem klub łuczniczy, mieliśmy stare łuki i strzały. Te tradycyjne, refleksyjne...

– Robin Hood! – zawołał ktoś, znów prowokując chichoty.

– I jego wesoła kompania – przyłączył się Gabri, zadowolony, że mógł coś dodać. Rozległo się jeszcze trochę cichych śmiechów, ale Gabri ich nie słyszał: skupiał się na mocnym jak imadło uścisku Oliviera na swojej nodze.

– To prawda – powiedział Ben. – Gdy Peter i ja założyliśmy klub, fascynował nas Robin Hood oraz kowboje i Indianie. Przebieraliśmy się w kostiumy. – Stojący obok Peter jęknął, a Clara stłumiła śmiech, przywoławszy wspomnienie dwóch najlepszych przyjaciół ganiających po lesie w zielonych rajtuzach i czapkach narciarskich, udających średniowieczne kapelusze. Mieli wtedy po dwadzieścia kilka lat. Clara wiedziała też, że czasami, kiedy myśleli, że nikt ich nie widzi, Peter i Ben robili to do tej pory.

– No więc używaliśmy starych, drewnianych łuków refleksyjnych i drewnianych strzał – dokończył Ben.

– A czego używacie teraz, panie Hadley?

– Tych samych łuków i strzał. Nie było powodu tego zmieniać. Używamy ich tylko do strzelania do tarczy za starym budynkiem szkolnym.

– Niech no się upewnię. Nowoczesne łuki i strzały są zrobione z jakiegoś metalu. Stare są drewniane, zgadza się?

– Zgadza się.

– Czy strzała przebiłaby ciało na wylot?

– Tak, przeleciałaby przez nie – potwierdził Matthew.

– No tak, ale, panie Hadley, mówił pan o kowbojach i Indianach. W tych

starych filmach strzały zostawały w ciele.

– Te filmy nie były zgodne z prawdą – powiedział Matthew. Gamache usłyszał, jak za nim Beauvoir krótko się roześmiał. – Proszę mi wierzyć, strzała przeszłaby człowieka na wylot.

– I kompozytowa, i drewniana?

– Tak. Obie.

Gamache potrząsnął głową. Kolejny mit runął w gruzach. Zastanawiał się, czy obecni w kościele to wiedzą. Ale przynajmniej miał odpowiedź na zagadkę rany wylotowej i teraz bardziej niż kiedykolwiek było pewne, że Jane Neal została zabita strzałą. Ale co się stało z tą strzałą?

– Jak daleko poleciałaby strzała?

– Hmm, dobre pytanie. Trzy, pięć metrów.

Gamache spojrzał na Beauvoira i pokiwał głową. Strzała przeszłaby jej pierś, przeleciała przez plecy i poszybowała do lasu za nią. Ale przeszukali ten teren i nic nie znaleźli.

– Czy trudno byłoby ją znaleźć?

– Niespecjalnie. Jeśli się jest doświadczonym myśliwym, wie się dokładnie, gdzie szukać. Strzała wystawałaby trochę z ziemi, a pióra lotek ułatwiałyby sprawę. Strzały są drogie, nadinspektorze, więc zawsze ich szukamy. To wchodzi w nawyk.

– Koroner znalazł w ranie kawałki prawdziwych piór. Co to może oznaczać?

Gamache był zaskoczony, jaką wrzawę spowodowało to proste stwierdzenie. Peter patrzył na Bena, który z kolei wyglądał na skonfundowanego. W zasadzie wszyscy nagle się ożywili.

– Jeśli to była strzała, to mogła być jedynie stara strzała, drewniana – powiedział Peter.

– Czy jeśli użyto by strzały z kompozytu, nie znaleźlibyśmy piór? – pytał Gamache, czując, że wreszcie zaczyna pojmować ten temat.

– Nie.

– Dobrze więc. Proszę mi wybaczyć, że drążę ten temat kilka razy, ale chcę się tylko upewnić. Skoro w ranie były kawałki prawdziwych piór, mamy do czynienia z drewnianą strzałą. Nie z kompozytu, lecz drewnianą.

– Zgadza się – potwierdziła połowa kongregacji, brzmiąc przy tym jak na nabożeństwie przed naborem nowych parafian.

– Oraz – dodał Gamache, robiąc kolejny krok naprzód w sprawie – to nie była strzała do strzelania do tarczy, ale strzała myśliwska? Wiemy to za sprawą kształtu rany. – Wskazał na rysunek. Wszyscy przytaknęli.

– To musiała być drewniana strzała z myśliwskim grotem. Czy da się używać drewnianych strzał myśliwskich z nowymi, kompozytowymi łukami?

– Nie – powiedzieli zgromadzeni.

– Czyli łuk musiał być drewniany?

– Tak.

– Łuk Robin Hooda.

– Tak.

– Rozumiem, dziękuję. Mam inne pytanie. Cały czas używacie terminów „refleksyjny” i „bloczkowy”. Jaka jest różnica? – Spojrzał w stronę Beauvoira, mając nadzieję, że ten robi notatki.

– Łuk refleksyjny – wyjaśnił Ben – to łuk Robin Hooda. Albo Indian i kowbojów. To długi, wąski kawałek drewna, szerszy w środkowej części, gdzie niejako wyrzeźbiony jest uchwyt na rękę. Na końcach tego kija są nacięcia. Mocuje się w nich cięciwę i drewno nagina się, tworząc łuk. Proste i skuteczne. Ten wynalazek ma kilka tysięcy lat. Kiedy skończy się strzelać, zdejmuje się cięciwę i przechowuje łuk, który w tym momencie jest znów lekko wygiętym kijem. Nazwa „refleksyjny” odnosi się do tego, że trzeba go naginać za każdym razem, gdy się go używa.

Gamache pomyślał, że to dość proste.

– Łuk bloczkowy – powiedział Matthew – to stosunkowo nowy wynalazek. Krótko rzecz ujmując, wygląda jak bardzo skomplikowany łuk, z krążkiem linowym na każdym końcu i mnóstwem cięciw. Ma też bardzo wyrafinowany mechanizm celownika i spust.

– Czy łuk refleksyjny jest równie silny i celny jak ten, jakże się nazywa ten drugi?

– Bloczkowy – odpowiedziało naraz jakieś dwadzieścia osób, wśród nich co najmniej trzech policjantów obecnych w pomieszczeniu.

– Tak samo celny... owszem. Ale nie tak silny.

– Zawahał się pan w kwestii celności.

– W łuku refleksyjnym trzeba zwolnić cięciwę palcami. Gwałtowne jej zwolnienie spowodowałoby mniejszą celność. W łuku bloczkowym jest spust, więc idzie to gładko. Ma on także bardzo dokładne urządzenie celownicze.

– Czy zgodzi się pan, że do dzisiaj myśliwi wybierają drewniane łuki refleksyjne i drewniane strzały?

– Niewielu – powiedziała Helene Charron. – To bardzo rzadkie.

Gamache zwrócił się z powrotem do Matthew.

– Jeśli zamierzałby pan kogoś zabić, jakiego łuku by pan użył? Refleksyjnego czy bloczkowego?

Matthew Croft zawahał się. Pytanie nie przypadło mu do gustu. André Malenfant się roześmiał. To był pozbawiony humoru, złośliwy odgłos.

– Bloczkowego, bez dwóch zdań. Nie potrafię sobie wyobrazić, dlaczego ktoś w dzisiejszych czasach miałby polować ze starym, drewnianym łukiem refleksyjnym i strzałami z prawdziwych piór. Do ćwiczenia strzałów do celu, jasne. Ale do polowania? Wolę nowoczesny sprzęt. A szczerze mówiąc, gdybym zamierzał celowo kogoś zabić? Zamordować? Dlaczego ryzykować z łukiem refleksyjnym? Nie, bloczkowy ma tu dużo większą szansę się w tym sprawdzić. Choć właściwie użyłbym broni palnej.

Gamache pomyślał, że to jest właśnie zagadka. Dlaczego? Dlaczego strzała, a nie kula? Dlaczego staroświecki łuk drewniany, a nie najnowszej generacji łuk myśliwski? Na końcu śledztwa zawsze jest odpowiedź. I to taka, która ma sens, przynajmniej na pewnym poziomie. Dla kogoś. Ale w tej chwili wszystko wyglądało nonsensownie. Staroświecka, drewniana strzała z prawdziwymi piórami została użyta, by zabić emerytowaną nauczycielkę starszuskę. Dlaczego?

– Panie Croft, czy nadal ma pan swój sprzęt myśliwski?

– Tak, sir, mam.

– Być może mógłby pan dokonać demonstracji dla mnie dzisiaj po południu?

– Z przyjemnością – Croft się nie zawahał, ale Gamache zauważył, że pani Croft zeszywniała. Spojrzał na zegarek: dwunasta trzydzieści.

– Czy ktoś ma jeszcze jakieś pytania?

– Ja mam pytanie. – Ruth Zardo z trudnością się podniosła. – W zasadzie to bardziej oświadczenie niż pytanie. – Gamache popatrzył na nią z zainteresowaniem. W środku uzbrajał się na możliwy atak. – Możecie korzystać ze starego dworca kolejowego, jeśli uznacie, że nadaje się na kwaterę główną. Słyszałam, że szukacie. Ochotnicza straż pożarna może wam pomóc się tam urządzić.

Gamache zastanawiał się przez moment. Miejsce nie było idealne, ale teraz, gdy budynek szkolny został odcięty kordonem policyjnym, wydawało się to najlepszym wyjściem.

– Dziękuję, skorzystamy z waszej remizy. Jestem ogromnie wdzięczny.

– Ja chciałam coś ogłosić – odezwała się Yolande, wstając. – Policja na pewno powie mi, kiedy mogę urządzić pogrzeb ciotki Jane. Powiadomię was, kiedy to nastąpi.

Gamache'owi nagle zrobiło się jej żal. Była ubrana na czarno od stóp do głów i wydawało się, że toczy się w niej wewnętrzna walka pomiędzy osłabiającym żalem a potrzebą wzięcia tej tragedii na własne barki. Widział to wiele razy, ludzi walczących o pozycję przywódcy żałobników. To zawsze było ludzkie, zawsze nieprzyjemne i często mylące. Pracownicy organizacji charytatywnych, rozdający żywność głodującym ludziom, szybko uczą się, że ci, co walczą o nią najzacieklej, najmniej jej potrzebują. Podobnie jest z tragedią. Ludzie, którzy najmniej upierają się przy swojej żałobie, często mogą być tymi, którzy najmocniej ją odczuwają. Gamache wiedział jednak, że nie ma tu idealnej formuły.

Nadinspektor zakończył spotkanie. Niemal wszyscy pomknęli przez rześisty deszcz na lunch do bistro – niektórzy, by gotować, inni, by podawać, jeszcze inni jeść. Gamache z niecierpliwością oczekiwał na rezultaty rewizji w budynku klubu łuczniczego.

Drżącymi rękami agentka Isabelle Lacoste sięgnęła do plastikowej torby i wyjęła z niej śmiercionośną broń. W wilgotnych, zdrętwiałych od zimna palcach trzymała grot strzały. Pozostali funkcjonariusze Sûreté, zgromadzeni w pomieszczeniu, siedzieli w milczeniu, wielu mrugało, próbując dokładnie przyrzeć się maleńkiemu czubkowi, zaprojektowanemu, by zabijać.

– Znaleźliśmy ten i inne w budynku klubu – powiedziała, podając go innym. Tego dnia dotarła na miejsce wcześniej, zostawiwszy dzieci pod opieką męża. Lubiała spędzać czas w zaciszu swego biura, a dzisiaj jej biuro mieściło się w zimnym i cichym dawnym budynku szkolnym. Inspektor Beauvoir dał jej klucze; przeszła ponad żółtą taśmą policyjną i weszła do środka, wyciągnęła swój termos z kawą, rzuciła na podłogę policyjną torbę z narzędziami do pracy na miejscu zbrodni, włączyła światło i rozejrzała się dokoła. Panelową boazerię dosłownie pokrywały kołczany wiszące na haczykach, które niegdyś musiały służyć do zawieszania dziecięcych płaszczyków. W pomieszczeniu nadal dominowała czarna tablica, niewątpliwie na stałe przymocowana do ściany. Ktoś narysował na niej tarczę, znak „X” i łuk pomiędzy nimi z wypisanymi poniżej liczbami. Agentka Lacoste odrobiła lekcje w internecie poprzedniego wieczoru i rozpoznała rysunek jako dość podstawową łuczniczą instrukcję dotyczącą wiatru, odległości i trajektorii. Mimo to wyjęła aparat fotograficzny i zrobiła zdjęcie. Nalawszy sobie kawy, usiadła i narysowała diagram w swoim notatniku. Była staranną kobietą.

Potem, zanim przybyli pozostali funkcjonariusze wyznaczeni do przeszukiwania, Lacoste zrobiła coś, o czym tylko ona jedna wiedziała: wyszła z powrotem na zewnątrz i w rozproszonym świetle deszczowego poranka pomaszerowała na miejsce, gdzie umarła Jane Neal. I powiedziała pannie Neal, że nadinspektor Gamache dowie się, kto jej to zrobił.

Agentka Isabelle Lacoste wierzyła w „a bliźniego swego jak siebie samego” i wiedziała, że chciałyby, żeby ktoś zrobił to dla niej.

Potem wróciła do nieogrzewanego klubu łuczniczego. Zjawili się inni funkcjonariusze i wspólnie przeszukali pomieszczenie, zbierając odciski palców, mierząc, fotografując, pakując w torebki. I wtedy, sięgając w głąb szuflady w jedynym biurku pozostałym w pomieszczeniu, Lacoste je znalazła.

Gamache ujął grot w dłoń, jakby trzymał granat. Z pewnością zaprojektowano go do polowania. Cztery ostrza spięte w cienki czubek. Teraz wreszcie mógł docenić, o czym była mowa na publicznym spotkaniu. Zdawało się, że ten grot tęskni za tym, by wbić się w jego dłoń. Wystrzelony z łuku z całą siłą, jaką mogła wyprodukować potrzeba licząca sobie tysiąc lat, bez wątpienia musiał przebijać człowieka na wylot. Skoro już istniała tak śmiercionośna i cicha broń, zadziwiające, że w ogóle wynaleziono broń palną.

Agentka Lacoste wytarła miękkim ręcznikiem ociekające wodą ciemne włosy. Stała odwrócona tyłem do wesołego ognia, buzującego w kamiennym kominku, po raz pierwszy od wielu godzin czując ciepło; wciągnęła w nozdrza zapach domowej zupy i chleba, podczas gdy śmiercionośny grot krążył po pokoju, podawany z rąk do rąk.

Clara i Myrna stały obok siebie za bufetem, trzymając kubki pełne parującej francusko-kanadyjskiej zupy grochowej i talerzyki z ciepłymi bułkami z piekarni. Tuż przed nimi Nellie nakładała sobie jedzenie na talerz.

– Wezmę dość, żeby wystarczyło też dla Wayne’a – tłumaczyła Nellie niepotrzebnie. – Jest tam, biedulek.

– Słyszę jego kaszel – powiedziała Myrna. – Przeziębienie?

– Nie wiem. Siadło mu na piersiach. Wyszłam z domu pierwszy raz od paru dni, tak się martwiłam. Ale Wayne zawsze kosił trawnik u panny Neal i pomagał przy różnych drobnych zleceniach, więc chciał być na spotkaniu.

Obie kobiety przyglądały się, jak Nellie niosła olbrzymi talerz do Wayne’a, który siedział na krześle, przygarbiony i wyczerpany. Nellie otarła mu skroń i pomogła wstać. Obydwoje opuścili bistro: Nellie zaaferowana i zawiadująca wszystkim, a Wayne posłuszny i zadowolony, że ktoś nim kieruje. Clara miała nadzieję, że Wayne wyzdrowieje.

– Co myślisz o tym spotkaniu? – zapytała Clara Myrnę, gdy stały obok siebie.

– Podoba mi się ten inspektor Gamache.

– Mnie też. Ale to takie dziwne, że Jane zabito strzałą myśliwską.

– Chociaż jak pomyślisz, to jakoś ma sens. Jest sezon myśliwski, ale zgadzam się, że ta stara, drewniana strzała przyprawiła mnie o dreszcz. Bardzo dziwne. Indyka?

– Poproszę. Brie? – zapytała Clara.

– Tylko plasterek. Może trochę większy od tego.

– No proszę. – Clara wskazała na kompozycję kwiatową na bufecie.

– Zrobiłam ją dziś rano – powiedziała Myrna, szczęśliwa, że Clara zauważyła. Jej zdaniem Clara zauważała większość rzeczy, ale miała dość rozumu, by wspominać głównie o tych dobrych.

– Tak właśnie pomyślałam. Coś w niej jest?

– Zobaczysz. – Myrna się uśmiechnęła. Clara pochyliła się nad wiązką z jednorocznych pysznogłówek, dzielżanu i malarskich pędzli do akrylu. Wewnątrz umieszczony był pakunek, zawinięty w brązowy pergamin.

– To szałwia i turówka – stwierdziła Clara, rozwijając pakunek. – Czy to znaczy to, co myślę?

– Rytuał – potwierdziła Myrna.

– Och, co za piękny pomysł! – Clara wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia Myrny.

– Z ogrodu Jane? – zapytała Ruth, wdychając piżmowy, niedający się z niczym pomylić aromat szałwii i miodową woń turówki.

– Szałwia, tak. Jane i ja ścięłyśmy ją w sierpniu. Turówkę dostałam po sianokosach od Henriego. Rosła wokół Indian Rock.

Ruth podała je Benowi, który trzymał zawiniątko na odległość wyciągniętego ramienia.

– Och, na miłość boską, człowieku, to ci nie zaszkodzi! – Ruth złapała paczuski i zamachała nimi przed nosem Bena. – O ile sobie dobrze przypominam, byłeś nawet zaproszony na rytuał przesilenia letniego.

– Tylko w charakterze kozła ofiarnego – odparł Ben.

– Och, daj spokój, Ben, to nie fair – powiedziała Myrna. – Mówiliśmy, że to prawdopodobnie nie będzie konieczne.

– To była zabawa – przypomniał Gabri, połykając faszerowane jajko. – Byłem ubrany w księżą sutannę. – Zniżył głos i rzucił spojrzenie dookoła, na

wypadek, gdyby ksiądz zdecydował się jednak pojawić i robić za księdza.

– Najlepsze z możliwych zastosowań sutanny – zauważyła Ruth.

– Dzięki – odrzekł Gabri.

– To nie miał być komplement. Czy ty nie byłeś czasem straightem przed tym rytuałem?

– A owszem, to prawda. – Gabri zwrócił się do Bena: – Zadziałało. Czary. Zdecydowanie powinieneś przyjść na następny rytuał.

– Zgadza się – potwierdził Olivier, stojąc za Gabrim i masując mu kark. – Ruth, czy ty nie byłaś czasem kobietą przed tym rytuałem?

– A ty?

– To mówi pani, że to – Gamache trzymał grot strzały w taki sposób, że wskazywał ku sufitowi – znaleziono w niezamkniętej szufladzie wraz z dwunastoma innymi?

Badał myśliwski grot z jego czterema ostrzami schodzącymi się w elegancki i śmiercionośny czubek. Perfekcyjne, bezgłośnie narzędzie zabijania.

– Tak, sir – odparła Lacoste. Zajęła miejsce tuż naprzeciwko ognia. Z miejsca, gdzie stała, w bocznej sali bistro, widziała, jak deszcz, niemal śnieg z deszczem, zacinał o szybę. W dłoniach trzymała kubek z gorącą zupą oraz ciepłą bułkę z szynką, topionym brie i kilkoma listkami rukoli.

Gamache ostrożnie złożył grot w otwartej dłoni Beauvoira.

– Czy to można umieścić na końcu dowolnej strzały?

– Co ma pan na myśli? – zapytał szefa Beauvoir.

– Pomieszczenie klubu jest pełne strzał do strzelania do tarczy, prawda?

Lacoste przytaknęła z pełnymi ustami.

– Z małymi, grubymi czubkami, jak zakończenie kuli?

– Wgagha he – wybełkotała Lacoste, przytakując głową.

– Czy można je zdjąć i założyć taki?

– Tak – powiedziała Lacoste, przełykając energicznie.

– Proszę mi wybaczyć – Gamache się uśmiechnął – ale czy wie pani, jak?

– Wczoraj wieczorem czytałam o tym w internecie. Groty są zrobione tak, by dało się je wymieniać. Oczywiście, jeśli nie wie się, jak to zrobić, można sobie

pokroić palce w plasterki. Ale owszem, zdejmuje się jedno, nakłada drugie. Tak to jest zaprojektowane.

– Nawet w tych starych, drewnianych?

– Tak. Przypuszczam, że te groty myśliwskie pochodziły ze starych, drewnianych strzał z klubu. Ktoś je zdjął i zastąpił grotami do strzelania do tarczy.

Gamache skinął głową. Ben poinformował ich, że zebrał stare, drewniane strzały od rodzin, które wymieniały sprzęt myśliwski na nowszy. Strzały oryginalnie miały groty myśliwskie, które musiał zastąpić tymi do strzelania do tarczy.

– Dobrze. Proszę je wszystkie wysłać do laboratorium.

– Już są w drodze – powiedziała Lacoste, siadając obok Nichol, która lekko odsunęła swoje krzesło.

– O której jesteśmy umówieni z notariuszem Stickleyem w sprawie testamentu? – zapytał Gamache Nichol. Yvette Nichol wiedziała doskonale, że to o pierwszej trzydzieści, ale dostrzegła okazję, by udowodnić, że zarejestrowała naukę, jakiej udzielił jej tego ranka.

– Nie pamiętam.

– Przepraszam?

Ha, załapał. Odpowiedział jej z użyciem innego kluczowego wyrażenia. Szybko przypomniała sobie inne wyrażenia, które miały zapewnić awans. Nie pamiętam, przepraszam, potrzebuję pomocy – i co tam jeszcze było?

– Nie wiem.

Teraz nadinspektor Gamache patrzył na nią z prawdziwym niepokojem.

– Rozumiem. Czy może zapisała to pani?

Rozważała użycie ostatniej frazy, ale nie była w stanie zmusić się, by powiedzieć „potrzebuję pomocy”. Gamache spojrzał we własne notatki.

– O pierwszej trzydzieści. Przy odrobinie szczęścia uda nam się wejść do domu panny Neal, jak już się uporamy z testamentem.

Wcześniej zadzwonił do swego starego przyjaciela i kolegi z uczelni, naczelnika Brébeufa. Brébeuf awansował wyżej niż Gamache, na stanowisko, o które obydwaj się ubiegali, ale nie wpłynęło to na ich relacje. Gamache

szanował Brébeufa i lubił go. Naczelnik sympatyzował z Gamache'em, ale nie mógł nic obiecać.

– Na miłość boską, Armand, wiesz, jak to działa. To wyjątkowo śmierdzący pech, że znalazła kogoś, kto faktycznie podpisał nakaz sądowy. Wątpię, czy uda się znaleźć sędziego, który anulowałby decyzję kolegi.

Gamache potrzebował dowodu: albo świadczącego, że to było morderstwo, albo że Yolande Fontaine nie odziedziczyła domu. Jego telefon zadzwonił w momencie, gdy kontemplował rozmowę z notariuszem.

– *Oui, allô?*

Wstał z miejsca, żeby odebrać telefon w zaciszniejszej części pokoju.

– Myślę, że rytuał byłby idealny – powiedziała Clara, podnosząc do ust kawałek chleba, mimo że nie była naprawdę głodna. – Uważam jednak, że to powinny być same kobiety. I to niekoniecznie tylko bliskie przyjaciółki Jane, ale wszystkie, które zechcą wziąć udział.

– Cholera – odezwał się Peter, który był na rytuałach z okazji przesilenia letniego i uważał je za krępujące i bardzo dziwaczne.

– Kiedy chciałabyś go urządzić? – zapytała Clare Myrna.

– Może w przyszłą niedzielę?

– Dokładnie tydzień od śmierci Jane – przypomniała Ruth.

Clara zauważyła Yolande z rodziną wchodzących do bistro i wiedziała, że będzie musiała coś powiedzieć. Zbierając się w sobie, podeszła do nich. W bistro zapanowała taka cisza, że nadinspektor Gamache zauważył nagły spadek natężenia hałasu w sąsiednim pomieszczeniu i rozłączył rozmowę telefoniczną. Stąpając na palcach, stanął tuż przy wejściu dla kelnerów. Stąd mógł wszystko widzieć i słyszeć, sam nie będąc widziany. Pomyślał, że nikt nie jest dobry w tej robocie, jeśli nie umie się skradać. A potem zauważył za sobą kelnerkę, stojącą cierpliwie z tacą wędlin.

– To powinno być niezłe – szepnęła. – Szynki szwarcwaldzkiej?

– Dziękuję.

Wziął plasterek.

– Yolande – powiedziała Clara, wyciągając rękę. – Tak mi przykro z powodu twojej straty. Twoja ciotka była cudowną kobietą.

Yolande popatrzyła na wyciągniętą rękę, ujęła ją na moment i zaraz wypuściła, mając nadzieję, że sprawia wrażenie nieutulonej w żalu. To by zadziało, gdyby nie miała do czynienia z publicznością przyzwyczajoną do jej emocjonalnego repertuaru. Nie wspominając o jej faktycznej relacji z Jane Neal.

– Przyjmij, proszę, moje kondolencje – ciągnęła Clara, czując się sztywno i sztucznie.

Yolande skłoniła głowę i podniosła do suchych oczu papierową serwetkę.

– Przynajmniej ta serwetka będzie się nadawać do ponownego użycia – zauważył Olivier, który także spoglądał przez ramię Gamache’a. – Cóż za żalosna postać. Naprawdę przykro na to patrzeć. Może ciastko?

Olivier trzymał tacę z napoleonkami, bezami, kawałkami ciasta z owocami i małymi kremowymi tartaletkami, pokrytymi galaretką z owocami. Gamache wybrał jedną z maleńkimi, leśnymi jagodami.

– Dziękuję.

– Jestem oficjalnym dostawcą jedzenia na katastrofę, która ma się tu wydarzyć. Nie mam pojęcia, dlaczego Clara to robi; wie doskonale, co Yolande od lat wygadywała o niej za jej plecami. Obrzydliwa kobieta.

Gamache, Olivier i kelnerka gapili się na scenę rozgrywającą się w ciszy, jaka zapanowała w bistro.

– Jak wiesz, ja i moja ciotka byłyśmy bardzo blisko ze sobą – powiedziała Yolande Clarze prosto w twarz, najwyraźniej wierząc w każde swoje słowo. – Wiem, że nie pogniewasz się, jeśli powiem, że wszyscy uważamy, że zabrałaś ją jej prawdziwej rodzinie. Wszyscy, z którymi rozmawiałam, zgadzają się ze mną. Ale pewnie nie zdawałaś sobie sprawy z tego, co robisz. – Yolande uśmiechnęła się z ukontentowaniem.

– O, Boże – szepnęła Ruth do Gabriego. – Zaczyna się.

Peter ścisnął oparcia swego fotela, gotowy wyskoczyć z całą siłą i wrzasnąć na Yolande. Wiedział jednak, że Clara musi w końcu się postawić. Czekał na odpowiedź Clary. Cała sala czekała.

Clara wzięła oddech i nic nie powiedziała.

– Zajmę się organizacją pogrzebu mojej ciotki – brnęła dalej Yolande. – Najprawdopodobniej urządzimy go w kościele katolickim w St. Rémy. To kościół André. – Wyciągnęła rękę, by ująć dłoń męża, ale w obu trzymał

olbrzymią kanapkę z wysypującym się z niej mięsem i ociekającą majonezem. Bernard, syn Yolande, ziewnął, odsłaniając usta pełne na wpół przeżutego jedzenia.

– Prawdopodobnie zamieszczę też nekrolog w gazecie, na pewno go zobaczysz. Ale może masz jakiś pomysł na napis na nagrobku? Tylko nic dziwnego, wiesz, że mojej ciotce by się to nie podobało. Tak czy inaczej, pomyśl o tym i daj mi znać.

– Jeszcze raz, bardzo mi przykro z powodu Jane.

Gdy Clara szła porozmawiać z Yolande, czuła, że to nastąpi. Z jakiegoś niepojętego powodu Yolande zawsze wiedziała, jak zaleźć jej za skórę. Raniła ją tam, gdzie inni nawet nie mogli dosięgnąć. Było jedną z wielkich tajemnic istnienia, jak ta kobieta, której kompletnie nie szanowała, potrafiła przejechać się po niej jak walec. Clara myślała, że będzie na to gotowa. Żywiła nawet nieśmiałą nadzieję, że może tym razem będzie inaczej. Ale oczywiście nie było.

Clara na wiele lat zapamiętała swoje emocje z tamtej chwili. Znów czuła się jak brzydka dziewczynka na szkolnym podwórku. Niekochane dziecko, niezasługujące na miłość. Z płaskostopiem, niezgrabne, powolne i wyśmiewane. Dziecko, które wybuchało śmiechem w niewłaściwych momentach, wierzyło w absurdalne historie i desperacko pragnęło, by ktoś, ktokolwiek, je polubił. Głupia, głupia, głupia. Słuchająca pokornie w szkole, z pięścią zaciśniętą pod ławką. Chciała pobiec do Jane, która sprawiłaby, że poczułaby się lepiej. Wzięłaby ją w te swoje pełne, dobre ramiona i powiedziała magiczne słowa: „No dobrze już, dobrze”.

Ruth Zardo także zapamiętała ten moment i zamieniła go w poezję. Został opublikowany w jej następnym tomie, zatytułowanym *Nic mi nie jest*:

Byłaś ćmą

Ocierając się o mój policzek w mroku.

Zabiłam cię, nie wiedząc,

że byłaś tylko ćmą, bez żądła.

Najbardziej jednak Clara zapamiętała toksyczny śmiech André, który brzmiał jej w uszach, gdy w milczeniu szła z powrotem do swojego stolika, tak bardzo daleko. To był rodzaj śmiechu, jaki wydaje niedostosowane dziecko na widok

krzywdzonego, cierpiącego stworzenia. Ten dźwięk był znajomy.

– Kto dzwonił? – zapytał Beauvoir, gdy Gamache osunął się z powrotem na swoje miejsce. Beauvoir nie miał pojęcia, że jego szef wyszedł nie tylko do łazienki.

– Doktor Harris. Nie wiedziałem, że mieszka niedaleko stąd, w miejscowości, która nazywa się Cleghorn Halt. Powiedziała, że przywiezie raport po drodze do domu, około piątej po południu.

– Wyznaczyłem zespół do zorganizowania biura operacyjnego i wysłałem grupę do lasu, żeby przeszukali go jeszcze raz. Podejrzewam, że strzała może być w trzech miejscach: w ziemi w lesie, w posiadaniu mordercy, albo, jeśli mamy szczęście, pomiędzy tymi, które Lacoste znalazła w klubie łuczniczym.

– Pełna zgoda.

Beauvoir rozdzielił zadania, wysyłając dwójkę agentów, by przesłuchali Gusa Henneseya i Claude'a LaPierre'a na temat incydentu z nawozem. Philippe'a Crofta przesłuchał osobiście. Potem dołączył do Gamache'a na zewnątrz i spacerowali przez skwerek miejski ramię w ramię pod parasolami.

– Paskudna pogoda – powiedział Beauvoir, podnosząc kołnierz płaszcza i wstrząsając się pod zacinającym deszczem.

– Ma dalej padać i robi się zimniej – odpowiedział Gamache automatycznie, po czym nagle uświadomił sobie, że udziela mu się mentalność mieszkańców miasteczka, a przynajmniej ich nieustanne rozmowy o pogodzie.

– Co pan myśli o agentce Nichol, Jean Guy?

– Nie mam pojęcia, jak z takim podejściem dostała się do Sûreté, nie wspominając już o awansie do wydziału zabójstw. Nie potrafi pracować w zespole, praktycznie nie potrafi obchodzić się z ludźmi, nie potrafi słuchać. Zdumiewające. Zmusza mnie to do myślenia o tym, o czym pan mówił od lat, że niewłaściwi ludzie dostają awanse.

– Myśli pan, że zdoła się nauczyć? Jest młoda, prawda? Ze dwadzieścia pięć lat?

– To nie taka młoda. Lacoste nie jest dużo starsza. Zupełnie nie jestem przekonany, że to kwestia wieku, raczej osobowości. Przypuszczam, że jeśli się nie upilnuje, w wieku lat pięćdziesięciu będzie taka sama, jeśli nie gorsza. Czy może się nauczyć? Niewątpliwie. Ale czy potrafi się oduczyć? Pozbyć się

niewłaściwego nastawienia?

Beauvoir zauważył, że po twarzy nadinspektora spływa deszcz. Chciał go wytrzeć, ale powstrzymał ten impuls.

Już w trakcie tego, jak mówił, Beauvoir uświadomił sobie, że popełnił błąd. To jakby podsunąć miód niedźwiedziowi. Widział, jak oblicze nadinspektora zmienia się, wyraz twarzy posępnego badacza problemu ustępuje miejsca minie mentora. Będzie próbował ją naprawić. Boże, zaczyna się – pomyślał Beauvoir. Szanował Gamache'a bardziej niż jakąkolwiek inną ludzką istotę, ale widział skazę, być może fatalną, w jego pragnieniu pomagania ludziom zamiast po prostu ich zwolnić. Gamache miał o wiele za dużo współczucia. Beauvoir czasem zazdrościł mu tego daru, ale przez większość czasu przyglądał się mu podejrzliwie.

– Cóż, może ciekawość utemperuje jej potrzebę, by mieć rację.

Beauvoir miał nadzieję, że skorpion wyrzeknie się żądła.

– Nadinspektorze?

Obydwaj mężczyźni podnieśli wzrok i zobaczyli Clarę Morrow; biegła przez deszcz, a jej mąż, Peter, walczący z parasolem, z trudem dotrzymywał jej kroku.

– Przyszło mi do głowy coś dziwnego.

– Ach, posiłek czyni cuda – rzekł z uśmiechem Gamache.

– Cóż, to drobiazg, ale kto wie. Wydało mi się to bardzo dziwnym zbiegiem okoliczności i pomyślałam, że powinien pan wiedzieć. Chodzi o malarstwo Jane.

– Nie przypuszczam, żeby to miało wielkie znaczenie – powiedział Peter, zmoknięty i nadąsany. Clara rzuciła mu zaskoczone spojrzenie, które Gamache skwapliwie zauważył.

– Otóż Jane malowała przez całe życie, ale nigdy nikomu nie pozwalała oglądać swoich prac.

– To nie takie dziwne, prawda? – zauważył Beauvoir. – Masa artystów i pisarzy trzyma swoje prace w tajemnicy. Bez przerwy się o tym czyta. Potem po śmierci ich dzieło zostaje odkryte i przynosi fortunę.

– To prawda, ale w tym przypadku było inaczej. W zeszłym tygodniu Jane zdecydowała pokazać swoją pracę na Arts Williamsburg. Podjęła decyzję w piątek rano, a komisja kwalifikacyjna była w piątek po południu. Jej praca

została przyjęta.

– Zakwalifikowała się i została zamordowana. To jest dziwne.

– Skoro mowa o dziwactwach, czy to prawda, że panna Neal nigdy nie zapraszała nikogo do swojego salonu? – chciał wiedzieć Gamache.

– To prawda – potwierdził Peter. – Tak się do tego przyzwyczailiśmy, że już nawet nie wydawało nam się dziwne. To było jak kulenie albo chroniczny kaszel, jak myślę. Mała anomalia, która staje się czymś normalnym.

– Ale dlaczego nie?

– Nie wiem – przyznała Clara, sama tym skonfundowana. – Jak powiedział Peter, tak się do tego przyzwyczaiłam, że nie wydawało mi się dziwne.

– Nigdy nie zapytaliście?

– Czy zapytaliśmy Jane? Podejrzewam, że tak, gdy tylko się sprowadziliśmy. A może pytaliśmy Timmer i Ruth, ale wiem z całą pewnością, że nigdy nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Wygląda na to, że nikt nie wie. Gabri twierdzi, że miała w pokoju pomarańczowy dywan ze sztucznego futra i pornografię.

Gamache się roześmiał.

– A co pani myśli?

– Po prostu nie wiem.

Stwierdzenie to powitała cisza. Gamache zamyślił się nad tą kobietą, która zdecydowała się żyć tak długo z tyloma tajemnicami, a nagle postanowiła wyjawić je wszystkie. I zginęła z tego powodu? Oto jest pytanie.

Maître Norman Stickley stał za swoim biurkiem, kiwając głową na powitanie, po czym usiadł, nie zapraszając trzech stojących przed nim policjantów, by zrobili to samo. Założył wielkie, okrągłe okulary i patrząc w swoje akta, rozpoczął przemowę.

– Ten dokument sporządzono dziesięć lat temu, jest bardzo prosty. Z wyjątkiem kilku małych zapisów większość majątku przechodzi na jej siostrzenicę, Yolande Marie Fontaine, lub jej krewnych. To oznacza dom w Three Pines z całą jego zawartością plus wszystkie pieniądze, jakie zostaną po opłaceniu pozostałych zapisów testamentu, kosztów pochówku oraz ewentualnych wydatków poniesionych przez wykonawców testamentu. No i podatków, oczywiście.

– Kto jest wykonawcą testamentu? – zapytał Gamache, przyjmując cios zadany swemu śledztwu bez mrugnięcia okiem, ale przeklinając w duchu. Czuł, że coś tu jest nie tak. Pomyślał, że może to tylko jego duma; był zbyt uparty, by przyznać, że się mylił i że ta staruszka – co zrozumiałe – zostawiła w spadku dom jedynej żyjącej krewnej.

– Ruth Zardo z domu Kemp oraz Constance Hadley z domu Post, znana, jak sądzę, jako Timmer.

Ta lista wprowadziła Gamache'a w niepokój, choć nie potrafił powiedzieć, dlaczego. Czy chodziło o same osoby? O ich dobór? O co?

– Czy panna Neal sporządziła u pana inne wersje testamentu? – zapytał Beauvoir.

– Owszem. Sporządziła testament pięć lat przed tym.

– Czy ma pan jeszcze kopię?

– Nie. Myśli pan, że mam miejsce, żeby trzymać stare dokumenty?

– Pamięta pan, co w nim było? – zapytał Beauvoir, spodziewając się kolejnej defensywnej i oschłej odpowiedzi.

– Nie. Czy pan...

Gamache mu przerwał.

– Jeśli nie przypomina pan sobie dokładnych zapisów testamentu, być może pamięta pan z grubsza, co spowodowało, że pięć lat później go zmieniła? – zapytał, starając się zabrzmieć tak rzeczowo i przyjaźnie jak to tylko możliwe.

– Nie ma nic dziwnego w tym, że ludzie spisują testamenty co parę lat – powiedział Stickley, a Gamache zaczął się zastanawiać, czy z lekka płacziwy ton nie jest przypadkiem jego naturalnym sposobem mówienia. – W rzeczy samej zalecamy, by nasi klienci robili to co dwa do pięciu lat. Oczywiście – dodał Stickley, jak gdyby broniąc się przed oskarżeniem – nie z powodu opłat notarialnych, ale dlatego, że zwykle co parę lat okoliczności się zmieniają. Rodzą się dzieci, przychodzą wnuki, współmałżonkowie umierają, zdarzają się rozwody...

– Wielki korowód życia – wtrącił się Gamache, by zatrzymać tę wyliczankę.

– Właśnie.

– A jednak, *maître* Stickley, ostatni testament panny Neal ma dziesięć lat.

Jaki może być tego powód? Myślę, że możemy uznać, że sporządziła ten, ponieważ poprzedni był już nieważny. Ale – Gamache pochylił się w przód i postukał palcem w długi, cienki dokument leżący przed notariuszem – ta ostatnia wola także jest już nieaktualna. Czy jest pan pewien, że to najnowsza wersja?

– Oczywiście, że tak. Ludzie są zajęci, a sporządzenie testamentu często nie jest ich priorytetem. To może być nieprzyjemny obowiązek. Jest cała masa powodów, dla których ludzie to odwlekają.

– Czy mogła pójść do innego notariusza?

– Niemożliwe. Czuję się dotknięty taką sugestią.

– Skąd pan wie, że to niemożliwe? – Gamache nie dawał za wygraną. – Czy aby na pewno by panu o tym powiedziała?

– Po prostu wiem. To małe miasteczko, dowiedziałbym się. *Point finale.*

Gdy wychodzili z kopią testamentu, Gamache zwrócił się do Nichol:

– Nie jestem przekonany co do tego testamentu. Chciałbym panią o coś prosić.

– Tak, sir – Nichol nagle nadstawiła uszu.

– Proszę się dowiedzieć, czy to najnowsza wersja. Może się pani tym zająć?

– *Absolument.*

Nichol praktycznie lewitowała.

– Dzień dobry! – zawołał Gamache, wychylając głowę za drzwi Arts Williamsburg. Po wizycie u notariusza poszli do galerii, mieszczącej się w pięknie zachowanym i odrestaurowanym budynku dawnej poczty. Jej ogromne okna wpuszczały całe światło, którego niebo oferowało tak niewiele; to szare światło padało na wąską, wyslizganą, drewnianą podłogę i ocierało się o niepokalanie białe ściany niewielkiego, otwartego pomieszczenia, nadając mu niemal widmowy poblask.

– Dzień dobry! – zawołał jeszcze raz. W centrum pomieszczenia zauważył stary, brzuchaty piec opalany drewnem. Był piękny. Prosty, nieskomplikowany, pozbawiony elegancji – po prostu wielki, czarny piec, który od ponad stu lat chronił przed kanadyjskim zimmem. Nichol znalazła przełącznik i włączyła światło. Na ścianach wisiały ogromne, abstrakcyjne płótna. To zaskoczyło

Gamache'a. Spodziewał się ładniutkich, wiejskich akwarelek, romantycznych i cieszących się popularnością wśród kupujących. Tymczasem otaczały go wysokie na trzy metry olśniewające pasy i kule. Sprawiały wrażenie młodości, energii i siły.

– Dzień dobry.

Nichol zaczęła mówić, ale Gamache właśnie się odwrócił i zobaczył idącą w ich kierunku Clare, ze spinką trzymającą się na kilku pasmach włosów.

– Znów się spotykamy – powiedziała z uśmiechem. – Po całej tej rozmowie o obrazie Jane chciałam przyjść i zobaczyć go znowu, posiedzieć z nim chwilę w ciszy. To trochę jak posiedzieć z jej duszą.

Nichol wywróciła oczami i jęknęła. Beauvoir natychmiast to zauważył i zastanawiał się, czy była równie nieznośna i ograniczona w swoich poglądach, gdy nadinspektor mówił o swoich uczuciach i intuicji.

– I ten zapach. – Clara wciągnęła powietrze z pasją, ignorując Nichol. – Każdy artysta reaguje na ten zapach. Porusza serce. To jak wejść do babcinego domu i poczuć zapach świeżych ciasteczek z czekoladą. Dla nas to połączenie werniksu, farb olejnych i fiksatywy. Nawet akryle mają zapach, jeśli się dobrze powącha. Policjanci też muszą mieć jakieś zapachy, na które reagują.

– Cóż – powiedział Gamache ze śmiechem, wspominając poprzedni poranek – kiedy agentka Nichol przyjechała mnie zabrać z domu, przyniosła kawę od Tima Hortona. Z podwójnym cukrem i śmietanką. To sprawia, że serce bije mi jak szalone – tu uniósł dłoń, złożył ją na piersi i został w tej pozycji – w sposób całkowicie i wyłącznie związany z prowadzeniem śledztwa. Choćbym nawet wszedł do sali koncertowej, jeśli poczuję zapach kawy Tim Horton z podwójnym cukrem i śmietanką, zaraz zacznę się rozglądać za zwłokami na podłodze.

Clara się roześmiała.

– Jeśli pan lubi obrysowywać kontury ciała kredą, z pewnością spodobają się panu prace Jane. Cieszę się, że przyszedł pan je zobaczyć.

– Czy to to? – Gamache popatrzył dokoła na energiczne abstrakcje.

– Ani trochę nie są podobne. To inny artysta. Ta wystawa kończy się za tydzień, a wtedy powiesimy prace członków stowarzyszenia. Otwarcie za jakieś dziesięć dni. Nie w ten piątek, tylko w następny.

– Wernisaż?

– Dokładnie. Dwa tygodnie po werdykcie komisji.

– Mogę prosić na słowo? – Beauvoir odciągnął Gamache’a kilka kroków dalej.

– Mam wiadomości od Lacoste. Właśnie rozmawiała z lekarzem Timmer Hadley. Jej śmierć była kompletnie naturalna, wedle jego opinii. Rak nerek. Z przerzutami na trzustkę i wątrobę; to była tylko kwestia czasu. Tak się składa, że żyła dłużej, niż lekarz się spodziewał.

– Czy zmarła w domu?

– Tak, drugiego września tego roku.

– W Labour Day – zauważyła Nichol, która podeszła bliżej i przysłuchiwała się.

– Pani Morrow! – zawołał Gamache do Clary, starającej się zachować pełen szacunku dystans, by nie wyglądało, że podsłuchuje, podczas gdy wszystko słyszała. – Co pani o tym myśli?

Oj, oj. Przyłapano ją, i tym razem uczyniła to policja. Uświadomiła sobie, że nie ma sensu się krygować.

– Oczekiwaliśmy że Timmer umrze, ale i tak jej śmierć była niejaką niespodzianką – powiedziała Clara, przyłączając się do kółka rozmówców. – Chociaż nie, to może przesada. Zmienialiśmy się przy niej. Tego dnia była kolej Ruth. Umówiły się wcześniej, że jeśli Timmer będzie się dobrze czuła, Ruth wymknie się na paradę na zakończenie lokalnego jarmarku. Timmer zapewniła, że jest w niezłej formie. Ruth dała jej lekarstwa, przyniosła świeżą szklanekę koktajlu proteinowego i potem wyszła.

– Po prostu zostawiła umierającą kobietę bez opieki – stwierdziła Nichol. Clara odpowiedziała cicho:

– Tak. Wiem, że to wydaje się brakiem troski, a nawet czymś samolubnym, ale wszyscy opiekowaliśmy się nią od tak dawna, że wiedzieliśmy, kiedy czuje się lepiej, a kiedy gorzej. Wszyscy wymykaliśmy się na pół godziny: żeby zrobić jej pranie albo zakupy, albo coś niedużego ugotować. Nie było to więc aż tak niezwykle, jak się może wydawać. Ruth nigdy by nie wyszła – Clare zwróciła się do Gamache’a – gdyby miała choćby najłżejsze przecucie, że z Timmer jest źle. To było dla niej okropne: wróciła i znalazła ją martwą.

– Tak więc było to nieoczekiwane.

– W pewnym sensie tak. Ale potem dowiedzieliśmy się od lekarzy, że często tak się dzieje. Serce po prostu nie wytrzymuje.

– Czy przeprowadzono sekcję zwłok? – dopytywał się Gamache.

– Nie. Nikt nie uważał, że to konieczne. Dlaczego interesuje panów śmierć Timmer?

– Jesteśmy tylko skrupulatni – odparł Beauvoir. – To prowokuje pytania, gdy dwie starsze kobiety umierają w odstępie ledwie kilku tygodni w tak małym miasteczku. Tylko tyle.

– Ale jak pan wspominał, obydwie były mocno starsze. Można się było tego spodziewać.

– Poza tym, że jedna z nich umarła z dziurą w sercu – wtrąciła się Nichol. Clara się wzdrygnęła.

– Mogę prosić na słowo? – Gamache wyprowadził Nichol na zewnątrz.

– Agentko, jeśli jeszcze kiedyś potraktuje pani kogoś w taki sposób, w jaki odnosi się pani do pani Morrow, zabiorę pani odznakę i odeślę autobusem do domu, czy to jasne?

– Ale co ja takiego straszego powiedziałam? Taka jest prawda.

– I co, myśli pani, że ona nie wie, że Jane Neal została zabita strzałą? Naprawdę nie wie pani, co zrobiła źle?

– Powiedziałam tylko prawdę.

– Nie. „Tylko” potraktowała pani inną ludzką istotę jak idiotkę. Według mnie celowo, tylko po to, żeby ją zranić. Ma pani robić notatki i siedzieć cicho. Porozmawiamy o tym dłużej dziś wieczorem.

– Ale...

– Traktowałem panią z szacunkiem i uprzejmie, ponieważ z wyboru tak traktuję wszystkich. Ale nigdy, przenigdy proszę nie mylić dobroci ze słabością. Nigdy więcej proszę ze mną nie dyskutować. Zrozumiano?

– Tak jest.

Nichol obiecała sobie, że skoro tak jej się odwdzięczają za odwagę mówienia tego, co myśli, będzie odtąd zachowywać swoje opinie dla siebie. Jak ją wprost zapytają, odpowie półsłówkiem. I tyle.

– No więc to jest obraz Jane – powiedziała Clare, wyciągając z magazynu średniej wielkości płótno i ustawiając je na sztaludze. – Nie wszystkim się podobał.

Nichol miała na końcu języka: „Nie może być?”, ale przypomniało jej się, co sobie obiecała.

– A pani? – zapytał Beauvoir.

– Z początku nie, ale im dłużej na niego patrzyłam, tym bardziej mi się podobał. Jakby coś w nim nagle rozbłysło. Z początku widziałam rysunek jaskiniowca, ale potem coś bardzo poruszającego. Po prostu tak. – Tu Clara pstryknęła palcami.

Gamache pomyślał, że musiałby gapić się na ten obraz przez resztę życia, zanim przestałby mu się wydawać idiotyczny. Ale coś w nim było, miał pewien urok.

– Tu są Nellie i Wayne – zauważył zaskoczony, wskazując dwie fioletowe postaci na trybunie.

– A tu Peter. – Clara wskazała na placek z oczami i ustami, ale bez nosa.

– Jak ona to robiła? Jak mogła uchwycić tych ludzi tak dokładnie, dając im ledwie dwie kropki zamiast oczu i falistą linię zamiast ust?

– Nie wiem. Jestem artystką i byłam nią przez całe życie, ale nie umiałabym tego zrobić. Ale jest w nim coś więcej. Pewna głębia. Chociaż gapiłam się na niego przeszło godzinę i ten moment rozbłysku nie nastąpił po raz drugi. Może za bardzo mi zależy. Może magia działa tylko wtedy, gdy się jej nie szuka.

– Czy to dobry obraz? – zapytał Beauvoir.

– Oto jest pytanie. Nie wiem. Peter uważa, że jest genialny, a reszta komisji, z jednym wyjątkiem, była gotowa zaryzykować.

– Zaryzykować co?

– To może pana zaskoczyć, ale artyści są pełnymi temperamentu skurczybykami. Jeśli praca Jane została zaakceptowana na wystawę, czyjaś inna musiała zostać odrzucona. Ten ktoś byłby wściekły. Podobnie jak jego krewni i przyjaciele.

– Czy dość wściekły, by zabić? – zapytał Beauvoir.

Clara się roześmiała.

– Absolutnie panu gwarantuję, że ta myśl przemknęła w pewnym momencie przez nasze artystyczne głowy, a w niektórych nawet się zagnieżdżyła. Ale zabić kogoś z powodu odrzucenia przez Arts Williamsburg? Nie. Poza tym, jeśli ktoś miałby zostać za to zamordowany, to członkowie komisji, nie Jane. A skoro o tym mowa, nikt poza członkami komisji nie wiedział, że ta praca została zaakceptowana. Posiedzenie komisji odbyło się ledwie w zeszły piątek.

A wydaje się tak dawno temu – pomyślała.

– Nawet panna Neal nie wiedziała?

– Powiedziałam jej w piątek.

– Czy ktoś jeszcze wiedział?

Teraz Clara poczuła się lekko zawstydzona.

– Rozmawialiśmy o tym przy kolacji tamtego wieczoru. To był taki wieczorek przed Świętem Dziękczynienia z przyjaciółmi, u nas w domu.

– Kto był na tej kolacji? – zapytał Beauvoir, wyciągając notes. Nie miał już zaufania do Nichol, że robi przyzwoite notatki. Nichol zauważyła to i obruszyła się niemal tak bardzo jak wtedy, kiedy polecono jej robić notatki. Clara wymieniła nazwiska obecnych.

W tym czasie Gamache wpatrywał się w obraz.

– Co on przedstawia?

– Paradę na zamknięcie tegorocznego lokalnego jarmarku. Tu – Clara wskazała kozę o zielonej twarzy, z pasterską laską – to Ruth.

– Na Boga, to naprawdę ona! – zawołał Gamache, a Beauvoir wybuchnął na to śmiechem. Podobieństwo było idealne. Musiał być ślepy, że to przegapił.

– Ale zaraz – zachwyty Gamache’a nagle zniknął – czy to nie zostało namalowane tego dnia, o tej samej porze, kiedy umierała Timmer Hadley?

– Tak.

– Jak zatytułowała ten obraz?

– *Dzień jarmarku.*

Nawet mimo deszczu i wiatru Gamache dostrzegał, jak piękna była ta okolica. Klony zmieniły kolor na głęboką czerwień i pomarańcz, a opadłe podczas burzy liście kładły się wzdłuż drogi i wąwozów jak gobelin. Trasa przejazdu zaprowadziła ich z Williamsburga w stronę Three Pines, przez pasmo górskie oddzielające te miejscowości. Szosa wiodła przez doliny i wzdłuż rzek, prawdopodobnie była niegdyś szlakiem dla dyliżansów. Potem Beauvoir skręcił w mniejszą, bitą drogę. Samochodem tak ostro rzucało na wielkich dziurach, że Gamache ledwie mógł czytać swoje notatki. Nadinspektor dawno już wytrenował swój żołądek tak, by nie reagował niezależnie od tego, w jakim pojeździe się znajdował, ale jego oczy okazały się dużo mniej odporne.

Beauvoir zwolnił przy dużej, metalowej skrzynce pocztowej w słonecznie żółtym kolorze. Namalowano na niej ręcznie numer oraz nazwisko „Croft”. Skręcił. Olbrzymie klony ciągnęły się wzdłuż podjazdu, tworząc tunel. Przez wściekle pracujące wycieraczki Gamache zobaczył biały, drewniany, wiejski dom. Wyglądał na wygodny i zamieszkały. Chyliły się ku niemu spóźnione słoneczniki i malwy. Dym z drewnianego paleniska sączył się z komina, porywany przez wiatr i unoszony do położonego dalej lasu.

Gamache pomyślał, że domy są jak autoportrety. Ludzie wybierają kolor, meble, obrazki. Każdy detal ujawnia osobowość. Bóg, a może diabeł, tkwi w szczegółach. Podobnie jak człowiek. Czy dom był brudny, czy obsesyjnie wysprzątnięty? Czy wystrój dobrano, by robić wrażenie, czy by stanowił mozaikę osobistej historii? Czy przestrzeń była zagracona czy otwarta? Za każdym razem, gdy wchodził do domu w trakcie śledztwa, czuł podniecenie. Desperacko pragnął się dostać do domu Jane Neal, ale to musiało poczekać. Na razie mieli się przed nim odsłonić Croftowie.

Gamache zwrócił się do Nichol.

– Proszę mieć oczy otwarte i robić dokładne notatki ze wszystkiego, o czym będzie mowa. I tylko słuchać, rozumiano?

Nichol rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

– Zadałem pani pytanie, agentko Nichol.

– Jasne. – A potem, po znaczącej pauzie, dodała: – Tak jest.

– Dobrze. Inspektorze Beauvoir, zechce pan poprowadzić?

– Tak – odpowiedział Beauvoir, wysiadając z samochodu.

Matthew Croft czekał przy siatkowych drzwiach. Gdy przybysze zdjęli swoje przemoknięte płaszcze, poprowadził ich wprost do kuchni. Wszystko w jasnych czerwieniach i żółciach. Wesołe naczynia i garnki w szafce. Czyste, białe firanki z brzegami haftowanymi w kwiatki. Gamache spojrzał przez stół na Crofta, który poprawiał na stole solniczkę i pieprzniczkę w kształcie kogucików. Wydawało się, że jego bystre oczy nigdy nie odpoczywają, cała jego postawa sprawiała wrażenie, jakby wyczekiwał, nasłuchiwał. Wszystko to było bardzo subtelne, ukryte pod przyjazną fasadą. Ale zawsze obecne – Gamache nie wątpił w to ani przez chwilę.

– Mam zestaw łucznicy na ganku. Mokro jest, ale jeśli ciągle chciałby pan, bym zademonstrował, mogę pokazać, jak się z tego strzela.

Croft powiedział to do Gamache'a, ale odpowiedział Beauvoir, odciągając jego spojrzenie od nadinspektora.

– To by nam bardzo pomogło, ale najpierw chciałem zadać kilka pytań, żeby mieć jasność w paru ogólnych kwestiach.

– Oczywiście, proszę śmiało pytać.

– Proszę mi opowiedzieć o Jane Neal i swojej z nią relacji.

– Nie byliśmy zbyt blisko. Czasami przychodziłem do niej do domu w odwiedziny. Dom był cichy. Spokojny. Dawno temu była moją nauczycielką, jeszcze w starej szkole.

– Jaką była nauczycielką?

– Niezwykłą. Miała tę niebywałą zdolność, że gdy na pana patrzyła, czuł się pan, jakby był jedyny na świecie.

Beauvoir wiedział. Armand Gamache miał taką samą umiejętność. Większość ludzi rozmawiając z kimś, rozgląda się jednocześnie po pokoju, kiwa czy macha do innych osób. Ale Gamache nigdy. Gdy na kogoś patrzył, ta osoba była całym wszechświatem. Beauvoir wiedział jednak, że jego szef rejestrował także

szczegóły wszystkiego, co się działo. Tyle że tego nie pokazywał.

– Czym się pan zajmuje zawodowo?

– Pracuję w departamencie drogowym w St. Remy.

– Co pan tam robi?

– Nadzoruję konserwację dróg. Deleguję ekipy naprawcze, oceniam poziom uszkodzeń. Czasami po prostu jeżdżę w poszukiwaniu uszkodzeń. Wolę nie dowiadywać się o nich wtedy, gdy wywraca się na nich jakiś samochód.

To zdarzało się o wiele za często. Normalnie śmierć przychodzi nocą, zabiera człowieka we śnie, zatrzymując mu serce albo łaskocze, aż ten rozbudzi się i da poprowadzić ze strasznym bólem głowy do łazienki, zanim tam skoczy na niego, zalewając mózg krwią. Czai się w zaułkach i na stacjach metra. Po zachodzie słońca ubrani na biało strażnicy odłączają wtyczki i zapraszają śmierć do sterylnych pokojów.

Ale wiejska śmierć przychodzi nieproszona, w ciągu dnia. Zabiera rybaków z ich łodzi. Łapie za kostki kąpiące się dzieci. W zimie woła do nich z podnóża stoków zbyt trudnych do zdobycia na ich dopiero rozwijające się umiejętności i krzyżuje czubki ich nart. Wyczekuje na brzegu, gdzie do niedawna śnieg spotykał się z lodem, lecz teraz ukryta przed czymkolwiek wzrokiem woda dotyka brzegu, a łyżwiarz zatacza krąg szerszy, niż zamierzał. Śmierć stoi w lesie o świcie i o zmroku, z łukiem i strzałą. W biały dzień ściąga samochody z drogi, z kołami buksującymi z furją w śniegu lub barwnych, jesiennych liściach.

Matthew Crofta zawsze wzywano do wypadków drogowych. Czasami był na miejscu jako pierwszy. Gdy z wysiłkiem wyswobadzał ciało poszkodowanego, umysł Matthew Crofta szybował do domu, do poezji. Zwykł recytować z pamięci wiersze, których nauczył się z książek pożyczonych od panny Neal. A najbardziej lubił poezje Ruth Zardo.

W ciche dni wolne od pracy często odwiedzał pannę Neal, siadał w ogrodzie na drewnianym fotelu, spoglądając przez floksy na strumień poniżej, i uczył się na pamięć wierszy, by móc nimi odgonić koszmary. Podczas gdy on je zapamiętywał, panna Neal robiła różową lemoniadę albo obrywała przekwitłe pąki z bylin rosnących wzdłuż ścieżek. Była świadoma ironii tego obrywania martwych kwiatowych główek, podczas gdy on przepędzał umarłych ze swej

głowy. Z jakiegoś powodu Matthew wzdrygał się przed opowiedzeniem o tym policji, przed wyjawianiem im aż tyle.

Nagle zeszywniał z lekka, gdy do jego uszu doszedł jakiś dźwięk. Moment później Gamache także to usłyszał. Suzanne otworzyła wiodące do kuchni drzwi z piwnicy i weszła do środka.

Suzanne Croft nie wyglądała dobrze. Na spotkaniu mieszkańców sprawiała wrażenie spiętej, ale to było nic w porównaniu z jej obecnym stanem. Cienka warstwa potu nadawała jej niemal przezroczystej skórze gładzi połysk. Gdy Gamache uścisnął lodowatą dłoń Suzanne, uświadomił sobie, że kobieta jest przerażona. Przerażona tak, że aż chora od tego. Gamache spojrzał na Crofta, który teraz nie próbował już nawet ukrywać strachu. Patrzył na żonę tak, jak się patrzy na widmo, na zjawę przynoszącą szczególnie okropną i osobistą wiadomość.

Ale ten moment przeminął. Twarz Matthew Crofta wróciła do normy i tylko bladość jego skóry zdradzała, co kryje się wewnątrz. Gamache zaoferował pani Croft swoje siedzisko, ale Matthew przyniósł stółek i sam usiadł na nim, podczas gdy żona zajęła jego krzesło. Nikt nic nie mówił. Gamache siłą woli próbował powstrzymać Beauvoira od odezwania się. Chciał, by ta cisza przeciągnęła się, aż nie wytrzyma dłużej. Ta kobieta skrywała w sobie coś okropnego, ale jej determinacja słabła.

– Chce pani szklankę wody? – zapytała Suzanne Croft Nichol.

– Nie, dziękuję, ale może zrobię herbaty.

To powiedziawszy, pani Croft poderwała się z miejsca i atmosfera chwili prysła. Gamache spojrzał na Nichol osłupiały. Jeśli próbowała wykoleić to dochodzenie i własną karierę, szło jej wprost śpiewająco.

– Proszę pozwolić, że pomogę – powiedziała Nichol, zrywając się z miejsca i łapiąc za czajnik.

Gdy Nichol się odezwała, rysy Beauvoira wykrzywił grymas złości, ale zaraz przykrył go zwykłą maską opanowania.

„Głupia, głupia baba”, przeklinał w duchu, mimo że na jego twarzy malował się dobroduszny półuśmiech. Ukradkiem spojrzał na Gamache’a i zauważył z satysfakcją, że szef także wpatruje się w Nichol, chociaż nie ze złością. Ku obrzydzeniu Beauvoira na twarzy nadinspektora malowało się coś, co

odczytywał jako pobłażanie. Czyż on się nigdy nie nauczył? Cóż, na miłość boską, skłania go do pomocy takim durniom?

– Czym się pani zajmuje, pani Croft? Pracuje pani?

Teraz, gdy cisza została przerwana, Beauvoir doszedł do wniosku, że równie dobrze może z powrotem przejąć inicjatywę. Już zadając pytanie, uświadomił sobie, że jest ono obraźliwe. To tak, jakby bycie matką nie wymagało pracy. Ale nie obchodziło go to.

– Trzy razy w tygodniu pomagam w punkcie ksero w St. Remy. Pomaga nam to związać koniec z końcem.

Teraz, gdy już zadał to pytanie, Beauvoir żałował, że to zrobił. Zastanawiał się, czy aby nie skondensował swojego gniewu na Nichol i nie rzucił go w twarz pani Croft. Rozejrzał się po pokoju i uświadomił sobie, że wszystkie drobiazgi, sprawiające, że wnętrze było przytulne, wykonano ręcznie – nawet plastikowe pokrycia krzeseł zostały zamontowane niewprawną ręką uzbrojoną w zszywacz; kilka z nich się odrywało. Ci ludzie umieli wiele zrobić niewielkim kosztem.

– Mają państwo dwoje dzieci, prawda? – Beauvoir otrząsnął się z chwilowego zawstydzenia.

– Zgadza się – odezwał się Matthew.

– Jak się nazywają?

– Philippe i Diane.

– Ładne imiona – powiedział w gęstniejącą ciszę. – Ile mają lat?

– Chłopak czternaście, dziewczynka osiem.

– A gdzie oni są?

Pytanie zawisło w powietrzu, jak gdyby obracający się glob stanął w miejscu. Niepowstrzymanie zmierzał ku temu pytaniu, Croftowie musieli o tym wiedzieć. Nie chciał, by byli nim zaskoczeni – nie z troski o ich rodzicielskie uczucia, ale dlatego, że chciał zobaczyć, jak nadchodzi ono z bardzo daleka, każąc na siebie czekać i czekać. Aż ich nerwy będą napięte do granicy pęknięcia. Aż obydwójce z przerażeniem zaczyną tęsknić za chwilą, gdy pytanie zostanie zadane.

– Nie ma ich w domu – odparła Suzanne, ściskając w dłoniach filiżankę.

Beauvoir czekał, uparcie patrząc na nią.

– Kiedy urządzacie państwo kolację na Święto Dziękczynienia?

Zmiana tematu była tak gwałtowna, że Suzanne Croft aż rozdziawiła usta, jakby Beauvoir nagle zaczął mówić szyfrem.

– Przepraszam, co?

– Jedną z fantastycznych rzeczy, które zauważyłem we własnym domu, jest ta, że zapach indyka unosi się w nim przez parę dni. No i oczywiście następnego dnia z żoną robimy zupę, więc to też zapach, który trudno przegapić.

Wziął głęboki wdech, a potem powoli, powoli omiół spojrzeniem czyste kuchenne blaty.

– Zamierzaliśmy obchodzić Święto Dziękczynienia w niedzielę – powiedział Matthew – ale gdy dowiedzieliśmy się o pannie Neal, postanowiliśmy to odłożyć.

– Na świętego nigdy? – zapytał Beauvoir z niedowierzaniem. Gamache zastanawiał się, czy inspektor trochę nie przesadził, ale Croftowie nie byli w stanie skrytykować jego postępowania.

– Gdzie jest Diane, pani Croft?

– U koleżanki. U Niny Levesque.

– A Philippe?

– Mówiłam panu, nie ma go. Wyszedł. Nie wiem, kiedy wróci.

Beauvoir pomyślał, że żarty się skończyły.

– Pani Croft, za moment wyjdziemy z pani mężem, żeby obejrzeć łuki i strzały. Gdy nas nie będzie, chciałbym, żeby się pani nad czymś zastanowiła. Chcemy porozmawiać z Philippe'em. Wiemy, że brał udział w incydencie z nawozem w Three Pines oraz że panna Neal go rozpoznała.

– Nie tylko jego – odpowiedziała pani Croft buntowniczo.

– Dwa dni później nie żyła. Musimy z nim porozmawiać.

– Nie miał z tym nic wspólnego.

– Jestem skłonny przyjąć, że pani w to wierzy. I może ma pani rację. Ale czy przypuszczała pani, że byłby zdolny zaatakować dwóch mężczyzn w Three Pines? Czy naprawdę zna pani syna, pani Croft?

Beauvoir trafił w czuły punkt, ale oczekiwał tego. Nie dlatego, żeby miał

jakiś szczególnie głęboki wgląd w rodzinę Croftów, ale dlatego, iż wiedział, że każdy rodzic nastolatka obawia się, że ma w domu obcego.

– Jeśli nie uda nam się porozmawiać z pani synem do czasu, gdy będziemy gotowi do wyjścia, postaramy się o nakaz i doprowadzimy go na przesłuchanie na komisariacie w St. Remy. Przed końcem dnia odbędziemy z nim rozmowę. Tu albo tam.

Nadinspektor Gamache obserwował to wszystko i wiedział, że muszą się jakoś dostać do tej piwnicy. Ci ludzie ukrywali coś lub kogoś. A cokolwiek to było, znajdowało się w piwnicy. Gamache pomyślał, że to dziwne. Mógłby przysiąc, że na spotkaniu mieszkańców Matthew Croft był zrelaksowany i naturalny. To Suzanne Croft się denerwowała. Teraz oboje byli spięci. Co się stało?

– Pani Croft, możemy teraz spojrzeć na te łuki i strzały? – zapytał Beauvoir.

– Jak pan śmie... – Croft aż dygotał ze złości.

– To nie jest kwestia śmiałości. – Beauvoir spojrzął mu twardo prosto w twarz. – Na spotkaniu dziś rano nadinspektor Gamache jasno powiedział, że absolutnie każdy z państwa będzie musiał odpowiadać na nieprzyjemne pytania. To cena, którą będziecie musieli zapłacić za to, by dowiedzieć się, kto zabił pannę Neal. Rozumiem pański gniew. Nie chce pan, żeby pańskie dzieci ucierpiały z tego powodu. Ale szczerze mówiąc, myślę, że już ucierpiały. Daję panu wybór. Możemy porozmawiać z pańskim synem tutaj albo na komisariacie w St. Remy.

Beauvoir zamilkł. I milczał. W duchu zastanawiał się, czy Nichol będzie miała czelność zaproponować ciasteczka. W końcu zaczął mówić dalej.

– Gdy zdarza się brutalna śmierć, normalne zasady życia ulegają zawieszeniu. Państwo i wasza rodzina jesteście jednymi z pierwszych ofiar tej sytuacji. Nie mam złudzeń co do tego, co robimy, i staramy się to robić tak delikatnie, jak to tylko możliwe. – Matthew Croft prychnął z obrzydzeniem. – I to dlatego daję panu wybór. A teraz proszę pokazać nam te łuki i strzały.

Matthew Croft wziął głęboki wdech.

– Tędy proszę.

Wyprowadził ich z kuchni na ganek.

– Pani Croft – powiedział Gamache, wsadzając głowę z powrotem do kuchni

dokładnie w momencie, gdy Suzanne Croft ruszała w stronę drzwi do piwnicy – czy zechce pani do nas dołączyć?

Ramiona Suzanne Croft opadły.

– Proszę. – Matthew Croft mógł zrobić tylko tyle, by być grzeczny. – To jest łuk refleksyjny, a to bloczkowy, a tu są strzały.

– Czy to jedyne dwa łuki, jakie pan ma? – zapytał Beauvoir, podnosząc strzały i zauważając, że nie były przeznaczone do strzelania do tarczy.

– Tak – powiedział Croft bez wahania.

Wyglądały dokładnie tak, jak w opisie, tyle że były większe. Beauvoir i Gamache podnosili jeden, potem drugi. Okazały się ciężkie – nawet ten prosty, refleksyjny.

– Czy mógłby pan założyć cięciwę na refleksyjny? – poprosił Beauvoir.

Matthew ujął łuk refleksyjny, wziął długą cięciwę z pętelkami na obydwu końcach, umieścił „kij” między nogami i przygiął, aż cięciwa wskoczyła w małe nacięcie na górze. Gamache zauważył, że wymagało to pewnej siły. Nagle mieli przed sobą „łuk Robin Hooda”.

– Mogę?

Croft wręczył łuk Gamache’owi; ten, biorąc go, zauważył na nim kurz. Ale nie brud. Potem Gamache zwrócił uwagę na łuk bloczkowy, który przypominał tradycyjny łuk o wiele bardziej, niż nadinspektor się spodziewał. Podniósł go, zauważając kłaki i pajęczyny pomiędzy niektórymi linkami. Tego łuku nie używano od jakiegoś czasu. I był o wiele cięższy, niż Gamache oczekiwał. Zwrócił się do pani Croft.

– Czy pani używa łuku do polowania czy do strzelania do tarczy?

– Czasami strzelam do tarczy.

– Którego łuku pani używa?

Po chwili wahania Suzanne Croft wskazała na łuk refleksyjny.

– Czy mogłaby pani zdjąć cięciwę?

– Dlaczego? – Matthew Croft zrobił krok naprzód.

– Chciałbym zobaczyć, jak pańska żona to robi. – Gamache zwrócił się do Suzanne: – Proszę.

Suzanne podniosła łuk refleksyjny, szybko oparła o nogę i przygięła łuk

ciężarem ciała, aż cięciwa się zsunęła. Było jasne, że robiła to wcześniej wiele razy. Nagle Gamache wpadł na pewien pomysł.

– Czy może pani założyć cięciwę z powrotem?

Suzanne wzruszyła ramionami, postawiła prosty teraz łuk przy nodze i przycisnęła jego górną część. Prawie nie dało to żadnego efektu. Potem przycisnęła z całej siły i umocowała cięciwę na górze, przywracając łukowi wygięcie. Bez słowa podała go Gamache'owi.

– Dziękuję – powiedział nadinspektor, zaskoczony. Miał przeczucie, ale okazało się nietrafne.

– Czy miałby pan coś przeciwko temu, byśmy wystrzelili kilka strzał?

– Nie, skądże.

Założyli znowu okrycia przeciwdeszczowe i cała piątka powędrowała w lekką mżawkę. Na szczęście gęsty deszcz zelżał. Matthew umocował okrągłą tarczę łuczniczą, zrobioną ze słomy owiniętej płótnem, na którym na czerwono namalowano kręgi celu. Ujął łuk refleksyjny, włożył na miejsce nową strzałę do strzelania do tarczy i odciągnął cięciwę w tył. Croft spędził dobrą chwilę, celując, po czym wypuścił strzałę. Trafiła w drugie kółko. Croft podał teraz łuk Gamache'owi, który z uśmiechem przekazał go Beauvoirovi. Beauvoir przyjął go z radością. Bardzo go kusilo, żeby spróbować, nawet już wyobrażał sobie, że raz po raz trafia w sam środek tarczy, aż kanadyjska reprezentacja łucznicza zaprasza go do udziału w olimpiadzie. Ten tak zwany sport wydawał mu się dziecinnie łatwy, zwłaszcza że inspektor był bardzo dobry w strzelaniu z pistoletu.

Problemy zaczęły się niemal od pierwszej chwili. Ledwie mu się udało naciągnąć cięciwę do końca. To było trudniejsze, niż sobie wyobrażał. Potem strzała, którą z wahaniem trzymał pomiędzy dwoma palcami, odmówiła pozostania na swoim miejscu na podstawce z przodu. Wreszcie był gotów do strzału. Zwolnił cięciwę; strzała wystrzeliła z łuku i chybiła o dobry kawał od tarczy. Nie chybiła za to sama cięciwa. Ułamek sekundy po tym, jak ją zwolniono, uderzyła w łokieć Beauvoira z taką siłą, że myślał, że utnie mu ramię. Zaskowyczał i upuścił łuk, bojąc się nawet spojrzeć na swoją rękę. Ból był potworny.

– Co się stało, panie Croft? – warknął Gamache, podchodząc do Beauvoira.

Croft nie śmiał się może, ale Gamache widział, że cała sytuacja sprawiła mu przyjemność.

– Proszę się nie martwić, nadinspektorze. Będzie miał tylko siniak na ramieniu. To się zdarza wszystkim amatorom. Cięciwa pociągnęła go za łokieć. Jak pan sam powiedział, wszyscy musimy być przygotowani na nieprzyjemności.

Croft posłał mu ciężkie spojrzenie i Gamache przypomniał sobie, że to jemu podał łuk jako pierwszemu. Właśnie jemu miało się to przydarzyć.

– Nic się panu nie stało?

Beauvoir tulił własne ramię i próbował zobaczyć, gdzie podziała się strzała. O ile nie wstrzelił się prosto w strzałę Crofta, o tyle jego własna chybiła celu. To było równie bolesne jak siniak.

– Nic mi nie jest, sir. To bardziej zaskoczenie niż ból.

– Na pewno?

– Tak.

Gamache zwrócił się do Crofta.

– Czy może mi pan pokazać, jak wystrzelić strzałę, nie obijając sobie ramienia?

– Sądzę, że tak. Zaryzykuje pan?

Gamache tylko popatrzył na niego wyczekująco, odmawiając udziału w żartach.

– Dobrze. Proszę ująć łuk w ten sposób. – Croft stanął obok Gamache'a i przytrzymał jego ramię w górze, podczas gdy nadinspektor chwycił łuk. – Teraz proszę skrócić łokieć, żeby był prostopadły do ziemi. Tak, dobrze. Teraz cięciwa przeleci tuż obok pańskiego łokcia zamiast w niego uderzyć. Dużo mniejsze pole rażenia. Tak przynajmniej sądzą.

Gamache się uśmiechnął. Jeśli cięciwa go uderzy, to uderzy. Przynajmniej, w odróżnieniu od Beauvoira, był na to przygotowany.

– Co jeszcze powinienem zrobić?

– Teraz prawą ręką proszę umieścić strzałę w taki sposób, żeby spoczęła na tej małej, drewnianej podstawce na łuku, a tylną częścią wsparła się na cięciwie. Dobrze. Teraz jest pan gotowy, by napiąć łuk. Czego należy unikać, to

przytrzymywania strzały zbyt długo, zanim się ją wystrzeli. Za moment pan zobaczy, dlaczego. Proszę się ustawić w takiej pozycji. – Croft odwrócił Gamache’a tak, by jego ciało było skierowane bokiem do tarczy. Lewe ramię nadinspektora zmęczyło się już od trzymania ciężkiego łuku.

– Tu jest celownik.

Croft wskazywał na nieprawdopodobnie małą szpilkę, taką jak te, które Gamache wyciągał z koszul odebranych z pralni chemicznej.

– Proszę ustawić główkę celownika na środku tarczy. Potem proszę jednym płynnym ruchem naciągnąć cięciwę, jeszcze raz sprawdzić celownik i jedziemy.

Croft się odsunął. Gamache opuścił łuk, by ramię mogło odpocząć, wziął wdech, powtórzył w myśli kolejne kroki, po czym wykonał je. Miętko podniósł ramię i zanim nałożył strzałę, wygiął łokieć, by nie znalazł się na drodze cięciwy. Potem umieścił strzałę na podstawce, umocował jej tylny koniec na cięciwie, ustawił główkę szpilki na środku tarczy i odciągnął cięciwę jednym płynnym ruchem. Tyle że nie był on do końca płynny. Nadinspektor miał wrażenie, jakby przeciągał linę z całą drużyną Montreal Canadiens, szarpiącą cięciwę w przeciwną stronę. Ramię drżało lekko, gdy w końcu udało mu się naciągnąć cięciwę całkiem do tyłu, prawie do własnego nosa, po czym puścił ją. W tym momencie było mu wszystko jedno, czy to cholerstwo utnie mu cały łokieć; po prostu chciał je już puścić. Strzała pomknęła dziko do przodu, chybiając celu niemal tak daleko jak strzała Beauvoira. Ale cięciwa także chybiła. Brzdęknęła z powrotem na miejsce, nawet nie musnąwszy łokcia Gamache’a.

– Bardzo dobry z pana nauczyciel, panie Croft.

– Najwyraźniej ma pan niskie standardy. Proszę spojrzeć, gdzie poleciała pańska strzała.

– Nie widzę jej. Mam nadzieję, że nie zginęła.

– Na pewno nie. Nigdy mi się nie zdarzyło zgubić strzały.

– Pani Croft – powiedział Gamache – pani kolej.

– Wolałabym nie.

– Proszę, pani Croft. – Nadinspektor wręczył jej łuk. Był wdzięczny, że mógł strzelić. Podsunęło mu to pewien pomysł.

– Nie strzelałam od dosyć dawna.

– Rozumiem. Proszę zrobić tyle, ile pani może.

Suzanne Croft ustawiła łuk do strzału, założyła strzałę, chwyciła za cięciwę i pociągnęła ją. I pociągnęła znowu. I znowu – aż w końcu zaczęła płakać i osunęła się na błotnistą ziemię, przytłoczona uczuciem, które nie miało nic wspólnego z tym, że nie dała rady wystrzelić z łuku. Matthew Croft natychmiast przyklęknął przy niej, przytulając ją. Gamache szybko ujął Beauvoira za ramię i odprowadził o dwa kroki dalej. Rozmawiali podnieconym szeptem.

– Musimy się dostać do tej piwnicy. Chcę, żeby pan zaproponował im ugodę. Nie zabierzemy Philippe’a na komisariat, jeśli zaprowadzą nas do piwnicy teraz, zaraz.

– Ale musimy porozmawiać z Philippe’em.

– Zgoda, ale nie możemy zrobić tych dwóch rzeczy jednocześnie, więc musimy im zaoferować coś, na czym im zależy. Chcą ochronić syna. Nie możemy osiągnąć obu rzeczy naraz, więc myślę, że to najlepsze, co możemy zrobić.

Beauvoir rozmyślał o tym, patrząc, jak Croft pociesza żonę. Nadinspektor miał rację. Philippe mógł poczekać. Ale piwnica prawdopodobnie nie. Po demonstracji jasne było, że pani Croft wie, jak się obchodzić z łukiem i strzałami, ale także, że nigdy nie strzelała z tego konkretnego łuku. Gdzieś musiał być jeszcze jeden, do którego była przyzwyczajona i którego mógł używać także Philippe. Prawdopodobnie znajdował się w piwnicy. Nozdrza inspektora uchwyciły zapach palonego drewna, unoszący się znad komina. Miał nadzieję, że nie jest za późno.

Peter i Clara wyprowadzali Lucy na spacer ścieżką przez las, prowadzącą z ich domu na drugą stronę rzeki Bella Bella. Gdy przeszli przez mostek, spuścili Lucy ze smyczy. Ruszyła dalej, nie okazując żadnego zainteresowania masą nowych zapachów. Deszcz przestał padać, ale gęsta trawa i ziemia były nim przesiąknięte.

– Na kanale pogodowym mówią, że ma się przejaśnić – powiedział Peter, kopiąc nogą kamyk.

– Ale i ochłodzić – zgodziła się Clara. – Nadciąga mróz. Muszę się zająć ogrodem.

Objęła się ramionami, czując chłód.

– Chciałam cię o coś zapytać. A raczej prosić o radę. Pamiętasz, jak poszłam do Yolande?

– Przy lunchu? Tak. Dlaczego to zrobiłaś?

– No bo jest siostrzenicą Jane.

– Ale tak naprawdę, dlaczego?

Cholerny Peter, on naprawdę mnie zna – pomyślała Clara.

– Chciałam być miła...

– Ale wiedziałaś, co się stanie. Dlaczego zdecydowałaś się wkroczyć w tę sytuację, skoro wiedziałaś, że ta osoba zrobi ci przykrość? Serce mi pęka za każdym razem, gdy to robisz, a robisz to cały czas. To jakaś forma obłądu.

– Możesz to nazywać obłądem; dla mnie to jest optymizm.

– Czy jest optymizmem oczekiwać, że ludzie zrobią coś, czego nigdy nie robią? Za każdym razem, gdy się zbliżysz do Yolande, traktuje cię okropnie. Za każdym razem. A ty dalej swoje. Czemu?

– O co ci chodzi?

– Czy zastanawiałaś się kiedyś, jak ja się czuję, patrząc, jak robisz to znowu i znowu, a ja nie jestem w stanie zrobić nic więcej, jak tylko pocieszać cię potem? Przestań oczekiwać, by ludzie byli kimś, kim nie są. Yolande to wstrętna, nienawistna, małostkowa osóbką. Przyjmij to do wiadomości i trzymaj się od niej z daleka. A jeśli zdecydujesz się wkroczyć na jej terytorium, bądź przygotowana na konsekwencje.

– To nie fair. Najwyraźniej myślisz, że jestem kretynką bez pojęcia o tym, co się stanie. Doskonale wiedziałam, co się stanie. Ale i tak to zrobiłam. Bo musiałam się czegoś dowiedzieć.

– Czego dowiedzieć?

– Musiałam usłyszeć śmiech André.

– Jego śmiech? Czemu?

– To o tym właśnie chciałam porozmawiać. Pamiętasz, jak Jane opisywała ten obrzydliwy śmiech, kiedy chłopcy obrzucali Oliviera i Gabri nawozem?

Peter skinął głową.

– Usłyszałam taki śmiech dzisiaj na spotkaniu mieszkańców. To był André. To dlatego musiałam podejść do ich stolika, żeby sprowokować go, by się

znowu zaśmiał. I zrobił to. O Yolande i André można z pewnością powiedzieć, że są przewidywalni.

– Ale, Claro, André to dorosły facet, nie mógł być jednym z tych zamaskowanych chłopaków.

Clara czekała. Peter nie bywał zwykle tak tępy, więc miała zabawę, obserwując to. Jego zmierzwiona brew w końcu się wygładziła.

– To był syn André, Bernard.

– Brawo.

– Jane się pomyliła. To nie byli Philippe, Gus i Claude. Zamiast jednego z nich był tam Bernard.

– Czy powinnam o tym powiedzieć nadinspektorowi Gamache’owi? Czy nie uzna, że tylko obsmarowuję Yolande? – zapytała Clara.

– Co za różnica? Gamache musi wiedzieć.

– Dobrze. Pójdę dziś po południu do bistro, w czasie jego „domowego” urzędowania.

Clara podniosła patyk i rzuciła go, mając nadzieję, że Lucy za nim pobiegnie. Nie zrobiła tego.

Croftowie przyjęli ofertę. Nie mieli wielkiego wyboru, więc teraz Gamache, Beauvoir, Nichol i państwo Croft schodzili po wąskich schodach. Cała piwnica była zgrabnie zorganizowana, w niczym nie przypominała labiryntów pełnych gratów, jakie Gamache widywał i przez które tak często musiał się przedzierać. Gdy wspomniał o tym, Croft odpowiedział:

– Uprzątnięcie piwnicy to jeden z obowiązków Philippe’a. Przez jakiś czas robiliśmy to razem, ale w jego czternaste urodziny powiedziałem mu, że od teraz jest tylko jego. – Po czym, jakby uświadamiając sobie, jak to zabrzmiało, Croft dodał: – To nie był jego jedyny prezent urodzinowy.

Dwaj mężczyźni przeszukiwali pomieszczenie metodycznie przez dwadzieścia minut. W końcu pomiędzy nartami, rakietami tenisowymi i sprzętem hokejowym znaleźli niemal kompletnie ukryty za ochroniaczami bramkarskimi, wiszący na ścianie kołczan. Delikatnie zdejmując go z haczyka za pomocą rakiety tenisowej, Beauvoir zajrzał do środka. Pięć starych drewnianych strzał myśliwskich. Czego w kołczanie nie było, to ani śladu

pajęczyn. Musiał być niedawno wyjmowany.

– Czyje to, panie Croft?

– Należał do mojego ojca.

– Jest w nim tylko pięć strzał. Czy to normalne?

– Tak go dostałem. Tata musiał zgubić jedną.

– Ale mówił pan, że to się rzadko zdarza. O ile się nie mylę, powiedział pan, że myśliwy prawie nigdy nie gubi strzał.

– To prawda, ale „prawie nigdy” i „nigdy” to dwie różne rzeczy.

– Mogę? – Beauvoir wręczył mu raketę tenisową z wiszącym na nim kołczanem. Gamache trzymał raketę tak wysoko, jak tylko mógł i starał się dojrzeć okrągłe, skórzane denko starego kołczanu.

– Ma pan latarkę?

Matthew zdjął z haczyka jasnożółtą latarkę i podał mu ją. Gamache włączył ją i zobaczył sześć ciemniejszych punktów na korpusie kołczanu. Pokazał je Beauvoirowi.

– Do niedawna było w nim sześć strzał – zauważył Beauvoir.

– Do niedawna? A skąd pan to wie, inspektorze?

Słyszając, jak Matthew Croft usiłuje zachować spokój, Gamache poczuł, że mu go żal. Próbował utrzymać kontrolę coraz mocniejszym uściskiem. Tak mocnym, że aż ręce mu drżały, a głos się unosił.

– Znam się na skórze, panie Croft – skłamał Beauvoir. – To jest cienka skóra cielęca, której używa się, bo jest miękka, ale trwała. Te strzały, a jak zakładam, były to strzały myśliwskie – Croft wzdrygnął się – te strzały mogą leżeć w wyłożonym skórą kołczanie grotami w dół, ale nie tępią się od tego i nie dziurawią dna. A co naprawdę ważne, panie Croft, skóra nie zachowuje kształtu tego, co było w niej przechowywane. Jest tak miękka, że powoli powraca do oryginalnego kształtu. Tych sześć odbarwień pochodzi od sześciu grotów. Ale strzał zostało tylko pięć. Jak to możliwe?

Teraz Croft milczał, z zaciśniętą szczęką. Beauvoir wręczył raketę z kołczanem Nichol, instruując ją, by przytrzymała je, gdy on i Gamache będą szukać dalej. Croft przyłączył się teraz do żony; stojąc obok siebie, oczekiwali tego, co miało ich spotkać. Dwaj mężczyźni spędzili kolejne pół godziny,

przeszukując piwnicę centymetr po centymetrze. Już mieli się poddać, gdy Beauvoir zawędrował do pieca. Gdy się przy nim znalazł, prawie nastąpił na to, czego szukali. Niemal na samym środku stał łuk refleksyjny, a obok niego siekiera.

Nakaz rewizji, o który wystąpili, został wydany i farma Croftów została przekopana od strychu przez stodołę aż po kurnik. Philippe odnalazł się w swoim pokoju, podłączony do discmana. Beauvoir znalazł w popielniku pod opalonym drewnem piecem metalowy grot, osmalony od ognia, ale wciąż nienaruszony.

Po tym odkryciu nogi Matthew Crofta ugięły się i opadł na zimną, betonową podłogę. Zadano mu w końcu ranę głębszą, niż poezja mogła zaleczyć.

Beauvoir posłał wszystkie te znaleziska do laboratorium Sûreté w Montrealu. Teraz cały zespół śledczy znów siedział w pokoju z kominkiem.

– Co zrobimy z Croftami? – chciała wiedzieć Lacoste, popijając kawę od Tima Hortona z podwójnym cukrem i śmietanką.

– Na razie nic – odpowiedział Gamache, jedząc czekoladowego pączka. – Poczekamy, aż przyjdzie raport z laboratorium.

– Jutro będziemy mieć wyniki – powiedział Beauvoir.

– A co z Matthew Croftem? Czy nie powinniśmy go zaaresztować? – odezwała się Lacoste, wygładzając nadgarstkiem swe lśniące, kasztanowe włosy i próbując nie wetrzeć w nie polewy czekoladowej.

– Inspektorze Beauvoir, co pan sądzi?

– Zna mnie pan, zawsze wolę być gotowy na wszelki wypadek.

Gamache'owi przypomniał się rysunek, który wiele lat temu wyciął z „Montreal Gazette”. Rysunek przedstawiał sędziego i oskarżonego. Podpis głosił: „Sąd przysięgłych pana uniewinnił, ale skazę pana na pięć lat, tak na wszelki wypadek”. Chichotał za każdym razem, gdy na niego spojrzeł, i w głębi ducha wiedział, że taka jest prawda. Po części tęsknił za rozwiązaniami „tak na wszelki wypadek”, nawet jeśli miało to kogoś kosztować wolność.

– Co ryzykujemy, zostawiając Matthew Crofta na wolności? – Gamache obrzucił wzrokiem stół.

– Cóż – zaczęła Lacoste – w tym domu może być materiał dowodowy, który Croft może do jutra zniszczyć.

– To prawda, ale czy pani Croft nie może go zniszczyć równie łatwo? W końcu to ona wrzuciła strzałę do pieca i zabierała się do porąbania łuku. Sama to przyznała. Jeśli kogoś powinniśmy przymknąć, to ją, za niszczenie materiału dowodowego. Powiem wam, co myślę – wyjął papierową serwetkę i wytarł ręce, po czym pochylił się i oparł łokcie na blacie. Wszyscy z wyjątkiem Nichol zrobili to samo, stwarzając wrażenie, że to bardzo sekretne zgromadzenie.

– Powiedzmy, że łuk i grot to te, z pomocą których zabito Jane Neal. Zgoda?

Wszyscy pokiwali głowami. Jak dla nich to była idealna teoria.

– Ale które z nich to zrobiło? Czy to był Matthew Croft? Inspektorze Beauvoir, jak pan myśli?

Beauvoir z całego serca pragnął, żeby to Matthew Croft był sprawcą. Ale, cholera, to nie pasowało.

– Nie. Był zbyt zrelaksowany na spotkaniu mieszkańców. Panika włączyła mu się dopiero potem. Nie. Jeśli to byłby on, to próbowałby coś ukrywać od początku. Nie ma wielkich zdolności do skrywania uczuć.

Gamache przyznał mu rację.

– Skreślamy pana Crofta. A co z Suzanne Croft?

– Cóż, mogła to zrobić. Jasne jest, że wiedziała o łuku i strzale w trakcie spotkania mieszkańców, zniszczyła strzałę i wrzuciłaby też łuk do pieca, gdyby miała kiedy. Ale znowu, to nie pasuje.

– Jeśliby zabiła Jane Neal, zniszczyłaby strzałę i łuk już dawno – powiedziała Nichol, pochylając się ku reszcie grupy. – Od razu poszłaby do domu i wszystko spaliła. Dlaczego miałyby czekać aż do przybycia policji?

– Ma pani słuszość – odparł Gamache, zaskoczony i zadowolony. – Proszę kontynuować.

– OK. Przypuśćmy, że to Philippe. Ma czternaście lat, prawda? To stary łuk, nie tak mocny jak te nowsze. Nie wymaga aż tak dużo siły. Chłopak bierze stary, drewniany łuk i stare, drewniane strzały i idzie polować. Ale niechcący strzela do panny Neal. Zabiera strzałę i biegnie do domu. Ale *maman* się dowiaduje...

– Jak? – zapytał Gamache.

– Jak? – To zastopowało Nichol. Musiała się zastanowić. Mógł mieć krew na

ubraniu albo na rękach. W końcu matka to z niego wydobyła, może tuż przed spotkaniem mieszkańców. Musiała iść posłuchać, co wie policja, ale zatrzymała Philippe'a w domu. To tłumaczy, dlaczego na spotkaniu była coraz bardziej zdenerwowana.

– Są jakieś dziury w tej teorii? – zapytał zgromadzonych Beauvoir, próbując nie zdradzić się z tym, że tego oczekuje. Chociaż miał nadzieję, że Nichol nie okaże się do końca beznadziejna, to był naprawdę dobry występ. Próbował na nią nie patrzeć, ale nie mógł się powstrzymać. No pewnie, gapiła się na niego z nieznacznym uśmiechem. Odchyliła się w tył na krześle, powoli, z wyraźną rozkoszą.

– Dobra robota, Nichol – Gamache powstał i skinął głową ku niej.

Och, niech no tylko tata się o tym dowie – pomyślała.

– Czyli Croftów zostawiamy dzisiaj na boku, dopóki nie przyjdą wyniki z laboratorium – podsumował Gamache.

Spotkanie się zakończyło, wszyscy niecierpliwie czekali, by nazajutrz zakończyć śledztwo. Ale mimo to Armand Gamache wiedział, że nie ma co liczyć na jedną teorię. Chciał kontynuować śledztwo. Tak na wszelki wypadek.

Była prawie piąta po południu, czas ruszyć do bistro.

Ale zanim tam wyruszył, chciał najpierw zrobić coś jeszcze.

Gamache przeszedł przez bistro, kłaniając się Gabriemu, który nakrywał stoliki. Wszystkie lokale handlowe łączyły się z kolejnymi w jeden szereg, więc na końcu bistro znalazł drzwi do następnego sklepu. Myrna's Livres, Neufs et Usagés.

Wszedł i po chwili trzymał w ręku mocno używany egzemplarz *Bytu*. Czytał *Byt*, kiedy tylko się ukazał, wiele lat wcześniej.

Odwrócił książkę i spojrzął na tylną okładkę, gdzie znajdował się promocyjny „blurb” i krótki biogram autora, sławnego lekarza i genetyka z uniwersytetu McGill, doktora Vincenta Gilberta. Doktor Gilbert odpowiedział twardym spojrzeniem, dziwnie srogim jak na kogoś, kto pisze o współczuciu. W tej książce opisywał swoją pracę z bratem Albertem Mailloux w La Porte, głównie z pacjentkami i pacjentami z zespołem Downa. *Byt* był właściwie medytacją na temat rzeczy, których autor nauczył się, obserwując tych ludzi. O tym, czego nauczył się o nich, o naturze ludzkiej i o sobie samym. Książka – niezwykle studium arogancji i pokory – nade wszystko traktowała o przebaczeniu.

Ściany sklepu były zastawione regałami pełnymi książek, uporządkowanych i oznaczonych. Część książek nowa, część już czytana, niektóre po francusku, większość po angielsku. Myrnie udało się stworzyć atmosferę przypominającą bardziej bibliotekę w kulturalnym, wygodnym wiejskim domu niż sklep. Postawiła kilka bujanych foteli przy otwartym kominku, a naprzeciw nich kanapę. Gamache usiadł w jeden z nich i zaczął sobie przypominać urodę *Bytu*.

– O, to świetna książka – powiedziała Myrna, opadając na fotel naprzeciwko. Przyniosła z sobą stosik używanych książek i nalepki do oznaczania cen. – Nie poznaliśmy się. Jestem Myrna Landers. Widziałam pana na spotkaniu mieszkańców.

Gamache podniósł się i z uśmiechem uściśnął jej dłoń.

– Ja też panią widziałem.

Myrna roześmiała się.

– Trudno mnie nie zauważyć. Jestem jedyną czarnoskórą osobą w Three Pines, a poza tym nie jestem szczególnie drobną kobietą.

– Pasujemy do siebie. – Gamache się uśmiechnął, masując swój brzuch.

Myrna podniosła ze sterty książkę.

– Czytał pan to?

Trzymała w ręku zużyty egzemplarz książki brata Alberta, *Strata*. Gamache potrząsnął głową i pomyślał, że prawdopodobnie nie jest to zbyt podnosząca na duchu lektura. Myrna odwróciła książkę w swych wielkich dłoniach. Wydawało się, że ją głaszcze.

– On ma teorię, że życie to strata – powiedziała po chwili. – Tracimy rodziców, bliskich, pracę. Musimy więc znaleźć sobie coś bardziej znaczącego niż te osoby i rzeczy. Inaczej stracimy samych siebie.

– Co pani o tym myśli?

– Myślę, że ma rację. Zanim przyjechałam tutaj parę lat temu, byłam psychologiem w Montrealu. Większość moich pacjentów przechodziła jakiś życiowy kryzys, a te kryzysy najczęściej sprowadzały się do straty. Śmierć małżonka albo bliskiej osoby. Utrata poczucia bezpieczeństwa. Pracy, domu, rodzica. Coś powodowało nimi, by szukać pomocy i spojrzeć głębiej w siebie. A katalizatorem były często zmiana i strata.

– Czy to jedno i to samo?

– Dla tych, co nie mają zdolności adaptacyjnych, może tak być.

– Utrata kontroli?

– Oczywiście, to jest ogromnie ważny powód. Większość z nas świetnie radzi sobie ze zmianami, dopóki to my o nich decydujemy. Ale zmiana narzucona z zewnątrz potrafi wrzucić człowieka w wir upadku. Myślę, że brat Albert trafił w sedno. Życie to strata. Ale z tego, jak książka podkreśla, wynika wolność. Jeśli potrafimy zaakceptować, że nic nie trwa, a zmiana jest nieunikniona, jeśli potrafimy się zaadaptować, stajemy się szczęśliwszymi ludźmi.

– Co panią tu sprowadziło? Strata?

– To nie do końca fair, nadinspektorze, ale przyłapał mnie pan. Tak. Ale nie w konwencjonalnym sensie, ponieważ ja muszę zawsze być wyjątkowa i inna. –

Myrna odchyliła głowę w tył i zaśmiała się sama z siebie. – Straciłam współczucie dla wielu z moich pacjentów. Po dwudziestu pięciu latach wysłuchiwania ich narzekań coś w końcu we mnie pękło. Pewnego ranka obudziłam się zirytowana z powodu klienta, który miał czterdzieści trzy lata, ale zachowywał się jak szesnastolatek. Co tydzień przychodził i narzekał na to samo. „Ktoś mnie skrzywdził. Życie jest nie fair. To nie moja wina”. Przez trzy lata udzielałam mu sugestii i przez trzy lata absolutnie nic nie zrobił. Wreszcie, właśnie tego dnia, słuchając go, nagle zrozumiałam. Nie zmieniał się, bo nie chciał. Nie miał zamiaru się zmienić. Przez następne dwadzieścia lat będzie grał dokładnie w tę samą grę. W tym samym momencie uświadomiłam sobie też, że większość moich klientów jest dokładnie taka sama jak on.

– Ale niektórzy na pewno próbowali.

– O, tak. Ale u tych szybko było widać poprawę. Bo ciężko nad tym pracowali i naprawdę chcieli. Pozostali mówili, że chcą, żeby im się polepszyło, ale ja myślę, i nie jest to opinia popularna w kręgach psychologicznych – tu pochyliła się do przodu i mówiła dalej konspiracyjnym szeptem – ja myślę, że wielu ludzi uwielbia swoje problemy. Dają im powód, żeby nie dorosnąć i nie pozwolić, by ich życie toczyło się dalej.

Myrna opadła z powrotem na fotel i wzięła głęboki wdech.

– Życie to zmiana. Jeśli się nie zmienia i nie ewoluuje, człowiek się zatrzymuje, podczas gdy reszta świata rwie do przodu. Większość z tych ludzi jest bardzo niedojrzała. Prowadzą nieruchome życie martwych natur, cały czas czekając.

– Na co?

– Czekając, aż ktoś ich uratuje, a przynajmniej ochroni przed wielkim, złym światem. Tyle że nikt nie może ich uratować, bo problem jest w nich i do nich także należy jego rozwiązanie. Tylko oni sami mogą się z niego wydobyć.

– Drogi Brutusie, są w życiu tym chwile,

W których przeznaczeń swych panem jest człowiek.

Jeśliśmy zeszli do nędznej służki roli,

To nasza tylko, nie gwiazd naszych wina^[9].

Myrna pochyliła się w przód, ożywiona.

– Właśnie. Wina leży w nas i tylko w nas. Nie są winne los ani geny, ani pech, a już na pewno nie ponoszą winy mama i tata. W ostatecznym rachunku jesteśmy my i wybory, jakich dokonujemy. Ale, ale – teraz oczy jej błyszczały i niemal dygotała z podniecenia – najbardziej potężną, zdumiewającą rzeczą jest, że także rozwiązanie problemów leży w nas. Tylko my sami możemy zmienić własne życie, wyprowadzić je na prostą. Wszystkie te lata, które spędzamy, czekając, by zrobił to za nas ktoś inny, są stracone. Uwielbiałam rozmawiać o tym z Timmer. To dopiero była mądra kobieta. Brakuje mi jej. – Myrna znowu opadła na fotel. – Zdecydowana większość ludzi z problemami tego nie rozumie. Są w nas wady, ale jest także lekarstwo na nie. To wielki dar.

– Ale w tym celu musieliby przyznać, że coś jest z nimi nie tak. Czy nie jest tak, że większość nieszczęśliwych ludzi wini innych? To jest najbardziej niewzruszony, najstraszniejszy aspekt tego cytatu z *Juliusza Cezara*. Kto z nas jest gotów przyznać, że problem jest w nas?

– Właśnie.

– Wspomniała pani o Timmer Hadley. Jaka ona była?

– Poznałam ją dopiero pod koniec jej życia. Nie znałam jej, zanim zachorowała. Timmer była mądrą kobietą, pod każdym względem. Zawsze dobrze ubrana, szczupła, elegancka, akuratna. Lubiałam ją.

– Czy opiekowała się nią pani?

– Tak. Siedziałam przy niej dzień przed jej śmiercią. Przyniosłam książkę do czytania, ale ona chciała pooglądać stare fotografie, więc przyniosłam jej album i przeglądałyśmy go. Było w nim zdjęcie Jane sprzed stu lat. Musiała mieć szesnaście, może siedemnaście lat. Była z rodzicami. Timmer nie lubiła Nealów. Mówiła, że to byli zimni karierowicze.

Myrna przerwała nagle, choć najwyraźniej zamierzała powiedzieć coś więcej.

– Proszę mówić dalej – zachęcił ją Gamache.

– To wszystko.

– Ależ wiem, że wyjawiała coś jeszcze. Proszę mi to zdradzić.

– Nie mogę. Timmer była naszpikowana morfiną i z pewnością nic by nie powiedziała, gdyby była przy zdrowych zmysłach. Poza tym to nie ma nic wspólnego ze śmiercią Jane. To się zdarzyło sześćdziesiąt lat temu.

– Z morderstwami jest taka zabawna historia, że czasami zostają popełnione dekady wcześniej, zanim faktycznie mają miejsce. Coś się wydarza i wiele lat później nieuchronnie prowadzi do czyjejś śmierci. Złe ziarno zostaje zasiane. To jest jak z tych starych horrorów ze studia Hammer, gdzie potwór nigdy nie biegnie za ofiarą, ale kroczy ku niej, nie zatrzymując się, bez zastanowienia i bez litości. Morderstwa często takie są. Biorą początek o wiele, wiele wcześniej.

– I tak się pan ode mnie nie dowie, co powiedziała Timmer.

Gamache mógł ją przekonać. Postanowił jednak nie naciskać, chociaż bardzo chciał poznać słowa pani Hadley. Wróci do Myrny, jeśli wyniki z laboratorium wykażą, że Croftowie są niewinni.

– No dobrze. Nie będę nalegał. Ale pewnego dnia mogę zapytać znowu, a wtedy będzie mi pani musiała powiedzieć.

– Zgoda. Jeśli pan zapyta jeszcze raz, to panu powiem.

– Mam inne pytanie. Co pani myśli o chłopakach, którzy rzucali nawozem?

– Jako dzieci wszyscy robimy głupie, okrutne rzeczy. Pamiętam, że raz zabrałam psa sąsiadów i zamknęłam go w naszym domu, a dziewczynce, do której należał, powiedziałam, że hycel go złapał i zabił. Wciąż budzę się rano, widząc jej twarz. Jakieś dziesięć lat temu odnalazłam ją i chciałam przeprosić, ale okazało się, że zginęła w wypadku samochodowym.

– Musi pani sama sobie wybaczyć – stwierdził Gamache, podnosząc egzemplarz *Bytu*.

– Oczywiście ma pan rację. Ale może nie chcę. Może to coś, czego nie chcę utracić. Moje prywatne piekło. Straszliwe, ale moje. Czasami bywam ciężka na umyśle. I nie tylko. – Roześmiała się, zgarniając niewidzialne okruszki z kaftana.

– Oscar Wilde powiedział, że jedynym grzechem jest głupota.

– A co pan o tym myśli?

Oczy Myrny rozblęły, była zadowolona, że w tak łatwy sposób zdołała odwrócić uwagę od siebie. Gamache zastanawiał się przez chwilę.

– Popełniłem błędy, które umożliwiły mordercom zabicie kolejnych ludzi. I każdy z tych błędów, patrząc wstecz, był głupi. Zbyt szybko wyciągnąłem wnioski, zbyt się upierałem przy jakimś założeniu. Każdy błąd, jaki popełniam,

stanowi zagrożenie dla społeczeństwa.

– Nauczył się pan na własnych błędach?

– Tak, pani nauczycielko, myślę, że tak.

– Więc to wszystko, czego pan może od siebie wymagać, Pasikoniku. Mam dla pana propozycję. Ja sobie wybaczę, jeśli pan wybaczy sobie.

– Umowa stoi – powiedział Gamache, myśląc, że chciałby, żeby to było takie proste.

Dziesięć minut później Armand Gamache siedział w bistro przy stoliku z widokiem na Three Pines. Kupił od Myrny książkę, ale nie był to ani *Byt*, ani *Strata*. Wyglądała na nieco zdziwioną, gdy położył tę książkę przy kasie. Teraz siedział i czytał, a przed nim stało cinzano i precel. Od czasu do czasu podnosił wzrok, by popatrzeć przez okno na miasteczko i na las ponad nim. Chmury się rozchodziły, odsłaniając łaty wczesnowieczornego słońca na górkach otaczających Three Pines. Gamache przewertował książkę raz albo dwa, szukając ilustracji. Gdy znalazł, czego szukał, pozaginał rogi, by zaznaczyć te miejsca, i wrócił do lektury.

To był nadzwyczaj miły sposób spędzania czasu.

Plaśnięcie o stół papierową teczką przeniosło go z powrotem do bistro.

– Wynik z sekcji zwłok. – Koroner Sharon Harris usiadła i zamówiła drinka.

Gamache odłożył książkę i podniósł teczkę. Po paru minutach miał pytanie.

– Czy gdyby strzała nie trafiła w serce, i tak by ją zabiła?

– Jeśli trafiłaby blisko serca, tak. Ale – doktor Harris pochyliła się w przód i ułożyła raport z sekcji zwłok tak, żeby nadinspektor mógł widzieć, odwracając go do góry nogami – panna Neal została trafiona prosto w serce. Widzi pan? Ktokolwiek to zrobił, musiał być świetnym strzelcem. To nie był zbieg okoliczności.

– A mimo to, jak sędzę, dojdziemy do wniosku, że to był zbieg okoliczności. Wypadek przy polowaniu. Nie pierwszy taki w historii Quebecu.

– Ma pan rację, w każdym sezonie myśliwskim zdarza się wiele wypadków z bronią palną. Ale z łuku? Trzeba być dobrym myśliwym, by trafić prosto w serce, a dobrzy myśliwi nie popełniają takich błędów. To nie są pospoliccy wieśniacy.

– Co pani sugeruje, pani doktor?

– Sugeruję, że jeśli śmierć Jane Neal była wypadkiem, to sprawca miał wyjątkowo złą karmę. W całej mojej karierze koronera nie zdarzyło mi się prowadzić dochodzenia, w którym miałyby udział doświadczony myśliwy łucznik.

– Czy chce pani powiedzieć, że jeśli sprawcą był doświadczony myśliwy, to zrobił to celowo?

– Mówię, że zrobił to doświadczony myśliwy łucznik, a doświadczeni myśliwi łucznicy nie popełniają błędów. Niech pan sobie resztę dopowie.

Uśmiechnęła się ciepło, po czym skinęła głową ludziom przy sąsiednim stoliku. Gamache przypomniał sobie, że doktor Harris mieszka w tej okolicy.

– Pani ma dom w Cleghorn Halt, prawda? Czy to niedaleko?

– Jakies dwadzieścia minut stąd w stronę Abbey. Znam Three Pines dość dobrze za sprawą Tours Des Arts. Peter i Clara Morrow tu mieszkają, prawda? Tu zaraz obok? – Wskazała za okno, na ich dom z czerwonej cegły po drugiej stronie skweru.

– Zgadza się. Zna ich pani?

– Tylko ich sztukę. On jest członkiem Kanadyjskiej Akademii Królewskiej, bardzo uznany artysta. Maluje niesamowite rzeczy, bardzo surowe. Wyglądają jak abstrakcje, ale w rzeczywistości są czymś kompletnie przeciwnym, hiperrealistycznym. Wybiera obiekt, powiedzmy szklankę cinzano – podniosła ją – i robi bardzo duże zbliżenie. – Pochyliła się tak bardzo, że rzęsami muskała wilgoć na szkle. – Potem bierze urządzenie mikroskopowe i przybliża się jeszcze bardziej. I maluje to. – Odstawiła szklankę z powrotem na stół. – Jego obrazy są absolutnie zachwycające. Podobno zajmuje mu masę czasu namalowanie każdego z nich. Nie wiem, skąd bierze na to cierpliwość.

– A Clara Morrow?

– Mam jedną z jej prac. Uważam, że jest fantastyczna, chociaż zupełnie inna niż on. Jej sztuka jest mocno feministyczna, dużo w niej kobiecych aktów i aluzji do bogiń. Zrobiła absolutnie cudowną serię o córkach Świętej Zofii.

– O trzech gracjach, Wierze, Nadziei i Miłości?

– Zaimponował mi pan, nadinspektorze. Mam jedną pracę z tej serii. Nadzieję.

– Zna pana Bena Hadleya?

– Tego od Młynów Hadleya? Nie za bardzo. Spotkaliśmy się przy paru oficjalnych okazjach. Arts Williamsburg urządza doroczne garden party zwykle na posesji jego matki, on zawsze przychodzi. Zdaje się, że to teraz jego własność.

– Nigdy się nie ożenił?

– Nie. Dobeiega pięćdziesiątki i ciągle jest sam. Zastanawiam się, czy teraz się ożeni.

– Dlaczego?

– Bo to się często tak zdarza. Żadna kobieta nie może stanąć między matką a synem, chociaż nie sądzę, żeby on tak przepadał za mamusią. Za każdym razem, kiedy o niej wspominał, mówił o tym, jak to w jakiś sposób mu dopiekła. Niektóre z jego historii były okropne, chociaż on najwyraźniej tego nie zauważał. Zawsze to podziwiałam.

– Czym on się zajmuje?

– Ben Hadley? Nie wiem. Zawsze miałam wrażenie, że niczym, że w pewien sposób matka kompletnie pozbawiła go niezależności. To bardzo smutne.

– Tragiczne. – Gamache przypomniał sobie tego wysokiego, powolnego, sympatycznego osobnika w typie profesora, który cały czas wyglądał na nieco zdezorientowanego. Sharon Harris podniosła książkę, którą nadinspektor czytał, i spojrzała na tylną okładkę.

– Dobry pomysł.

Odłożyła książkę z powrotem na stół, najwyraźniej była pod wrażeniem. Wyglądało, że pouczała Gamache'a na temat rzeczy, o których już wiedział. Pewnie nie po raz pierwszy. Gdy odeszła, nadinspektor wrócił do lektury, przerzucając strony do tych z zakładkami i przyglądając się ilustracjom. To było możliwe. Tylko możliwe. Zapłacił za drinka, zarzucił na ramiona płaszcz i opuścił ciepłe wnętrze, kierując się w chłód, wilgoć i powoli zapadający mrok.

Clara wpatrywała się w stojącą przed nią skrzynkę i starała się ją skłonić, by przemówiła. Coś powiedziało jej, żeby zaczęła pracować nad dużą, drewnianą skrzynką. Zrobiła to więc. A teraz siedziała w swojej pracowni i gapiała się na nią, zastanawiając się, dlaczego zbudowanie tej wielkiej skrzyni wydawało się

takim dobrym, na dodatek artystycznym pomysłem. Skąd, do diabła, w ogóle taki pomysł? Czekala, aż skrzynia do niej przemówi. Aż coś powie. Cokolwiek. Nawet coś nonsensownego. Jakkolwiek dlaczego Clara myślała, że skrzynia postanowi przemówić i powie coś innego niż nonsens, pozostawało kolejną tajemnicą. Kto w ogóle słucha skrzyń?

Sztuka Clary była intuicyjna, co nie oznaczało bynajmniej, że pani Morrow nie posiadała wiedzy i umiejętności. Uczęszczała do najlepszych uczelni artystycznych w Kanadzie, nawet przez chwilę była nauczycielką, zanim wąska definicja sztuki, jaką tam wyznawano, skłoniła ją do wyprowadzki. Przeniosła się z centrum Toronto do centrum Three Pines. To było całe dziesięciolecie temu; od tamtej pory nie udało jej się wywołać sensacji w świecie sztuki. Oczekiwanie na przesłania od skrzyń mogło być jednym z powodów, dlaczego tak się stało. Clara oczyściła umysł i otworzyła go na inspirację. Przepłynął przez niego croissant, potem jej ogród, który wymagał przycięcia, wreszcie pokłóciła się w myśli z Myrną o ceny, które właścicielka antykwariatu niechybnie zaoferuje za niektóre z używanych książek. Skrzynka natomiast pozostawała niema.

W studio robiło się zimno i Clara zastanawiała się, czy Peter, siedzący we własnej pracowni po drugiej stronie korytarza, także marznie. Jednak, jak pomyślała z ukłuciem zazdrości, Peter niemal na pewno jest tak zapracowany, że nawet tego nie zauważa. Odnosiła wrażenie, że Peter nigdy nie cierpiał niepewności, która ją samą mroziła i zatrzymywała. On po prostu posuwał się krok za krokiem, produkując swoje nieprawdopodobnie napakowane szczegółami prace, które sprzedawały się w Montrealu za tysiące dolarów. Był tak precyzyjny i metodyczny, że stworzenie każdej z nich zajmowało mu całe miesiące. Któregoś roku na urodziny podarowała mu wałek malarski i powiedziała, żeby malował szybciej. Peter najwyraźniej nie docenił tego żartu. Może dlatego, że to nie był do końca żart. Bez przerwy byli bez pieniędzy. Nawet teraz, gdy jesienny chłód sączył się przez szczeliny w okiennicach, Clara nie chciała włączyć pieca. Po prostu włożyła jeszcze jeden sweter, który był znoszony i zmechacony. Tęskniła za świeżymi, nowiutkimi poszewkami na pościel, za choćby jedną puszką w kuchni z etykietką znanej firmy i za wystarczającą ilością drewna na opał, by mogli przetrwać zimę, nie martwiąc się o nic. Pomyślała, że zmartwienie bardzo człowieka męczy. Włożyła jeszcze

jeden sweter i ponownie usiadła naprzeciw wielkiej, milczącej skrzyni.

I znów Clara oczyściła umysł, otworzyła go szeroko. Nagle, proszę: pojawił się pomysł. W pełni uformowany. Kompletny, perfekcyjny i niepokojący. Kilka chwil potem wypadła przez drzwi frontowe i podreptała ulicą du Moulin. Gdy zbliżyła się do domu Timmer, instynktownie przeszła na drugą stronę i odwróciła oczy. Gdy minęła go, wróciła na tę samą stronę i szła dalej wzdłuż starego budynku szkoły, wciąż pokrytego żółtą, policyjną taśmą. Potem weszła w las, przez moment zastanawiając się nad szaleństwem swego postępowania. Zbliżał się zmierzch. Ten czas, gdy w lesie czai się śmierć. Clara miała nadzieję, że nie pojawia się ona w formie ducha, ale w jakimś jeszcze bardziej złowrogim wcieleniu. Jako człowiek z bronią stworzoną do tego, by produkować duchy. Myśliwi przychodzili do lasu o zmierzchu. Jeden z nich zabił Jane.

Clara zwolniła. To prawdopodobnie nie był najlepszy z jej pomysłów. Tak naprawdę to skrzynia na niego wpadła, więc jeśli Clara zginie, będzie mogła ją za to obwinić. Usłyszała poruszenie gdzieś przed sobą. Zamarła.

Las był ciemniejszy, niż Gamache się spodziewał. Wszedł do niego drogą, której nie znał, i spędził chwilę, rozglądając się dokoła, starając się ogarnąć sytuację. Miał ze sobą komórkę na wypadek, jeśliby się zgubił, ale wiedział, że w górach sieci komórkowe są w najlepszym razie zawodne. Mimo to dawało mu to pewne poczucie komfortu. Zatoczył koło i dostrzegł mały rozbłysk żółci. Taśma policyjna okalająca miejsce, gdzie umarła Jane. Ruszył w tę stronę przez las wciąż nasiąknięty po ulewie poprzedniego dnia. Stopy przemokły mu po drodze. Tuż przed kordonem zatrzymał się i nasłuchiwał. Wiedział, że to pora polowań, musiał tylko mieć nadzieję, że tym razem to nie on był zwierzyną. Powinien być bardzo, bardzo ostrożny. Szukał przez dziesięć minut, zanim znalazł. Uśmiechnął się, zmierzając w kierunku drzewa. Ileż to razy jako dziecko nasłuchiwał się od matki za to, że gapił się pod nogi, zamiast patrzeć w górę? Cóż, tym razem znów miała rację. Gdy przeszukiwali to miejsce, patrzył w dół, podczas gdy to, czego szukał, nie znajdowało się w dole. Było na górze, między drzewami.

Budka.

Teraz Gamache stał u stóp drzewa, kontemplując drewnianą konstrukcję siedem metrów powyżej. Do drzewa przytwierdzona była zbieranina

drewnianych desek i szczelbi, pozbijana dawno już zardzewiałymi gwoździemi, z których spływał na drewno ciemny pomarańcz. Gamache pomyślał o swoim ciepłym miejscu w bistro. O bursztynowym cinzano i precelkach. I o kominku. Zaczął się wspinać. Kiedy podciągał się szczebel po szczelbu, przypomniał sobie coś jeszcze. Nienawidził wysokości. Jak mógł o tym zapomnieć? A może miał nadzieję, że tym razem będzie inaczej? Trzymając się oślizgłych, skrzypiących deszczulek spojrzął w górę na drewnianą platformę, leżącą tysiąc metrów powyżej, i zamarł.

Czy hałas dochodzi z przodu czy z tyłu? – zastanawiała się Clara. To było jak dźwięk syren w mieście: hałas wydawał się wszechobecny. Usłyszała go ponownie. Odwróciła się i spojrzała za siebie. Rosnące tam drzewa były głównie sosnami; wyciągały swe ciemne igły, czyniąc las kłującym i ciemnym. Przed nią, w stronę zachodzącego czerwono słońca, las był bardziej mieszany, z klonami i dzikimi wiśniami. Clara ruszyła w stronę światła, niepewna, czy powinna narobić hałasu, jak to się robi wiosną, próbując przepłoszyć niedźwiedzie, czy być tak cicho jak tylko może. Pomyślała, że to zależało od tego, co było z nią w lesie. Niedźwiedź, sarna, myśliwy albo duch. Żałowała, że nie może skonsultować się ze skrzynią. Albo z Peterem. Tak, Peter był zawsze lepszy od skrzyni.

Siłą woli Gamache skłonił rękę, by przemieścić się na następny szczebel. Starł się pamiętać, by oddychać. I nucił pod nosem piosenkę, którą sam ułożył. Żeby odgonić lęk. Wspinał się w stronę ciemnej plamy przed sobą. Wdech, wyciągnięcie ręki, krok. Wreszcie dotarł na górę i wsunął głowę w mały, kwadratowy otwór wycięty w podłodze. Dokładnie jak opisano to w książce. Ambona myśliwska. Gamache pomyślał, że trzeba było być sakramencko pijanym, żeby chcieć tutaj siedzieć. Przecisnął się przez otwór i stanął na nogach, czując ulgę, którą po chwili zastąpiło oślepiające przerażenie. Padł na kolana i przypadł do pnia drzewa, przytulając się do niego. Chybotliwa budka przycupnęła siedem metrów nad ziemią i wystawała na półtora metra w powietrze, wisząc tak, że jedynie kruchy, stary drąg oddzielał Gamache'a od nicości. Nadinspektor wpił ręce w korę, czując, jak drewno kłuje go w ręce, wdzięczny, że czuje ból, na którym może się skoncentrować. Jego najgorszym

lękiem – i najgorszą zdradą – był nie strach przed upadkiem czy nawet przed tym, że drewniana ambona spadnie na ziemię. Bał się, że rzuci się z krawędzi w dół. To był horror lęku wysokości. Czuł, jak krawędź przyciąga go, jak gdyby miał do nogi przypiętą kotwicę. Mógł się zabić bez niczyjej pomocy, niczym niezagrożony. Widział, jak to wszystko się dzieje, i przerażenie odebrało mu oddech; przez moment przywarł do pnia, zamknął oczy i walczył, by móc znowu oddychać głęboko, regularnie, od splotu słonecznego.

Zadziałało. Przerażenie powoli odpłynęło, pewność, że rzuci się z góry i zabije, osłabła. Otworzył oczy. I wtedy zobaczył to, po co przyszedł. To, o czym czytał w bistro z książki, zakupionej z drugiej ręki od Myrny. *Z Wielkiej książki myśliwskiej dla chłopców*. Czytał o ambonach, strukturach, które myśliwi budują, by móc zobaczyć nadchodzące sarny i zastrzelić je. Ale nie to wyciągnęło Gamache'a z bezpiecznego, ciepłego miasteczka. Przyszedł szukać czegoś jeszcze, o czym wspominała książka. Stąd w średnim dystansie mógł to coś zobaczyć. Ale nagle usłyszał odgłos. Odgłos, który niemal z pewnością wydała ludzka istota. Czy ośmieli się spojrzeć w dół? Czy ośmieli się puścić pień drzewa, podczołgać się do brzegu ambony i spojrzeć niżej? Znowu ten dźwięk. Jakby murmurando. Znajoma melodia. Co to było? Ostrożnie puścił drzewo, poczołgał się na brzuchu po platformie i lekko z niej wychylił.

Zobaczył czubek znajomej głowy. A w zasadzie grzyb z włosów. Clara postanowiła przygotować się na najgorszą możliwą ewentualność, ale nie mogła się zdecydować, co nią było. Niedźwiedź, myśliwy czy duch? Myśl o niedźwiedziu przypomniała jej o Kubusiu Puchatku i ho-honiu. Zaczęła podśpiewywać. Piosenkę, którą zawsze nuciła Jane.

– Co zrobimy z pijanym żeglarzem?! – zawołał Gamache z wysoka.

Stojąca poniżej Clara zamarła. Czy to Bóg? Ale Bóg wiedziałby doskonale, co zrobić z pijanym żeglarzem. Poza tym Clara nie miała wątpliwości, że pierwsze słowa Boga do niej nie mogłyby brzmieć inaczej, jak tylko: „Co ci, na miłość boską, strzeliło do głowy?”.

Spojrzała w górę i zobaczyła skrzynię. Gadającą skrzynię. Kolana się pod nią ugięły. Więc one jednak mówiły.

– Claro? To ja, Armand Gamache. Jestem na górze, na ambonie.

Nawet z dużej wysokości i w świetle zmierzchu widział, że była skonfundowana. A teraz zobaczył na jej twarzy szeroki uśmiech.

– Ambona? Zapomniałam, że tam jest. Mogę wejść na górę?

Nie czekając na odpowiedź, zaczęła wspinać się po szczeblach jak sześciolatka. Gamache był jednocześnie pod wrażeniem i przerażony. Jeszcze jedno ciało, choćby nie wiem jak szczupłe, mogło wystarczyć, by cała struktura runęła na dół.

– O rany, to fantastyczne! – Clara wskoczyła na platformę. – Co za widok. Dobrze, że się wypogodziło. Słyszałam, że jutro ma być słonecznie. Dlaczego pan tu jest?

– A pani?

– Nie mogłam się skupić na pracy i nagle uświadomiłam sobie, że muszę tu przyjść. Znaczący, nie dokładnie tutaj, tylko na miejsce, gdzie umarła Jane. Czuję, że jestem jej to winna.

– Ciężko jest wrócić do własnego życia i nie czuć się winnym.

– To pewnie dlatego. – Odwróciła się i popatrzyła na niego z podziwem. – A cóż pana tu sprowadziło?

– Przyszedłem szukać tego. – Wskazał na bok platformy, starając się, by zabrzmiało to nonszalancko. Białe światełka tańczyły mu przed oczami, znajome preludium do ataku lęku wysokości. Zmusił się, by nie patrzeć poza krawędź. Im szybciej będzie po wszystkim, tym lepiej.

– Czego? – Clara gapiła się w las za miejscem, gdzie zginęła Jane. Gamache czuł, jak ogarnia go irytacja. Na pewno widziała. Czy to był żart? Słońce rzucało długie cienie i dziwne światło; trochę poświaty padło na brzeg lasu i wtedy Clara zobaczyła.

– Prześwit w lesie, tam. Czy to to?

– To sarnia ścieżka – wyjaśnił Gamache, powoli odsuwając się od krawędzi i sięgając za siebie w kierunku pnia. – Przez lata wydeptały ją sarny. One są jak szwajcarskie pociągi. Bardzo przewidywalne. Zawsze używają tych samych ścieżek, przez pokolenia. To dlatego tutaj postawiono ambonę. – Prawie całkiem zapomniał o panice. – Żeby obserwować przechodzące tym szlakiem sarny i strzelać do nich. Ale ścieżka jest niemal niewidoczna. Wczoraj przeszukiwali cały ten teren wprawni oficerowie śledczy i nikt jej nie zauważył. Nikt sobie nie uświadomił, że przez las wiedzie ta maleńka ścieżka. Ja też nie widziałem. Trzeba wiedzieć, że się tu znajduje.

– Ja wiedziałam, że tu jest, ale kompletnie o tym zapomniałam – powiedziała Clara. – Peter przyprowadził mnie tutaj dawno temu. Prosto do tej ambony. Ale ma pan rację. Tylko okoliczni mieszkańcy wiedzą, gdzie znaleźć sarny. Czy morderca zastrzelił ją stąd?

– Nie, to od lat nie było używane. Przyprowadzę tu Beauvoira, ale jestem pewien. Morderca zastrzelił ją z lasu. Był tutaj albo dlatego, że czekał na sarny...

– ...albo dlatego, że czekał na Jane. Stąd jest niesamowity widok. – Clara odwróciła się plecami do sarniej ścieżki i popatrzyła w przeciwnym kierunku. – Widać stąd dom Timmer.

Zaskoczony tą zmianą tematu, Gamache także się odwrócił, powoli, ostrożnie. Faktycznie, widać było pochyłe dachy wiktoriańskiego domu. Na swój sposób pięknego, z czerwonymi kamiennymi murami i wielkimi oknami.

– Obrzydliwy. – Clara się wzdrygnęła i ruszyła w stronę drabinki. – Okropne miejsce. A jeśli się pan nad tym zastanawia... – Odwróciła się, by zejść i spojrzała na Gamache'a. Jej twarz była teraz skryta w mroku. – Rozumiem, co pan mówi. Ktokolwiek zabił Jane, musiał być tutejszy. Ale to nie wszystko.

– „Rozgrzeszysz – jeszcze nie jest rozgrzeszony: Mam grzechów więcej”^[10] – zacytował Gamache. – John Donne – wyjaśnił, czując lekki zawrót głowy na myśl o tym, że wreszcie stąd ucieknie: Clara w połowie była już za dziurą w podłodze.

– Pamiętam to ze szkoły. Choć szczerze mówiąc, bardziej przywodzi mi to na myśl wiersz Ruth Zardo:

*Wszystko to trzymam w środku;
ropieje tam, gnije; ale tak naprawdę miła ze mnie
i pełna miłości osoba. „Zejdź mi z drogi, pojebie!”
Och, przepraszam...*

– Powiedziała pani: Ruth Zardo? – spytał Gamache osłupiały. Clara właśnie zacytowała jeden z jego ulubionych wierszy. Przyklęknął i recytował dalej:

*– To tak wymknęło mi się, uciekło, ale
będę starać się bardziej, na pewno, zobaczycie. Nie zmusicie mnie*

do mówienia. Odejdę dalej, gdzie nigdy mnie nie znajdziecie, ani nie zranicie, nie każecie mówić.

– To naprawdę napisała Ruth Zardo? Zaraz, zaraz... – Pomyślał o wcześniejszej wizycie u notariusza i o swoim dyskomforcie, gdy usłyszał nazwiska wykonawców testamentu Jane. Ruth Zardo z domu Kemp. Ruth Zardo to Ruth Kemp, poetka, zdobywczyni nagrody Gubernatora Generalnego? Ta utalentowana pisarka, która zdefiniowała jakże kanadyjską ambiwalencję pomiędzy dobrocią a furią? Która dała głos niewypowiedzianemu? Ruth Zardo.

– Dlaczego ten konkretny wiersz Zardo przyszedł pani do głowy w kontekście tego, na co patrzymy?

– Bo o ile wiem, społeczność Three Pines składa się z dobrych ludzi. Ale sarnia ścieżka sugeruje, że jeden z nas ropyje. Ktokolwiek zastrzelił Jane, wiedział, że celuje w człowieka i chciał, by to wyglądało na wypadek na polowaniu: jakby ktoś czaił się na sarnę idącą ścieżką i strzelił do Jane przez przypadek. Ale problem w tym, że gdy strzela się z łuku, trzeba być bardzo blisko. Na tyle blisko, by widzieć, do czego się mierzy.

Gamache pokiwał głową. A więc jednak rozumiała. Doprawdy, co za ironia, że dopiero z tego ukrycia nagle zobaczyli wszystko tak jasno.

Po powrocie do bistro Gamache zamówił gorący cydr i poszedł się umyć, lejąc ciepłą wodę na skostniałe ręce i wyciągając kawałeczki kory z zadrapań na skórze. Usiedli wraz z Clarą na fotelach przy kominku. Ona popijała swoje piwo i przeglądała *Wielką księgę myśliwską dla chłopców*. Położyła książkę na stoliku i popchnęła ją w stronę nadinspektora.

– Bardzo sprytne z pańskiej strony. Kompletnie zapomniałam o tych wszystkich ambonach, ścieżkach i tak dalej.

Gamache otoczył dłońmi swój kubek z wonnym, gorącym cydrem i czekał. Czuł, że Clara potrzebuje się wygadać. Po minucie pozbawionego niezręczności milczenia skinęła głową w stronę wnętrza bistro.

– Peter siedzi tam z Benem. Nie jestem nawet pewna, czy wie, że wyszłam.

Gamache spojrział w tamtą stronę. Peter rozmawiał z kelnerką, a Ben przyglądał się ich dwójce. Chociaż nie im obojgu. Przyglądał się Clarze. Gdy spotkał spojrzenie Gamache'a, szybko odwrócił wzrok z powrotem w stronę

Petera.

– Muszę panu coś powiedzieć – rzekła Clara.

– Mam nadzieję, że nie o prognozie pogody. – Gamache się uśmiechnął.

Clara wyglądała na zmieszaną.

– Proszę mówić – zachęcił ją. – Czy to ma związek z amboną albo sarnią ścieżką?

– Nie, o tym muszę jeszcze trochę pomyśleć. To było dość przerażające, a ja nawet nie cierpię na lęk wysokości. – Uśmiechnęła się do niego ciepło z nadzieją, że się nie zarumienił. Gamache był przekonany, że to pozostało niezauważone. Cóż, jedna osoba mniej jest przekonana o jego doskonałości.

– Co chciała pani powiedzieć?

– Chodzi o André Malenfant. Wie pan, męża Yolande. W czasie lunchu podeszłam, żeby porozmawiać z Yolande, i usłyszałam, jak on się ze mnie śmieje. To był niezwykle odgłos. Na swój sposób pusty i przejmujący. Zjełczały. Jane opisywała w ten sposób śmiech jednego z chłopaków, którzy rzucali nawozem.

Gamache wysłuchał jej, patrząc w ogień, popijając cydr i czując, jak ciepły, słodki płyn przepływa mu przez pierś i sączy się do żołądka.

– Myśli pani, że jednym z tych chłopaków był jego syn, Bernard.

– Dokładnie. Jednego z tych chłopaków tam nie było. Ale Bernard był.

– Rozmawialiśmy z Gusem i Claude'em. Obydwaj, co nie jest niespodzianką, zaprzeczają, jakoby tam byli.

– Philippe przeprosił za rzucanie nawozem, ale to może nic nie znaczyć. Dzieciaki boją się Berniego. Myślę, że Philippe przyznałby się do morderstwa, jeśli to by go uratowało przed pobiciem przez tego chłopaka. On terroryzuje ich wszystkich.

– Czy to możliwe, że Philippe'a w ogóle przy tym nie było?

– To możliwe, choć nieprawdopodobne. Ale mam absolutną pewność, że Bernard Malenfant rzucał nawozem w Oliviera i Gabriego i że miał z tego frajdę.

– Bernard Malenfant był ciotecznym wnukiem Jane – powiedział Gamache powoli, rozważając powiązania faktów.

– Tak – zgodziła się Clara, sięgając po garść orzeszków podawanych z piwem. – Ale jak pan wie, nie byli blisko. Nie wiem, kiedy Jane po raz ostatni widziała się z Yolande towarzysko. Coś się między nimi popsulo.

– Co się stało?

– Nie wiem dokładnie – odparła Clara z wahaniem. – Wiem tylko tyle, że miało to coś wspólnego z domem. Domem Jane. Należał do jej rodziców, był o to jakiś zatarg. Jane mówiła, że kiedyś były blisko z Yolande. Yolande przychodziła do niej jako dziecko. Grały w remika i w cribbage. Każdego wieczoru Jane kładła na kuchennym stole kartę z damą kierową i kazała ją Yolande zapamiętać, bo rano miała się zmienić w inną.

– I zmieniała się?

– Właśnie o to chodziło. Codziennie rano Yolande schodziła do kuchni i była pewna, że karta się zmieniła. To ciągle była dama kier, ale coś w niej było inaczej.

– Ale czy karta faktycznie była inna, znaczy, czy Jane sama ją zamieniała?

– Nie. Ale Jane wiedziała, że dziecko w żaden sposób nie jest w stanie zapamiętać wszystkich szczegółów. A co więcej, wiedziała, że każde dziecko tęskni za tym, by móc wierzyć w czary. To takie smutne.

– Co takiego? – zapytał Gamache.

– Yolande. Zastanawiam się, w co ona dzisiaj wierzy.

Gamache przypomniał sobie swoją rozmowę z Myrną i zastanowił się, czy to możliwe, by Jane mogła przekazywać młodej Yolande jeszcze inną wiadomość. Że wszystko się zmienia i nie należy się tego bać.

– Kiedy Jane mogła widzieć się z Bernardem? Poznałaby go?

– Przez ostatni rok lub coś koło tego mogła widywać Bernarda dosyć często, ale z daleka – powiedziała Clara. – Teraz szkolny autobus, którym jeździ Bernard i inne okoliczne dzieciaki, zatrzymuje się w Three Pines.

– Gdzie?

– Przy budynku starej szkoły, tak że potem nie musi przejeżdżać przez miasteczko. Niektórzy rodzice podrzucają tam dzieci dużo wcześniej, jeśli tak im pasuje, i dzieciaki muszą czekać. Niekiedy więc wędrują w dół wzgórza do miasteczka.

– A co się dzieje, jeśli jest zimno albo burza?

– Większość rodziców czeka z dziećmi w samochodzie, aż przyjedzie autobus, pilnując, by nie zmarzły. Ale okazało się, że niektórzy rodzice po prostu je tam zostawiali. Timmer Hadley pozwalała im zostawać u siebie do przyjazdu autobusu.

– To miłe z jej strony.

Clara wydawała się nieco zaskoczona.

– Tak pan myśli? Pewnie tak, jeśli się nad tym zastanowić. Ale podejrzewam, że był ku temu inny powód. Bała się, że ktoś ją zaskarzy, jeśli dzieciak zamrze na śmierć albo coś takiego. Szczerze mówiąc, ja wolałabym umrzeć z zimna niż wejść do jej domu.

– Czemu?

– Timmer Hadley była nienawistną kobietą. Proszę spojrzeć na biednego Bena. – Clara machnęła głową w stronę Bena, a Gamache spojrzał w jego stronę dokładnie w takim momencie, by zauważyć, że Ben znowu się na nich gapi.

– Zrobiła z niego kalekę. Była zaborczą manipulatką. Nawet Peter bał się jej okropnie. Zwykł spędzać dnię po szkole u Bena. Żeby dotrzymać mu towarzystwa i starać się go chronić przed tą kobietą, w tym potwornym domu. Zastanawia się pan, czy go kocham? – Przez moment Gamache nie był pewien, czy Clara ma na myśli Petera, czy Bena. – Peter jest najcudowniejszą osobą na świecie, więc skoro nawet on nienawidził Timmer i bał się jej, coś musiało tam być poważnie nie tak.

– Jak Peter poznał Bena?

– W Abbot's, prywatnej szkole dla chłopców niedaleko Lennoxville. Bena wysłano tam, gdy miał siedem lat. Peter też miał siedem. Byli najmłodszy w całej szkole.

– Co takiego złego zrobiła Timmer? – Brew Gamache'a zmarszczyła się na myśl o dwóch wystraszonych chłopcach.

– Na początek wysłała małego, wystrzonego chłopca z domu do szkoły z internatem. Ben był kompletnie nieprzygotowany na to, co go czekało. Był pan kiedyś w szkole z internatem, inspektorze?

– Nie. Nigdy.

– To ma pan szczęście. To wyjątkowo wyrafinowana forma darwinizmu.

Trzeba się zaadaptować albo zginąć. Człowiek uczy się, że aby przetrwać, musi kłamać, oszukiwać i dręczyć innych. Albo się cały czas ukrywać. Ale nawet to nie na długo wystarczało.

Z opowieści Petera Clara wyrobiła sobie dość jasny obraz życia w Abbot's. Widziała teraz powoli, powoli obracającą się klamkę. I drzwi do sypialni chłopców, których nie dawało się zamknąć na klucz, otwierające się wolniutko. I chłopaków ze starszych klas wślizgujących się do środka na paluszkach, żeby narobić jeszcze więcej szkody. Peter przekonał się, że potwory wcale nie mieszkają pod łóżkiem. Serce Clary pękało za każdym razem, gdy myślała o tych chłopcach. Spojrzała na ich stolik i zobaczyła dwóch dorosłych mężczyzn; ich posiwiałe, ogorzałe głowy pochylone do siebie tak blisko, że prawie się dotykały. Chciała pobiec do nich i chronić ich od wszelkiego złego.

– Mateusz, dziesięć, trzydzieści sześć.

Clara zwróciła się z powrotem do Gamache'a, który spoglądał na nią z taką czułością, że poczuła się jednocześnie bezbronna i otoczona opieką. Drzwi internatowej sypialni się zamknęły.

– Słucham?

– Cytat z Biblii. Mój pierwszy szef, inspektor Comeau, często to cytował. Ewangelia według Świętego Mateusza, rozdział dziesiąty, wers trzydziesty szósty.

– Nigdy nie byłam w stanie wybaczyć Timmer tego, co zrobiła Benowi – powiedziała Clara cicho.

– Ale Peter też tam był. Rodzice go wysłali.

– To prawda. Matka Petera to też ciężki przypadek, ale on był lepiej przygotowany. A i tak to był koszmar. A potem te węże. W któreś wakacje Ben i Peter bawili się w kowbojów w piwnicy i natrafili na gniazdo węży. Ben mówił, że w całej piwnicy było ich pełno. I myszy. Ale tu u wszystkich są myszy. Ale nie u wszystkich są węże.

– Czy węże wciąż tam są?

– Nie wiem.

Za każdym razem, gdy Clara szła do domu Timmer, widziała węże – zwinięte w ciemnych kątach, czające się pod krzesłami, zwisające z powały. To mogła być tylko jej wyobraźnia. Albo nie. W końcu Clara w ogóle odmówiła

chodzenia tam aż do ostatnich tygodni życia Timmer, kiedy potrzebni byli wolontariusze. Ale i wtedy chodziła wyłącznie z Peterem i nigdy nie korzystała z łazienki. Wiedziała, że za pokrytym rosą rezerwuarem czają się zwinięte w kłębek węże. I nigdy, przenigdy nie schodziła do piwnicy. Nie zbliżała się nawet do tych drzwi z boku kuchni, zza których słyszała, jak węże wiją się i pełzają, i czuła zapach bagna.

Clara przerzuciła się na szkocką i obydwójce z Gamache'em gapili się przez okno na wiktoriańskie wieżyczki widoczne sponad drzew na wzgórzu.

– A jednak Timmer i Jane były najlepszymi przyjaciółkami – zauważył Gamache.

– To prawda. Ale z drugiej strony Jane ze wszystkimi się potrafiła dogadać.

– Z wyjątkiem swojej siostrzenicy, Yolande.

– To żadna rewelacja. Nawet Yolande nie dogaduje się z Yolande.

– Czy przychodzi pani do głowy, dlaczego Jane nie wpuszczała nikogo dalej niż do kuchni?

– Nie mam pojęcia – odparła Clara – ale zaprosiła nas na drinka do swojego salonu w wieczór po wernisażu Arts Williamsburg, żeby świętować przyjęcie *Dnia jarmarku* na wystawę.

– Kiedy was zaprosiła? – zapytał Gamache, pochylając się w przód.

– W piątek, na kolacji, po tym, jak dowiedziała się, że jej obraz został zaakceptowany.

– Zaraz, zaraz – powiedział Gamache, kładąc łokcie na stole, jakby przygotowując się do przepełnienia przezeń wprost do środka jej głowy. – Mówi pani, że w piątek przed swoją śmiercią Jane zaprosiła wszystkich na przyjęcie u siebie w domu? Po raz pierwszy w życiu?

– Tak. Bywaliśmy na kolacjach i przyjęciach u niej w domu milion razy, ale zawsze odbywały się w kuchni. Tym razem wyraźnie wspomniała o salonie. Czy to istotne?

– Nie wiem. Kiedy jest otwarcie wystawy?

– Za dwa tygodnie.

Siedzieli w milczeniu, myśląc o wystawie. Nagle Clara spojrzała na zegar.

– Muszę iść. Goście przychodzą na kolację.

Gamache także wstał z miejsca, Clara uśmiechnęła się do niego.

– Dzięki za ambonę.

Inspektor skłonił się jej lekko i obserwował, jak wędrowała między stolikami, machając do ludzi i kiwając im głową, aż dotarła do Petera i Bena. Pocałowała Petera w czubek głowy, obydwaj mężczyźni podnieśli się jak jeden mąż i we trójkę wyszli z bistro – jak rodzina.

Gamache podniósł ze stolika *Wielką księgę myśliwską dla chłopców* i otworzył okładkę. Wewnątrz czyjaś niewprawną ręką napisała wielkimi, krągłymi literami: „B. Malenfant”.

Gdy Gamache dotarł z powrotem do hoteliku, zastał Oliviera i Gabriego w trakcie przygotowań do wyjścia na obiad składkowy u Clary i Petera.

– Jeśli ma pan ochotę, w piekarniku jest placek pasterski dla pana! – zawołał Gabri, gdy wychodzili.

Na górze Gamache zapukał do drzwi agentki Nichol i zasugerował, by spotkali się na dole za dwadzieścia minut, by kontynuować rozpoczętą rano rozmowę. Nichol się zgodziła. Nadinspektor powiedział jej też, że dziś wieczorem zjedzą kolację w hotelu, więc nie musi się przebierać do wyjścia. Skinęła głową, podziękowała mu i zamknęła drzwi, wracając do czynności, której poświęciła ostatnie pół godziny – zastanawianiu się desperacko, w co też ma się ubrać. Które z ubrań, pożyczonych od jej siostry, Angeliny, będzie idealne? Coś, w czym będzie wyglądać na inteligentną, silną, bez-kija-nie-podchodź, przyszłą panią nadinspektor? Które z ubrań mówiło „polub mnie!”? Które było właściwe?

Gamache wspiał się piętro wyżej do swojego pokoju, otworzył drzwi i poczuł, jak przyciąga go mosiężne łóżko, zasłane wysoko czystą, białą kołdrą i białymi, puchowymi poduszkami. Jedyne, czego pragnął, to zapaść się w nie, zamknąć oczy i zasnąć głębokim snem. Pokój był prosto umeblowany: kojąco białe ściany i komoda w głębokim kolorze wiśniowego drewna. Jedną ścianę zajmował olejny portret. Na drewnianej podłodze leżał wyblakły, najwyraźniej ukochany przez właścicieli orientalny chodnik. To było spokojne, gościnne wnętrze. Gamache wahał się chwilę, po czym zdecydowanym krokiem ruszył do przyległej łazienki. Prysznic przywrócił mu siły. Nadinspektor przebrał się w swobodniejsze ubranie, zadzwonił do Reine-Marie, zebrał swoje notatki i dwadzieścia minut później był z powrotem w salonie.

Yvette Nichol pojawiła się pół godziny później. Zdecydowała się na „power suit”, czyli ciemny garnitur w prążek. Gdy weszła, Gamache nie podniósł nawet głowy znad lektury.

– Mamy problem. – Odsunął notatnik od twarzy i spojrzał na nią. Siedziała naprzeciw niego z nogą założoną na nogę i skrzyżowanymi ramionami. Była stacją drogi krzyżowej. – Właściwie to pani ma problem. Ale jeśli wpływa on na moje śledztwo, staje się także moim problemem.

– Naprawdę, sir? A cóż to za problem?

– Ma pani sprawny umysł.

– A to źle?

– Nie. To w tym leży problem. Jest pani zadufana i arogancka. – Łagodnie wypowiedziane słowa uderzyły w nią jak obuchem. Nikt wcześniej nie śmiał do niej mówić w taki sposób.

– Zacząłem od tego, że ma pani sprawny umysł. Wykazała się pani imponującą dedukcją na naszym popołudniowym spotkaniu.

Nichol wyprostowała się nieco, udobruchana, ale czujna.

– Ale sprawny umysł to za mało – ciągnął Gamache. – Musi go pani używać. A nie robi pani tego. Patrzy pani, ale nie widzi. Słucha, ale nie słyszy.

Nichol była prawie pewna, że w drogówce widziała gdzieś kubek do kawy z takim napisem.

Biedny Gamache kierował się w życiu filozofią tak małą, że mieściła się na kubku.

– Patrę i słucham wystarczająco uważnie, by rozwikłać tę sprawę.

– Być może. Zobaczymy. Jak już powiedziałem, to była dobra robota, ma pani sprawny umysł. Ale czegoś tu brakuje. Z pewnością to pani wyczuwa. Czy zdarza się pani, że czuje się zagubiona, jakby ludzie mówili w obcym języku, jakby działo się coś, co wszyscy z wyjątkiem pani rozumieją?

Nichol miała nadzieję, że szok, jaki odczuła, nie maluje się na jej twarzy.

Skąd on wiedział?

– Brak pani dyscypliny – upierał się, starając się, żeby sama to zauważyła. – Na przykład: co powiedziałem, zanim weszliśmy do domu Croftów?

– Nie pamiętam. – Gdzieś w głębi ducha zaczynała pojmować.

Niewykluczone, że jednak narozrabiała.

– Powiedziałem, żeby pani słuchała, ale nie mówiła. A mimo to odezwała się pani do pani Croft, gdy ta weszła do kuchni.

– Cóż, ktoś musiał być dla niej miły. Oskarżał mnie pan, że jestem nieuprzejma, ale to nieprawda. – Boże drogi, nie pozwól mi się rozplakać, pomyślała, a łzy napłynęły jej do oczu. Złożyła zwinięte w pięści dłonie na podołku. – Jestem miła.

– I to o to chodziło? To jest śledztwo w sprawie morderstwa. Ma pani robić to, co jej każą. To nie jest tak, że jest jeden zestaw reguł dla pani, a drugi dla wszystkich innych. Zrozumiano? Jeśli pani mówią, żeby była pani cicho i robiła notatki, to dokładnie to ma pani robić.

Tych kilka ostatnich słów wypowiedział powoli, wyraźnie, chłodno. Zastanawiał się, czy Nichol zdaje sobie sprawę z tego, jaką jest manipulantką. Wątpił w to.

– Dziś rano podałem pani trzy z czterech zdań, które wiodą do mądrości.

– Podał mi pan wszystkie cztery. – Teraz Nichol poważnie zważyła we własne zdrowie psychiczne. Nadinspektor patrzył na nią poważnie, bez gniewu, ale i bez serdeczności.

– Proszę mi je powtórzyć.

– Przepraszam, nie wiem, potrzebuję pomocy, nie pamiętam.

– Nie pamiętam? A to skąd pani wzięła?

– Od pana, dziś rano. Powiedział pan: „nie pamiętam”.

– Poważnie pani mi mówi, że pani zdaniem „nie pamiętam” może być życiową lekcją? Oczywiście jest, że miałem na myśli, że zapomniałem ostatniego zdania. Tak, jestem pewien, że powiedziałem „nie pamiętam”. Ale to ma kontekst. To idealny przykład tego, w czym leży problem z pani sprawnym umysłem. Nie używa go pani. Nie myśli. Nie wystarczy, by usłyszeć słowa.

Zaczyna się – pomyślała Nichol. Ple, ple, ple. „Musisz słuchać”.

– Musi pani słuchać. Słowa nie wpadają w jakiś sterylny pojemnik, z którego można je wyjąć i przetrwać potem. Czy kiedy pani Croft stwierdziła, że w piwnicy nic nie ma, zauważyła pani jak to powiedziała, ton głosu, co się działo wcześniej, język jej ciała, jej ręce, oczy? Czy pamięta pani poprzednie śledztwa, w których podejrzany powiedział to samo?

– To moje pierwsze śledztwo – oznajmiła Nichol triumfalnie.

– A jak pani myśli, dlaczego kazałem jej słuchać i robić notatki? Bo nie ma pani doświadczenia. Zgadnie pani, jak brzmi ostatnie zdanie?

Nichol dosłownie zwinęła się jak ślimak.

– „Nie miałem racji”. – Podejrzewał, że gada sam do siebie, ale i tak musiał spróbować. Usłyszał te wiodące do mądrości zdania jako dwudziestopięcioletni nowicjusz w wydziale zabójstw. Inspektor Comeau posadził go w fotelu, powiedział mu wszystko za jednym posiedzeniem i nie wspominał o tym nigdy więcej. To był dar wielki jak góra, prezent, który Gamache do dzisiaj codziennie rozpakowywał. Uświadomił też sobie od razu, że to taki prezent, który należy podać dalej. Kiedy więc awansował na inspektora, zaczął przekazywać go następnemu pokoleniu.

Wiedział, że jest odpowiedzialny tylko za to, by spróbować. To, co oni z tym robią, to już ich sprawa. Miał do przekazania więcej niż tylko to jedno.

– Prosiłem panią dziś rano, by zastanowiła się pani, w jaki sposób się uczy. Co pani wymyśliła?

– Nie wiem.

Znów przypomniały mu się wersy z wiersza Ruth Zardo:

– „Odejdę dalej, gdzie nigdy mnie nie znajdziecie, ani nie zranicie, nie każecie mówić”.

– Co? – spytała Nichol. To było nie fair. Tak się starała. Wszędzie za nią szła, nawet została na wsi dla dobra śledztwa. Rozwikłała całą cholerną zagadkę. I co, czy ktoś zauważył jej wkład? Nie. Może Gamache sypał się na stare lata i to, że rozwiązała sprawę, sprawiło, że dostrzegł, jaki sam jest żaloszny. To musi być to – pomyślała, gdy jej zmęczone oczy dostrzegły tę wysepkę. Jest zazdrosny. To nie jej wina. Stanęła mocno na ruchomych piaskach i w ułamku sekundy wyszła na brzeg z lodowatego morza. Czuła, jak jej dłonie ocierają się o kostki, mając nadzieję, że ściągną ją w dół. Ale udało jej się wydostać na swoją wysepkę, bezpieczną i idealną.

– Wszyscy uczymy się na błędach, agentko Nichol.

Gadaj zdrów.

8

– Och, super – powiedziała Ruth, spoglądając za drzwi przedpokoju u Petera i Clary. – Przyszli Village People^[11].

– *Bonjour, mes amours!* – zawołał Gabri, wchodząc do domu tanecznym krokiem – i witaj, Ruth.

– Wykupiliśmy cały sklep ze zdrową żywnością. – Olivier z wysiłkiem wszedł do kuchni i złożył na kuchennym kontuarze dwa placki pasterskie i kilka papierowych toreb.

– Myliłam się. To tylko stare torby.

– Suka – rzucił Gabri.

– Dziwka! – warknęła Ruth. – Co jest w środku?

– To dla ciebie, moja ty szorstka szmatko... – Gabri chwycił torby i gestem obłąkanego magika efektownie odwrócił je dnem do góry. Wysypały się z nich torebki z chipsami, puszki solonych nerkowców, ręcznie robione czekoladki z Maison du Chocolat Marielle w St. Remy. Były też mieszane cukierki lukrecjowe i Jelly Beans, serki St. Andre i ciasteczka Jos. Luis. Lune Moons^[12] spadły na podłogę.

– Złoto! – wykrzyknęła Clara, klękając na podłodze i zbierając z niej śmieszne, fantastycznie żółte ciastka. – Moje, wszystko moje.

– Myślałam, że jesteś czekoladoholiczką – powiedziała Myrna, sięgając po prześliczne, pyszne łakocie wypełnione kremową masą, produkt ofiarnej pracy madame Marielle.

– W potrzebie człowiek nie wybiera. – Clara rozerwała celofanowe opakowanie Lune Moons i pożarła ciastko, jakimś cudem ładując do ust prawie połowę za jednym razem. Reszta wylądowała na jej twarzy i we włosach. – Nie jadłam tego od lat. Od całych dziesięcioleci.

– A mimo to ci w nich do twarzy – ocenił Gabri, przyglądając się Clarze, która wyglądała, jakby fabryka cukiernicza eksplodowała jej prosto w twarz.

– Przyniosłam własne papierowe torby – powiedziała Ruth, wskazując na kontuar. Stał przy nim Peter, zwrócony do gości plecami i sztywny, nawet jak na niego. Jego matka byłaby wreszcie dumna z niego, zarówno z fizycznej, jak i emocjonalnej postawy.

– Kto co chce? – spytał sucho, kierując słowa do półek na ścianie. Goście, na których nie patrzył, wymienili za jego plecami spojrzenia. Gabri strzepnęła ciastko z włosów Clary i przekrzywił głowę w stronę Petera. Clara wzdrygnęła się i natychmiast zorientowała się, że sprzeniewierzyła się mężowi. W jednym momencie i bez wysiłku zdystansowała się do jego nieprzyjaznego zachowania, chociaż to ona sama była za nie odpowiedzialna. Moment przed przybyciem gości opowiedziała Peterowi o swojej przygodzie z Gamache'em. Ożywiona i podekscytowana, gadała o swojej skrzyni, o lesie i o ekscytującej wspinaczce po drabinie na ambonę. Ale ściana słów, którą budowała, zasłoniła jej narastające milczenie męża. Nie zauważyła jego milczenia i dystansu aż do momentu, gdy było za późno i Peter wycofał się całkiem na swoją lodową wysepkę. Nienawidziła tego. Stał tam i patrzył tylko, osądzając ją i obrzucając drobinami sarkazmu.

– Ty i twój bohater rozwiązujecie zagadkę śmierci Jane?

– Myślałam, że przypadnie ci to do gustu – skłamała, ale tylko w połowie. Tak naprawdę w ogóle się nad tym nie zastanawiała, a jeśliby to zrobiła, pewnie przewidziałaby jego reakcję. Ponieważ jednak on siedział wygodnie na swojej wyspie z lodu, ona wycofała się na swoją, uzbrojona w poczucie świętego oburzenia oraz moralnej wyższości. Dorzuciła do ognia parę wielkich polan opału gestem, który oznaczał: „To ja mam rację, a ty jesteś pozbawionym uczuć gnojkiem” i poczuła się bezpiecznie i wygodnie.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? Dlaczego nie poprosiłaś, żebym z tobą poszedł?

No i proszę. Proste pytanie. Peter zawsze miał zdolność przebijania się przez choćby najbardziej starannie owijaną bawełnę. Niestety, tym razem to ona w nią naowijała. Zadał jej pytanie, którego sama bała się zadać. Dlaczego tego nie zrobiła? Nagle jej schronienie, jej wyspa, której teren dawał poczucie wyższości, zaczęła tonąć.

W tym momencie zjawili się goście. A teraz Ruth oświadczyła, ku zaskoczeniu wszystkich, że przyniosła coś, czym się chciała podzielić. Clara

pomyślała, że śmierć Jane musiała wstrząsnąć nią do głębi. Na kontuarze stały: džin Tanqueray, wermut Martini & Rossi i szkocka Glenfiddich. Alkohol wart fortunę, a Ruth nie dorobiła się fortuny. Na wspaniałej poezji nie zarabia się dość, by popłacić rachunki. Clara nawet nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni Ruth zapłaciła za swojego drinka. A dziś ta starsza pani pojechała aż do Societé des Alcools w Williamsburgu i nabyła te butelki, po czym przytargała je przez cały skwer do ich domu.

– Stój! – warknęła Ruth, machając laską na Petera, który właśnie miał odkręcić butelkę Tanqueray. – To moje. Nie rusz. Nie macie żadnego napitku dla gości? – zapytała, odpychając Petera łokciem na bok i wciskając butelki z powrotem do papierowych rękawów. Niosąc je w ramionach, poszła do sieni i położyła na podłodze pod swoim płóciennym płaszczem, jak matka układająca do snu wyjątkowo delikatne dziecko. – Nalej mi szkockiej! – zawołała stamtąd.

Co zadziwiające, Clara czuła się bardziej komfortowo z taką Ruth niż z tamtą, chwilowo hojną. Zawsze lepszy jest znajomy diabeł.

– Mówiłaś, że masz jakieś książki do sprzedania? – powiedziała Myrna, wędrując do salonu z kieliszkiem czerwonego wina w jednej ręce i garścią lukrecjowej mieszanki w drugiej.

Clara poszła za nią, wdzięczna, że może się oddalić od obrażonego Petera.

– Kryminały. Chcę kupić ich więcej, ale najpierw muszę pozbyć się starych.

Obie kobiety przesuwwały się wolno wzdłuż sięgających od podłogi do sufitu regałów, stojących naprzeciw kominka; od czasu do czasu Myrna zdejmowała coś z półki. Clara miała bardzo szczególny gust. Większość jej kryminałów była brytyjska, kameralna i działa się na wsi. Myrna potrafiła godzinami grzebać po półkach z książkami i mieć z tego frajdę. Uważała, że jeśli ma szansę się dobrze przyjrzeć czyjejś biblioteczce i koszykowi z zakupami spożywczymi, to w zasadzie wie całkiem nieźle, z kim ma do czynienia.

Nie po raz pierwszy stały przed tymi książkami. Oszczędna para co kilka miesięcy wyprzedawała ich trochę i wymieniała na inne, także używane i także ze sklepu Myrny. Tytuły przepływały jeden po drugim. Powieści szpiegowskie, książki ogrodnicze, biografie, literatura piękna, ale głównie kryminały. Książki były przemieszane. Na pewnym etapie próbowali zaprowadzić w nich jakiś porządek – książki o restauracji dzieł sztuki stały alfabetycznie, chociaż jedną wstawiono z powrotem w niewłaściwym miejscu. Myrna bez zastanowienia ją

przestawiła. Zgadywała, kto próbował zaprowadzić porządek; reszta księgozbioru stanowiła radosny literacki chaos.

– Proszę. – Gdy doszły do końca regału, Myrna spojrzała na swój stosik. Z kuchni napływał obiecujący aromat poprawiającego nastrój jedzenia. Umysł Clary powędrował za jej zmysłem powonienia i znów zobaczyła Petera, zastygłego w gniewie. Dlaczego od razu nie powiedziała mu o ambonie i o ścieżce?

– Dam ci dolara za każdą – zaproponowała Myrna.

– A może byśmy zamieniły się na inne?

To był dobrze znajomy, często praktykowany taniec. Pertraktowały ze sobą i ostatecznie obydwie wychodziły zadowolone. Ruth przyłączyła się do nich i czytała tylną okładkę książki Michaela Innesa.

– Byłby ze mnie dobry detektyw – oznajmiła. – W odróżnieniu od ciebie, Claro, widzę ludzi takimi, jakimi są naprawdę. Widzę w nich mrok, gniew, małostkowość.

– Ruth, ty je stwarzasz – poprawiła ją Clara.

– To prawda. – Ruth gruchnęła śmiechem i nieoczekiwanie uścisnęła Clary uściskiem, który okazał się niespodziewanie silny. – Jestem nieznośna i nielubiana....

– Pierwsze słyszę – powiedziała Myrna.

– To nie ulega wątpliwości. To moje największe zalety. Reszta to tylko dekoracja. Tak właściwie prawdziwą zagadką jest, dlaczego więcej ludzi nie popełnia morderstw. To musi być okropne, być człowiekiem. Słyszałam w Societé des Alcools, że ten safandula Gamache przeprowadził rewizję w domu Croftów. Idiotyczne.

Przeszły z powrotem do kuchni, gdzie kolacja stała już na stole w dymiących naczyniach do zapiekaneek, gotowa, by wszyscy mogli się częstować. Ben nalał Clarze kieliszek czerwonego wina i usiadł koło niej.

– O czym rozmawiałyście?

– Nie jestem pewna. – Clara uśmiechnęła się, patrząc na Bena. – Ruth mówi, że Gamache przeszukał dom Croftów. Czy to prawda?

– A nie powiedział ci dzisiaj po południu? – prychnął Peter z odległego miejsca przy stole.

– O tak, była wielka afera – przyznał Olivier, próbując zignorować Petera, nakładającego mu byle jak jedzenie na talerz. – Wywrócili dom do góry nogami i zdaje się, że coś znaleźli.

– Ale rzecz jasna nie aresztują Matthew? – Clara zastygła z widelcem w połowie drogi do ust.

– Czy Matthew nie mógł zabić Jane? – zapytał Ben, podsuwając dokładkę *chili con carne*. Zamierzał skierować pytanie do wszystkich obecnych, ale instynktownie zwrócił się do Petera.

– Nie wierzę – odparł Olivier, gdy Peter nie przemówił.

– Dlaczego nie? – Ben znów zwrócił się do Petera. – Wypadki się zdarzają.

– To prawda – przyznał Peter. – Ale sądzę, że on by się przyznał.

– Tylko to nie był zwyczajny wypadek. Myślę, że ucieczka byłaby czymś całkiem naturalnym.

– Tak sądzisz? – zapytała Myrna.

– Tak sądzę – odrzekł Ben. – To znaczy, nie jestem pewien, jak bym się zachował, gdybym, powiedzmy, rzucił kamieniem, trafił w kogoś, zabił tę osobę i nikt by mnie nie widział. Czyż mogę z całą pewnością powiedzieć, że bym się przyznał? Nie zrozumcie mnie źle, naprawdę mam nadzieję, że wezwałbym pomoc i wziął na siebie odpowiedzialność. Ale czy mogę, stojąc tu dzisiaj, mieć pewność? Nie, dopóki to się nie wydarzy.

– Myślę, że tak byś zrobił – powiedział cicho Peter. Ben poczuł, jak ściska go w gardle. Od komplementów zawsze chciało mu się płakać; wprawiały go w głębokie zażenowanie.

– Wracamy do tego, o czym rozmawialiśmy w piątek wieczorem. Jak to szło, ten twój cytat, Claro? – zapytała Myrna. – „Sumienie i tchórzostwo to to samo”.

– To Oscar Wilde. Był o wiele bardziej cyniczny ode mnie. Myślę, że to prawda w odniesieniu do niektórych ludzi, ale szczęśliwie nie do większości. Myślę, że większość ludzi ma dość przyzwoity zmysł moralny.

Usłyszała, jak po jej lewej stronie Ruth prychnęła.

– Czasem trochę to potrwa, zanim się człowiek pozbiera, zwłaszcza po jakimś wstrząsie. Gdy na to patrzę z punktu widzenia Gamache’a, to ma sens. Matthew jest doświadczonym myśliwym łucznikiem. Wiedział, że w tej okolicy są sarny. Posiadał zarówno wiedzę, jak i zdolność.

– Ale dlaczego by się nie przyznał? – chciała wiedzieć Myrna. – Jasne, Ben, kompletnie zgadzam się z tobą. Z początku to byłoby zrozumiałe, gdyby Matthew uciekł, ale czy po jakimś czasie by się nie przyznał? Ja nie byłabym w stanie żyć, obarczona taką tajemnicą.

– Musiałabyś się nauczyć lepiej dotrzymywać tajemnicy – odezwał się Gabri.

– Myślę, że to musiał być ktoś obcy – powiedział Ben. – Bóg jeden wie, ilu ich teraz jest w okolicy. Wszyscy ci myśliwi z Toronto, Bostonu i Montrealu, strzelający jak wariaci.

– Ale – Clara zwróciła się do niego – skąd myśliwy z Toronto wiedziałby, gdzie stać?

– Jak to? Po prostu idą do lasu i stoją. To nie jest skomplikowane; to dlatego tylu kretynów poluje.

– Ale w tym przypadku myśliwy dokładnie wiedział, gdzie stanąć. Dziś po południu byłam na ambonie myśliwskiej, wiesz, tej przy dawnej szkole, zaraz obok miejsca, gdzie zabito Jane. Weszłam na górę popatrzeć. I proszę, tam jest sarnia ścieżka. To dlatego ambonę właśnie tam zbudowano...

– Taa, zbudował ją ojciec Matthew Crofta – dodał Ben.

– Naprawdę? – Clara natychmiast straciła poczucie równowagi. – Nie wiedziałam o tym. A wy? – zwróciła się do reszty obecnych przy stole.

– O co pytałaś? Nie słuchałam – przyznała Ruth.

– Taki to z ciebie detektyw – podsumowała Myrna.

– Ojciec Matthew zbudował ambonę – powiedziała Clara do siebie. – Ale tak czy inaczej, Gamache był pewien, że od dawna jej nie używano...

– Myśliwi łucznicy generalnie nie korzystają z ambon – zauważył Peter bezbarwnym głosem. – Tylko ci z bronią palną ich używają.

– No więc w czym rzecz? – Ruth zaczynała się nudzić.

– Obcy, przyjezdny myśliwy nie wiedziałby, że tam należy pójść.

Clara poczekała, aż wniosek z tego stanie się dla wszystkich jasny.

– Ktokolwiek zabił Jane, musiał być tutejszy? – zapytał Olivier.

Aż do tej pory zakładali, że morderca był przyjezdnym myśliwym, który uciekł. Teraz nie było to takie oczywiste.

– Czyli mimo wszystko to mógł być Matthew Croft – powiedział Ben.

– Nie sędzę – Clara brnęła dalej. – Te same fakty, które wskazują, że to mógł być Matthew, świadczą także przeciwko temu. Doświadczony myśliwy łucznik nie zabiłby kogoś przez przypadek. To nie jest rodzaj wypadku, który mógłby mu się przytrafić. Łucznik, stojący tuż przy szlaku saren, byłby zbyt blisko. Wiedzialby, że to sarna podchodzi albo... albo że to nie sarna.

– Albo że to Jane; to chcesz powiedzieć. – Głos Ruth zabrzmiał bardziej twardo niż zwykle. Clara skinęła głową. – Łajdak. – Ruth niemal wypluła to słowo. Gabri ujął ją za rękę, a Ruth, po raz pierwszy w życiu, nie wyrwała mu się.

Po przeciwnej stronie stołu Peter odłożył sztucce i wpatrywał się w Clarę. Nie mogła do końca odczytać wyrazu jego twarzy, ale to nie było uznanie.

– Jedno jest pewne: ktokolwiek zabił Jane, jest bardzo dobrym łucznikiem – powiedziała. – Kiepski nie oddałby takiego strzału.

– Niestety, w tej okolicy jest wielu bardzo dobrych łuczników – zauważył Ben. – Za sprawą klubu łuczniczego.

– Morderstwo – orzekł Gabri.

– Morderstwo – potwierdziła Clara.

– Ale któż mógłby chcieć śmierci Jane? – zapytała Myrna.

– Czy za takimi czynami nie stoi zwykle chęć korzyści? – spytał Gabri.

– Pragnienie władzy, pieniędzy.

– Motywem jest korzyść lub chęć chronienia czegoś, co dana osoba boi się utracić – powiedziała Myrna. Przysłuchiwała się tej rozmowie, przekonana, że to, co robią jej przyjaciele, to tylko desperacka próba odwrócenia uwagi od straty przez zamienienie całej kwestii w intelektualną rozgrywkę. Ale teraz zaczęła się zastanawiać. – Jeśli istnieje zagrożenie utraty czegoś, co człowiek sobie ceni: rodziny, spadku, pracy, domu...

– Rozumiemy, do czego zmierzasz – przerwała Ruth.

– Ten ktoś może dojść do przekonania, że zabijanie jest usprawiedliwione.

– Więc jeśli Matthew Croft to zrobił – podsumował Ben – zrobił to celowo.

* * *

Suzanne Croft spojrzała na talerz. Zdębiałe miniravioli firmy Chef Boyardee

tworzyły ciastowate grudki w kałuży gęstego, zimnego sosu. Na brzegu talerza leżała kromka fabrycznie krojonego ciemnego, tostowego pieczywa. Susan miała nadzieję, że jej wzburzony żołądek uspokoi się na tyle, by mogła zjeść choć kęs.

Ale kromka pozostała nietknięta.

Naprzeciw niej Matthew ułożył ze swoich czterech kwadratowych miniravioli precyzyjną ścieżkę, przebiegającą w poprzek talerza. Sos formował jeziora po obydwu jej stronach. Dzieci dostały większość jedzenia; potem Matthew, a Suzanne wzięła to, co zostało. Świadoma część mózgu mówiła jej, że to szlachetny, matczyzny odruch. Jednak w głębi ducha wiedziała, że takim rozdziałem porcji kierował bardziej osobisty pociąg do męczeństwa. Niewypowiedziany, ale sugerowany kontrakt z rodziną. Byli jej coś winni.

Philippe zajmował swoje zwykłe miejsce, koło Matthew. Jego talerz był czysty: wszystkie ravioli pozarte, sos wybrany zamoczonym w nim chlebem. Suzanne zastanawiała się nad tym, czyby nie zamienić swego nietkniętego talerza na talerz syna, ale coś ją powstrzymało. Spojrzała na Philippe'a, podłączonego do swego discmana. Chłopak siedział z zamkniętymi oczami i nadąsaną miną, którą przybierał niemal bez przerwy od sześciu miesięcy. Suzanne zdecydowała, że nie proponuje zamiany. Zdała sobie nagle sprawę z tego, że chyba nie lubi swego syna. Kocha go, owszem. Ale czy lubi?

Przez ostatnie pół roku Matthew i Suzanne musieli walczyć z Philippe'em, by odłożyć discmana; Matthew kłócił się z nim po angielsku, a Suzanne w swoim ojczystym języku, po francusku. Philippe był dwujęzyczny, zaznajomiony z obydwojma kulturami i jednakowo głuchy na obydwa języki.

– Jesteśmy rodziną – argumentował Matthew – a NSYNC nie był zaproszony na kolację.

– Kto? – parsknął Philippe. – To jest Eminem.

Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Philippe obrzucił Matthew tym spojrzeniem, nie pełnym gniewu czy rozdrażnienia, ale kompletnej obojętności. Matthew mógł być... Czym? Nie lodówką. Philippe najwyraźniej miał dobre relacje z lodówką, ze swoim łóżkiem, telewizorem i komputerem. Nie: patrzył na tatę, jakby ten był *NSYNC. Niemodny. Odrzucony. Nieistniejący.

Zwykle Philippe w końcu zdejmował discmana w zamian za jedzenie. Ale

tym razem było inaczej. Dziś wieczorem mama i tata byli zadowoleni, że jest do niego podłączony i nieobecny. Jadł żarłocznie, jakby te pomyje były najlepszym jedzeniem, jakie kiedykolwiek mu podano. Suzanne poczuła się tym wręcz dotknięta. Co wieczór ciężko pracowała, żeby przygotować im dobrą, domową kolację. Dziś stać ją było jedynie na to, by otworzyć dwie puszkę z zapasu na czarną godzinę i podgrzać ich zawartość. A Philippe pożarł to dzisiaj, jakby to było wykwintne jedzenie. Spojrzała na syna i zastanawiała się, czy zrobił to celowo, żeby ją obrazić.

Matthew pochylił się bliżej ku talerzowi i udoskonał ścieżkę z ravioli. Każdy mały ząbek na brzegu kwadratowego pierożka musiał się idealnie wpasować w wycięcia na sąsiednim. Bo inaczej co? Bo inaczej wszechświat wybuchnie w ogniu, ich ciała pokryją się bąblami i zapieką, a on będzie musiał się przyglądać, jak cała jego rodzina umiera na jego oczach, ułamek sekundy przed jego własną straszliwą śmiercią. Mnóstwo zależało od ravioli Chef Boyardee.

Zauważył, że żona mu się przygląda, zaczarowana precyzją jego ruchów. „Utknąwszy w zająknięciu dziesiątego punktu”. Nagle przypomniał mu się ten wers. Zawsze mu się podobał, od pierwszej chwili, gdy przeczytał go u panny Neal. Pochodził z *Oratorium na Boże Narodzenie* Audena. Jane mu je wcisnęła. Całe życie uwielbiała Audena. Przepadała nawet za jego najbardziej niezgrabnymi, dość dziwacznymi dziełami. Rozumiała je. Matthew męczył się nad Audenem z szacunku dla panny Neal. Ale wcale mu się nie podobał. Poza tym jednym wersem. Nie wiedział, co sprawiało, że był inny niż milion innych linijek w tym epickim dziele. Nie wiedział nawet, co on znaczy. Do teraz. Teraz on sam utknął w zająknięciu dziesiątego punktu. To właśnie stało się z jego światem. Spojrzenie w górę oznaczało konieczność stanięcia oko w oko z katastrofą. A on nie był na to gotów.

Wiedział, co przyniesie jutro. Nawet z bardzo daleka widział, co nadchodziło. Nieubłaganie. Nie mając nadziei na ucieczkę, czekał, aż przybędzie. Było tuż-tuż, niemal stało na progu ich domu. Spojrzał na swego syna, tego chłopca, który zmienił się tak bardzo przez ostatnie kilka miesięcy. Z początku myśleli, że to narkotyki. Ten jego gniew, pogarszające się stopniem, odrzucanie wszystkiego, co kiedyś uwielbiał: piłki nożnej, wieczornych seansów

filmowych czy *NSYNC. I rodziców. A w szczególności, jak czuł Matthew, jego samego. Z jakiegoś powodu wściekłość Philippe'a była wymierzona przeciw niemu. Matthew zastanawiał się, co też dzieje się za tą pełną euforii twarzą. Czy to możliwe, że Philippe wiedział, co nadchodzi, i cieszył się na to?

Matthew przesunął ravioli w samą porę, zanim jego świat eksplodował.

Za każdym razem, gdy w biurze operacyjnym dzwonił telefon, cała aktywność zamierała. A dzwonił często. Różni policjanci zgłaszający się do bazy. Właściciele sklepów, sąsiedzi, biurokraci odpowiadający na wcześniejsze telefony. Stara stacja Kanadyjskich Kolei Narodowych okazała się idealna na ich potrzeby. Zespół wspólnie ze strażakami z ochotniczej straży pożarnej uprzętnął pomieszczenie, które kiedyś musiało być poczekalnią. Lśniące, lakierowane drewno zakrywało ściany do trzech czwartych wysokości, a same ściany pokryte były plakatami z instrukcjami na wypadek pożaru i zdjęciami poprzednich zwycięzców konkursu o nagrodę literacką Generalnego Gubernatora Kanady – co stanowiło wskazówkę, kto też może być komendantem straży pożarnej. Funkcjonariusze Sûreté usunęli je, starannie zwijając w rulony, i zastąpili wykresami, mapami oraz listami podejrzanych. Teraz pomieszczenie wyglądało jak każde inne biuro operacyjne, mieszczące się w starej, nastrojowej stacji kolejowej. Ta przestrzeń sprawiała wrażenie przywykłej do czekania. Ci wszyscy czekający ludzie, setki ich, tysiące. Oczekujący na pociągi. By zabrały ich stąd lub przywiozły bliskich z powrotem do domu. Teraz znowu mężczyźni i kobiety siedzieli tu, czekając. Tym razem na raport z laboratorium Sûreté w Montrealu. Ten raport mógł sprawić, że wrócą do domu. Ten raport mógł zniszczyć rodzinę Croftów. Gamache podniósł się, udając, że rozprostowuje nogi, i zaczął spacerować. Gdy ogarniało go zniecierpliwienie, zawsze chodził z rękami splecionymi za plecami i spuszczoną głową, patrząc pod nogi. Teraz, gdy inni udawali, że telefonują i zbierają informacje, nadinspektor okrążał ich powoli, równomiernym krokiem. Niespiesznie, niewzruszony, niepowstrzymany.

Tego poranka Gamache wstał przed wschodem słońca. Mały, podróżny budzik wskazywał piątą pięćdziesiąt pięć. Nadinspektora zawsze zachwycało, kiedy elektroniczny zegar wyświetlał same identyczne cyfry. Pół godziny później Gamache w swoich najcieplejszych ubraniach cicho schodził po

schodach, prowadzących do głównych drzwi pensjonatu, gdy nagle usłyszał hałas.

– *Bonjour*, panie nadinspektorze – powiedział Gabri, wyłaniając się z kuchni w ciemnofioletowym szlafroku i puchatych kapciach, z termosem w dłoni. – Pomyślałem, że może pan mieć ochotę na *café au lait* na wynos.

Gamache był gotów go ucałować.

– Jak też – Gabri wyciągnął zza pleców małą, papierową torebkę – na parę *croissantów*.

Gamache był gotów się z nim ożenić.

– *Merci, infiniment, patron.*

Kilka minut później Armand Gamache siedział na oszronionej, drewnianej ławce na skwerku miejskim. Przez pół godziny przyglądał się, jak zmienia się niebo w ten cichy, spokojny, ciemny poranek. Czerń przeszła w granat, potem rozjaśniła się miejscami złotem. Tym razem pogodynka wreszcie miała rację. Nastał lśniący, czysty, jasny i zimny świt. Miasteczko się budziło. Światła jedno po drugim rozbłyskiwały w oknach. Panował spokój, a Gamache cieszył się każdą jego chwilą, nalewając aromatyczną, mocną *café au lait* z termosu do małego metalowego kubeczka i wyciągając z papierowej torebki puszyste, jeszcze ciepłe *croissanty*.

Gamache popijał i pogryzał. Ale głównie obserwował. Za dziesięć siódma zapaliło się światło w domu Bena Hadleya. Kilka minut później można było zobaczyć Daisy, jak szła, kulejąc przez podwórze, machając ogonem. Gamache wiedział z doświadczenia, że ostatnim ziemskim aktem większości psów było polizanie swojego pana i zamachanie ogonem. Przez okno Gamache mógł obserwować z oddali Bena, gdy ten przygotowywał śniadanie.

Gamache czekał.

W miasteczku trwało poruszenie; do wpół do ósmej większość domów zbudziła się do życia. Lucy, wypuszczona z domu Morrowów, spacerowała po okolicy, obwąchując wszystko. Podniosła nos w powietrze, po czym z wolna odwróciła się i odeszła, a potem truchtała, aż wreszcie biegła po ścieżce przez las, która prowadziła do jej domu. Z powrotem do mamy. Gamache patrzył, jak puszysty, złoty ogon zniknął w klonowo-wiśniowym lesie i czuł, że pęka mu serce. Kilka minut później Clara wyszła z domu i zawołała Lucy. Dało się

słyszeć pojedyncze, niepocieszone szczeknięcie, po czym Clara weszła w las i wróciła moment później, a za nią Lucy z opuszczoną głową i nieruchomym ogonem.

Poprzedniej nocy Clara spała niespokojnie, budząc się co kilka godzin z tym przygnębiającym przecuciem, które zaczęło jej stale towarzyszyć. Strata. Nie było to już krzykiem, jak na początku, teraz zdawało się raczej jękiem w szpiku jej kości. Znowu rozmawiali z Peterem, zmywając naczynia, gdy reszta siedziała w salonie, rozważając możliwość, że Jane została zamordowana.

– Przepraszam – odezwała się Clara, ze ścierką do naczyń w ręku odbierając ciepłe, mokre talerze z rąk Petera. – Powinnam ci była powiedzieć o mojej rozmowie z Gamache’em.

– To dlaczego nie powiedziałaś?

– Nie wiem.

– To za mało, Claro. Czy to może znaczyć, że mi nie ufasz?

Przeszukiwał wzrokiem jej twarz, spojrzenie jego niebieskich oczu było uważne i chłodne. Wiedziała, że powinna go objąć, powiedzieć mu, jak bardzo go kocha, ufa mu i potrzebuje go. Ale coś ją powstrzymało. Znowu. Milczenie między nimi. Coś jeszcze, niewypowiedziane. Czy to tak się zaczyna? – zastanawiała się Clara. Ta przepaść pomiędzy dwojgiem ludzi, wypełniana nie tym, co znane i dające poczucie bezpieczeństwa, ale zbyt wieloma rzeczami, o których się nie mówi, albo zbyt wieloma z tych, które zostały powiedziane.

Jej kochanek znowu się zamykał. Nieruchomy i chłodny.

Ben zastał ich w tym właśnie momencie, przyłapując na akcie dużo intymniejszym niż seks. Ich gniew i ból były jasno widoczne. Ben zająknął się, zawahał, zamamrotał coś i w końcu wyszedł, wyglądając jak dziecko, które w nieodpowiednim momencie zaskoczyło własnych rodziców.

Tego wieczoru, kiedy wszyscy już poszli, Clara powiedziała Peterowi to, co – jak wiedziała – bardzo chciał usłyszeć. Że bardzo mu ufa i bardzo kocha. Jak było jej przykro i jak jest wdzięczna za jego cierpliwość w obliczu jej bólu po śmierci Jane. Poprosiła go o wybaczenie. Wybaczył jej i tulili się do siebie, aż zaczęli oddychać głęboko i nawet w jednym rytmie.

Wciąż jednak coś pozostało niewypowiedziane.

Następnego ranka Clara wstała wcześniej, wypuściła Lucy na dwór i zrobiła Peterowi racuchy z syropem klonowym i boczkiem. Petera obudził nieoczekiwany zapach wędzonego, kanadyjskiego boczku, świeżej kawy i palonego drewna. Leżąc w łóżku, postanowił, że postara się przejść do porządku dziennego nad przykrymi uczuciami z poprzedniego wieczoru. Mimo to całe zdarzenie utwierdziło Petera w przekonaniu, że niebezpiecznie jest ujawniać uczucia. Wziął prysznic, włożył czyste ubranie, przybrał nową minę i zszedł do kuchni.

– Jak myślisz, kiedy Yolande się wprowadzi? – zapytała go Clara przy śniadaniu.

– Przypuszczam, że po ogłoszeniu testamentu. Może za parę dni, może za tydzień.

– Nie mogę uwierzyć, że Jane zapisała dom Yolande; choćby dlatego, że wiedziała, jak bardzo jej nie znoszę.

– Może tym razem nie chodziło o ciebie, Claro.

Bum! Clara pomyślała, że może ciągle jest wkurzony.

– Obserwowałam Yolande przez parę ostatnich dni. Cały czas znosi rzeczy do domu Jane.

Peter wzruszył ramionami. Zaczynał mieć dosyć pocieszania Clary.

– Czy Jane nie sporządziła nowego testamentu? – spróbowała znowu.

– Nie przypominam sobie. – Peter znał Clarę na tyle, by wiedzieć, że to wybieg, że próbuje odciągnąć jego uwagę od tego, że go zraniła, i sprawić, by stanął po jej stronie. Nie miał zamiaru uczestniczyć w tej grze.

– Nie, naprawdę – powiedziała Clara. – Wydaje mi się, że kiedy u Timmer zdiagnozowano raka i wiedziała już, że jest śmiertelnie chora, rozmawiały z Jane na temat zaktualizowania testamentów. Jestem pewna, że Jane i Timmer pojechały do notariuszki w Williamsburgu. Jak ona ma na nazwisko? No wiesz, ta, co właśnie urodziła dziecko. Chodziła ze mną na gimnastykę.

– Jeśli Jane sporządziłaby nowy testament, policja wiedziałaby o tym. Od tego są.

Gamache podniósł się z ławki. Zobaczył, co potrzebował zobaczyć. Oraz to, co podejrzewał. Nie było to do końca miarodajne, ale interesujące. Jak to

zwykle bywa z kłamstwami. Teraz chciał jeszcze raz odwiedzić ambonę, zanim wciągną go obowiązki rozpoczynającego się dnia. Choć może tym razem nie zamierzał się wspinać. Przeszedł przez skwer, podeszwy butów odciskały się na oszronionej trawie. Poszedł w górę zbocza, wzdłuż starej szkoły, i wszedł do lasu. Ponownie znalazł się u stóp drzewa. Od pierwszej i, jak miał nadzieję, jedynej wizyty na ambonie było dla niego jasne, że morderca z niej nie korzystał. Ale jednak...

– Pif-paf! Nie żyje pan.

Gamache obrócił się, ale poznał ten głos już w momencie, gdy zaczął to robić.

– Zaszedł mnie pan z nienacka, Jean Guy. Będę musiał panu przywiesić krowi dzwoneczek.

– Och nie, znowu?

Nieczęsto się zdarzało, żeby się tak zaczął na szefa. Tym razem Beauvoir zaczął się martwić. Co by było, gdyby któregoś razu zaskoczył tak Gamache'a, a ten dostałby ataku serca? Z całą pewnością popsułoby to całą zabawę. Ale martwił się o nadinspektora. Racjonalna część jego umysłu, która zwykle miała przewagę, wiedziała, że to głupie. Nadinspektor miał lekką nadwagę i dobiegał pięćdziesiątki, ale to tak samo jak wiele innych osób, z których większość dawała sobie doskonale radę bez pomocy Beauvoira. Z drugiej strony praca nadinspektora była dość stresująca, by powalić słonia. A on ciężko pracował. Zasadniczo jednak nie dawało się wytłumaczyć uczuć Jean Guy Beauvoira. Po prostu nie chciał stracić nadinspektora. Gamache poklepał go po ramieniu, oferując resztkę café au lait z termosu, ale Beauvoir jadł już śniadanie w pensjonacie.

– Znaczą się: brunch.

– Taaa. Jajka po benedyktyńsku, croissanty, domowe dzemy. – Beauvoir popatrzył na zmiętą, papierową torbę w ręku Gamache'a. – Okropne. Ma pan szczęście, że pana przy tym nie było. Nichol ciągle tam jest. Zeszła chwilę później niż ja i usiadła przy innym stoliku. Dziwna dziewczyna.

– Kobieta, Jean Guy.

Beauvoir odchrząknął głośno. Nienawidził poprawności politycznej Gamache'a. Gamache się uśmiechnął.

– To nie o to chodzi. – Domyślał się powodu, dla którego inspektor chrząknął.

– Nie widzi pan? Ona chce, żebyśmy ją wszyscy postrzegali jako dziewczynkę, jako dziecko, kogoś, z kim trzeba się delikatnie obchodzić.

– Jeśli tak, to z niej rozpieszczony bachor. Działa mi na nerwy.

– Niech pan nie pozwoli jej zaleźć sobie za skórę. Jest pełną gniewu manipulantką. Niech ją pan traktuje jak każdego innego agenta. To ją doprowadzi do szału.

– Dlaczego w ogóle jest z nami? Nic nie wnosi.

– Wczoraj przedstawiła bardzo dobrą analizę, która pomogła nas przekonać, że mordercą jest Philippe Croft.

– To prawda, ale niebezpieczna z niej osoba.

– Niebezpieczna, Jean Guy?

– Nie fizycznie. Nie złapałaby za pistolet, żeby nas zastrzelić. Prawdopodobnie nie.

– Na pewno nie. Mam nadzieję, że jeden z nas by ją unieszkodliwił, zanim by nas wykończyła. – Gamache się uśmiechnął.

– Mam nadzieję, że to byłbym ja. Ona jest niebezpieczna, bo antagonizuje ludzi.

– Tak. To ma sens. Zastanawiałem się nad tym. Gdy przyjechała po mnie w niedzielę rano, byłem pod wrażeniem. Była grzeczna i troskliwa; gdy się jej zadało pytanie, odpowiadała wyczerpująco, ale nie próbowała się wywyższać ani imponować. Naprawdę myślałem, że trafiła nam się znakomita osoba.

– Przyniosła panu kawę i pączka, prawda?

– A właśnie, że brioszkę. Byłem gotów z miejsca awansować ją na sierżanta.

– Ja tak zostałem inspektorem. Ta eklerka załatwiła sprawę. Ale z Nichol coś się w międzyczasie stało, odkąd do nas przyszła – zgodził się Beauvoir.

– Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to że zaczęła się sypać, gdy poznała członków zespołu. Niektórzy tak mają. W pojedynkę są znakomici. Typ solistów. Genialni. Ale wystarczy ich włączyć do zespołu, a robią się okropni. Myślę, że tak jest z Nichol: chce współzawodniczyć, zamiast współpracować.

– Myślę, że desperacko próbuje udowodnić, że coś potrafi, i chce, by pan ją

pochwalił. A jednocześnie odbiera każdą radę jako krytykę, a każdą krytykę jako katastrofę.

– W takim razie miała katastrofalny wieczór. – Gamache opowiedział inspektorowi o swojej rozmowie z Nichol.

– Niech pan ją zwolni, sir. Zrobił pan, co mógł. Wchodzi pan? – Beauvoir zaczął wspinać się po drabince na ambonę. – Tu jest super. Jak w domku na drzewie.

Gamache rzadko widywał Beauvoira tak ożywionego. Mimo to jednak nie odczuwał potrzeby przyglądania się jego ożywieniu z bliska.

– Byłem tam już. Widzi pan sarnią ścieżkę?

Poprzedniego wieczoru Gamache powiedział Beauvoirovi o ambonie i zasugerował, by pobrał z niej próbki, nie spodziewał się jednak, że inspektor przyjdzie tak wcześnie.

– *Mais oui*. Stąd to nietrudne. Ale wczoraj wieczorem przyszło mi coś do głowy. – Beauvoir spoglądał na niego z góry.

O, Boże, będę chyba musiał tam wejść? – pomyślał Gamache. Wyciągnął ręce ku oślizgłym, drewnianym szczelbom i zaczął się wspinać. Podciągając się na platformę, przycisnął plecy do szorstkiego pnia i złapał za poręcz.

– Trawa.

– Co takiego? – Przez moment Gamache podejrzewał, że Beauvoir przejrzał jego tajemnicę i sugeruje, żeby skoczył w dół...

– Zielsko. Marihuana. Teraz jest czas zbiorów nie tylko na dynie. W okolicy są żniwa maryški. Myślę, że to możliwe, że Jane Neal została zabita przez hodowców, bo odkryła ich uprawy. Spacerowała po całej okolicy, prawda? Bóg wie, że to przemysł wart miliony dolarów, i czasami ludzie giną.

– To prawda – sugestia zaintrygowała Gamache'a, może poza jednym aspektem – ale większość upraw kontrolują Hell's Angels albo Rock Machine, gangi motocyklowe.

– Zgadza się. Ta okolica to rewir Hell's Angels. Ja bym im w drogę nie wchodził. To mordercy. Czy myśli pan, że moglibyśmy przenieść Nichol do antynarkotykowego?

– Niech się pan skupi, Beauvoir. Jane Neal zabito czterdziestoletnią strzałą. Kiedy ostatni raz widział pan członka gangu motocyklowego z łukiem?

To był dobry argument, o którym Beauvoir wcześniej nie pomyślał. Cieszył się, że przedstawił tę koncepcję szefowi tutaj, ponad ziemią, a nie w pełnym ludzi biurze operacyjnym. Gamache, trzymając się poręczy, zastanawiał się, jak też zejdzie na dół, gdy nagle odczuł potrzebę skorzystania z łazienki. Beauvoir zsunął nogi na bok, znalazł drabinkę i zaczął schodzić. Gamache pomodlił się w duchu, przesunął w stronę krawędzi i zsunął nogę w dół, nie czując nic poza pustką powietrza. Wtem dłoń chwyciła go za kostkę i naprowadziła jego stopę na pierwszy szczebel.

– Nawet panu od czasu do czasu trzeba trochę pomóc. – Beauvoir spojrzał na niego, po czym szybko zszedł na dół.

– Dobra, złóżcie raporty. – Kilka minut później Beauvoir zaprowadził porządek na odprawie. – Lacoste, pani pierwsza.

– Matthew Croft. Lat trzydzieści osiem – powiedziała, wyjmując długopis z ust. – Szef wydziału drogowego hrabstwa St. Remy. Rozmawiałam z naczelnikiem hrabstwa, rozplątywał się w pochwałach. Szczerze mówiąc, nie słyszałam tylu pochwał od czasu moich własnych egzaminów.

W pokoju zawrzało. Jean Guy Beauvoir, który przeprowadzał ocenę pracy załogi, miał opinię wyjątkowo wymagającego.

– Ale pracownik, którego zwolniono, zgłosił skargę. Twierdził, że Croft go pobił.

– Kto to był, ten pracownik?

– André Malenfant.

W pokoju rozniósł się pomruk aprobaty.

– Croft wygrał, bez dwóch zdań. Malenfanta wyrzucili. Ale zanim się to stało, poszedł do lokalnych dziennikarzy. Wstrętny typ, ten facet. Dalej, Suzanne Belanger. Też trzydzieści osiem lat. Jest żoną Crofta od piętnastu. Pracuje na pół etatu w Les Reproductions Doug w St. Remy. Zobaczmy, co jeszcze... – Lacoste przejrzała swoje notatki w poszukiwaniu czegoś wartego wspomnienia o tej kobiecie prowadzącej ciche, nieszczególne życie.

– Nigdy nie byli aresztowani? – zapytała Nichol.

– Tylko raz, w zeszłym roku, za zamordowanie starej kobiety.

Nichol zrobiła nadąsaną minę.

– A Philippe?

– Ma czternaście lat, chodzi do dziewiątej klasy. Do ostatnich świąt Bożego Narodzenia miał głównie czwórki z plusem. Ale potem coś się stało. Oceny się pogorszyły i zaczął mieć problem ze sprawowaniem. Rozmawiałam z psychologiem szkolnym. Powiedziała, że nie ma pojęcia, co się stało. Może narkotyki. Może problemy w domu. Mówiła, że czternastolatkom czasem tak odbija. Nie wyglądała na szczególnie tym zmartwioną.

– Czy wiemy, czy Philippe był członkiem którejś ze szkolnych drużyn sportowych? – chciał wiedzieć Gamache.

– Grał w koszykówkę i w hokeja, ale w tym semestrze nie poszedł na kwalifikacje do drużyny koszykówki.

– Czy mają drużynę łuczniczą?

– Tak, sir. Nigdy do niej nie należał.

– Dobrze – pochwalił Beauvoir. – Nichol, co z testamentem?

Yvette Nichol zajrzała do notatek. A przynajmniej udała, że to robi. Kompletnie zapomniała. No, może nie kompletnie. Pamiętała o tym pod koniec poprzedniego popołudnia, ale potem rozwikłała sprawę i sprawdzanie byłoby tylko stratą czasu. Poza tym nie miała pojęcia, jak się dowiedzieć, czy istniał inny testament i absolutnie nie zamierzała pokazywać swojej ignorancji przed tak zwanymi kolegami, którzy jak do tej pory nie okazali się ani trochę pomocni.

– Ten u Stickleya jest najnowszy – powiedziała Nichol, patrząc Beauvoirowi prosto w oczy. Beauvoir zawahał się, zanim spuścił wzrok.

Kontynuowano raporty. W pomieszczeniu narastało napięcie w miarę, jak telefon, na którego dzwonek wszyscy czekali, nadal milczał w dużej dłoni Gamache'a.

Z raportów wynikało, że Jane Neal była oddaną i szanowaną nauczycielką. Dbła o swoich uczniów do tego stopnia, że czasem któryś nie zdał u niej. Finansowo znajdowała się w dobrej sytuacji. Była wolontariuszką w kościele Świętego Tomasza i brała aktywny udział w pracach Przykościelnego Stowarzyszenia Kobiet Anglikańskich, organizując targi staroci i wieczorki towarzyskie. Jej wielkimi pasjami były ogrodnictwo i gra w brydża.

Jej sąsiedzi nic nie widzieli ani nie słyszeli w niedzielę rano.

Na zachodzie bez zmian – pomyślał Gamache, słuchając o tym łagodnym żywocie. Jego magiczne myślenie pozwalało mu dziwić się, że nikt nie zauważa, gdy odchodzi taka dobra dusza. Dzwony kościelne nie zaczynają bić same z siebie. Myszy i sarenki nie płaczą głośno. Ziemia nie drży – a powinna. Jeśli to on by był Bogiem, tak by się działo. Tymczasem linijka w oficjalnym raporcie brzmieć będzie: „Jej sąsiedzi niczego nie zauważyli”.

Po złożeniu sprawozdań zespół rozszedł się do swoich telefonów i papierkowej roboty. Armand Gamache zaczął się przechadzać. Zadzwoiła Clara Morrow, żeby powiedzieć Gamache’owi, że ambonę zbudował ojciec Matthew Crofta, co, biorąc pod uwagę ich podejrzenia, było faktem godnym odnotowania.

O dziesiątej piętnaście Gamache odebrał telefon. Dzwonili z laboratorium.

Matthew Croft miał na resztę życia zapamiętać ten moment, gdy pod jego dom zajechały policyjne samochody. Kuchenny zegar wskazywał trzy minuty po jedenastej. Spodziewał się ich dużo wcześniej. Czekał od siódmej rano.

Każdej jesieni, w sezonie na przetwory, matka Suzanne, Marthe, przychodziła z torbą na zakupy pełną rodzinnych przepisów. We dwie robiły przetwory przez kilka następnych dni, a Marthe niezmiennie pytała: „Kiedy ogórek zamienia się w pikla?”. Z początku próbował odpowiedzieć na to pytanie, jak gdyby naprawdę chciała się dowiedzieć. Ale z czasem uświadomił sobie, że to pytanie bez odpowiedzi. W którym momencie zachodzi ta zmiana? Czasami nagle. Jak te momenty iluminacji w naszym życiu, kiedy nagle coś sobie uświadamiamy. Ale często zmiana jest stopniowa, ewolucyjna.

Czekając przez cztery godziny, Matthew zastanawiał się, co się stało. W którym momencie zaczęło się źle dziać? Na to także nie znalazł odpowiedzi.

– Dzień dobry, panie Croft. – Nadinspektor Gamache wyglądał spokojnie, pewnie. Jean Guy Beauvoir stał obok Gamache’a, a dalej ta policjantka; lekko z tyłu jeszcze jeden mężczyzna, którego Croft jeszcze nie poznał. W średnim wieku, ubrany w garnitur i krawat, włosy posiwiałe, tradycyjnie przycięte. Gamache podążył za spojrzeniem Crofta.

– To jest Claude Guimette. Jeden z naszych regionalnych kuratorów^[13]. Mamy wyniki testów łuku i strzał. Możemy wejść?

Croft cofnął się i tamci weszli do jego domu.

Zaprowadził ich do kuchni.

– Byłoby dobrze, gdyby pan i pańska żona mogli być obecni.

Croft skinął głową i poszedł na górę. Suzanne siedziała na łóżku. Ubranie się zajęło jej cały ranek; za każdym razem, gdy coś na siebie włożyła, wyczerpana znów padała na kołdrę. Wreszcie, jakąś godzinę temu, ubrała się do końca. Jej twarz naznaczona cierpieniem i lękiem wyglądała przerażająco.

Suzanne próbowała się modlić, ale nie mogła sobie przypomnieć słów.

Powtarzała więc jedyną rzecz, którą pamiętała z tomiku wierszy dla dzieci:

Błękitny chłopczyku, zagraj na swej trąbce

Są krowy na polu i owce na łące.

Recytowała to bezustannie, gdy Philippe był mały, ale teraz nie mogła przypomnieć sobie reszty. Wydawało jej się, że to ma znaczenie, chociaż wierszyk nie był prawdziwą modlitwą, ale czymś więcej. Świadczył o tym, że była dobrą matką. Że kochała swoje dzieci. Gdy tak recytowała go w głowie, głosem małej dziewczynki, dowodził, że nie ponosiła winy za to, co się działo.

– Przyjechali – powiedział Matthew, stając w drzwiach. – Chcą, żebyś zeszła do kuchni.

Gdy Suzanne pojawiła się na dole, z Matthew u boku, Gamache podniósł się i ujął jej dłoń. Usiadła na krześle, które jej zaoferowano, jak gdyby była gościem we własnym domu. We własnej kuchni.

– Mamy wyniki testów laboratoryjnych – przeszedł od razu do rzeczy Gamache. Byłoby okrucieństwem owijać w bawełnę. – Na łuku, który znaleźliśmy w państwa piwnicy, jest krew Jane Neal. Podobnie jak na niektórych ubraniach, należących do Philippe’a. Grot strzały pasuje do rany. Pióra strzały są tego samego rodzaju i wykonano je w tym samym okresie co te, które znaleźliśmy w starym kołczanie. Mamy powody, by uważać, że państwa syn przypadkiem zabił Jane Neal.

To było wszystko.

– Co się z nim stanie? – zapytał Matthew; przestał już walczyć.

– Chciałbym z nim porozmawiać – powiedział pan Guimette. – Moim zadaniem jest go reprezentować. Przyszedłem razem z policją, ale nie pracuję dla nich. Biuro kuratora Quebecu jest niezależne od policji. Moim pracodawcą jest Philippe.

– Rozumiem – odparł Matthew. – Czy pójdzie do więzienia?

– Rozmawialiśmy w samochodzie po drodze tutaj. Nadinspektor Gamache nie ma zamiaru oskarżać go o zabójstwo.

– W takim razie co się z nim stanie? – zapytał znowu Matthew.

– Pojedzie na komisariat w St. Remy i zostanie oskarżony o zakłócanie

porządku publicznego.

Matthew uniósł brwi. Gdyby wiedział, że może zostać oskarżony o „zakłócanie porządku publicznego”, jego młodość wyglądałaby o wiele inaczej. Byłby wtedy równie niesubordynowany jak jego syn. W tym momencie brzmiało to jak szczerą prawdą.

– Ale to tylko dzieciak – odezwała się Suzanne, czując, że powinna coś powiedzieć w obronie własnego dziecka.

– Ma czternaście lat. Wystarczająco dużo, by odróżniać dobro od zła – łagodnie, ale stanowczo przypomniał Gamache. – Musi wiedzieć, że jeśli zrobi coś złego, nawet niechcący, będzie musiał ponieść konsekwencje. Czy Philippe był wśród chłopców, którzy obrzucili panów Dubeau i Brulé nawozem?

To oskarżenie najwyraźniej ożywiło Matthew.

– Tak. Po powrocie do domu nawet się tym chwalił. – Matthew przypomniał sobie, jak wpatrywał się w swojego chłopca w kuchni, zastanawiając się, kim jest ten obcy.

– Ale czy jest pan pewien? Wiem, że panna Neal wykrzyczała trzy nazwiska, w tym Philippe’a, ale mogła się mylić co najmniej w kwestii jednego.

– Naprawdę? – W Suzanne na moment odżyła nadzieja, ale chwilę później pani Croft uświadomiła sobie, że to bez znaczenia. Kilka dni temu przerażała ją myśl, że syn mógł zrobić coś takiego i zostać złapany. Teraz to było nic w porównaniu z tym, co zrobił potem.

– Czy mogę z nim pomówić? – zapytał pan Guimette. – Tylko ja i nadinspektor Gamache.

Matthew się zawahał.

– Proszę pamiętać, panie Croft, że ja nie pracuję dla policji.

Croft w gruncie rzeczy nie miał wyboru i wiedział o tym. Zaprowadził ich na górę i zapukał do zamkniętych drzwi. Nikt nie odpowiedział. Zapukał znowu. Nadal cisza. Położył rękę na klamce, po czym cofnął ją i zapukał ponownie, tym razem wołając syna po imieniu. Gamache obserwował to wszystko z zainteresowaniem. W końcu sięgnął do klamki, obrócił ją i wszedł do pokoju Philippe’a.

Chłopak siedział tyłem do drzwi i kołysał głową. Nawet z daleka Gamache słyszał cichy, blaszany odgłos muzyki, sączącej się ze słuchawek. Philippe miał

na sobie codzienny uniform: workowate spodnie i luźną bluzę. Ściany oklejone były plakatami grup rockowych i raperów o naburmuszonych, minach. Tapetę ledwie dało się dostrzec. Jej wzór tworzyły postacie malutkich hokeistów w czerwonych koszulkach drużyny Canadiens.

Guimette dotknął ramienia chłopaka. Ten otworzył oczy i spojrzał na nich z taką nienawiścią, że obydwaj mężczyźni natychmiast poczuli się, jakby ich zaatakowano. Po chwili to spojrzenie zniknęło. Philippe wybrał niewłaściwy obiekt, nie po raz pierwszy.

– Czego chcecie?

– Jestem Claude Guimette z biura kuratora Quebecu, a to jest nadinspektor Gamache z Sûreté.

Gamache spodziewał się spotkać wystraszonego chłopca i wiedział, że strach przybiera różne formy. Często ma postać agresji. Ludzi agresywni niemal zawsze są przestraszeni. Ich brawurę, łyzy, pozorny spokój demaskują tylko nerwowe dłonie i oczy. Zawsze coś zdradzało lęk. Ale Philippe Croft nie wyglądał na wystraszonego. Emanował... Czym? Triumfem.

– No i co?

– Jesteśmy tu w związku ze śmiercią Jane Neal.

– Taa. Słyszałem o tym. Co to ma wspólnego ze mną?

– Myślmy, że ty to zrobiłeś.

– Ooo... Dlaczego?

– Na łuku, który znaleźliśmy w waszej piwnicy, była jej krew, a także twoje odciski palców. Jej krew była także na niektórych twoich ubraniach.

– I to wszystko?

– Znalaziono też krew na twoim rowerze. Krew panny Neal.

Philippe wyglądał na zadowolonego z siebie.

– Jestem niewinny.

– Jak to wytłumaczysz? – zapytał Gamache.

– A pan?

Gamache usiadł.

– Mam ci powiedzieć? Oto co, jak sędzę, zaszło tamtej niedzieli. Wyszedłeś z domu wcześniej rano. Coś cię skłoniło, żeby zabrać z sobą ten stary łuk

i strzały, i pojechać rowerem na tamto miejsce. Wiemy, że twój dziadek kiedyś tam polował. Nawet zbudował ambonę na tym starym klonie, prawda?

Philippe nadal gapił się na niego. A raczej przeszywał go spojrzeniem na wylot.

– Potem coś się stało. Albo poślizgnęła ci się ręka i strzała wystrzeliła przypadkiem, albo strzeleńś z rozmysłem, myśląc, że to sarna. Tak czy inaczej, skończyło się katastrofą. A co się dalej stało?

Gamache patrzył i czekał, podobnie jak pan Guimette. Ale chłopak pozostał beznamiętny, jego twarz nic nie wyrażała, jakby słuchał historii dotyczącej kogoś innego. Nagle uniósł brwi i uśmiechnął się.

– Słucham dalej. To zaczyna być ciekawe. Więc starszą panią ktoś sprzątnął, a ja mam się nie posiadać z rozpaczy z tego powodu? Ale mnie tam nie było, pamiętacie?

– Zapomniałem – powiedział Gamache. – Pozwól więc, że dokończę. Bystry z ciebie chłopak.

Tu Philippe się skrzywił. Najwyraźniej nie lubił być traktowany protekcjonalnie.

– Widziałeś, że nie żyje. Szukałeś strzały i znalazłeś ją, plamiąc przy tym krwią ręce i ubranie. Potem wróciłeś do domu i ukryłeś łuk i strzały w piwnicy. Ale twoja mama zauważyła plamy na ubraniu i zapytała o to. Prawdopodobnie zmyśliłeś jakąś historyjkę. Ona jednak znalazła także łuk i strzały w piwnicy. Gdy usłyszała o śmierci Jane Neal, poskładała wszystko do kupy. Spaliła strzałę, ale łuku nie, bo był za duży, by zmieścić się do pieca.

– Słuchaj pan. Wiem, że jesteś pan stary, więc powiem to jeszcze raz, powoli. Nie było mnie przy tym. Jestem niewinny. *Comprends?*

– W takim razie kto to zrobił? – zapytał Guimette.

– Zobaczmy, któż mógł to zrobić? Cóż, kto jest doświadczonym ekspertem od polowania z łuku?

– Czy twierdzisz, że twój ojciec zabił pannę Neal? – zapytał Guimette.

– Czy z was kompletni idioci? Oczywiście, że to zrobił.

– A co z plamami krwi na twoim rowerze? I na ubraniu? – pytał zadziwiony Guimette.

– No dobra, powiem wam, co zaszło. Powinniście to spisać.

Ale Gamache nie zaczął notować, patrzył tylko na Philippe’a w milczeniu.

– Ojciec przyszedł do domu bardzo zdenerwowany. Całe rękawice miał we krwi. Wyszedłem, żeby zobaczyć, czy mogę w czymś pomóc. Jak tylko mnie zobaczył, uścisnął mnie i wziął za ręce, szukając wsparcia. Wręczył mi skrwawioną strzałę i łuk, i kazał mi zanieść je do piwnicy. Zacząłem coś podejrzewać.

– Co podejrzewałeś? – zapytał Guimette.

– Gdy ojciec polował, zawsze czyścił potem sprzęt. To było bardzo dziwne. I nie widziałem sarny na pace ciężarówki. Złożyłem jedno z drugim i doszedłem do wniosku, że kogoś zabił.

Guimette i Gamache wymienili spojrzenia.

– Piwnicą ja się zajmuję – ciągnął Philippe. – Więc kiedy ojciec kazał mi tam złożyć ten skrwawiony sprzęt, zacząłem się zastanawiać, czy nie próbuje mnie zrobić. Ale i tak położyłem go w piwnicy, na co on zaczął na mnie krzyżeć: „Durny bachorze, zabierz swój cholerny rower z podjazdu!”. Zanim zdążyłem umyć ręce, musiałem przestawić rower. To stąd się na nim wzięły krwawe plamy.

– Pokaż mi, proszę, swoje lewe ramię – poprosił Gamache.

Guimette zwrócił się do chłopaka:

– Radziłbym tego nie robić.

Philippe wzruszył ramionami i zsunął luźny rękaw, odsłaniając jaskrawo fioletowego siniaka. Bliźniaczo podobnego do tego na ręku Beauvoira.

– Skąd ten siniak? – zapytał Gamache.

– A skąd się bierze większość siniaków na dzieciach?

– Przewróciłeś się? – zapytał Guimette.

Chłopak wywrócił oczami.

– A co jeszcze mogło się zdarzyć?

– To ojciec ci to zrobił? – spytał Guimette ze smutkiem w głosie.

– Zakapowaliście wreszcie, co?

– Nie zrobił tego. To niemożliwe. – Matthew milczał, jakby nagle uleciało

z niego wszystko, dzięki czemu się poruszał. To Suzanne nagle odzyskała głos i zaprotestowała. Musieli coś źle usłyszeć albo nie zrozumieć, musieli być w błędzie. – To wykluczone, żeby syn powiedział coś takiego.

– Wiemy, co usłyszeliśmy, pani Croft. Philippe mówi, że ojciec go maltretuje i że pomógł ukryć zbrodnię ze strachu przed tym, że ojciec go zbije. To dlatego miał na sobie krew, a na łuku były jego odciski palców. Mówi, że to jego ojciec zabił Jane Neal. – Claude Guimette tłumaczył to już po raz drugi i wiedział, że może być zmuszony zrobić to jeszcze parę razy.

Oszłupiały Beauvoir rzucił spojrzenie w stronę nadinspektora i zobaczył coś, czego zwykle nie widywał u Armanda Gamache’a. Gniew. Gamache przerwał kontakt wzrokowy z Beauvoirem i popatrzył na Crofta. Matthew zbyt późno zrozumiał, że wszystko mylnie zinterpretował. Myślał, że siła, która miała zniszczyć jego dom i rodzinę, nadejdzie z daleka. W żaden sposób nie mieściło mu się w głowie, że przez cały czas była na miejscu.

– Ma rację – powiedział Croft. – To ja zabiłem Jane Neal.

Gamache zamknął oczy.

– Och, Matthew, proszę. Nie. Przestań! – zwróciła się do pozostałych Suzanne, chwytając ramię Gamache’a z siłą drapieźnych szponów. – Zatrzymajcie go. On kłamie.

– Myślę, że pańska żona ma rację, panie Croft. Nadal sądzę, że to Philippe zabił pannę Neal.

– Myli się pan. To ja. Wszystko, co mówi syn, to prawda.

– Łącznie z tym, że go pan bił?

Matthew spojrzał na swoje buty i nie odpowiedział.

– Czy pojedzie pan z nami na komisariat w St. Remy? – zapytał Gamache. Beauvoir zauważył, a wraz z nim także inni, że to była prośba, nie rozkaz. W żadnym wypadku Croft nie został aresztowany.

– Tak. – Wydawało się, że Croft czuje ulgę.

– Jadę z wami – powiedziała Suzanne, zrywając się z miejsca.

– A co z Philippe’em? – zapytał Claude Guimette.

Suzanne z trudem opanowała się, by nie wrzasnąć: „No właśnie, co z nim?”.

Ale zamiast krzyknąć, odetchnęła głęboko parę razy.

Gamache postąpił naprzód i zaczął mówić do niej cicho i spokojnie:

– Chłopak ma tylko czternaście lat i jakkolwiek może tego w tej chwili nie okazywać, potrzebuje obecności matki.

Suzanne zawahała się, po czym skinęła głową, bojąc się powtórnie odezwać. Gamache wiedział, że podobnie jak strach, odwaga przybiera przeróżne formy.

Gamache, Beauvoir i Croft siedzieli w małym pokoiku przesłuchań na komisariacie Sûreté w St. Remy. Na metalowym stole pomiędzy nimi stał talerz z kanapkami z szynką i kilka puszek z gazowanymi napojami. Croft nic nie zjadł. Gamache także nie. Beauvoir nie mógł już dłużej na to patrzeć: podniósł do ust połowę kanapki i ugryzł ją od niechcienia, jak gdyby jego żołądek nie burczał żałośnie na cały pokój.

– Proszę nam powiedzieć, co się wydarzyło rankiem w ostatnią niedzielę.

– Wstałem wcześniej, jak zawsze. W niedzielę Suzanne lubi pospać dłużej. Położyłem na kuchennym stole produkty na śniadanie dla dzieciaków, a potem wyszedłem. Na polowanie z łuku.

– Powiedział nam pan, że już nie poluje.

– Skłamałem.

– Dlaczego poszedł pan do lasu za starą szkołą?

– Nie wiem. Może dlatego, że mój ojciec zawsze tam polował.

– Musiał być jeszcze inny powód – zauważył Gamache.

– Cóż, chyba nie. Było Święto Dziękczynienia, zatęskniłem za ojcem. Wziąłem jego stary, klasyczny łuk i strzały, i poszedłem w jego dawne łowieckie rewiry. Żeby być bliżej niego. *Point finale*.

– Co się stało?

– Usłyszałem dźwięk, coś szło przez las, jakby sarna. Powoli i ostrożnie. Niemal na paluszkach. Tak właśnie stąpają sarny. Napiąłem więc łuk i gdy tylko kształt się wyłonił, strzeliłem. Z sarnami trzeba szybko, bo byle co je płoszy.

– Ale to nie była sarna.

– Nie. To była panna Neal.

– Jak leżała?

Croft wstał, rozłożył ramiona i nogi.

– Co pan zrobił?

– Podbiegłem do niej, ale widziałem, że nie żyje. Wpadłem w panikę. Odszukałem strzałę, podniosłem ją i pobiegłem do ciężarówki. Wrzuciłem wszystko na pakę i pojechałem do domu.

– Co było dalej? – Z doświadczenia Beauvoira wynikało, że prowadzenie przesłuchania polegało jedynie na pytaniu „Co było dalej?” oraz na uważnym przysłuchiwaniu się odpowiedzi. Cały sekret polegał na słuchaniu.

– Nie wiem.

– Jak to?

– Nie pamiętam nic więcej od momentu, gdy wsiadłem do ciężarówki i pojechałem do domu. Ale czy to nie dosyć? Zabiłem pannę Neal. To wszystko, co musicie wiedzieć.

– Dlaczego się pan nie przyznał?

– Cóż, nie przypuszczałem, że się dowiecie. Wie pan, lasy są pełne myśliwych, nie wierzyłem, że przyjdziecie do mnie. A kiedy przyszliście, nie chciałem zniszczyć starego łuku ojca. Ma dla mnie wielkie znaczenie. To jakby ojciec ciągle był w domu. Kiedy sobie uświadomiłem, że muszę go zniszczyć, zrobiło się za późno.

– Czy bije pan syna?

Croft się skrzywił, jakby go coś oburzyło, ale nic nie powiedział.

– Dziś rano siedziałem w państwa kuchni i mówiłem panu, że myślę, że Philippe zabił pannę Neal. – Gamache pochylił się w przód tak, że jego głowa znalazła się ponad kanapkami, ale patrzył tylko na Crofta. – Dlaczego wtedy się pan nie przyznał?

– Byłem zbyt oszołomiony.

– Ależ panie Croft! Czekał pan na nas. Wiedział pan, co wykażą testy laboratoryjne. A teraz mówi nam pan, że zamierzał pan pozwolić, by pański syn został aresztowany za zbrodnię, którą pan sam popełnił? Nie sądzę, że jest pan do tego zdolny.

– Nie ma pan pojęcia, do czego jestem zdolny.

– To pewnie prawda. Skoro jest pan zdolny do tego, żeby bić własnego syna, jest pan zdolny do wszystkiego.

Croft wydał nozdrza i zacisnął usta. Gamache podejrzewał, że jeśli Croft faktycznie byłby zdolny do przemocy, to teraz by mu przyłożył.

Zostawili Crofta siedzącego w pokoju przesłuchań.

– Co pan myśli, Jean Guy? – zapytał Gamache, gdy znaleźli się w zaciszu biura kierownika posterunku.

– Nie wiem, co myśleć, sir. Czy Croft to zrobił? Opowieść Philippe’a trzyma się kupy. Możliwe.

– Nie mamy absolutnie żadnego śladu krwi Jane Neal ani na ciężarówce Crofta, ani na samochodzie jego żony. Nigdzie nie znaleźliśmy jego odcisków palców...

– To prawda, ale Philippe mówi, że ojciec był w rękawicach – przerwał Beauvoir.

– Nie da się strzelać z łuku w rękawicach.

– Mógł je założyć po tym, jak już strzelił, kiedy się zorientował, co zrobił.

– Więc był na tyle przytomny, by założyć rękawice, ale nie na tyle, by zadzwonić na policję i zgłosić wypadek? Nie. Na papierze to może mieć sens, ale w życiowych warunkach go nie ma.

– Nie zgadzam się, sir. Zawsze mi pan zawsze powtarzał, że nie wiemy, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami. Co się naprawdę dzieje w domu Croftów? Owszem, Matthew Croft sprawia wrażenie myślącego i rozsądnego człowieka, ale przekonywaliśmy się setki razy, że większość napastników dręczących innych sprawia takie wrażenie na reszcie świata. Muszą to robić. To ich kamuflaż. Matthew Croft może równie dobrze być bardzo skłonny do przemocy wobec innych.

Beauvoir czuł się głupio, robiąc Gamache’owi wykład na temat rzeczy, których sam się od niego nauczył, ale myślał, że pewne rzeczy warto powtórzyć.

– A co ze spotkaniem mieszkańców, na którym był taki pomocny? – zapytał Gamache.

– Arogancja. Sam przyznał, że nie myślał, że go znajdziemy.

– Przykro mi, Jean Guy, ja tego nie kupuję. Nie ma absolutnie żadnego materialnego dowodu przeciw niemu. Jedynie oskarżenia pełnego gniewu nastolatka.

– Jego posiniaczonego syna.

– Owszem. Jego siniak jest identyczny jak pański.

– Ale on wcześniej strzelał z łuku. Croft mówił, że takie siniaki trafiają się tylko początkującym.

– To prawda, ale Croft powiedział także, że przestał polować kilka lat temu, więc pewnie nie zabierał syna na polowania od tamtego czasu – rozumował Gamache. – W życiu dziecka to bardzo długo. Prawdopodobnie wyszedł z wprawy. Proszę mi wierzyć, ten chłopak strzelał z łuku w ciągu ostatnich dwóch dni.

Mieli problem i wiedzieli o tym. Co zrobić z Matthew Croftem?

– Dzwoniłem do biura prokuratora w Granby – poinformował Gamache. – Przyślą kogoś. Powinien niedługo tu przybyć. Niech on się tym zajmie.

– Ona.

Beauvoir skłonił się przez szklane drzwi kobiecie w średnim wieku, cierpliwie stojącej z teczką w rękę. Wstał i wprowadził ją do ciasnego teraz biura.

– *Maître* Brigitte Cohen – zaanonsował Beauvoir.

– *Bonjour, maître* Cohen. Już prawie pierwsza, jadła pani lunch?

– Po drodze zjadłam tylko brioszkę. Jak dla mnie to przekąska.

W dziesięć minut później siedzieli w wygodnej jadalni naprzeciwko komisariatu i zamawiali lunch. Beauvoir pokrótce przedstawił sytuację *maître* Cohen. Ona w lot pojęła najistotniejsze szczegóły.

– Więc ten, na którego wskazuje najwięcej dowodów, nie chce się przyznać, a ten, przeciwko któremu nie ma żadnych dowodów, upiera się, że jest winny. Wygląda na to, że ojciec ochrania syna. Niemniej na początku, kiedy pan przyjechał, nadinspektorze, wyglądało, że ojciec pozwoli, by syna oskarżono o popełnienie zbrodni.

– To prawda.

– Dlaczego zmienił zdanie?

– Myślę, że był zaszokowany i głęboko zraniony oskarżeniami ze strony syna. Nie przypuszczam, że w jakikolwiek sposób się tego spodziewał. Trudno orzec na pewno, oczywiście, ale mam wrażenie, że to był kiedyś bardzo

szczęśliwy dom, a od pewnego czasu już taki nie jest. Odkąd poznałem Philippe'a, myślę, że to on emanuje niezadowoleniem. Widziałem takie rzeczy wcześniej. Gniewny dzieciak rządzi domem, bo rodzice się go boją.

– Owszem, i ja to widywałam. Ale nie ma pan na myśli, że fizycznie się go boją, prawda? – zapytała Cohen.

– Nie, emocjonalnie. Myślę, że Croft się przyznał, bo nie był w stanie znieść tego, co Philippe o nim myśli. To był desperacki, przez moment nawet szaleńczy czyn, którego celem miało być odzyskanie uczuć syna. Udowodnienie Philippe'owi, że ojciec go kocha. Ten czyn miał też w sobie coś, hmm, z... – Gamache wspomniał wyraz twarzy Crofta, siedzącego po przeciwnej stronie stołu – ...z samobójstwa. Rezygnacji. Myślę, że nie był w stanie znieść bólu spowodowanego tym, o co syn go oskarżył, więc po prostu się poddał.

Nadinspektor popatrzył na dwójkę swoich towarzyszy i uśmiechnął się lekko.

– To, oczywiście, tylko domniemanie. Takie mam tylko wrażenie. Silny człowiek w końcu się poddał. Przyznał się do zbrodni, której nie popełnił. Ale Matthew Croft jest właśnie takim silnym człowiekiem. Człowiekiem o głębokich przekonaniach. Pewnego dnia tego pożałuje, mam nadzieję. Ale z tego, co widziałem, Philippe jest wyjątkowo pełen złości i znakomicie wytresował rodzinę, by go nie prowokowała. – Gamache przypomniał sobie, jak Croft położył dłoń na kłamce, by zaraz ją cofnąć. Gamache miał wrażenie, że w przeszłości chłopak urządził ojcu piekło za otwieranie drzwi bez pozwolenia, a Croft dobrze to sobie zapamiętał.

– Ale skąd w nim tyle złości? – chciał wiedzieć Beauvoir. – Skąd to się w ogóle bierze u czternastolatków?

Cohen odpowiedziała:

– Jest normalna złość i taka, która rozlewa się na wszystkich dookoła. Jak kwas.

Beauvoir opowiedział jej o tym, jak Oliviera i Gabriego obrzucono nawozem.

– Nie jestem psychologiem, ale wygląda, że ten chłopak potrzebuje pomocy.

– Zgadza się – powiedział Gamache. – Ale Beauvoir zadał dobre pytanie. Dlaczego Philippe jest tak pełen złości? Czy to możliwe, że ktoś się nad nim znęca?

– Możliwe. Ale typową reakcją maltretowanego dziecka jest być miłym dla

tęgo, kto go maltretuje, i atakować drugie z rodziców. Wydaje się, że Philippe nie znosi obojga, a do ojca żywi szczególną pogardę. To nie pasuje do typowego profilu, ale pewnie często się zdarza. Nie ma pan pojęcia, ile razy prowadziłam sprawy przeciwko dzieciom, które zabijały znęcających się nad nimi rodziców. Prędzej czy później się buntują. Choć w większości wypadków nie posuwają się do morderstwa.

– Czy to możliwe, by znęcał się nad nim kto inny, a chłopak reagował projekcją? – Gamache przypomniał sobie komentarz Clary na temat Bernarda Malenfant. Powiedziała, że dręczy innych i że wszyscy chłopcy boją się go potwornie. Stwierdziła nawet, że Philippe prawdopodobnie przyznałby się do morderstwa, żeby uniknąć pobicia przez Bernarda. Podzielił się tymi myślami z Cohen.

– Możliwe. Dopiero sobie uświadamiamy, jak bardzo niszczący skutek może mieć znęcanie się jednych dzieci nad drugimi; coś takiego z pewnością sprawiłoby, że byłby wściekły, czułby się bezsilny i słaby. W domu mógłby próbować sprawować nadmierną kontrolę. To znana, niestety, odpowiadająca stereotypom rzeczywistość. Ofiary stają się dręczycielami. Ale nie wiemy na pewno.

– To prawda. Nie wiemy. Ale wiem, że w sprawie śmierci Jane Neal żadne dowody nie wskazują na Crofta.

– Mimo że mamy jego zeznanie.

– Zeznanie człowieka, którego umysł nie funkcjonuje normalnie. To nie wystarczy. Musimy mieć dowód. Czasami nasza praca polega na ratowaniu ludzi przed nimi samymi.

– Inspektorze Beauvoir, co pan myśli?

To pytanie postawiło Beauvoira dokładnie w punkcie, w którym nie chciał się znaleźć.

– Myślę, że jest powód, by poważnie rozważyć oskarżenie Matthew Crofta o zabicie Jane Neal – mówiąc to, Beauvoir obserwował Gamache'a. Gamache kiwał głową. – Mamy świadectwo chłopaka, który był przy tym – ciągnął Beauvoir – a które odpowiada dowodom, mamy też mocne dowody poszlakowe wskazujące na to, że morderca musiał być wprawnym myśliwym łucznikiem, a Philippe nim nie jest. Croft doskonale opisał miejsce zbrodni, nawet pokazał

nam, jak leżała Jane Neal. I wiedział o sarnim szlaku. To w połączeniu z jego przyznaniem się powinno wystarczyć, by przedstawić mu zarzuty.

Maître Cohen zjadła trochę sałatki.

– Przejrzę raporty i dam wam znać dziś po południu.

W drodze powrotnej na komisariat Beauvoir próbował przeprosić Gamache'a za to, że nie stanął po jego stronie.

– Ależ niech mnie pan nie traktuje tak protekcyjnie – rzekł Gamache ze śmiechem, kładąc rękę na ramieniu Beauvoira. – Cieszę się, że powiedział pan, co myśli. Irytuje mnie tylko, że tak stanowczo pan argumentował. Jest spora szansa, że *maître* Cohen przyzna panu rację.

Gamache miał rację. Cohen zadzwoniła z Granby o trzeciej trzydzieści i poinstruowała Gamache'a, by aresztował Crofta pod zarzutem zabójstwa, ucieczki z miejsca przestępstwa, utrudniania śledztwa i niszczenia dowodów.

– Jezu, ona naprawdę się z nim nie cacka – skomentował Beauvoir. Gamache skinął głową i poprosił Beauvoira, by na chwilę zostawił go samego w biurze komendanta posterunku. Zaskoczony Beauvoir wyszedł. Armand Gamache wykręcił numer, porozmawiał chwilę z Reine-Marie, po czym zadzwonił do swego przełożonego, naczelnika Brébeufa.

– Och, jak Boga kocham, Armand, nie możesz mówić poważnie.

– Ależ tak, naczelniku. Poważnie mówię. Nie zaaresztuję Matthew Crofta.

– To nie do ciebie należy decyzja. Nie muszę chyba tłumaczyć, jak ludzie działają w tym systemie. Prowadzimy śledztwo, pozyskujemy dowody, przedstawiamy je prokuraturze i to ona decyduje, kogo postawić w stan oskarżenia. To nie leży w naszej gestii. Słyszałeś instrukcje, zrób to, na miłość boską.

– Matthew Croft nie zabił Jane Neal. Nie ma absolutnie żadnego dowodu, że to zrobił. Jest tylko oskarżenie jego syna, który prawdopodobnie jest niestabilny psychicznie, oraz jego własne zeznanie.

– Co więcej potrzeba?

– Gdy prowadziłeś śledztwo w sprawie tego seryjnego mordercy w Brossard, czy aresztowałeś wszystkich, którzy się przyznali?

– To było co innego i wiesz o tym.

– Nie wiem, naczelniku. Ci, co się wtedy przyznali, byli zdezorietowanymi ludźmi, którzy próbowali zaspokoić jakieś własne ukryte potrzeby, nieprawdaż?

– To prawda. – Michel Brébeuf mimo wszystko brzmiał powściągliwie. Nienawidził kłócić się z Armandem Gamache, nie tylko dlatego, że byli przyjaciółmi. Gamache był człowiekiem myślącym, o głębokich przekonaniach, ale zdaniem Brébeufa nie zawsze miał rację.

– Zeznanie Crofta nic nie znaczy. Myślę, że on próbuje się sam ukarać w ten sposób. Jest zagubiony i zraniony.

– Biedulek.

– Nie, nie twierdzę, że to ładne czy szlachetne. Ale to ludzkie. Nie powinniśmy go ścigać tylko dlatego, że Croft błaga, by go ukarać.

– Ależ z ciebie cholerny świętoszek! Będziesz mi robił kazania na temat moralnej roli policji. Chciałbyś być policją, sędzią i ławą przysięgłych. Jeśli Croft jest niewinny, to go wypuszczą. Zaufaj systemowi, Armand.

– Croft nawet nie doczeka sprawy w sądzie, jeśli uprze się przy tym idiotycznym zeznaniu. A nawet jeśli ostatecznie zostanie uwolniony, obydwaj wiemy, co się dzieje z ludźmi aresztowanymi za przestępstwo. Szczególnie za brutalne przestępstwo. Są tym naznaczeni na resztę życia. Bez względu na to, czy byli winni, czy nie. Zadamy Matthew Croftowi ranę, która pozostanie do końca życia.

– Mylisz się. On ją sobie sam zadaje.

– Nie, on wyzywa nas, żebyśmy to zrobili. Prowokuje nas do tego. Ale musimy reagować. To próbuję powiedzieć. Policja, podobnie jak rząd, powinna być ponad takie rzeczy. Nie musimy działać tylko dlatego, że nas do tego prowokują.

– To co to ma znaczyć, nadinspektorze? Od tej pory aresztujesz tylko tych, którzy z całą pewnością zostaną skazani? Zdarzało się wcześniej, że aresztowałeś ludzi, którzy nie byli winni. Nie pamiętasz sprawy Gagné, ledwie w zeszłym roku? Aresztowałeś wujka, a okazało się, że sprawcą był siostrzeniec.

– To prawda, myliłem się. Ale wierzyłem, że wuj był winny. Popełniłem pomyłkę. Teraz jest inaczej. Tu musiałbym aresztować kogoś, kto, jak sędzę, jest niewinny. Nie mogę tego zrobić.

Brébeuf westchnął. Wiedział od pierwszej chwili tej rozmowy, że Gamache

nie zmieni zdania. Ale musiał spróbować go przekonać. Doprawdy, wyjątkowo irytujący facet.

– Wiesz, co będę musiał zrobić?

– Wiem. I jestem na to przygotowany.

– Więc w ramach kary za niesubordynację będziesz paradował po kwaterze głównej Sûreté w mundurze sierżant LaCroix.

Sierżant Mai LaCroix była olbrzymią policjantką, urzędującą przy biurku tuż przy wejściu do kwatery głównej; zasiadała tam jak nieudany Budda. Jakby tego nie było dosyć w tym koszmarnym obrazku, nosiła mundurowe spódnice o kilka rozmiarów za ciasne.

Gamache roześmiał się na myśl o tej wizji.

– Umowa stoi, Michel. Jeśli zdołasz ją nakłonić, by zdjęła mundur, ja go włożę.

– Nieważne. Zdaje się, że będę musiał cię zawiesić w pełnieniu obowiązków.

Michel Brébeuf już raz to prawie zrobił, po sprawie Arnot. Jego własny przełożony nakazał mu zawiesić Gamache'a, także za niesubordynację. Sprawa o mały włos nie zakończyła kariery ich obu, a do Gamache'a do dzisiaj przylgnęło jej odium. Zdaniem Brébeufa Gamache wtedy także się mylił. Wszystko, co powinien był zrobić, to siedzieć cicho; w końcu nie było tak, że ich przełożeni puszczali przestępców wolno. Doprawdy, wręcz przeciwnie. Ale Gamache wystąpił przeciwko zwierzchnictwu. Brébeuf zastanawiał się, czy zdaniem Gamache'a sprawa Arnot naprawdę była zamknięta.

Brébeuf nigdy nie przypuszczał, że będzie musiał to zrobić.

– Nadinspektorze, zawieszam pana w pełnieniu obowiązków służbowych na okres tygodnia, bez wynagrodzenia. W tym czasie odbędzie się przesłuchanie w komisji dyscyplinarnej. Nie noś spódnic.

– Dzięki za wskazówkę.

– *D'accord*. Daj mi Beauvoira.

Trzeba było wiele, żeby wprawić Jean Guy Beauvoira w osłupienie, ale rozmowa z naczelnikiem wystarczyła. Gamache'owi bardzo leżał na sercu los Beauvoira, dbał o niego jak o syna, ale młodszy kolega nigdy nie okazywał mu żadnych uczuć z wyjątkiem szacunku podwładnego dla starszego rangą. To

wystarczało. Teraz jednak Gamache widział, jak głęboki jest ból Beauvoira, gdy musiał robić, co mu kazano – i to było jak wielki prezent: przekonanie się, że Beauvoir także troszczy się o niego.

– Czy to prawda?

Gamache skinął głową.

– Czy to z mojej winy? Czy to moje sprzeczenie się z panem to spowodowało? Co za dureń ze mnie. Trzeba mi było siedzieć cicho. – Beauvoir krążył po małym biurze jak uwięziony lampart.

– To nie ma z panem nic wspólnego. Zrobił pan, co należało. I ja także. Oraz naczelnik Brébeuf, skoro już o tym mowa.

– Myślałem, że to pański przyjaciel.

– Jest nim. Proszę, niechże się pan tym nie gryzie. Gdy zadzwoniłem do naczelnika, wiedziałem, że będzie musiał tak zrobić. Wcześniej dzwoniłem do Reine-Marie, żeby poznać jej opinię.

Beauvoir poczuł ukłucie, maleńki skurcz bólu, że nadinspektor skonsultował się z żoną, ale nie z nim. Wiedział, że to nierozsądne, ale z uczuciami często tak bywa. Dlatego właśnie starał się ich unikać.

– Gdy powiedziała: „Zrób to”, miałem czyste sumienie, dzwoniąc do naczelnika. Nie mogę aresztować Matthew Crofta.

– Cóż, jeśli pan nie może, to ja także nie. Nie będę robił brudnej roboty za Brébeufa.

– To jest naczelnik Brébeuf i na tym polega pańska praca. Czego to ja się nasłuchałem dzisiaj po południu? Jakiegoś bzdurnego, teoretycznego argumentowania na rzecz przeciwnej strony. Wie pan, jak tego nie znoszę. Niech pan mówi, co naprawdę myśli, zamiast wdawać się w jakieś pretensjonalne, intelektualne rozgrywki. Czy to to właśnie pan zrobił? Przybrał przeciwną pozycję w ramach jakiejś dziecinnej intelektualnej gry?

– Nie, bynajmniej. Wierzę, że Matthew Croft jest winny.

– To niech go pan aresztuje.

– To nie wszystko. – Teraz Beauvoir wyglądał na naprawdę nieszczęśliwego. – Naczelnik Brébeuf polecił mi zabrać panu broń i odznakę.

To wstrząsnęło Gamache'em. Jeśliby przemyślał sprawę do końca, nie byłby

zaskoczony, ale nie spodziewał się tego. Poczuł, jak wywraca się w nim żołądek. Siła tej reakcji zaskoczyła go zupełnie. Musiał się zastanowić, dlaczego tak się stało; na szczęście czekała go długa jazda do domu, w trakcie której mógł o tym pomyśleć.

Gamache wziął się w garść, sięgnął do kieszeni na piersi i oddał swoją odznakę oraz legitymację. Potem odpiął kaburę od paska.

– Przykro mi – szepnął Beauvoir.

Gamache pozbierał się szybko, ale nie był dość szybki, by ukryć przed inspektorem swoje uczucia. Beauvoir przypomniał sobie jedną z wielu rzeczy, których nauczył się od Gamache'a. Ewangelia według Świętego Mateusza, rozdział dziesiąty, wers trzydziesty szósty.

Pogrzeb Jane Neal, starej panny z miasteczka Three Pines w hrabstwie St. Remy w prowincji Quebec, odbył się dwa dni później. Dzwony kościoła Sainte Marie dźwięczały i niosły się echem przez doliny; słyszeć je było wiele mil dalej, ich dźwięk dawał się odczuć głęboko pod ziemią, gdzie mieszkały stworzenia, które być może nie istniałyby w ogóle, gdyby Jane Neal nie żyła kiedyś i nie była osobą, jaką była.

Teraz ludzie zebrali się, by oficjalnie ją pożegnać. Armand Gamache przyjechał z Montrealu. To była przyjemna odmiana w jego przymusowej beczynności. Pożegłował przez tłum od frontu małego kościoła i znalazł się w ponurym wnętrzu. Nadinspektora zawsze zaskakiwał paradoks, że kościoły są ponure. Przyzwyczajenie się zajmowało dobrą minutę, kiedy przychodziło się ze słonecznego zewnątrz. I nawet wtedy, jak się wydawało Gamache'owi, nigdy człowiek nie czuł się u siebie. Kościoły były albo wielkimi, przepastnymi jak jaskinie budowlami na chwałę nie tyle Boga, ile bogactwa i potęgi lokalnej społeczności, albo surowymi, zimnymi pomnikami ekstatycznego wyrzeczenia.

Gamache lubił odwiedzać kościoły z racji muzyki, piękna używanego w nich języka oraz ciszy. Ale bliżej Boga czuł się w swoim volvo. Zauważył w tłumie Beauvoira, zamachał, po czym ruszył w jego stronę.

– Miałem nadzieję, że pan tu będzie – powiedział Beauvoir. – Pewnie zainteresuje pana wiadomość, że aresztowaliśmy całą rodzinę Croftów, łącznie z inwentarzem.

– Tak na wszelki wypadek.

– Się wie, szefuniu.

Gamache nie widział się z Beauvoirem od tamtego wtorkowego popołudnia, ale rozmawiali kilka razy przez telefon. Beauvoir chciał informować Gamache’a, co się dzieje, a Gamache chciał, by Beauvoir wiedział, że nie ma do niego żalu.

Yolande kolebała się za trumną, którą wnoszono do kościoła. André, chudy i wypomadowany, szedł koło niej; Bernard trzymał się z tyłu, a jego ruchliwe oczy potajemnie rzucały spojrzenia we wszystkie strony, jak gdyby w poszukiwaniu kolejnej ofiary.

Gamache’owi było bardzo żal Yolande. Nie z powodu bólu, który czuła, ale z powodu tego, którego nie odczuwała. Modlił się w milczeniu o to, by nie musieć pewnego dnia udawać uczuć, ale – z wyjątkiem resentymentu – by zawsze naprawdę ich doświadczać. Wszyscy obecni byli smutni, jednak Yolande wyglądała na najsmutniejszą. A już na pewno na najbardziej żalowaną.

Nabożeństwo było krótkie i anonimowe. Ksiądz z całą pewnością nie poznał nigdy Jane Neal. Nikt z rodziny nie podniósł się, by przemówić, z wyjątkiem André, który przeczytał piękny fragment z Biblii tonem tak pozbawionym zrozumienia, że pewnie bardziej przekonująco brzmiałby, czytając program telewizyjny. Całe nabożeństwo odbywało się po francusku, choć Jane była anglofonką. Było też katolickie, mimo że Jane była anglikanką. Potem Yolande, André i Bernard odprowadzili trumnę na miejsce pochówku w ceremonii przeznaczonej „tylko dla rodziny”, chociaż to przyjaciele Jane naprawdę byli jej rodziną.

– Straszny dziś chłód w powietrzu – powiedziała do Gamache’a Clara Morrow, pojawiając się nagle przy jego łokciu, z zaczerwienionymi oczami. – Dziś w nocy szron osiądzie na dyniach. – Zdołała się uśmiechnąć. – Urządzamy uroczystość pamięci Jane w kościele Świętego Tomasza w niedzielę. Dokładnie tydzień od jej śmierci. Chcielibyśmy, żeby pan przyszedł, jeśli to nie za duży kłopot dla pana znowu tu przyjechać.

Dla Gamache’a to nie był za duży kłopot. Rozglądając się dokoła, uświadomił sobie, jak bardzo polubił to miejsce i tych ludzi. Szkoda tylko, że jeden z nich był mordercą.

Uroczystość pamięci Jane Neal była niedługa, ale treściwa. Cała impreza polegała wyłącznie na tym, że przyjaciele Jane jeden po drugim wstawali, by powiedzieć o niej kilka słów, po angielsku i francusku. Śmierć Jane stanowiła tylko jedno z wydarzeń w jej pełnym, pięknym życiu. Jane Neal została z nimi tak długo, jak było jej pisane. Ani chwili dłużej, ani chwili krócej. Wiedziała, że gdy przyjdzie na nią czas, Bóg nie będzie pytał, w ilu komitetach zasiadała, ile zarabiała ani jakie wygrała nagrody. Nie. Zapyta ją, ilu żywym istotom udało jej się pomóc. A Jane Neal będzie miała gotową odpowiedź.

Pod koniec uroczystości Ruth wstała i zaśpiewała cienkim, niepewnym altem: „Z pijanym żeglarzem co zrobimy”. Śpiewała tę nieoczekiwaną szantę w dziwacznym tempie, jak lament, a potem przyspieszyła. Przyłączył się do niej Gabri, później Ben, a pod koniec cały kościół ożył, gdy ludzie klaskali i kołysali biodrami, pytając: „Z pijanym żeglarzem co zrobimy, gdy przyjdzie raniutko?”.

W podziemiach Przykościelne Stowarzyszenie Kobiet Anglikańskich serwowało domowe zapiekanki i świeże ciasto z dyniowym nadzieniem przy akompaniamencie cichego murmurando szanty, słyszalnego tu i ówdzie.

– Dlaczego *Pijany żeglarz*? – Podchodząc do bufetu, Armand Gamache znalazł się obok Ruth.

– To była jedna z ulubionych piosenek Jane – odparła Ruth. – Zawsze ją śpiewała.

– Pani nuciła ją tamtego dnia w lesie – powiedział Gamache do Clary.

– Odstrasza niedźwiedzie. Czy Jane nie nauczyła się jej w szkole? – Clara zwróciła się do Ruth.

Olivier przyłączył się do rozmowy.

– Jane opowiadała mi, że nauczyła się jej z powodu szkoły. Żeby uczyć jej dzieci, nieprawdaż, Ruth?

– Oczekiwano od niej, że będzie nauczać wszystkich przedmiotów, ale ponieważ nie umiała grać na pianinie ani śpiewać, nie wiedziała, co zrobić

z lekcjami muzyki dla swoich uczniów. To było pięćdziesiąt lat temu, kiedy dopiero zaczynała uczyć. Więc nauczyłam ją tej piosenki – wyjaśniła Ruth.

– Jakoś nie jestem zdziwiona – wymamrotała Myrna.

– To była jedyna piosenka, jakiej uczyli się jej uczniowie – powiedział Ben.

– Jasełka u was musiały być niezłe – zauważył Gamache, wyobrażając sobie Marię Dziewicę, Świętego Józefa, Dzieciątko Jezus i trzech pijanych żeglarzy.

– Och, były – zaśmiał się Ben, wspominając. – Śpiewaliśmy różne kolędy, ale wszystkie na melodię *Pijanego żeglarza*. Ależ miny mieli rodzice, kiedy na bożonarodzeniowym koncercie panna Neal anonsowała *Cichą noc*, a my śpiewaliśmy! – Ben zaczął śpiewać: „Cicha noc, święta noc, pokój niesie ludziom wszem”, ale na melodię szanty. Wszyscy obecni roześmiali się i przyłączyli.

– Do dziś ciężko mi przychodzi poprawne śpiewanie kolęd – dodał po chwili Ben.

Clara dostrzegła Nellie i Wayne’a i zamachała do nich. Nellie zostawiła Wayne’a i ruszyła wprost do Bena, zaczynając mówić, jeszcze zanim przeszła przez połowę pomieszczenia.

– Ach, panie Hadley, miałam nadzieję, że pana tu znajdę. Przyjdę posprzątać u pana w przyszłym tygodniu. Może we wtorek? – Po czym zwróciła się do Clary konspiracyjnym tonem, jakby zdradzała tajemnicę państwową: – Nie sprzątałam od śmierci panny Neal, bo tak się martwiłam o Wayne’a.

– Jak on się teraz miewa? – zapytała Clara, wspominając, jak Wayne kaszłał i krztusił się w czasie spotkania mieszkańców kilka dni wcześniej.

– Teraz narzeka, więc nic już się więcej nie dzieje. Cóż, panie Hadley? Nie mogę długo czekać na odpowiedź, wie pan...

– Wtorek mi pasuje. – Gdy Nellie już wróciła do swojej niecierpiącej zwłoki pracy, Ben zwrócił się do Clary: – W mieszkaniu jest brudno. Nie masz pojęcia, jaki bałagan może zrobić jeden stary kawaler z psem.

Gdy kolejka posuwała się do przodu, Gamache zaczął rozmawiać z Ruth.

– Gdy byłem w biurze notariusza dopytać o testament panny Neal, on wspomniał pani nazwisko. Kiedy usłyszałem „z domu Kemp”, coś mi świtało, ale nie mogłem wykombinować, o co chodzi.

– I jak pan w końcu do tego doszedł? – zapytała Ruth.

– Clara Morrow mi powiedziała.

– Ach, bystry z pana człowiek. Wydedukował pan, kim jestem.

– Cóż, chwilę jeszcze mi to zajęło, ale w końcu załapałem. – Gamache się uśmiechnął. – Uwielbiam pani poezję. – Miał właśnie zacytować coś ze swoich ulubionych wierszy, czując się jak pryszczaty młodzian w towarzystwie gwiazdy ekranu. Ruth wycofała się lekko, robiąc miejsce dla własnych, pięknych słów, które miały zaraz popłynąć w jej kierunku.

– Przepraszam, że przerywam – Clara zwróciła się do nich dwojga – ale czy powiedział pan „on”?

– On? – powtórzył Gamache. – On. Notariusz. Tak. *Maître* Stickley z Williamsburga. On był notariuszem panny Neal.

– Jest pan pewien? Myślałam, że chodziła do tej notariuszki, która niedawno urodziła dziecko. Solange Jakaśtam.

– Solange Frenette? Ta, co chodzi na zajęcia z gimnastyki? – zapytała Myrna.

– Tak, to ona. Jane mówiła, że z Timmer miały zamiar wybrać się do niej w sprawie swoich testamentów.

Gamache stał kompletnie nieruchomo, wpatrując się w Clarę.

– Jest pani pewna?

– Szczerze? Nie. Wydaje mi się, że Jane powiedziała to, bo zapytałam ją, jak Solange się czuje. Solange musiała być w pierwszym trymestrze ciąży. Poranne mdłości. Niedawno urodziła dziecko, więc jest na urlopie macierzyńskim.

– Sugerowałbym, by jedna z pań jak najszybciej skontaktowała się z *maître* Frenette.

– Ja się tym zajmę – zaoferowała się Clara, czując nagłą potrzebę, by rzucić wszystko, pobiec do domu i zadzwonić. Jednak zostało jeszcze coś do zrobienia.

Rytuał był prosty i starożytny. Prowadziła go Myrna, która zagruntowała się sycącym lunchem, złożonym z zapiekanki i pieczywa.

To bardzo ważne – tłumaczyła Clarze – by się zagruntować przed odbyciem rytuału.

Patrząc na jej talerz, Clara pomyślała, że niewielkie są szanse, by uleciała w powietrze. Obrzuciła wzrokiem jakieś dwadzieścia twarzy zgromadzonych

w zbitej grupce na skwerze miejskim; na wielu z nich malowała się obawa. Mieszkanki miasteczka stały w luźnym półkolu w wełnianych swetrach, rękawiczkach i czapkach, przyglądając się olbrzymiej kobiecie w jasnozielonym płaszczu. Wesoły Zielony Druid.

Clara czuła się idealnie odprężona i u siebie. Stojąc w grupie, zamknęła oczy, odetchnęła kilka razy i modliła się o łaskę, by oddalić gniew i lęk, które wisały nad nią jak czarna żałobna krepa. Ten rytuał miał służyć właśnie temu, przemianie ciemności w światło, odegnaniu nienawiści i lęku, zaproszeniu z powrotem ufności i ciepła.

– To jest rytuał celebracji i oczyszczenia – tłumaczyła Myrna zebrany. – Jego korzenie sięgają tysiące lat wstecz, ale swymi gałęziami dosięga nas i dotyka do dzisiaj, obejmując wszystkich, którzy chcą w nim uczestniczyć. Jeśli macie jakieś pytania, zadawajcie je, proszę.

Myrna przerwała, ale nikt się nie odezwał. Miała w torbie kilka przedmiotów; sięgnęła do niej teraz i wyciągnęła kij. Właściwie wyglądał bardziej jak gruba, prosta gałąź, oczyszczona z kory i zaostrzona na jednym końcu.

– To kij modlitewny. Niektórzy z was może go rozpoznają. – Odczekała i usłyszała cichy śmiech.

– Czy to nie jest bobrowa gałąź? – zapytała Hanna Parra.

– Ależ tak – zaśmiała się Myrna. Podała kij dalej i lody stopniały. Te kobiety, które czuły obawę, a nawet lęk, że mogą wikłać się w jakieś czary, zmiękły i uświadomiły sobie, że nie ma się tu czego bać. – Znalazłam go przy strumieniu młyńskim w zeszłym roku. Widać, gdzie bóbr go poobgryzał.

Zachęczone kobiety wyciągnęły ręce, by dotknąć kija i zobaczyć ślady zębów bobra.

Clara poszła na moment do domu, by przyprowadzić Lucy. Gdy kij modlitewny wrócił do Myrny, ta podsunęła go golden retrieverowi. Po raz pierwszy od śmierci Jane Clara zobaczyła, jak ogon Lucy merda. Raz. Delikatnie ujęła kij w zęby. I trzymała go tak. Jej ogon znów nieznacznie się zakołysał.

* * *

Gamache siedział na ławce na skwerze. Zaczął myśleć o niej jak o „swojej”

od czasu tego poranka, gdy razem powitali świt. Teraz jego i ławkę oświetlało słońce, w którym było o kilka bezcennych stopni cieplej niż w cieniu. Mimo to jego oddech zamieniał się w obłoczki pary. Siedział w ciszy i obserwował, jak kobiety gromadzą się, formują szereg i idą przez skwerek, prowadzone przez Myrnę, z Clarą i Lucy z tyłu.

– Najwyższy czas na babie lato – powiedział Ben, sadowiac się obok w taki sposób, że wyglądało, jakby jego kości się rozpływały. – Słońce coraz niżej na niebie.

– Yhy – zgodził się Gamache. – Czy często to robią? – Skinął głową w kierunku procesji kobiet.

– Jakież dwa razy do roku. Byłem na ostatnim rytuale. W ogóle nie załapałem. – Ben potrząsnął głową.

Dwaj mężczyźni siedzieli przez chwilę w ciszy, obserwując kobiety.

– Jak długo pan ją kocha? – zapytał cicho nadinspektor. Ben odwrócił się i gapił się na profil Gamache'a, osłupiały.

– Kogo?

– Clarę. Jak długo pan ją kocha?

Ben westchnął przeciągle, jak człowiek czekający, aż całe życie z niego uleci.

– Wszyscy troje chodziliśmy razem do szkoły artystycznej, chociaż Peter i ja byliśmy o parę lat wyżej. On od razu się w niej zakochał.

– A pan?

– Zajęło mi to trochę dłużej. Myślę, że jestem bardziej zamknięty niż Peter. Jest mi trudno otwierać się przed ludźmi. Ale Clara jest inna, prawda? – Ben przyglądał jej się uśmiechnięty.

Myrna zapaliła wiązkę szaławii od Jane; zioła zaczęły dymić. Gdy procesja przechodziła przez skwer, kobiety zatrzymywały się i zwracały w czterech kierunkach: na północ, południe, wschód i zachód. Za każdym przystankiem Myrna przekazywała tłącą się wiązkę innej kobiecie, która z kolei łagodnie machała ręką nad dymiącym zieleń, zachęcając słodko pachnący dym, by leciał w stronę domów.

Myrna wytłumaczyła, że to nosi nazwę „naznaczenia”. Miało oczyszczać ze złych duchów i przygotowywać miejsce na dobro. Gamache odetchnął głęboko, wdychając wonną mieszaninę woni palonego drewna i szaławii. Oba zapachy

były szlachetne, obydwaj niosły komfort.

– Czy to takie oczywiste? – zapytał Ben niespokojnie. – Owszem, kiedyś marzyłem, że będziemy razem, ale to było dawno temu. Nigdy, przenigdy nie mógłbym zrobić czegoś takiego. Nie Peterowi.

– Nie, to nie jest oczywiste.

Ben i Gamache przyglądali się, jak korowód kobiet szedł w górę ulicą du Moulin i dalej do lasu.

Las był zimny i ciemny, martwe liście leżały pod stopami, wisały nad głowami i szybowały w powietrzu. Podniosły nastrój kobiet ustąpił miejsca niepokoju. Na radosne zgromadzenie padł cień. Nawet Myrna przycichła, jej roześmiana, przyjazna twarz przybrała wyraz ostrożnego skupienia.

Las potrzaskiwał. I szumiał. Topole drżały na wietrze. Clara chciała odejść. To nie było przyjemne miejsce. Lucy zaczęła warczeć, wydając powolny, niski, ostrzegawczy zaśpiew. Włosy wzdłuż grzbietu stanęły jej dęba i powoli przywarła do ziemi, z napiętymi mięśniami, jakby gotowa do skoku.

– Musimy utworzyć krąg – powiedziała Myrna, próbując zabrzmieć niefrasobliwie, podczas gdy naprawdę rozglądała się po obecnych, zastanawiając się, kogo zdoła wyprzedzić, jeśli doszłoby do tego, że trzeba będzie uciekać. Czy może powinna być maruderem? Niech diabli wezmą tę zapiekankę!

Krąg – najmniejszy i najciaśniejszy ze znanych matematyce – uformował się, kobiety mocno chwyciły się za ręce. Myrna podniosła kij modlitewny z miejsca, w którym upuściła go Lucy, i wbiła głęboko w ziemię. Clara niemal spodziewała się, że ziemia zawyje.

– Przyniosłam wstążki. – Myrna otworzyła torbę. Wewnątrz były wstążki w wesołych kolorach, splątane ze sobą. – Prosiłyśmy, byście wszystkie przyniosły coś symbolicznego, co kojarzy wam się z Jane.

Myrna wyjęła z kieszeni maleńką książeczkę. Długo grzebała w torbie, aż znalazła purpurową wstążkę. Najpierw przywiązała wstążkę do książeczki, po czym podeszła do kija modlitewnego i przywiązując do niego wstążkę, zaczęła mówić.

– To dla ciebie, Jane, z podziękowaniem za to, że podzieliłaś się ze mną twoją miłością do słowa pisanego. Bądź błogosławiona.

Myrna stała przez moment przy kiju modlitewnym, pochylając swoją wielką głowę, po czym odeszła, uśmiechając się po raz pierwszy od momentu, odkąd przyszedł w to miejsce.

Kobiety brały wstążki, przywiązywały do nich przedmioty, potem przytwierdzały wstążki do kija i każda cicho lub głośno mówiła parę słów. Były to modlitwy albo zwyczajne wyjaśnienia. Hanna przywiązała do kija starą płytę na siedemdziesiąt osiem obrotów, a Ruth wyblakłą fotografię; Sarah – łyżkę, a Nellie – but. Clara sięgnęła we włosy i wyciągnęła spinkę. Przywiązała do niej jasnożółtą wstążkę, a wstążkę do ozdobionego teraz modlitewnego kija.

– To za to, że pomogłaś mi widzieć jaśniej – powiedziała Clara. – Kocham cię, Jane. Spojrzała w górę i zauważyła ambonę wiszącą niedaleko nad nimi. Kryjówka. Pomyślała, że to dziwne: ukryte, a jednak to zobaczyła.

I tak Clara wpadła na pomysł. Doznała inspiracji.

– Dziękuję, Jane – wyszeptala i poczuła, po raz pierwszy od tygodnia, jakby obejmowały ją stare ramiona. Zanim Clara odeszła, wyciągnęła z kieszeni banana i przywiązała go do kija, w imieniu Lucy. Miała jednak jeszcze jeden przedmiot, który chciała dodać. Z innej kieszeni wyciągnęła kartę do gry. Dameę kier. Przywiązując ją do kija modlitewnego, Clara myślała o Yolande i o wspaniałym darze, jaki ofiarowano jej jako dziecku – darze, który później odrzuciła lub zapomniała o nim. Clara wpatrywała się w dameę kier, zapamiętując każdy szczegół. Wiedziała, że magia kryje się nie w tym, że karta zostaje taka sama, ale w tym, że się zmienia.

Pod koniec kij modlitewny mienił się od powiewających kolorowych wstążek, z których zwisały podarunki kobiet. Wiatr unosił przedmioty i porywał je do tańca nad ziemią, dokoła modlitewnego kija; zderzały się i dźwięczały jak w symfonii.

Kobiety popatrzyły po sobie i dostrzegły, że ich krąg nie był już ściśnięty od lęku, ale luźny i otwarty. A w jego centrum – w ostatnim miejscu, w którym Jane Neal żyła i umarła – dokazywało bogactwo przedmiotów śpiewających na chwałę kobiety, którą bardzo kochano.

Clara pozwoliła, by jej spojrzenie, wolne teraz od lęku, podążyło za unoszącymi się na wietrze wstążkami. Jej wzrok uchwycił coś na końcu jednej z nich. Po chwili zdała sobie sprawę, że to coś nie było przytwierdzone do wstążki, ale do drzewa za nią.

Wysoko, na jednym z klonów, dostrzegła strzałę.

Gamache już wsiadał do samochodu, by odjechać do Montrealu, gdy z lasu wyskoczyła Clara Morrow, biegnąc ulicą du Moulin, jak gdyby ją diabły goniły. Przez moment nadinspektor zastanawiał się, czy aby rytuał nie rozbudził czegoś, co powinno było pozostać w ukryciu. W pewien sposób tak właśnie się stało. Kobiety i ich rytuał zaweźwały strzałę – przedmiot, który zgodnie z intencją mordercy miał pozostać ukryty.

Gamache natychmiast zadzwonił do Beauvoira w Montrealu, po czym poszedł za Clarą na miejsce zbrodni. Nie był tam od prawie tygodnia i nie mógł się nadziwić zmianom, jakie zaszły. Drzewa, jeszcze niedawno kolorowe i wesołe, teraz straszyły nagimi gałęziami. Patrząc w górę z tego samego miejsca tydzień wcześniej, nie miał najmniejszej szansy, by zauważyć strzałę, ponieważ zasłaniały ją warstwy liści. Aż do tej pory.

Inną zmianą był wbity w ziemię kij, wokół którego tańczyły wstążki. Gamache przypuszczał, że miał coś wspólnego z rytuałem. Albo tak było, albo Beauvoir, pozostawiony bez nadzoru, zaczął w zawrotnym tempie dziwaczeć. Gamache podszedł do kija modlitewnego, zauroczony jego wesołością. Schwytał kilka z przywiązanych do niego przedmiotów, by im się przyjrzeć – była wśród nich stara fotografia młodej kobiety, pulchnej i krótkowzrocznej, stojącej obok ogorzałego, przystojnego drwala. Trzymali się za ręce i uśmiechali. Za nimi stała szczupła, młoda kobieta, patrząca prosto w obiektyw. Jej twarz wyrażała gorycz.

– No i co? To strzała. – Matthew Croft spojrział na Beauvoira, a potem na Gamache’a. Byli w celi aresztu w Williamsburgu. – Macie ich pięć. Dlaczego nagle ta ma takie znaczenie?

– Tę – powiedział Gamache – znaleźliśmy dwie godziny temu, siedem metrów nad ziemią, na klonie. Tam, gdzie zabito Jane Neal. Czy to jedna ze strzał pańskiego ojca?

Croft przyjrzał się drewnianemu trzonowi, złożonemu z czterech ostrzy grotowi, aż wreszcie, krytycznym okiem, lotkom. W momencie, gdy odsunął się od niej, zrobiło mu się słabo. Wziął olbrzymi wdech i opadł bezwładnie na jedną stronę pryczy.

– Tak – wyszeptał na wydechu, mając duże trudności ze skupieniem się. – To strzała taty. Będziecie pewni, gdy porównacie ją z innymi z kołczana, ale już teraz mogę wam powiedzieć. Mój ojciec sam robił lotki do strzał, to było takie jego hobby. Ale nie był szczególnie twórczy, więc wszystkie były jednakowe. Gdy udało mu się zrobić taką, która mu się podobała i działała jak potrzeba, nie widział powodu, żeby coś zmieniać.

– To dobrze się składa – zauważył Gamache.

– A teraz – Beauvoir usiadł na pryczy naprzeciwko Crofta – musi nam pan sporo opowiedzieć.

– Muszę się zastanowić.

– Nie ma się nad czym zastanawiać – powiedział Gamache. – Pański syn wystrzelił tę strzałę, prawda?

Myśli galopowały przez głowę Crofta. Tak umocnił się w postanowieniu trzymania się swojej historii, że trudno było mu z niej zrezygnować, nawet w obliczu dowodów.

– Jeśli to on wystrzelił tę strzałę, która wylądowała na drzewie – ciągnął Gamache – w takim razie nie mógł zabić Jane Neal. Jest niewinny. I pan także; ta strzała dowodzi, że sprawcą był ktoś inny. Musi pan teraz wyjawić prawdę.

Croft mimo wszystko ciągle się wahał, bojąc się, że to pułapka.

– No już, panie Croft – ponaglił Gamache tonem nieznoszącym sprzeciwu. Croft skinął głową. Był wciąż zbyt oszołomiony, by czuć ulgę.

– No dobrze. Oto, co zaszło. Pokłóciliśmy się z Philippe'em poprzedniego wieczoru. O coś głupiego, nie pamiętam nawet o co. Gdy nazajutrz się obudziłem, syna nie było w domu. Bałem się, że uciekł, ale około siódmej piętnaście wjechał na podwórko na rowerze z piskiem opon. Zdecydowałem, że nie pójdę do niego, ale poczekam, aż on przyjdzie do mnie. To był błąd. Później dowiedziałem się, że poszedł wprost do piwnicy z łukiem i strzałą, a potem wziął prysznic i przebrał się. Nie przyszedł ze mną porozmawiać, cały dzień siedział w swoim pokoju. To nie było niezwykle. Potem nagle Suzanne zaczęła się dziwnie zachowywać.

– Kiedy się pan dowiedział o panie Neal? – zapytał Beauvoir.

– Tamtego wieczoru, tydzień temu. Roar Parra zadzwonił do nas, powiedział, że to był wypadek przy polowaniu. Gdy nazajutrz poszedłem na wasze

spotkanie, było mi smutno, ale to nie był koniec świata. Suzanne natomiast nie mogła wysiedzieć w miejscu, nie była w stanie się wyluzować. Szczerze mówiąc jednak, nie przywiązywałem do tego wagi, kobiety bywają bardziej wrażliwe od mężczyzn, myślałem, że to dlatego.

– Jak się pan dowiedział o Philippe?

– Kiedy wróciliśmy do domu. W samochodzie Suzanne milczała całą drogę, ale ledwie wróciliśmy, dała mi popalić. Była wściekła, prawie gotowa do rękoczynów, bo zaprosiłem was, żebyście przyszli obejrzyć łuki i strzały. Wtedy mi powiedziała. Zorientowała się, bo znalazła ubrania Philippe'a, wrzucone do prania, z plamami krwi na nich. Potem zeszła do piwnicy. I znalazła zakrwawioną strzałę. Wydobyła od syna, co się stało. Myślał, że zabił pannę Neal, więc chwycił skrwawioną strzałę, przekonany, że to jego, i uciekł. Nie przyjrzał jej się, Suzanne też nie. Przypuszczam, że nie zauważyli, że różniła się od pozostałych. Suzanne spaliła strzałę.

– Co pan zrobił, gdy pan o tym usłyszał?

– Spaliłem jego ubrania w piecu, ale wtedy wy przyjechaliście, więc kazałem Suzanne spalić łuk, zniszczyć wszystko.

– Ale nie zrobiła tego.

– Nie. Gdy wrzuciłem do pieca ubrania, stłumiły ogień, więc musiała go na nowo rozpać. Potem uświadomiła sobie, że łuk trzeba będzie porąbać. Pomyślała, że nie zdoła tego dokonać, nie robiąc za dużo hałasu, więc przysłała na górę, próbując mnie ostrzec. Ale wy nie pozwoliliście jej wrócić na dół. Zamierzała to zrobić, kiedy wyszliśmy na zewnątrz, żeby postrzelać z łuku.

– Skąd pan wiedział, jak leżała panna Neal?

– Philippe mi pokazał. Poszedłem do jego pokoju, żeby to z niego wydobyć, żeby usłyszeć od niego, co zaszło. Nie chciał ze mną rozmawiać. Dopiero kiedy wychodziłem z jego pokoju, wstał i przybrał tę pozę. – Croft wzdrygnął się na to wspomnienie, zdumiony, skąd się wzięło to dziecko. – Nie wiedziałem wtedy, co chciał przez to powiedzieć, ale kiedy zapytał mnie pan, jak ona leżała, wszystko złożyło się w całość. Zrobiłem więc to, co przedtem Philippe. Co to oznacza? – Croft skinął w kierunku strzały.

– To znaczy – powiedział Beauvoir – że strzałę, która zabiła pannę Neal, wystrzelił kto inny.

– To znaczy – wyjaśnił Gamache – że niemal z całą pewnością została zamordowana.

Beauvoir odnalazł naczelnika Michela Brébeufa w montreal skim ogrodzie botanicznym, gdzie raz w miesiącu pracował jako wolontariusz w punkcie informacyjnym. Ludzie, którzy zgromadzili się wokół budki, by dopytać, gdzie znajduje się ogród japoński, czekali i czekali, zastanawiając się, jak szerokie są uprawnienia tych wolontariuszy.

– Zgadza mi się, to wygląda na morderstwo – powiedział Brébeuf przez telefon, kiwając głową i uśmiechając się do nagle zaniepokojonych turystów stojących przed nim. – Ma pan moją zgodę na traktowanie tej sprawy jak zabójstwa.

– Właściwie, sir, miałem nadzieję, że sprawę mógłby poprowadzić nadinspektor Gamache. Miał rację, Matthew Croft nie zabił panny Neal.

– Czy myśli pan, że to o to poszło, inspektorze? Armand Gamache został zawieszony nie dlatego, że różniliśmy się w opinii na temat tego, kto jest sprawcą, ale dlatego, że odmówił wykonania bezpośredniego rozkazu. I to ciągle jest faktem. Poza tym, jeśli dobrze pamiętam, zostawiony sam sobie, zamierzał zaarrestować czternastoletniego chłopca.

Jeden z turystów ujął za rękę swego nastoletniego syna, który był tak zaszokowany, że nawet przez nanosekundę pozwolił ojcu ją trzymać.

– No, nie do końca aresztować – powiedział Beauvoir.

– Ten argument panu nie pomaga, inspektorze.

– Tak jest. Nadinspektor zna sprawę i tych ludzi. Już minął tydzień; jako że zmuszeni byliśmy traktować tę sprawę jak wypadek, już pozwoliliśmy, by ślad zwietrzał. To logiczne, żeby pozwolić mu poprowadzić to śledztwo; pan to wie i ja to wiem.

– I on także.

– Jakby przyszło zgadywać, przyznałbym panu rację. *Voyons*, czy ważniejsze jest, by go ukarać, czy żeby mieć wyniki?

– No dobrze. I niech pan mu powie, że ma szczęście, że ktoś tak o niego walczy. Chciałbym, żeby o mnie tak ktoś zabiegał.

– Ktoś zabiega.

Brébeuf rozłączył się i zamierzał zwrócić swą uwagę na turystów pod budką, ale okazało się, że został sam.

– Dziękuję panu, Jean Guy. – Gamache zabrał swoją legitymację, odznakę i broń. Zastanawiał się nad tym, dlaczego go tak zakłuło, że musiał je oddać. Wiele lat temu, gdy po raz pierwszy wydano mu legitymację i pistolet, czuł się akceptowany; czuł, że odniósł sukces w odczuciu społecznym, a co ważniejsze, w oczach swoich rodziców. Gdy musiał oddać legitymację i broń, nagle poczuł lęk. Zabrano mu broń, ale co ważniejsze, odebrano akceptację. To uczucie minęło, było teraz zaledwie echem, duchem niepewnego siebie młodego człowieka, którym niegdyś był.

Po drodze do domu po tym, jak go zawieszono, Gamache przypomniał sobie analogię, o której ktoś opowiedział mu wiele lat wcześniej. Nasze życia są jak zamieszkiwanie w wielkim domu. Wchodzimy jako dzieci z jednej strony, a potem wychodzimy, gdy przyjdzie nasz czas. A w międzyczasie przechodzimy przez jeden wielki, długi pokój. Wszyscy, których kiedykolwiek poznaliśmy, każdy czyn i każda myśl, mieszka w tym pokoju razem z nami. Dopóki nie pogodzimy się z mniej chwalebnyymi fragmentami naszej przeszłości, będą one nagabywać nas przez całą drogę wzdłuż długiego domu. Czasami te najbardziej nieznośne i wrzaskliwe mówią nam, co robić, kierując naszym postępowaniem nawet wiele lat później.

Gamache nie był pewien, czy zgadza się z tą analogią, dopóki nie musiał złożyć broni w dłoni Jean Guy. W tym momencie niepewny siebie młody człowiek znowu ożył i szeptał: „Bez tego jesteś niczym. Co ludzie pomyślą?”. Uświadomienie sobie, jak bardzo nieestosowna była ta reakcja, nie przegnała z długiego domu Gamache’a wystraszonego młodziana; znaczyła tylko, że on sam nie kontrolował sytuacji.

– Dokąd teraz? Do domu Jane Neal?

Teraz, gdy oficjalnie mogli traktować sprawę jak dochodzenie o morderstwo, Beauvoir nie mógł się doczekać, aż tam wejdą, Gamache zresztą też.

– Niedługo. Najpierw musimy zatrzymać się jeszcze gdzieś.

– *Oui, allô?* – odezwał się w telefonie wesoły głos, po którym nastąpił krzyk dziecka.

- Solange? – zapytała Clara. – *Allô? Allô?* Solange! – zawołała.
- *Bonjour?* Halo? – Dziecięcy szloch wypełnił dom Solange i głowę Clary.
- Solange! – wrzasnęła Clara.
- *C'est moi-même!* – odkrzyknęła Solange.
- Tu mówisz Clara! – krzyczała Clara.
- Nie, nie mogę zaraz.
- Clara! Clara Morrow.
- Może w środę?

Drogi Boże, dzięki Ci, że oszczędziłeś mi posiadania dzieci – pomyślała Clara.

– Clara!

– Clara? Jaka Clara? – zapytała Solange kompletnie normalnym tonem; piekielny bachor został uciszony, prawdopodobnie dostał pierś do ssania.

– Clara Morrow. Poznałyśmy się na gimnastyce. Gratuluję potomka – powiedziała, starając się zabrzmieć szczerze.

– Tak, pamiętam. Co słychać?

– Wszystko dobrze. Ale dzwonię, żeby o coś zapytać. Przepraszam, że cię niepokoję na urlopie macierzyńskim, ale to ma związek z twoją praktyką notarialną.

– Och, nic nie szkodzi. Codziennie dzwonią do mnie z biura. W czym mogę pomóc?

– Czy wiesz, że Jane Neal umarła?

– Nie, nie słyszałam. Bardzo mi przykro.

– To był wypadek. W lesie.

– Och, coś słyszałam po powrocie. Byłam z wizytą u rodziców w Montrealu na Święto Dziękczynienia, więc mnie to ominęło. Mówisz, że to była Jane Neal?

– Tak.

– Czy nie była w to zaangażowana policja?

– Tak. Myślę, że Norman Stickley z Williamsburga był notariuszem Jane. Ale ja pomyślałam, że pewnie poszła do ciebie.

- Możesz przyjść do mnie do biura jutro rano?
- O której ci pasuje?
- Może o jedenastej? Claro, możesz zaprosić policję? Myślę, że będzie ich to interesować.

Philippe'owi Croftowi zajęło kilka minut, zanim uwierzył, że to nie pułapka i przyznał, jak było. Gdy opowiadał, jego długie, blade palce zbierały kulki włóczek ze spodni od dresu. Chciał ukarać ojca, więc wziął stary łuk i strzały, i poszedł polować. Wystrzelił tylko raz. Ale to wystarczyło. Zamiast sarny, którą spodziewał się ustrzelić, znalazł Jane Neal, rozpostartą na ziemi. Martwą. Ciągle widział jej oczy. Śledziły go.

– Możesz już o nich nie myśleć – powiedział cicho Gamache. – Teraz są koszmarem kogoś innego.

Chłopak po prostu skinął głową i Gamache'owi przypomniała się Myrna i ból, jaki decydujemy się nosić ze sobą. Chciał wziąć Philippe'a w objęcia i powiedzieć mu, że nie zawsze będzie miał czternaście lat. Że musi tylko poczekać.

Niemniej nadinspektor nie zrobił tego. Wiedział, że chociaż jego intencja była dobra, ten gest zostałby odczytany jako atak. Jako obraza. Wyciągnął więc tylko do chłopaka swoją dużą, pewną rękę. Po chwili Philippe wsunął w nią bladą dłoń, jak gdyby nigdy wcześniej nie ujmował męskiej dłoni, i uściśnął ją.

Po powrocie do miasteczka Gamache i Beauvoir zastali agentkę Lacoste, oganiającą się od Yolande. Wysłano ją do domu Jane Neal z nakazem rewizji w rękę. Udało jej się wyprowadzić Yolande na zewnątrz i zamknąć drzwi, a teraz ćwiczyła udawanie gwardii pałacowej, niewzruszonej w obliczu wszelkiej prowokacji.

– Zaskarżę was! Przypilnuję, żeby cię zwolnili, ty paskudna wywłoko! – Widząc Beauvoira, Yolande zwróciła się przeciwko niemu. – Jak śmiecie wyrzucać mnie z mojego własnego domu?

– Agentko, czy pokazała pani pannie Fontaine nakaz rewizji?

– Tak, sir.

– Więc już pani wie – Beauvoir zwrócił się do Yolande – że to jest śledztwo w sprawie morderstwa. Zakładam, że chce się pani dowiedzieć, kto zabił pani

ciotkę?

To był cios poniżej pasa, ale prawie zawsze skuteczny. Któż mógł powiedzieć „nie”?

– Nie. Nic mnie to nie obchodzi. Czy to mi ją zwróci? Niech mi pan powie, że to mi ją zwróci, a wpuszczę was do mojego domu.

– Już do niego weszliśmy, to nie jest kwestia do negocjacji. Muszę porozmawiać z panią i pani mężem. Jest w domu?

– Skąd mam wiedzieć?

– Cóż, może pani pójdzie i sprawdzi.

Gdy podjeżdżali samochodem Gamache’a, widzieli, jak Yolande obsztorcowywała Lacoste, która wyglądała, jakby ją ktoś wypchał.

– Biedna kobieta. Kiedyś będzie zanudzać tą opowieścią swoich nowicjuszy. Inspektorze, obaj nie możemy się doczekać, żeby wejść do domu, ale ja chciałbym jeszcze przedtem zająć się paroma rzeczami. Niech pan idzie przesłuchać Yolande oraz André, jeśli go pan znajdzie. Ja chcę porozmawiać z Myrną Landers.

– Dlaczego?

Gamache mu wyjaśnił.

– Muszę się dowiedzieć, co Timmer Hadley powiedziała jej tego dnia, gdy Myrna z nią siedziała.

Myrna zamknęła drzwi swojej księgarni i naląła Gamache’owi filiżankę herbaty. Potem usiadła w wygodnym fotelu naprzeciw niego.

– Myślę, że będzie pan rozczarowany. Nie przypuszczam, żeby to miało teraz znaczenie dla kogokolwiek, żywego czy umarłego.

– Zdziwi się pani.

– Zobaczymy. – Upiła łyk herbaty i spojrzała przez okno w zmierzch, przenosząc się myślami do tamtego popołudnia, ledwie kilka miesięcy wcześniej. Zdawało się, jakby lata minęły od tamtej pory.

Timmer Hadley była szkieletem obleczonym w skórę. Jej oczy, jaśniejące w twarzy, wydawały się ogromne w kontraście do wychudzonego ciała. Półleżała owinięta kocami i obłożona butelkami z gorącą wodą. Myrna

przysiadła na brzegu łóżka. Oglądały wielki, stary, brązowy album. Fotografie z niego wypadały, bo przytrzymujący je klej już dawno zamienił się w proch. Jednym ze zdjęć, które wysunęło się ze środka, była fotografia młodej Jane Neal z rodzicami i siostrą. Timmer opowiedziała Myrnie o rodzicach Jane, którzy byli więźniami własnych niepewności i lęków. Przeniosło się to na siostrę, Irene, która stała się karierowiczką, poszukiwała bezpieczeństwa w rzeczach i akceptacji innych ludzi. Ale nie na Jane. A potem zaczęła opowiadać historię, na którą czekał Gamache.

– To zdjęcie zrobiono podczas jarmarku. Dzień po potańcówce. Widzisz, jaka Jane jest tu szczęśliwa – spytała Timmer. To była prawda. Nawet na ziarnistej fotografii Jane promieniała, szczególnie w porównaniu z ponurymi twarzami rodziców i siostry. – Tego wieczoru się zaręczyła. Jakże on się nazywał? Andreas. Na dodatek był drwalem. To bez znaczenia. Jane jeszcze nie powiedziała rodzicom, ale miała plan. Zamierzali wziąć ślub. Byli cudowną parą. Może z wyglądu dość dziwną, dopóki człowiek ich nie poznał i nie zobaczył, jak doskonale do siebie pasowali. Kochali się. Ale – tu twarz Timmer się zachmurzyła – wtedy, na jarmarku, Ruth Kemp podeszła do rodziców Jane i zdradziła, co planowała ich córka. Zrobiła to w tajemnicy, ale ja przypadkiem usłyszałam. Byłam młoda i do dzisiaj żałuję, że nie poszłam do Jane, żeby ją ostrzec. Ale nie zrobiłam tego.

– I co się stało? – zapytała Myrna.

– Rodzice zabrali Jane do domu i rozbili ten związek. Rozmówili się z Kaye Thompson, dla której Andreas pracował, zagrozili, że sprawią, że młyn wycofa się z interesów z nią, jeśli jej drwał choćby raz spojrzy na Jane. W tamtych czasach można było robić takie rzeczy. Kaye to dobra kobieta, sprawiedliwa, więc wytłumaczyła to wszystko Andreasowi, ale to złamało mu serce. On wyraźnie próbował zobaczyć się z Jane, jednak mu się nie udało.

– A Jane?

– Powiedziano jej, że nie może się z nim widywać. Żadnej dyskusji. Miała ledwo siedemnaście lat i nie była osobą, która potrafiła postawić na swoim. Poddała się. To było okropne.

– Czy Jane kiedykolwiek dowiedziała się, że to Ruth to sprawiła?

– Nigdy jej nie powiedziałam. Może powinnam była. Wyglądało, że

nacierpiała się już dosyć, ale najprawdopodobniej po prostu się bałam.

– Czy kiedykolwiek wspomniałaś coś Ruth?

– Nie.

Myrna spojrzała w dół na fotografię w niemal przezroczystej dłoni Timmer. Moment radości, uchwycony, zanim zgasł.

– Dlaczego Ruth to zrobiła?

– Nie wiem. Od sześćdziesięciu lat się nad tym zastanawiam. Może ona też. Coś w niej jest takiego, jakaś gorycz, która nienawidzi szczęścia innych i musi je zniszczyć. To prawdopodobnie czyni z niej znakomitą poetkę: wie, jak to jest cierpieć. Ściąga do siebie cierpienie. Kolekcjonuje je, a czasami stwarza. Myślę, że to dlatego lubi przy mnie siedzieć, lepiej się czuje w towarzystwie umierającej kobiety niż tej, która jest pełna życia. Ale może jestem wobec niej niesprawiedliwa.

Słuchając opowieści Myrny, Gamache pomyślał, że chciałby poznać Timmer Hadley. Ale było za późno. Miał za to poznać Jane Neal, a przynajmniej dostąpić najlepszej możliwej namiastki poznania jej osobiście.

Beauvoir wkroczył do idealnego domu. Tak idealnego, że był pozbawiony życia. Tak idealnego, że małeńka część inspektora uważała go za atrakcyjny. Zdusił tę część siebie, udawał, że nigdy nie istniała.

Dom Yolande Fontaine błyszczał. Każda powierzchnia połyskiwała od lakieru. W samych skarpetkach wprowadzono go do salonu, wnętrza, którego jedyna niedoskonałość siedziała na wielkim fotelu i czytała wiadomości sportowe. André ani drgnął, nawet nie zauważył obecności żony. Yolande podeszła do niego. A właściwie do sterty rozrzuconych przez niego gazet, które tworzyły małą wioskę wigwamów na gustownym dywanie. Podniosła gazetę, poskładała ją i odłożyła na równiutki stosik na stoliku kawowym, wyrównując wszystkie brzegi jak pod linijkę. Potem zwróciła się do Beauvoira.

– Inspektorze, może kawy?

Jej zmiana tonu niemal zwała go z nóg, a potem sobie przypomniał. Byli u niej w domu. Na jej terytorium. Mogła bezpiecznie zaprezentować się jako pani domu.

– Nie, dziękuję. Chciałbym tylko otrzymać odpowiedzi na kilka pytań.
Yolande lekko skłoniła głowę w uprzejmym geście do człowieka pracy.

– Czy zabrała pani coś z domu panny Neal?

To pytanie wywołało poruszenie, ale nie u Yolande.

André opuścił gazetę i warknął:

– A co to pana obchodzi?

– Mamy teraz powody uważać, że panna Neal została zamordowana. Mamy nakaz przeszukać jej dom i zabezpieczyć go.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że nikt poza policją nie będzie miał do niego wstępu.

Po raz pierwszy od przybycia Beauvoira mąż i żona wymienili spojrzenia. To nie było spojrzenie pełne miłości i wsparcia: raczej nieme pytanie z jego strony i potwierdzenie od niej. Beauvoir był pewien. Zrobili coś w tym domu.

– Czy coś państwo zabrali? – powtórzył.

– Nie – powiedziała Yolande.

– Jeśli państwo kłamią, zostaną państwo oskarżeni o utrudnianie śledztwa, a to, panie Malenfant, nie wyglądałoby najlepiej w pańskim dość już imponującym dossier.

Malenfant się uśmiechnął. Nic go to nie obchodziło.

– Co pani tam robiła przez pięć dni, pani Fontaine?

– Dekorowałam. – Zrobiła szeroki gest ręką przez cały salon. Wnętrze emanowało tanim „gustem”. Zasłony wydały się inspektorowi nieco dziwne. Po chwili zauważył, że mają wzór po obydwu stronach: widać go było zarówno z zewnątrz domu, jak i z wewnątrz. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widział, ale nie był zaskoczony. Yolande Fontaine istniała naprawdę jedynie wtedy, gdy miała publiczność. Była jak jedna z tych lamp, które zapalają się, gdy się kładnie w ręce. Ożywała, kiedy słyszała poklask albo głośną dezaprobatę. Jakakolwiek reakcja wystarczała, dopóki skupiała się na niej. Cisza i samotność pozbawiały ją życia.

– Piękne wnętrze – skłamał. – Czy reszta domu jest równie... elegancka?

Yolande usłyszała poklask i ruszyła do akcji.

– Proszę ze mną – powiedziała, praktycznie ciągnąc go za sobą po maleńkim

domu. Był jak pokój hotelowy, sterylne i anonimowy.

Beauvoir zauważył uchylone drzwi do kuchni i próbował zgadnąć, co się za nimi kryje. Wyciągnął rękę i otworzył je, a po chwili schodził po schodach, spoglądając na nieludzki bałagan.

– Proszę tam nie wchodzić, to teren André.

Beauvoir zignorował ją i szybko przemieścił się przez wilgotne pomieszczenie, aż znalazł to, czego szukał. Parę ciągle mokrych kaloszy i łuk, oparty o ścianę.

– Gdzie pan był tego ranka, kiedy zabito Jane Neal? – zapytał Beauvoir André, gdy wrócili do salonu.

– Spałem, co miałem robić?

– A może był pan na polowaniu?

– Może. Nie wiem. Mam zezwolenie.

– Nie o to pytałem. Czy polował pan w ostatnią niedzielę rano?

André wzruszył ramionami.

– Widziałem brudny łuk w piwnicy.

To było tak w stylu André, nie czyścić sprzętu. Ale patrząc na ten aseptyczny dom, Beauvoir potrafił sobie wyobrazić, dlaczego André tęsknił za błotem. Za bałaganem. Oraz za przebywaniem z daleka od cytrynowego płynu marki Pledge.

– I myśli pan, że jest ciągle mokry i brudny od zeszłego tygodnia? – zahuczał André.

– Nie, to z dzisiaj. Poluje pan w niedziele, nieprawdaż? Co niedziela, nie wyłączając zeszłego tygodnia, gdy zabito Jane Neal. Wyjaśnijmy coś sobie. To jest śledztwo w sprawie morderstwa. A kto jest najbardziej prawdopodobnym podejrzanym w każdej sprawie o morderstwo? Członek rodziny. A potem kto? Ktoś, kto odnosi korzyść ze śmierci zamordowanego. A jeśli jeszcze taka osoba ma sposobność, to można już dla niej ścielić łóżko w zakładzie karnym. Wy dwoje jesteście w czołówce. Wiemy, że macie długi. – Beauvoir zgadywał, kalkulując prawdopodobieństwo. – Byliście przekonani, że odziedziczycie wszystko, a pan, André, potrafi posługiwać się łukiem i strzałami w wystarczającym stopniu, by kogoś zabić. Czy wyrażam się jasno?

– Proszę posłuchać, inspektorze. – André podniósł się z fotela, upuszczając sekcję sportową na podłogę, strona po stronie. – Tego dnia, gdy zabito Jane Neal, poszedłem na polowanie i ustrzeliłem sarnę. Może pan zapytać Boxleitera w rzeźni, opracował ją dla mnie.

– Ale dzisiaj też pan polował. Czy limit nie wynosi jedną sarnę?

– A co pan teraz bawi się w leśniczego? Tak. Poszedłem dzisiaj. Zabiję tyle saren, ile mi się spodoba.

– A pański syn, Bernard? Gdzie był w zeszłą niedzielę?

– Spał.

– Tak jak pan?

– Słuchaj pan, on ma czternaście lat, to dzieciaki robią w weekend. Śpi, wstaje na wystarczająco długo, żeby mnie wkurzyć i wyjeść jedzenie z lodówki, a potem wraca do łóżka. Też bym tak chciał.

– Jak pan zarabia na życie?

– Jestem bezrobotny. Byłem kosmonautą, ale mnie zwolnili. – Tu André zachichotał pod wrażeniem własnej inteligencji, a jego zatęchły śmiech spowodował, że pomieszczenie wydało się jeszcze bardziej martwe. – Taaa, na moje miejsce zatrudnili jednoręką, czarną lesbijkę.

Beauvoir opuścił ich dom z pragnieniem zadzwonienia do własnej żony, by jej powiedzieć, jak bardzo ją kocha oraz by podzielić się z nią swymi przekonaniem, nadziejami, obawami i rozczarowaniami. Porozmawiać o czymś prawdziwym i ważnym. Wykręcił numer jej komórki; odebrała. Ale słowa jakoś utknęły mu w gardle. Powiedział jej tylko, że się wypogodziło, a ona jemu, jaki film wypożyczyła. Potem obydwójce się rozłączyli.

W drodze powrotnej do Three Pines zauważył, że do jego ubrania przyłgnał odór cytrynowego płynu Pledge.

Zastał nadinspektora, stojącego przez domem panny Neal, i wcisnął mu do ręki klucz. Gamache czekał na niego. Wreszcie, dokładnie tydzień od jej śmierci, obydwaj wkroczyli do domu Jane Neal.

11

– *Tabarnacle* – szepnął Beauvoir po chwili ciszy, podczas której obydwaj mężczyźni wstrzymali dech.

– Chryste.

Stali jak wryci na progu salonu Jane. Osłupiali, jak gdyby natrafili na jakąś wyjątkową makabrę. Ale to, co tak ich zmroziło, nie było dziełem przypadku – było o wiele bardziej agresywne i metodyczne.

– Gdybym był Jane Neal, też bym nikogo nie wpuszczał – powiedział Beauvoir, odzyskując zwykły głos. Ale tylko na chwilę. – *Sacré*.

Salon Jane atakował ich kolorami. Olbrzymie kwiaty w stylu Timothy’ego Leary’ego świeciły fosforyzującym blaskiem, psychodeliczne trójwymiarowe srebrne wieże i grzyby wysuwały się w przód i cofały w głąb, gigantyczne smileye maszerowały wokół kominka. To była najprawdziwsza parada bezguścia.

– Cholera – szepnął Beauvoir.

Pokój lśnił w gęstniejącej ponurości. Wytapetowano nawet sufit pomiędzy starymi belkami. To nie był tylko dowcip; to była parodia. Każdy miłośnik dziedzictwa czy architektury Quebecu czułby się nieszczęśliwy w tym wnętrzu – a Gamache, który zaliczał się do obydwu grup, poczuł, jak lunch podchodzi mu do gardła.

Nie spodziewał się tego. W konfrontacji z kakofonią kolorów nie mógł sobie przypomnieć, czego oczekiwał, ale z pewnością nie tego. Oderwał wzrok od maniakalnych smileyów i spojrzał na podłogi z szerokich desek, wykonane dwieście lat temu z drewna ręcznie heblowanego przez ludzi ścigających się z zimą. Takie podłogi były rzadkością nawet w Quebecu, i przez niektórych – z Gamache’em włącznie – uważane za dzieło sztuki. Jane Neal miała nieprawdopodobne szczęście mieszkać w jednym z tych maleńkich, oryginalnych domków z polnego kamienia, zbudowanych dosłownie z kamieni, wyrwanych z ziemi oczyszczanej pod uprawę. Być właścicielem takiego domu

oznaczało bycie strażnikiem kultury Quebecu.

Pełen zgrozy Gamache przeniósł wzrok ze ścian na podłogę.

Była pomalowana na różowo. Błyszczący róż.

Jęknął. Stojący obok Beauvoir prawie że wyciągnął rękę, by dotknąć ramienia nadinspektora. Wiedział, jak straszne musiało to być dla kogokolwiek, kto docenia historię. To było zbezczeszczenie świętości.

– Dlaczego? – zapytał Gamache, ale smileye milczały.

Podobnie jak Beauvoir. Nie znał odpowiedzi, choć z drugiej strony *les Anglais* zawsze go zdumiewali. To wewnątrz było jeszcze jednym przykładem ich niepojętego zachowania. W końcu Beauvoir uznał, że powinien chociaż spróbować udzielić nadinspektorowi odpowiedzi.

– Może potrzebowała odmiany. Czy to nie z tego powodu większość antyków łąduje u ludzi w domach? Moi dziadkowie sprzedali swoje bogatym Anglikom. Pozbyli się sosnowych stołów, szaf, mosiężnych łóżek i zastąpili je badziewiem kupionym z katalogu Eatona^[14].

– To prawda – zgodził się Gamache. Sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt lat temu dokładnie tak się działo. – Ale proszę spojrzeć na to. – Wskazał w róg pokoju. Stała tam zdumiewająca sosnowa szafa z wzorem w romby, pomalowana oryginalną mleczną farbą i pełna ceramiki Port Neuf. – I na to. – Gamache wskazywał olbrzymią, dębową walijską komodę. – To tutaj – podszedł do bocznego stoliczka – to stolik *faux Louis Quatorze*, ręcznie wykonany przez rzemieślnika, który znał ten styl z Francji i próbował go imitować. Taki mebel jest niemal bezcenny. Nie, Jean Guy, Jane Neal znała się na antykach i kochała je. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak mogła kolekcjonować wszystkie te zabytki, a potem nagle pomalować podłogę. Ale to nie o to pytałem. – Gamache odwrócił się z wolna, rozglądając po pokoju. W jego prawej skroni narastało pulsowanie. – Zastanawiam się, dlaczego panna Neal nie wpuszczała tutaj swoich przyjaciół.

– Czy to nie oczywiste? – zapytał zaskoczony Beauvoir.

– Nie, bynajmniej. Jeśli ona to zrobiła, musiał jej się podobać taki styl. Z pewnością by się go nie wstydziła. Więc dlaczego ich nie wpuszczała? A nawet, jeśli przypuścimy, że zrobił to ktoś inny, na przykład jej rodzice, dawno temu, kiedy takie rzeczy uchodziły za szczyt...

– Przykro mi to mówić, ale ta moda wraca. – Beauvoir niedawno nabył lampę awaryjną, ale pomyślał, że to nie najlepszy moment, żeby wspominać o tym nadinspektorowi. Gamache przetarł twarz dłońmi. Opuszczając je, znowu zobaczył kwasowo-psychodeliczną podłogę. Zaprawdę, cholera.

– No dobra, powiedzmy, że jej mocno starsi i prawdopodobnie już dotknięci demencją rodzice to zrobili, a ona z jakiejś przyczyny, z powodów finansowych, z lojalności wobec nich lub czegoś w tym stylu, zdecydowała się niczego nie zmieniać; cóż, to jest dość okropne, ale nie aż takie złe. W najgorszym wypadku powód do zażenowania, ale nie do wstydu. Fakt, że przez dziesięciolecia panna Neal nie wpuszczała przyjaciół do serca swego domu, świadczy o czymś głębszym niż zażenowanie.

Obydwaj rozejrzeli się ponownie. Beauvoir musiał przyznać, że pokój miał piękne proporcje. Ale to było tak, jak powiedzieć o kimś poznanym na randce w ciemno, że ma ciekawą osobowość. Kogoś takiego ciągle nie chciałoby się przedstawić znajomym. Beauvoir doskonale rozumiał, jak czuła się Jane Neal. Pomyślał, że może zwróci lampę awaryjną do sklepu.

Gamache powoli przechadzał się po pokoju. Czy było tu coś, czego mieli nie widzieć? Dlaczego Jane Neal, kobieta, która kochała swoich przyjaciół i ufała im, nie wpuszczała ich do tego pokoju? I dlaczego zmieniła zdanie dwa dni przed tym, kiedy ją zabito? Co za sekret kryło to pomieszczenie?

– Na górę? – zasugerował Beauvoir.

– Proszę iść przodem. – Gamache wygramolił się i spojrzał na schody, wznoszące się z tyłu salonu. Także były pokryte tapetą, tym razem w kolorze burgunda i o aksamitnej fakturze. By powiedzieć, że gryzła się z kwiatami, trzeba by uznać, że istniała jakaś tapeta, która by do nich pasowała. Mimo to ze wszystkich kolorów i stylów, jakie tu wybrano, ten był najgorszy. Tapeta wznosiła się jak chorobliwie czerwone gardło aż na pierwsze piętro. Stopnie schodów także pomalowano. To złamało Gamache'owi serce.

Skromne piętro składało się z dużej łazienki i dwóch sporych sypialni. Ta, która wyglądała na główną, miała ściany pomalowane na ciemną czerwień. Kolejny pokój był w kolorze ciemnoniebieskim.

Ale w tym domu czegoś brakowało.

Gamache zszedł na dół i przeszukał salon, potem wrócił do kuchni i do

przedpokoju.

– Nie ma sztalug ani farb. Nie ma pracowni. Gdzie są jej obrazy?

– Może w piwnicy?

– Jasne, chodźmy na dół sprawdzić, ale gwarantuję, że żaden artysta nie malowałby w piwnicy bez okien.

Chociaż, jakby się zastanowić, prace Jane Neal wyglądały, jakby mogły zostać namalowane w piwnicy.

– Są tu farby, ale nie ma sztalug – powiedział Beauvoir, wynurzając się z piwnicy. – I jeszcze coś. – Uwielbiał, gdy udało mu się zobaczyć coś, czego szef nie zauważył. – Obrazki. Nie ma obrazków na ścianach. Nigdzie.

Gamache otworzył usta w osłupieniu. Beauvoir miał rację. Gamache kręcił się w miejscu, przyglądając się ścianom. Nic.

– Na górze też nie?

– Też nie.

– Nie rozumiem. Wszystko to jest dziwne, tapety, pomalowane ściany i podłogi, brak obrazków. Ale nic z tego nie jest dość dziwne, by musiała ukrywać to przed przyjaciółmi. A jednak jest tutaj coś, czego nie chciała nikomu pokazać.

Beauvoir zapadł się w wielką kanapę i rozglądał się. Gamache zasiadł w skórzanym fotelu, złożył dłonie razem i myślał. Niewykończona piwnica pełna była kartonowych pudeł, stała tam stara, żeliwna wanna i lodówka z winami. Wyjął jedno z nich. Winnica Dunham, podobno całkiem niezła. Wstawił butelkę z powrotem, zamknął lodówkę i odwrócił się w przeciwną stronę. Kolejne drzwi prowadziły do spiżarki z przetworami. Złociste galaretki, ciemnoczerwone i fioletowe dzemy, brytyjskie pikle w ciemnozielonym kolorze. Spojrzał na daty; niektóre z poprzedniego roku, większość tegoroczna. Nic szczególnego. Nic nienormalnego. Nic, czego nie znalazłby w piwnicy własnej matki po jej śmierci.

Zamknął drzwi i postąpił krok do tyłu. Kiedy ocierał się o szorstką ścianę piwnicy, coś ugryzło jego but. Mocno. Odczucie było zarazem szokujące i znajome.

– *Tabarnacle!* – wykrzyknął. Z góry usłyszał odgłos stóp biegnących w stronę drzwi do piwnicy. W ułamku sekundy Beauvoir stał obok, z ręką na

kaburze, w której ciągle tkwił pistolet.

– Co! Co się stało? – Tak rzadko słyszał, żeby szef przeklinał, że kiedy się to zdarzało, brzmiało jak syrena alarmowa. Gamache wskazał na swoją stopę. Do jego buta przyczepiona była mała, drewniana deseczka.

– Spora mysz – powiedział Beauvoir z uśmiechem. Gamache pochylił się i usunął pułapkę. Posmarowano ją masłem orzechowym, by zanieść myszy. Otarł drobinę masła z buta i rozejrzał się. Jego oczom ukazało się więcej pułapek, wszystkie ustawione wzdłuż ściany.

– Miała ich trochę. – Beauvoir wskazał na kilka przewróconych pułapek, spod których sterczały ogonki i zaciśnięte łapki.

– Nie przypuszczam, żeby to ona je ponastawiała. Myślę, że te były jej. – Gamache schylił się i podniósł małe, szare pudełko. Gdy je otworzył, znalazł w środku skuloną małą mysz. Martwą. – To humanitarna pułapka. Łapała je i wypuszczała. Ta biedula musiała się złapać już po tym, jak pannę Neal zamordowano. Zdechła z głodu.

– Więc kto porozstawiał wszystkie pozostałe pułapki? Moment, proszę mi nie mówić. Yolande i André, oczywiście. Byli tu sami przez jakiś tydzień. Mimo to można by pomyśleć, że mogli chociaż zajrzeć do humanitarnej pułapki – powiedział Beauvoir ze wstrętem. Gamache potrząsnął głową. Pełna przemocy, z rozmysłem zadana śmierć ciągle go zaskakiwała, niezależnie od tego, czy chodziło o ludzi, czy o myszy.

– Chodź, malutka – zwrócił się do skulonej myszy i zabrał ją na górę. Beauvoir wrzucił pozostałe pułapki do plastikowej torby i poszedł w ślady szefa.

Mężczyźni zamknęli dom, powędrowali przez ogród Jane i przez skwer. Teraz, gdy słońce już zaszło, tu i tam widać było światła samochodów. Godzina szczytu. Niektórzy mieszkańcy miasteczka robili sprawunki, inni wyprowadzali psy. W tej ciszy Gamache słyszał niezrozumiałe urywki rozmów. Gdzieś w okolicach ulicy du Moulin usłyszał: „Siusiaj, proszę, siusiaj”. Miał nadzieję, że było to adresowane do psa.

Beauvoir i Gamache przeszli przez skwer w stronę jasno oświetlonego, przyjaznego pensjonatu. W połowie drogi Gamache zatrzymał się i złożył mysz na trawie; obok niego Beauvoir otworzył plastikową torbę i uwolnił małe ciałka

z pozostałych pułapek.

– Zostaną zjedzone – stwierdził Beauvoir.

– Dokładnie. Przynajmniej jakieś stworzenie na tym skorzysta. Abbie Hoffman^[15] powiedział, że wszyscy powinniśmy zjadać to, co zabijemy. To położyłoby kres wojnom.

Nie po raz pierwszy Beauvoir nie wiedział, co odpowiedzieć Gamache'owi. Czy mówił poważnie? A może trochę zblizował? Kto to był ten Abbé Hoffman? Miejskowy ksiądz? Brzmi to dokładnie jak coś, co mógłby powiedzieć jakiś chrześcijański mistyk.

Następnego ranka zespół ponownie zebrał się w biurze operacyjnym, gdzie składano raporty z ostatnich wypadków oraz rozdzielano zadania. Gamache znalazł na swoim biurku małą, papierową torebkę z eklerką w środku. Kartka, wypisana dużymi, dziecinnymi literami, głosiła: „Od agentki Nichol”.

Nichol przyglądała mu się, gdy otwierał torebkę.

– Agentko Nichol, proszę na słowo.

– Tak jest.

Eklerka najwyraźniej zadziałała. Było wykluczone, by Gamache nadal zachowywał się tak nierozsądnie.

Gamache wskazał biurko w odległym końcu pokoju, z daleka od innych.

– Dziękuję za eklerkę. Czy upewniła się pani, że *maître* Stickley jest w posiadaniu najbardziej aktualnego testamentu Jane Neal?

I to wszystko? Tyle wysiłku, żeby pójść wcześniej na drugą stronę do piekarni Sarah i kupić ciastko, a on wypowiada tylko jedno zdanie? Myśli galopowały jej przez głowę. To było kompletnie nie fair, ale musiała myśleć szybko. Znała prawdę, ale wyznanie jej sprawiłoby, że znalazłaby się w tarapatkach. Co powiedzieć? Może powinna znowu wspomnieć o ciastku? Ale nie, on oczekiwał odpowiedzi na swoje pytanie.

– Tak jest, upewniłam się. Potwierdził, że *maître* Stickley ma najnowszy testament.

– A co to za „on” potwierdził?

– Facet, z którym rozmawiałam przez telefon.

Spokojna twarz Gamache'a zmieniła wyraz. Pochylił się w przód, poważny

i zirytowany.

– Proszę przestać zwracać się do mnie takim tonem. Ma pani odpowiadać na moje pytania wyczerpująco, z szacunkiem i rozwagą. I na tym nie koniec. – Tu jego głos przycichł niemal do szeptu. Ci, którzy słyszeli u niego taki ton, rzadko to zapominali. – Będzie pani odpowiadać uczciwie.

Przerwał i wytrzymał jej wyzywające spojrzenie. Miał dosyć tej dysfunkcyjnej osoby. Zrobił, ile mógł. Wbrew słusznym radom zatrzymał ją w zespole, ale teraz okłamała go już nie raz, ale dwa razy.

– Proszę przestać się kulić na tym krześle jak naburmuszone dziecko. Proszę siedzieć prosto, gdy pani do mnie mówi. I patrzeć na mnie. – Nichol natychmiast zareagowała.

– Do kogo pani zadzwoniła, żeby zapytać o testament?

– Zadzwoniłam do głównego biura w Montrealu i poprosiłam człowieka, który odebrał telefon, żeby to dla mnie sprawdził. Oddzwonił z informacją. Czy coś zrobiłam źle, sir? Jeśli tak, to nie moja wina. Uwierzyłam mu. Ufałam, że prawidłowo wykona swoją pracę.

Zdziwienie na moment odebrało nadinspektorowi mowę. Gdyby agentka go nie oburzyła, zapewne czułby dla niej pewien podziw.

Nichol do nikogo nie zadzwoniła, bo nie miała pojęcia, do kogo się zwrócić. Uważała, że Gamache mógł chociaż udzielić jej wskazówek. Tak lubił się chwalić, jak to przygarnia młodych ludzi pod swoje skrzydła, a potem gównem dla nich robił. Sam był sobie winien.

– Do kogo w głównym biurze pani zadzwoniła?

– Nie wiem.

Gamache miał dosyć tego, to była strata czasu. Ona była stratą czasu. Ale mógł spróbować jeszcze jednego. Mógł pokazać jej, jak będzie wyglądać jej przyszłość, jeśli nie będzie się pilnować.

– Proszę ze mną.

Dom Ruth Zardo był maleńki i zagracony, pełen papierów, gazet i podręczników z ćwiczeniami poukładanych w wysokie stopy. Półki z książkami zapełniały całe ściany; książki leżały też na taboretach, bocznym stoliku i na kuchennym blacie. Piętrzyły się również w szafie, do której Ruth

wrzuciła ich płaszcze.

– Właśnie wypiliśmy resztkę kawy i nie zamierzam robić więcej.

Co za suka! – pomyślała Nichol.

– Chcieliśmy tylko zadać kilka pytań.

– Nie zaproszę was, żebyście usiedli, więc lepiej się streszczajcie.

Nichol nie mogła uwierzyć, jak nieuprzejma jest ta kobieta. Doprawdy, niektórzy to mają tupet.

– Czy Jane Neal wiedziała, że powiedziała pani jej rodzicom o niej i Andreasie Selinskim? – zapytał Gamache, a w całym domu zapanował bezruch.

Ruth Zardo mogła mieć bardzo dobry powód, by życzyć Jane Neal śmierci. Przypuśćmy, że Ruth myślała, że jej zdrada sprzed lat wyjdzie na jaw, a przyjaźnie, jakie zawarła w Three Pines, się urwą. Ci ludzie, którzy uwielbiali ją pomimo wad, mogli wreszcie zobaczyć, jaka jest naprawdę. Znienawidziliby ją za to, co zrobiła Jane, znów byłaby sama. Pełna złości, zgorzkniała, samotna, stara kobieta. Nie mogła tego ryzykować, zbyt wiele miała do stracenia.

Po latach prowadzenia śledztw w sprawach o morderstwo Gamache wiedział, że zawsze istniał motyw, choćby wszystkim wydawał się absurdalny. Dla mordercy zbrodnia miała sens.

– Proszę wejść – powiedziała, wskazując w kierunku kuchennego stołu. To był ogrodowy stół, otoczony metalowymi ogrodowymi krzesłami ze sklepu Canadian Tire. Gdy usiedli, Ruth zauważyła, że Gamache się rozgląda i odezwała się pierwsza. – Mój mąż zmarł kilka lat temu. Od tamtej pory wyprzedaję, co mam, po kawałku, głównie rodzinne antyki. Olivier się tym zajmuje w moim imieniu. Dzięki temu jako tako trzymam się na powierzchni, chociaż z trudem.

– Andreas Selinsky – przypomniał jej.

– Słyszałam, nie musi pan powtarzać. To było sześćdziesiąt lat temu. Kogo to dzisiaj obchodzi?

– Obchodziło Timmer Hadley.

– A co pan wie na ten temat?

– Wiedziała, co pani zrobiła; przypadkiem usłyszała pani rozmowę

z rodzicami Jane – mówiąc to, Gamache obserwował niewzruszoną jak forteca twarz Ruth. – Timmer nie zdradziła pani sekretu i żałowała tego do końca życia. Ale może pod koniec powiedziała Jane. Jak pani myśli?

– Myślę, że kiepski z pana jasnowidz. Timmer nie żyje, Jane nie żyje. Trzeba zostawić przeszłość w spokoju.

– A da się? „Któż cię tak zranił niegdyś, szkód narobił nie do naprawienia, że każdy przyjazny gest witasz obnażaniem zębów?”

Ruth prychnęła.

– Naprawdę pan uważa, że to wystarczy, że rzuca mi pan w twarz moją własną poezję? Wkuwał ją pan przed tą rozmową na pamięć, jak student? Z nadzieją, że w obliczu własnego bólu zaleję się łzami? Bzdura.

– Tak się składa, że znam na pamięć cały ten wiersz:

*Kiedyż zasiane zostały ziarna tego gniewu i w jakiej ziemi
wzrosły tak bujnie, podlewane łzami wściekłości i bólu?
Nie zawsze tak bywało*

– Ruth i Gamache wspólnie dokończyli zwrotkę.

– Dobra, dobra, wystarczy. Powiedziałam rodzicom Jane, bo uważałam, że ona robi błąd. Miała potencjał, który przy tym brutalu by się zmarnował. Zrobiłam to dla jej dobra. Próbowałam ją przekonać; gdy się nie udało, załatwiłam to za jej plecami. Patrząc wstecz, myślę, że to był błąd, ale tylko tyle. Nie żaden koniec świata.

– Czy panna Neal wiedziała?

– O ile wiem, nie, ale jeśliby wiedziała, to by nie miało znaczenia. To było tak dawno, wszystko przeminęło i zostało pogrzebane.

Cóż za okropna, samolubna kobieta – pomyślała Nichol, rozglądając się za czymś do jedzenia. Nagle błysnęła jej w głowie świadomość. Musiała iść siusiu.

– Mogę skorzystać z toalety? – Nie ma mowy, żeby powiedziała „proszę” do tej kobiety.

– Trafi pani.

Nichol otworzyła po kolei wszystkie drzwi na głównym piętrze, ale znalazła

tylko książki i czasopisma, ani śladu toalety. Potem poszła po schodach na górę i odnalazła jedyną w domu łazienkę. Spuściła wodę i odkręciła kran, udając, że myje ręce, po czym spojrziała w lustro. Z odbicia patrzyła na nią młoda kobieta z włosami przyciętymi na krótkiego boba. Widać było także jakieś litery, pewnie jakiś kolejny cholerny wiersz.

Pochyliła się bliżej i zauważyła, że na lustrze jest nalepka. Napis na niej głosił: „Patrzysz na problem”.

Nichol natychmiast zaczęła rozglądać się za sobą, w miejscu, które odbijało się w lustrze, bo ten problem musiał być gdzieś tam.

– Czy Timmer Hadley powiedziała pani, że wie, co pani zrobiła?

Ruth zastanawiała się, czy ktokolwiek kiedykolwiek zada jej to pytanie. Miała nadzieję, że to nie nastąpi. Ale stało się.

– Tak. Tego dnia, gdy zmarła. I nie ukrywała, co o tym myślała. Była bardzo szczerą. Bardzo szanowałam Timmer. To przykre słyszeć takie rzeczy od osoby, którą się uwielbia i szanuje; było to tym trudniejsze, że Timmer umierała i nie było już czasu, by to jakoś naprawić.

– Co pani zrobiła?

– W tamto popołudnie miała się odbyć parada i Timmer chciała zostać sama. Zaczęłam się tłumaczyć, ale ona była zmęczona i potrzebowała odpoczynku, poprosiła, żebym poszła na paradę i wróciła za godzinę, że wtedy porozmawiamy. Gdy wróciłam dokładnie godzinę później, już nie żyła.

– Czy pani Hadley powiedziała panie Neal?

– Nie wiem. Myślę, że być może zamierzała to zrobić, ale czuła, że najpierw musi rozmówić się ze mną.

– A czy pani powiedziała panie Neal?

– Dlaczego miałabym to robić? To było dawno temu. Jane prawdopodobnie zapomniała.

Gamache zastanawiał się, na ile Ruth Zardo próbowała sama siebie do tego przekonać. Jego w każdym razie nie przekonała.

– Czy wie pani, kto mógłby życzyć śmierci panie Neal?

Ruth złożyła obydwie dłonie na lasce, po czym ostrożnie oparła podbródek na dłoniach. Patrzyła gdzieś za Gamache’a. Wreszcie, po dobrych pięciu

minutach milczenia, przemówiła:

– Mówiłam panu wcześniej: sądzę, że jeden z tych trzech chłopaków, którzy rzucali nawozem, mógł życzyć jej śmierci. Narobiła im wstydu. Myślę, że nigdzie nie lęgnie się tyle trujących myśli, co w chmurnym, dorastającym umyśle. Tyle że to zwykle trwa trochę. Mówią, że czas leczy rany. Myślę, że to głównie prawda. Czas nic nie zmienia. Leczy tylko wtedy, gdy ktoś chce zostać uleczony. Widywałam sytuacje, gdy dla chorej głowy czas tylko pogorszył sprawę. Tacy brną w to, zastanawiają się, gryzą i gdy dać im dość czasu, potrafią zrobić z drobiazgu katastrofę.

– Czy myśli pani, że w tym wypadku mogło się tak zdarzyć?

Tok myśli Ruth Zardo tak był bliski jego własnemu, że czuł się, jakby czytała w jego myślach. Ale czy ona zdawała sobie sprawę, że to czyniło z niej idealną podejrzaną?

– Mogło.

W drodze powrotnej do miasteczka Nichol opowiedziała Gamache'owi o nalepce na lustrze Ruth i o swoich poszukiwaniach, które przyniosły efekt w postaci szamponu, mydła i maty pod wanną. Nichol utwierdziła się w przekonaniu, że Gamache był ponad to. Śmiał się tylko.

* * *

– Zaczynamy – powiedziała Solange Frenette kilka minut później, gdy przybyli Gamache, Beauvoir i Ruth. Clara i Peter już siedzieli na miejscach.

– Dzwoniłam do Régie du Notaires w Quebec City i sprawdzili w rejestrze oficjalnie zarejestrowanych testamentów. Według ich informacji, ostatnia wola i testament panny Neal zostały sporządzone w tym biurze dwudziestego ósmego maja tego roku. Jej poprzedni testament, spisany dziesięć lat temu, został unieważniony. Jej ostatnia wola jest bardzo prosta. Po pokryciu wydatków, związanych z pogrzebem, długów, kart kredytowych, podatków i tak dalej, jej dom wraz z całą zawartością przechodzi na własność Clary Morrow.

Clara poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Nie chciała domu Jane. Chciała słyszeć w uszach jej głos i czuć objęcia jej ramion. I słyszeć jej śmiech. Chciała, by Jane z nią była.

– Panna Neal życzyła sobie, by Clara urządziła przyjęcie, zapraszając pewne

osoby, których lista zawarta jest w testamencie, i poprosiła każdą z nich, by wybrała jeden przedmiot ze znajdujących się w domu. Samochód zapisała Ruth Zardo, a księgozbiór Myrnie. Całą resztę zostawiła Clarze Morrow.

– Ile? – zapytała Ruth ku uldze Clary. Sama chciała wiedzieć, ale nie chciała wyglądać na chciwą.

– Dziś rano zadzwoniłam w kilka miejsc i zrobiłam trochę obliczeń. Po odliczeniu podatku to jakieś ćwierć miliona dolarów.

Z pokoju jakby wypompowano powietrze. Clara nie mogła uwierzyć. Bogaci. Będą bogaci. Wbrew samej sobie wyobraziła sobie nowy samochód, nową pościel, dobrą kolację w restauracji w Montrealu. I...

– Są jeszcze dwa zapisy; dokładniej, dwie koperty. Jedna dla pani, pani Zardo. – Ruth wzięła ją i rzuciła spojrzenie w stronę Gamache'a, który z uwagą obserwował cały proces. – Druga jest dla Yolande Fontaine. Kto zechce ją wziąć?

Nikt się nie odezwał.

– Ja wezmę – powiedziała Clara.

Przed biurem notariuszki nadinspektor Gamache podszedł do Petera i Clary.

– Chciałem was prosić o pomoc w domu panny Neal. Znaczy się: teraz w waszym domu.

– Nie wyobrażam sobie myślenia o nim inaczej jak o domu Jane.

– Mam nadzieję, że to nieprawda. – Gamache lekko uśmiechnął się do Clary.

– Oczywiście, że pomożemy – zapewnił Peter. – Co możemy zrobić?

– Chciałbym, żebyście obydwójce poszli tam i po prostu rzucili okiem. – Nadinspektor nie chciał zdradzić więcej.

Nieoczekiwanie pierwsze, co uderzyło Clarę, to zapach. Ten niedający się z niczym pomylić aromat Jane, zapach kawy i palonego drewna. Z nutą świeżych wypieków i mokrego psa. I jeszcze wody toaletowej Floris, jej jedyne zbytku. Jane ją uwielbiała i co roku na Gwiazdkę zamawiała z Londynu jako prezent dla samej siebie.

Funkcjonariusze Sûreté kręcili się po całym domu, zdejmując odciski palców, pobierając próbki i robiąc zdjęcia. Stwarzali bardzo dziwną atmosferę, ale i tak

Clara czuła, że Jane jest tutaj, w przestrzeni między obcymi. Gamache zaprowadził Clarę i Petera do znajomej kuchni i wahadłowych drzwi. Nigdy za nimi nie byli. Clara miała ochotę zawrócić i iść do domu. Nidy nie oglądać tego, co Jane tak skrętnie przed nimi ukrywała. Przejście przez te drzwi było jak nadużycie zaufania Jane, jak pogwałcenie zasad, jak przyznanie, że Jane już nie ma z nimi i nie może ich powstrzymać.

No cóż, trudno. Ciekawość zwyciężyła. Clara mocno popchnęła wahadłowe drzwi i przeszła przez nie. Prosto na kwasowy flashback.

Pierwszą reakcją Clary był śmiech. Przez moment stała osłupiała, a potem wybuchła śmiechem. I śmiała się, i śmiała, aż myślała, że się posika. Jej śmiech po chwili zaraził też Petera. Gamache, który do tej pory widział w tym jedynie zły dowcip, uśmiechnął się, potem zachichotał, a po chwili śmiał się tak bardzo, że aż musiał otrzeć łzy.

– Batman, ależ masz okropny gust – powiedziała Clara do Petera, który zgiął się w pół i śmiał dalej.

– Nie do wyjęcia, powaga – wykrztusił z trudem Peter i zdołał jeszcze wyciągnąć w górę palce w znaku zwycięstwa, po czym oparł obie dłonie na kolanach, by podtrzymać chybotające ciało. – Nie przypuszczałaś, że Jane włączyła się, dostroiła i odleciała?

– Muszę powiedzieć, że medium jest przekazem. – Clara wskazała na obłąkańcze smileye i śmiała się tak długo, aż przestała wydobywać z siebie dźwięk. Uchwyciła się Petera, obejmując go, by nie osunąć się na podłogę.

Wnętrze było nie tylko nieprawdopodobnie idiotyczne; niesło też ulgę. Po minucie lub dwóch wszyscy wzięli się w garść i poszli na górę. W sypialni Clara podniosła leżącą obok łóżka Jane mocno zużytą książkę *Zaskoczony radością* C.S. Lewisa. Pachniała wodą toaletową Floris.

– Nie rozumiem – powiedział Peter, gdy zeszli i usiedli przed kominkiem. Clara nie mogła się powstrzymać. Wyciągnęła rękę i dotknęła jaskrawożółtej tapety w smileye. Była aksamitna. Clara mimowolnie parsknęła; miała nadzieję, że nie wybuchnie śmiechem na nowo. To naprawdę było zbyt idiotyczne.

– Dlaczego Jane nie chciała, byśmy zobaczyli ten pokój? – zapytał Peter. – To naprawdę nie aż takie straszne.

Popatrzyli na niego z niedowierzaniem.

– Przecież wiecie, o co mi chodzi.

– Dokładnie wiem, o co panu chodzi – zgodził się Gamache. – Sam zadaję sobie to pytanie. Jeśli się tego nie wstydziła, dlaczego nikogo nie wpuszczała? A jeśli się wstydziła, dlaczego nie zmieniła wystroju? Nie, wydaje mi się, że to wszystko tylko rozprasza naszą uwagę, może nawet celowo. – Przerwał. Może to był powód, dla którego zainstalowano tę obrzydliwą tapetę. To był podstęp, przynęta podsunęta specjalnie, by odciągnąć ich uwagę od czegoś innego, czego Jane nie chciała im pokazać. Nadinspektor czuł, że może wreszcie znalazł odpowiedź na pytanie, dlaczego położono tu tę makabryczną tapetę. – W tym pokoju jest coś jeszcze. Może mebel, może naczynie albo książka. Jest tutaj.

Cała czwórka rozdzieliła się i zaczęła na nowo przeszukiwać pokój. Clara ruszyła w stronę naczyń Port Neuf, o których opowiadał jej Olivier. Na początku XVIII wieku wytwarzanie glinianych kubków i misek przybrało rozmiary produkcji przemysłowej – jednej z pierwszych w Quebecu. Surową kamionkę ozdabiano prymitywnymi rysunkami krów, koni, świń i kwiatów. Kolekcjonerzy wysoko cenili te okazy; Olivier pewnie by aż pisnął. Ale nie było powodów, by je ukrywać. Gamache odwrócił małe biurczko do góry nogami w poszukiwaniu ukrytych szuflad, podczas gdy Peter badał dokładnie wielką, sosnową skrzynię. Clara pootwierala szuflady w szafie, pełne serwetek i mat pod talerze, ozdobionych obrazkami. Wyjęła je. To były reprodukcje starych malowideł scen wiejskich i pejzaży z Quebecu z połowy XIX wieku. Widziała je wcześniej, na stole u Jane w trakcie kolacji, ale także gdzie indziej. Bardzo często się je spotykało. A może jednak wcale nie były reprodukcjami? Czy to możliwe, że to były oryginały? A może przemalowano je, by zawrzeć w nich jakiś ukryty kod?

Nic nie znalazła.

– Tutaj! Chyba coś mam. – Peter odstąpił od sosnowej skrzyni, którą badał. Stała na drewnianych nóżkach i sięgała mu do bioder. Po obydwu stronach zainstalowane były uchwyty z kutego żelaza, a z przodu wyciągało się dwie kwadratowe szuflady. Zdaniem Petera miodowego koloru sosnowa skrzynia została wykonana bez użycia jednego gwoźdźca, wszystko złożono na zaciosy. To było fantastyczne, po prostu obłędne! Żeby dostać się do głównej komory, trzeba było podnieść wieko, niestety, z jakiegoś powodu pokrywa się zablokowała. Peter szarpnął jeszcze raz, ale bez skutku. Ku wielkiej irytacji

Petera Beauvoir odsunął go na bok i sam spróbował, jakby istniała więcej niż jedna metoda podniesienia wieka.

– Może z przodu są drzwiczki, jakiś trik albo zagadka – zasugerowała Clara. Wszyscy zaczęli szukać. Nic. Teraz cofnęli się i wpatrywali się w skrzynię. Clara chciała, by ta do niej przemówiła, jak to jej się ostatnio zdarzało z wieloma skrzyniami.

– Olivier by wiedział – powiedział Peter. – Jeśli tu jest jakaś zagwozdzka, to on wie, jaka.

Gamache zastanowił się przez moment i skinął głową. Naprawdę nie mieli wyboru. Beauvoir został wysłany po Oliviera i w niespełna dziesięć minut powrócił w towarzystwie handlarza antyków.

– Gdzie pacjent? Święta Mario, Matko Boża! – Olivier uniósł brwi i gapił się na ściany; jego szczupła, przystojna, atrakcyjna twarz wyglądała chłopięco i wesoło. – Kto to zrobił?

– Ralph Lauren, a co myślałeś? – odparł Peter.

– Z pewnością żaden gej. Czy to ta skrzynia?

Podszedł do pozostałych.

– Piękna. Skrzynia na herbatę, wzorowana na brytyjskich, używanych w XVII wieku, jednak ta jest z Quebecu. Bardzo prosta, ale w żadnym razie prymitywna. Chcecie się dostać do środka?

– Jeśli pan pozwoli – powiedział Gamache, a Clara zadumała się nad jego cierpliwością. Sama miała ochotę przyłożyć Olivierowi. Handlarz antyków obszedł skrzynię dookoła, opukał ją w kilku miejscach, przykładając ucho do polerowanego drewna, po czym usiadł naprzeciw niej. Wyciągnął ręce, chwycił pokrywę i szarpnął. Gamache wywrócił oczami.

– Zamknięta na klucz – orzekł Olivier.

– Cóż, tyle to my wiemy – zauważył Beauvoir. – Jak ją otworzyć?

– Macie klucz?

– Gdybyśmy mieli klucz, nie byłby pan nam potrzebny.

– Słuszna uwaga. Słuchajcie, jedyna metoda, jaką znam, to zdjąć zawiasy z tyłu. Może to chwilę potrwać, bo są stare i skorodowane. Nie chcę ich połamać.

– Proszę zaczynać – zachęcił Gamache. – Reszta z nas będzie szukać dalej.

Po dwudziestu minutach Olivier oświadczył, że zdjął ostatni zawias.

– Na wasze szczęście jestem geniuszem.

– Co za fart – powiedział Beauvoir i pokazał pełnemu wahania Olivierowi drzwi. Stojący przy skrzyni Gamache i Peter chwycili z obydwu stron wielkie, sosnowe wieko i podnieśli je. Cała czwórka zajrzała do środka.

Nic. Skrzynia była pusta.

Spędzili kilka minut, upewniając się, że nie ma w niej żadnych ukrytych szuflad, po czym, zniechęceni, usiedli wokół kominka. Gamache zwrócił się do Beauvoira:

– O co zapytał Olivier? Kto urządza to wnętrze?

– No i?

– Czy aby na pewno wiemy, że zrobiła to Jane Neal?

– Myśli pan, że wynajęła kogoś do tego? – zapytał zdumiony Beauvoir. Gamache tylko gapił się na niego. – Nie, pan myśli, że zrobił to ktoś inny, kto tutaj rezydował. Mój Boże, co ze mnie za idiota! Yolande! Gdy przesłuchiwałem ją wczoraj, powiedziała, że dekorowała tu wnętrza...

– Zgadza się. – Clara pochyliła się naprzód w fotelu. – Widziałam, jak ciągnęła tutaj drabinę i torby pełne zakupów z supermarketu budowlanego w Cowansville. Peter i ja zastanawialiśmy się, kiedy zamierza się wprowadzić. – Peter pokiwał twierdząco głową.

– Więc to Yolande położyła tapety? – Gamache wstał i na nowo się rozejrzał. – Jej dom musi być koszmarem, jeśli tak urządza wnętrza.

– Ani trochę – zaprzeczył Beauvoir. – Wręcz przeciwnie. Jej dom jest cały w ciepłych bielach, beżach i gustownych kolorach, jak z magazynu wnętrzarskiego.

– Żadnych smileyów? – zapytał Gamache.

– Prawdopodobnie nigdy ich tam nie było.

Gamache wstał i przechadzał się powoli z opuszczoną głową i dłońmi splecionymi na plecach. Przeszedł kilka szybkich kroków w stronę naczyń Port Neuf, mówiąc przez cały czas, po czym stanął przodem do ściany jak niegrzeczny uczeń. Potem odwrócił się przodem do nich. – Yolande. Co ona

robi? Co ją motywuje?

– Pieniądze? – zasugerował Peter po chwili ciszy.

– Potrzeba akceptacji? – podsunął Beauvoir, podchodząc do Gamache'a. Ekscytacja nadinspektora udzielała się wszystkim obecnym.

– Ciepło, ale idźmy głębiej. Co kieruje nią w środku?

– Złość? – spróbował znowu Peter. Nie lubił się mylić, a znowu nie miał racji, widział to po reakcji nadinspektora. Po chwili ciszy odezwała się Clara, myśląc na głos:

– Yolande żyje we własnym, stworzonym przez siebie świecie. To świat jak z żurnala, mimo że jej mąż to kryminalista, syn to łobuz, a ona sama kradnie i oszukuje. Nie jest nawet prawdziwą blondynką, jeśli jeszcze nie zauważyliście. Nie jest niczym prawdziwym, o ile mogę stwierdzić. Żyje w zaprzeczeniu...

– To jest to! – Gamache niemal podskoczył jak prezenter w teleturnieju. – Zaprzeczenie. Żyje w zaprzeczeniu. Ukrywa prawdę. To dlatego nakłada makijaż. To maska. Jej twarz jest maską, jej dom jest maską, przygnębiającym wysiłkiem, by zamalować i zakleić coś paskudnego. – Odwrócił się w stronę ściany, przyklęknął i przyłożył dłonie do łączenia na tapecie. – Ludzie mają skłonność do konsekwencji. To właśnie tutaj nie gra. Jeśliby pan powiedział – zwrócił się do Beauvoira – że u niej w domu są takie same tapety, to by pasowało, ale tak nie jest. Dlaczego więc miałyby spędzać całe dni na kładzeniu tego?

– Żeby coś ukryć – odpowiedziała Clara, klękając obok niego. Palce Gamache'a znalazły mały rożek tapety, który już się odklejał.

– Właśnie. – Gamache ostrożnie pociągnął za rożek i odwinął go, odsłaniając jakieś trzydzieści centymetrów ściany, a pod spodem kolejną tapetę.

– Czy mogła położyć dwie warstwy? – zapytała Clara, czując, jak ucieka z niej energia.

– Nie sądzę, by miała dość czasu – powiedział Gamache. Clara przyjrzała się uważnie.

– Peter, popatrz na to. – Jej mąż przyłączył się do nich na klęczkach i spojrzał na odsłoniętą ścianę. – To nie jest tapeta – stwierdził, patrząc w osłupieniu na Clare.

– Tak myślałam.

– No więc co to jest, na miłość boską? – zapytał Gamache.

– To rysunek Jane – wyjaśniła Clara. – Jane to narysowała.

Gamache spojrzał jeszcze raz i wreszcie zobaczył. Jasne kolory, dziecinnie kreska. Nie mógł orzec, co przedstawiał rysunek, bo nie odsłonili całości, ale najwyraźniej został tu umieszczony przez pannę Neal.

– Czy to możliwe? – zapytała Clara, gdy obydwoje podnieśli się i rozglądali po pokoju.

– Tapeta – powiedział Gamache. – Myliłem się. Nie miała rozpraszać uwagi, tylko zakrywać. Tam, gdzie jest tapeta, były jej rysunki.

– Ale to znaczy: wszędzie – zaprotestował Beauvoir. – Nie mogła... – Przerwał, zauważywszy wyraz twarzy szefa. Może i mogła. – Czy to możliwe? – zastanawiał się, przyłączając się do reszty i obracając w kółko. Wszystkie ściany? Nawet podłogi? Uświadomił sobie, że nie docenił *les Anglais* i ich skłonności do szaleństwa. – A na piętrze? – zapytał. Gamache uchwycił jego spojrzenie i jakby świat zatrzymał się na moment. Skinął głową.

– *C'est incroyable* – wyszeptali obydwoj jednocześnie. Clarze odebrało mowę, a Peter stał już przy kolejnym łączeniu, szarpiąc za papier.

– Tu jest ich więcej! – zawołał, wstając.

– To tego się wstydziła – powiedział Gamache, a Clara wiedziała, że to prawda.

W ciągu godziny Peter i Clara rozpostarli płachty malarskie i podsuwali meble. Zanim Gamache wyszedł, dał im zgodę na usunięcie tapety i pokrywającej rysunki farby na tyle, na ile im się uda. Clara zadzwoniła do Bena, który zgłosił się na ochotnika do pomocy. Była zachwycona. Zadzwoniłaby też po Myrnę, która z pewnością pracowałaby efektywniej niż Ben, ale to była robota wymagająca delikatności i wyczucia artysty, a Ben miał obydwie te cechy.

– Orientujecie się, ile to może zająć? – zapytał nadinspektor.

– Uczciwie? Łącznie z sufitami i podłogą? Prawdopodobnie rok.

Gamache się skrzywił.

– To ważne, prawda? – zapytała Clara, odczytując jego wyraz twarzy.

– Możliwe. Nie wiem na pewno, ale myślę, że tak.

– Będziemy się posuwać tak szybko, jak się odważymy. Nie chcę zniszczyć rysunków pod spodem. Ale sądzę, że możemy sporo zedrzyć, wystarczająco dużo, żeby zobaczyć, co jest pod spodem.

Na szczęście Yolande, dowodząc swojej niestaranności, nie zagruntowała ścian, więc papier już się od nich odklejał. Nie położyła też warstwy gruntującej pod farbą – ku wielkiej uldze Petera i Clary. Zaczęli pracę po lunchu i kontynuowali po małej przerwie na piwo i chipsy po południu. Wieczorem Peter zamontował parę reflektorów i pracowali dalej, z wyjątkiem Bena, który czuł, że coś jest nie tak z jego łokciem. Około siódmej wieczorem, umęczeni i brudni, Peter i Clara zdecydowali się zrobić przerwę na posiłek i dołączyli do Bena przy kominku. Ben przynajmniej ułożył drwa i rozpałił w nim; teraz zastali go ze stopami na podnóżku, sączącego czerwone wino i czytającego ostatni numer „The Guardian Weekly”, jaki Jane miała w domu. Przyszedł Gabri z sycuańskim jedzeniem na wynos. Usłyszał, że coś się dzieje i desperacko chciał zobaczyć co. Postanowił zrobić teatralne wejście.

Wpadł do pokoju w płaszczu i szaliku, zatrzymał się na samym środku i upewniwszy się, że publiczność skupia się na nim, rozejrzał się dookoła i oznajmił:

– Albo ta tapeta, albo ja!

Jego pełna uznania publika wydała okrzyk aprobaty i z radością przyjęła jedzenie. Pracowali do późna, poddając się wreszcie koło północy, zbyt już umęczeni, by mieć do siebie zaufanie, i obydwójce lekko przytruci oparami rozpuszczalnika. Ben poszedł do domu znacznie wcześniej.

Następnego ranka w świetle dnia zobaczyli, że odsłanili mniej niż pół metra kwadratowego na piętrze i ćwierć jednej ściany na dole. Wyglądało na to, że Gamache miał rację. Jane pokryła rysunkami każdy centymetr kwadratowy swego domu. A Yolande zakryła to wszystko.

Do południa odsłanili jeszcze trochę. Clara cofnęła się, by podziwiać dzieło Jane pod kilkoma kawałkami tapety, które zdarła. Widać ich już było dość, by praca stała się bardzo ekscytująca. W rysunkach Jane dało się dostrzec metodę i cel, ale co to za cel, nie było jeszcze wiadomo.

– Na miłość boską, Ben, tylko tyle zrobiłeś? – zniechęcona Clara nie mogła się opanować. Na górze Peter osłonił parę metrów, ale Ben niewiele, chociaż to, co zrobił, było fantastyczne. Kryształowo czyste i piękne. Jednak nie dość dużo. Jeśli mieli rozwikłać zagadkę morderstwa, musieli odsłonić wszystkie ściany. Szybko. Clara czuła, jak narasta w niej niepokój, i wiedziała, że ogarnia ją obsesja.

– Przepraszam – powiedzieli obydwójce jednocześnie, po czym Ben wstał i spojrzał na nią zawstydzony.

– Przepraszam, Claro. Jestem powolny, wiem o tym, ale się poprawię. Muszę nabrać wprawy.

– Nie szkodzi. – Objęła ramieniem jego szczupłą talię. – Czas na piwo. Robota nie ucieknie.

Ben rozpogodził się i otoczył ją ramieniem. Razem minęli Petera, pozwalając, by przyglądał się ich plecom, i samotnie poszedł na dół.

Do wieczoru znaczna część ścian salonu została odsłonią. Zadzwonili do Gamache'a, który przyszedł z piwem, pizzą i Beauvoirem.

– Odpowiedź jest tutaj – oświadczył Gamache, sięgając po kolejne piwo. Jedli naprzeciw kominka w salonie, a aromat trzech wielkich placków „ze wszystkim” z Pizza Pizza ledwie przykrywał zapach oleju mineralnego, którego używali do usuwania farby. – W tym pokoju, w tych rysunkach. Odpowiedź jest tutaj, czuję to. To zbyt wielki zbieg okoliczności, że Jane zaprosiła was tutaj tego samego dnia, gdy pokazano jej obraz, i została zamordowana zaledwie kilka godzin po tym, jak to zakomunikowała.

– Chcemy coś panu pokazać – powiedziała Clara, wstając i otrzepując dzinsy. – Odsłoniliśmy więcej ścian. Pójdziemy na górę?

Złapali po kawałku pizzy i ruszyli po schodach. W pokoju Petera było zbyt ciemno, żeby naprawdę docenić pracę Jane, ale dzieło Bena było inne. Chociaż maleńki, fragment, który odsłonił, był zdumiewający. W fantastycznych, odważnych kreskach ożywiali ludzie i zwierzęta. A w niektórych przypadkach ludzie jako zwierzęta.

– Czy to Nellie i Wayne? – Gamache patrzył na kawałek ściany. Na niej jak na dłoni widać było figurkę z patyczków – kobietę prowadzącą krowę. Patyczki były bardzo grube, a chuda, szczęśliwa krowa miała brodę.

– Cudowne – zamruczał Gamache.

Wrócili w ciemność na dole. Peter wyłączył przemysłowe reflektory, które zainstalował wcześniej w ciągu dnia, żeby mogli kontynuować pracę. Kolację jedli w świetle ognia i poświacie kilku stolikowych lamp. Ściany pozostawały w mroku. Teraz Peter przycisnął przełącznik i pokój załało światło.

Gamache mocno zacisnął powieki. Po chwili otworzył oczy.

To było jak przebywanie w jaskini, jednej z tych cudownych pieczar o ścianach pokrytych starożytnymi przedstawieniami i symbolami. Biegnące karibu, pływający ludzie. Gamache czytał o tym w „National Geographic”, a teraz czuł się, jakby przeniesiono go do jednej z nich, tutaj, w sercu Quebecu, w zamieszkaney, a nawet nieco zbyt okrzepłej wiekowej miejscowości. Jak z jaskiniowych malowideł, Gamache poznawał historię Three Pines i ludzi, których tu namalowano. Powoli, z rękami splecionymi na plecach, Gamache wędrował wzdłuż ścian. Od sufitu do podłogi pokrywały je sceny z miasteczka i ze wsi, szkolne klasy, dzieci, zwierzęta i dorośli – śpiewający, przy zabawie, przy pracy. Kilka scen przedstawiało wypadki, był też co najmniej jeden pogrzeb.

Nie czuł się już, jakby wędrował po jaskini. Otaczało go życie. Postąpił kilka kroków w tył i poczuł, jak w oczy kłują go łzy. Znowu zacisnął powieki, mając nadzieję, że inni pomyślą, że to ostre światło go razi. Czuł przemożny przypływ uczuć. Smutku i melancholii. I zachwytu. Radości. Jakby coś uniosło go ponad samego siebie. Coś, co wznosiło się ponad dosłowność. To był długi dom Jane. Jej własny dom stał się długim domem, w którym obecna była każda osoba, każde wydarzenie, każda rzecz, każde uczucie. Gamache wiedział też, że i morderca był tutaj. Namalowany gdzieś na ścianie.

* * *

Następnego dnia Clara zaniósła Yolande kopertę do domu. Przyciskając lśniący guzik z fałszywego mosiądzu i słuchając beethovenowskiej melodii dzwonnka, starała się być twarda. Tylko to jedno, dla Jane, tylko to jedno, dla Jane.

– Suka! – wrzasnęła Yolande, wściekła. Następnie wydobyła z siebie potok przekleństw i oskarżeń, zakończony obietnicą, że zaskarży Clarę za wszystko do ostatniego grosza.

Tylko to jedno, dla Jane, tylko to jedno, dla Jane.

– Jesteś cholerną złodziejką, *tête carrée*! Ten dom należy do mnie. Do mojej rodziny. Jak ty możesz spać po nocach, suko?!

Tylko to jedno.

Clara trzymała kopertę w uniesionej dłoni, aż Yolande zwróciła na nią uwagę – i jak dziecko, któremu pokazano coś nowego i błyszczącego, Yolande przestała wrzeszczeć i, zafascynowana, wpatrywała się w cienki, biały papier.

– Czy to dla mnie? To moje? To pismo ciotki Jane, nieprawdaż?

– Chciałam cię o coś zapytać. – Clara zamachała kopertą.

– Dawaj! – Yolande skoczyła naprzód, ale Clara cofnęła rękę z kopertą tak, że tamta nie mogła jej dosięgnąć.

– Dlaczego zakryłaś rysunki?

– Więc je znalazłaś – parsknęła Yolande. – Wstrętne, obłąkane bazgroły. Wszyscy uważali, że ona była taka cudowna, ale rodzina wiedziała, że to wariatka. Moi dziadkowie wiedzieli, że jest nienormalna od czasu, gdy zaczęła robić te ohydne rysunki jako nastolatka. Wstydzili się jej. Wszystkie jej prace wyglądały jak dzieło kogoś nienormalnego. Moja matka mówiła, że ciotka chciała iść na studia artystyczne, ale moi dziadkowie ukrócili te zapędy. Powiedzieli jej prawdę. Powiedzieli jej, że to nie jest sztuka. To był wstyd. Powiedzieli jej, że ma nigdy nikomu nie pokazywać tych swoich bohomazów. Powiedzieliśmy jej prawdę. To był nasz obowiązek. Nie chcieliśmy, by się jej stała krzywda, czyż nie? To było dla jej własnego dobra. A jak nam się odplaciła? Wyrzuciła nas z rodzinnego domu. Miała czelność mi powiedzieć, że pozwoli mi wrócić, jeśli ją przeproszę i powiem, że tego żałuję. Powiedziałam jej, że jedyne, czego żałuję, to że zdemolowała nasz dom. Stara wariatka.

Clara znowu zobaczyła Jane siedzącą w bistro, zapłakaną.

To były łyzy radości, że ktoś wreszcie zaakceptował jej sztukę. A Clara wiedziała już wtedy, ile to kosztowało Jane, by pokazać coś ze swoich prac.

– Ciebie też nabrała, co? Nie wiedziałaś, że twoja przyjaciółka to wariatka. No cóż, teraz wiesz, z czym musieliśmy się zmagać.

– Nie masz bladego pojęcia, co? Nie masz pojęcia, co odrzuciłaś? Jesteś bardzo, bardzo głupią kobietą, Yolande.

Jak zawsze w przypadku konfrontacji, umysł Clary nagle zgasł. Trzęsła się,

była na skraju wytrzymałości nerwowej. Za swój wybuch musiała teraz wysłuchiwać tyrady oskarżeń i gróźb. Co najdziwniejsze, wściekłość Yolande była tak nieatrakcyjna, że Clara poczuła, jak jej własny gniew opada.

– Dlaczego właśnie ta tapeta? – rzuciła pytanie w purpurową twarz Yolande.

– Ohydna, prawda? Wydawało się dobrym pomysłem pokryć jedno obrzydlistwo drugim. Poza tym była tania.

Drzwi zamknęły się z hukiem. Clara uświadomiła sobie, że wciąż trzyma w ręku kopertę, więc wsunęła ją pod drzwi. Zrobione. Tylko to jedno, dla Jane. Jak się okazało, nie było aż tak trudno postawić się Yolande. Przez lata w milczeniu przyjmowała wszystkie jej chytre, a czasem bezpośrednie ataki, a teraz odkryła, że może się odszczeknąć. Clara zastanawiała się, czy Jane wiedziała, że tak się stanie, kiedy adresowała tę kopertę. Czy domyślała się, że to Clara ją doręczy. Czy przypuszczała, że siostrzenica zareaguje tak, jak zawsze w obecności Clary. Czy wiedziała, że daje Clarze ostatnią szansę, by stawić czoło Yolande.

Oddalając się od idealnego, cichego domu, Clara dziękowała Jane.

Yolande zobaczyła kopertę. Rozerwała ją i znalazła w niej kartę do gry. Damę kier. Tę samą, którą ciotka Jane wykładała wieczorem na kuchennym stole, gdy siostrzenica przybywała w odwiedziny; ciotka obiecywała, że rano ta karta będzie inna. Że się zmieni.

Jeszcze raz zajrzała do koperty. Czy na pewno nie było w niej nic więcej? Jakiegoś spadku po ciotce? Czeku? Klucza do skrzynki depozytowej? Ale koperta była pusta. Yolande przyglądała się karcie, próbując sobie przypomnieć, czy to ta sama, z jej dzieciństwa. Czy wzory na sukni damy były takie same? Czy na twarzy miała jedno oko, czy dwoje oczu? Nie, stwierdziła Yolande. To nie była ta sama karta. Ktoś je podmienił. Znowu ją oszukano. W drodze po kubeł, żeby sprzątnąć na ganku w miejscu, gdzie stała Clara, wrzuciła damę kier do ognia.

Bezwartościowy śmieć.

– Yolande Fontaine i jej mąż, André Malenfant – powiedział Beauvoir, zapisując ich nazwiska maleńkimi drukowanymi literami na kartce papieru. Była ósma piętnaście we wtorek rano, prawie półtora tygodnia od morderstwa; detektywi przeglądali listę podejrzanych. Pierwszych dwoje było oczywistością.

– Kto jeszcze?

– Peter i Clara Morrow – odezwała się Nichol, podnosząc głowę znad bazgrołów w notatniku.

– Motyw? – zapytał Beauvoir, zapisując nazwiska.

– Pieniądze – wyjaśniła Lacoste. – Mają ich bardzo mało. A przynajmniej mieli. Teraz, oczywiście, są bogaci, ale przed śmiercią panny Neal praktycznie byli nędzarzami. Clara Morrow pochodzi z niezamożnej rodziny, więc jest przyzwyczajona do tego, by ostrożnie gospodarować pieniędzmi, ale on nie. Peter to chłopak z Golden Mile, tam się urodził i wychował. Najlepsze szkoły, Bał Świętego Andrzeja^[16]. Rozmawiałam z jedną z jego sióstr w Montrealu. Była bardzo wyważona w swoich wypowiedziach, jak tylko ci ludzie potrafią, ale jasne było, że rodziny nie zachwyił jego życiowy wybór. Winią za to Clarę. Chcieli, żeby Peter zajął się biznesem. Rodzina uważa, że ich rozczarował, a przynajmniej jego matka tak twierdzi. To naprawdę przykre, bo wedle standardów kanadyjskiego rynku sztuki Peter jest gwiazdą. W zeszłym roku sprzedał obrazy za dziesięć tysięcy dolarów, ale to i tak poniżej poziomu ubóstwa. Clara sprzedała za jakiś tysiąc dolarów. Żyją bardzo oszczędnie. Zarówno ich samochód, jak i dom wymagają generalnych napraw. Zimą ona uczy plastyki, co pozwala zapłacić rachunki; czasami też biorą zlecenia na renowację dzieł sztuki. Ledwie wiążą koniec z końcem.

– Czy jego matka jeszcze żyje? – zapytał Gamache, próbując przeprowadzić parę szybkich obliczeń.

– Ma dziewięćdziesiąt dwa lata – odparła Lacoste. – Zasuszona, ale ciągle żyje. Stara despotka. Prawdopodobnie przeżyje ich wszystkich. Rodzinna

legenda głosi, że gdy pewnego ranka zastała u swego boku w łóżku martwego męża, odwróciła się na drugi bok i spała dalej. Dlaczego miałyby sobie przeszkadzać?

– Tylko słowa pani Morrow wspierają tezę, że nie wiedzieli, co jest w testamencie – zauważył Beauvoir. – Panna Neal mogła im powiedzieć, że wszystko odziedziczą, *n'est-ce pas?*

– Jeśli potrzebowali pieniędzy, dlaczego nie poprosiliby panny Neal o pożyczkę zamiast ją mordować? – zapytał Gamache.

– Może to zrobili – podsunął Beauvoir – a ona odmówiła. Poza tym mieli najlepszą okazję, by zwabić ją do lasu. Jeśli Clara albo Peter zadzwoniliby do niej o wpół do siódmej rano i poprosili, by przyszła bez psa, zrobiłaby to. Bez żadnych pytań.

Gamache musiał się zgodzić.

– No i – Beauvoir płynął na tej samej fali – Peter Morrow jest znakomitym łucznikiem. Specjalizuje się w starych, drewnianych łukach refleksyjnych. Mówi, że tylko strzela do tarczy, ale kto to wie? Poza tym, jak już wiecie, jest dosyć łatwo zamienić tępy grot na jeden z tych śmiercionośnych. Mógł je zabrać z klubu łuczniczego, zabić ją, wyczyścić sprzęt i odnieść go na miejsce. Nawet jeśli znaleźlibyśmy jego odciski palców albo włókna, nic by to nie znaczyło. I tak cały czas używał tego sprzętu.

– Peter był w jury, które wybrało pracę Jane. – Lacoste zaczynała się skłaniać ku tej hipotezie. – Przypuśćmy, że był zazdrosny, dostrzegł jej potencjał i, nie wiem, odbiło mu, albo coś. – Tu się zawahała i przerwała. Nikt nie potrafił sobie wyobrazić Petera Morrowa jako kogoś, komu „coś odbiło”, ale Gamache wiedział, że ludzka psychika jest skomplikowana. Czasami ludzie reagowali na pewne rzeczy, nie wiedząc nawet dlaczego. A często ich reakcja bywała bardzo gwałtowna, zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie. Nie było wykluczone, że Peter Morrow, który przez całe życie zmagał się z własną sztuką i walczył o akceptację rodziny, dostrzegł geniusz w pracy Jane Neal i nie był w stanie sobie z tym poradzić. Pochłonęła go zazdrość. To było możliwe; nie prawdopodobne, ale zwyczajnie możliwe.

– Kto jeszcze? – zapytał Gamache.

– Ben Hadley – powiedziała Lacoste. – Też jest dobrym łucznikiem, ma

dostęp do broni. No i panna Neal mu ufała.

– Ale nie ma motywu – zaproponował Gamache.

– A przynajmniej nie mógł tego zrobić dla pieniędzy – przyznała Lacoste. – Jest wart miliony. Wszystko odziedziczył po matce. Przedtem miał wysokie kieszonkowe.

Nichol parsknęła. Nienawidziła tych dzieciaków z funduszami powierniczymi, które przez całe życie nic nie robiły poza czekaniem na to, aż mama czy tata umrze.

Beauvoir zdecydował się zignorować to parsknięcie.

– Czy mamy jakiś inny motyw poza finansowym? Lacoste, czy było coś w papierach, które znalazłaś w domu Jane Neal?

– Nic.

– Nie prowadziła dziennika?

– Jedynie ten, w którym spisała nazwiska osób, które chciały ją zabić...

– Cóż, mogła pani o tym wspomnieć. – Beauvoir się uśmiechnął. Gamache spojrział na listę podejrzanych. Yolande i André, Peter i Clara oraz Ben Hadley.

– Czy ktoś jeszcze? – Beauvoir zamykał notes.

– Ruth Zardo – rzucił Gamache. Wy tłumaczył swoje rozumowanie.

– Więc jej motywem – powiedziała Lacoste – byłoby powstrzymanie Jane przed zdradzeniem wszystkim, co zrobiła. Czy nie łatwiej byłoby po prostu zabić Timmer, by zamknąć jej usta?

– Owszem, tak, i to mi nie daje spokoju. Nie wiemy, czy Ruth Zardo nie zabiła Timmer Hadley.

– A Jane się dowiedziała? – zapytała Lacoste.

– Albo podejrzewała. Była, jak sędzę, typem osoby, która poszłaby prosto do Ruth i zapytała o swoje podejrzenia. Prawdopodobnie myślała, że Ruth zabiła ją z litości, jako przyjaciółka pragnąca uwolnić przyjaciółkę od bólu.

– Ale Ruth Zardo nie mogłaby wystrzelić z łuku – przypomniał Beauvoir.

– To prawda. Mogła jednak zwrócić się o pomoc do kogoś, kto mógł i kto byłby skłonny zrobić wszystko... za odpowiednią opłatą.

– Malenfant – powiedział Beauvoir z pewną ponurą satysfakcją.

Clara siedziała w pracowni z poranną kawą, gapiąc się na skrzynię. Wciąż tu była, chociaż teraz stała na czterech nogach, zrobionych z gałęzi. Z początku widziała ją na jednej nodze, jak pień drzewa. Jak ambona. Ten obraz objawił jej się w lesie podczas rytuału, gdy odwróciła się i zobaczyła myśliwską kryjówkę. To był taki idealny i stosowny obraz. Obraz czegoś ukrytego. Tego, jak ludzie używający tej kryjówki nie dostrzegają okrucieństwa własnych czynów ani piękna tego, co zamierzają zabić. To było najlepsze słowo na tę półkę na drzewie. Kryjówka. Tak właśnie Clara czuła się ostatnimi czasy. Morderca Jane był między nimi, to oczywiste. Ale kto? Czego nie dostrzegą?

Jednak pojedynczy pień nie wystarczał. Skrzynia wyglądała na chybotliwą, odstręczającą. Dodała więc pozostałe nogi. To, co było kryjówką, amboną, teraz wyglądało jak dom na wysokich szczydłach. Ale ciągle nie było gotowe. Bliżej. Ale nadal było coś, co musiała dostrzec. Jak zawsze, gdy napotykała problem, Clara próbowała oczyścić umysł i pozwolić, by rozwiązanie samo do niej przyszło.

Beauvoir i agentka Lacoste przeprowadzali rewizję w domu Malenfantów. Lacoste była przygotowana na brud, na smród tak gęsty, że niemal nic przez niego nie widać. Ale sytuacja ją zaskoczyła. Stała w sypialni Bernarda, walcząc z mdłościami. Pokój był idealny, ani jednej brudnej skarpetki, ani jednego talerza z zaschniętym jedzeniem. Jej własne dzieci nie miały jeszcze pięciu lat, a ich pokoje już wyglądały i pachniały jak plaża przy niskim przypływie. A ten dzieciak miał... Ile? Czternaście lat? Jego sypialnia pachniała cytrynowym płynem Pledge. Lacoste czuła, że chce jej się wymiotować. Założyła rękawiczki i zaczęła przeszukiwanie, zastanawiając się, czy chłopak nie sypia czasem w trumnie w piwnicy.

Dziesięć minut później znalazła coś, choć nie to, czego się spodziewała. Wyszła z pokoju Bernarda i przeszła do salonu, upewniając się, że chłopak ją zauważy. Zwijając dokument, dyskretnie włożyła go do torby na materiał dowodowy. Nie tak dyskretnie jednak, by Bernard tego nie widział. To był pierwszy raz, gdy dostrzegła na jego twarzy strach.

– Spójrzcie tylko, co znalazłem. – Beauvoir wyszedł z drugiej sypialni z dużą papierową kopertą w ręku. – Tak się dziwnie składa – powiedział do skwaszonej jak cytryna Yolande i André z cwaniakowatą miną – że to było

przyklejone na odwrocie obrazu w waszej sypialni.

Beauvoir otworzył folder i przewertował jego zawartość. To były szkice, robocze szkice Jane Neal z jarmarków w miasteczku, sięgające aż do 1943 roku.

– Dlaczego je zabraliście?

– Zabraliście? A kto mówi, że zabraliśmy? Ciotka Jane nam je dała – odparła Yolande swoim najbardziej przekonującym tonem agentki nieruchomości, brzmiącym jak: „Dach jest prawie nowy”.

Beauvoir nie kupił tego.

– I przykleiliście je na odwrocie plakatu z latarnią morską?

– Powiedziała nam, żeby nie wystawiać ich na światło – wyjaśniła Yolande tonem, jakim mówiłaby: „Rury nie są z ołowiu”.

– Dlaczego ich po prostu nie zalepiliście tapetą?

Na to André zachichotał chrapliwie, ale Yolande zaraz go uciszyła.

– No dobra, zabieramy ich – zdecydował Beauvoir. Zbliżała się pora lunchu i tęsknił za kanapką i piwem.

– A chłopak? – zapytała Lacoste, podejmując temat.

– Jest nieletni, nie może tu zostać bez opieki rodziców. Proszę zadzwonić do kuratora.

– Nie. – Yolande chwyciła Bernarda i próbowała otoczyć go ramionami. Nie chciała puścić. Sam Bernard nie sprawiał wrażenia specjalnie zdenerwowanego perspektywą wylądowania w rodzinie zastępczej. André wyglądał, jakby wydawało mu się to dobrym pomysłem. Yolande była na skraju apopleksji.

– Albo – powiedział Beauvoir swoim najlepszym tonem w stylu: „Lepiej niech pani złoży ofertę, zanim właściciel się rozmyśli” – możecie nam od razu wyjawić prawdę. Podniósł kopertę. Po części miał wyrzuty sumienia, że używa Bernarda jako przynęty, ale pomyślał, że lepiej mieć to już za sobą.

Wyszło szydło z worka. Yolande znalazła folder na stoliku kawowym w domu ciotki Jane. Na samym środku. Opisywała to tak, jakby znalazła magazyn dla fetyszystów. Miała zamiar wrzucić szkice w ogień, ale – z szacunku i miłości dla ciotki Jane – postanowiła je zatrzymać.

– Dlaczego je zabraliście? – powtórzył Beauvoir, podchodząc w kierunku drzwi.

– Okej, okej. Myślałam, że może coś są warte.

– Myślałem, że nie podobała się pani sztuka pani ciotki.

– Nie jako sztuka, dupku – odparł André. – Myślałem, że mogę sprzedać jej przyjaciółom, może Benowi Hadleyowi.

– Dlaczego miałyby je kupić?

– Cóż, ma masę pieniędzy, może gdybym zagroził, że je spalę, chciałby je uratować.

– Ale dlaczego zabraliście je z jej domu? Dlaczego ich tam nie zostawiliście?

– Bo budzą moje obrzydzenie. – Tu Yolande przeszła metamorfozę. Cały makijaż świata – a pewnie miała na sobie jego znaczną większość – nie był w stanie ukryć obrzydliwości osoby, którą pokrywał. W jednej chwili stała się zgorzkniałą kobietą w średnim wieku, powykręcaną i groteskową jak metalowa rzeźba. Cała z rdzy i ostrych krawędzi. Nawet Bernard odsunął się od niej. – Musiałam je trzymać tam, gdzie, jak wiedziałam, nikt ich nie zobaczy.

Beauvoir wypisał pokwitowanie za folder na kawałku papieru i wręczył je Yolande, która ujęła je w swą wymanikiowaną dłoń takim gestem, jakby dawał jej kawałek papieru toaletowego.

Clara poddała się i przestała czekać, aż domek na drzewie do niej przemówi; poszła do domu Jane, żeby dalej pracować. Zaczęła postrzegać pracę Jane jako arcydzieło. Jeden gigantyczny fresk, jak Kaplica Sykstyńska albo *Ostatnia Wieczerza* Leonarda da Vinci. Bez wahania robiła takie porównania. Jane uchwyciła te same elementy co tamte arcydzieła. Zachwyty. Tworzenie. Zadziwienie. Żal. A nawet, w przypadku Jane, drwał.

Gdyby Ben próbował pracować wolniej, pewnie nie byłby w stanie. Jednak, jak Clara starała się sobie przypomnieć, to nie miało znaczenia. Prędzej czy później odsłonią wszystko.

– O, mój Boże, to katastrofa. – Głos Ruth zadźwięczał głośno i wyraźnie. Clara wyszła z piwnicy z kubelkiem. Ruth i Gamache stali pośrodku salonu; z pewnym rozczarowaniem Clara zauważyła, że także Ben był tutaj, usadowiony za biurkiem.

– Czy to wy zrobiliście? – chciała wiedzieć Ruth.

– Pomogłem je odsłonić. To Jane je narysowała.

– Nie przypuszczałam nigdy, że to powiem, ale podzielałam zdanie Yolande. Przykryjcie je.

– Chcę ci coś pokazać. – Clara ujęła Ruth za łokieć i podprowadziła pod odległą ścianę. – Spójrz.

Rysunek był jasno rozpoznawalny: Ruth jako dziecko, trzymająca za rękę swoją matkę, w budynku szkoły. Mała Ruth była wysoka i niezgrabna, ze szkolnymi podręcznikami zamiast stóp. Encyklopedyczne stopy. W jej włosach tańczyły koniki. Co mogło oznaczać dwie rzeczy.

– Miałam kucyki jako dziecko – powiedziała Ruth, najwyraźniej czytając w jej myślach. Choć Clara uważała, że Jane chciała przekazać, że nawet jako dziecko Ruth była uparta jak osioł. Inne dzieci się śmiały, ale jedno podchodziło, by ją objąć. Ruth stała jak zaczarowana przed ścianą Jane.

*Jenny, gdym spotkał ją pierwszy raz
Powstała, by pocałować mnie;
Czasie, złodzieju słodkich chwil, co masz
Listę ich wszystkich, dodaj i tę!
Niech będzie: smutnym, sił mi brak
Minęły zdrowie mnie i chwała
Starzeję się – lecz zaznacz fakt
Że Jenny mnie pocałowała*

– wyrecytowała szeptem Ruth, a cichy pokój słuchał. – *Rondeau* Leigh Hunta. Jedyny cudzy wiersz, który chciałabym napisać. Nie myślałam, że Jane to pamięta, nie myślałam, że to coś dla niej znaczyło. To był mój pierwszy dzień tutaj, gdy ojciec dostał pracę w młynie. Miałam osiem lat, byłam nowa, wysoka i brzydka, jak tutaj widzicie, i nawet wtedy nieszczerze miła. Kiedy jednak przyszedłam do szkoły, przerażona, Jane przeszła przez cały korytarz i pocałowała mnie. Nawet nie wiedziała, kim jestem, ale to nie miało znaczenia. Jane pocałowała mnie, gdy się poznałyśmy.

Jasnoniebieskie oczy Ruth zamglily się; wzięła oddech i długo rozglądała się po pokoju. Potem powoli potrząsnęła głową i wyszeptała:

– To nadzwyczajne. Och, Jane, tak mi przykro.

– Dlaczego przykro? – zapytał Gamache.

– Przykro mi, że nie wiedziała, że kochamy ją tak bardzo. Przykro, że czuła, że musi to przed nami ukrywać. – Ruth roześmiała się pozbawionym wesołości śmiechem. – Myślałam, że to ja jedna żyję z raną. Ależ jestem głupia.

– Myślę, że klucz do zagadki morderstwa Jane jest tutaj – oznajmił Gamache, przyglądając się, jak stara kobieta kuśtyka przez pokój. – Myślę, że zabito ją, ponieważ miała zamiar wszystkim to pokazać. Nie wiem dokładnie czemu, ale proszę, oto jest. Znaliście ją całe życie, chciałbym, byście mi wytłumaczyli, co tutaj widzicie. Co wam się rzuca w oczy, jakie motywy widzicie, czego nie widzicie...

– Na początek, nie widzimy większości tego, co jest na piętrze – powiedziała Clara i zauważyła, jak Ben się skrzywił.

– Cóż, spędźcie tu tyle czasu, ile tylko możecie.

– No nie wiem – odrzekła Ruth. – Miałam wystąpić przed Zgromadzeniem Narodów Zjednoczonych, a ty, Claro, czy nie odbierasz Nagrody Nobla?

– Owszem, w kategorii sztuk pięknych.

– Odwołałem obydwie uroczystości – oświadczył Gamache, myśląc, że mała Ruthie Zardo miała zły wpływ na Clarę. Uśmiechnęli się oboje i skinęli głowami. Ben i Clara wrócili na górę, a Ruth przesuwiała się powoli wzdłuż ścian, przyglądając się obrazom, od czasu do czasu pohukując, gdy coś wydało się jej wyjątkowo trafione. Gamache siedział w wielkim, skórzanym fotelu przy ogniu i pozwalał, by napłynęła do niego atmosfera pokoju.

Później tego dnia Suzanne odebrała Matthew od siostry w Cowansville, gdzie zatrzymał się do czasu, aż biuro kuratora okręgowego zakończy dochodzenie. Mimo że Philippe odwołał oskarżenia o maltretowanie, biuro miało obowiązek przeprowadzić śledztwo. Nic nie znaleźli. W głębi serca Matthew był rozczarowany. Oczywiście nie z powodu tego, że go uniewinniono. Jednak po tylu złych zdarzeniach miał nadzieję, że ogłoszą publicznie, że tak naprawdę cudowny z niego ojciec. Dobry, pełen współczucia, stabilny rodzic. Kochający ojciec.

Dawno już wybaczył Philippe'owi, nie chciał nawet wiedzieć, dlaczego syn to zrobił. Teraz jednak, stojąc w kuchni – która była sceną tyłu przyjęć urodzinowych, pełnych ekscytacji poranków Bożego Narodzenia, pieczenia

pianek cukrowych i jedzenia kokosowych ciasteczek – wiedział, że życie nigdy nie będzie już takie samo jak dotychczas. Zbyt wiele zostało powiedziane, zbyt wiele się stało. Wiedział także, że tak naprawdę przy pewnym nakładzie pracy wszystko mogło się poprawić. Pozostawało pytanie, czy Philippe był skłonny nad tym popracować? Półtora tygodnia wcześniej, w gniewie, czekał, aż syn przyjdzie do niego. To był błąd. Teraz to on przyjdzie do syna.

– Taa? – rozległa się chłodna odpowiedź na jego pełne wahania pukanie.

– Mogę wejść? Chciałbym z tobą porozmawiać. Nie będę krzyczeć. Żeby oczyścić atmosferę. Okej?

– A co mi tam.

– Philippe. – Matthew usiadł na krześle przy biurku i zwrócił twarz w stronę chłopaka leżącego na rozgrzebanym łóżku. – Zrobiłem coś, co sprawiło ci ból. Mój problem w tym, że nie wiem, co to było. Zachodziłem w głowę. Czy to przez piwnicę? Czy jesteś zły, że musisz ją sprzątać?

– Nie.

– Czy nakrzyczałem na ciebie albo powiedziałem coś, co zraniło twoje uczucia? Jeśli tak, powiedz mi, proszę. Nie będę się złościć. Muszę tylko wiedzieć, a wtedy możemy o tym porozmawiać.

– Nie.

– Nie jestem zły za to, co zrobiłeś. Nigdy nie byłem. Było mi przykro i nie wiedziałem, co robić. Ale nie byłem zły na ciebie. Kocham cię. Możesz ze mną porozmawiać? Cokolwiek to jest, możesz mi powiedzieć.

Matthew popatrzył na syna i po raz pierwszy od prawie roku zobaczył wrażliwego, rozumnego, dobrego chłopca. Philippe popatrzył na ojca i zatęsknił za tym, by móc mu powiedzieć. I prawie to zrobił. Prawie. Stał nad urwiskiem, z palcami stóp na samej krawędzi, i spojrzał w przepaść. Ojciec zapraszał go, by zrobił krok naprzód, ufając, że wszystko będzie dobrze, że go złapie, nie pozwoli, by spadł. I trzeba przyznać, że chłopak rozważał taką możliwość. Tęsknił za tym, by zamknąć oczy, zrobić ten krok i wpaść w ramiona ojca. Ale ostatecznie nie mógł tego zrobić. Odwrócił się twarzą do ściany, założył z powrotem słuchawki na uszy, schował się w sobie. Matthew opuścił głowę i spojrzał na swoje stare, brudne buty robocze; z porażającą dokładnością zauważył błoto i liście, które do nich przyłgnęły.

Gamache siedział w bistro Oliviera, przy kominku, czekając, aż go obsłużą. Właśnie przyszedł, a ludzie, którzy zajmowali jego ulubione miejsce, przed chwilą wyszli; zostawiony przez nich napiwek wciąż leżał na stoliku. Gamache poczuł nagły impuls, by zgarnąć pieniądze dla siebie. Jeszcze jedno drobne dziwactwo z długiego domu.

– Hej, mogę się przysiąść?

Gamache wstał i lekko skłonił się Myrnie, po czym wskazał na sofę stojącą przodem do kominka.

– Proszę.

– Niesamowicie ekscytujące – powiedziała Myrna. – Słyszałam, że dom Jane jest fantastyczny.

– Nie widziała go pani jeszcze?

– Nie, chciałam poczekać do czwartku.

– Do czwartku? A co się dzieje w czwartek?

– Clara pana nie zaprosiła?

– Czy to zrani moje uczucia? Funkcjonariusze wydziału zabójstw Sûreté słyną z delikatności uczuć. Co się dzieje w czwartek?

– Czwartek? Czy pan też idzie? – Gabri stanął przy nich ubrany w fartuszek, najwyraźniej naśladując Julię Child.

– Jeszcze nie.

– Och, no nic to. Słyszałem, że huragan Kyla ma wylądować na Florydzie. Mówili na kanale meteorologicznym.

– Też to widziałam – potwierdziła Myrna. – Kiedy ma dotrzeć tutaj?

– Och, za parę dni. Rzecz jasna do czasu, gdy dotrze do Quebecu, będzie tylko burzą tropikalną, czy jak tam to nazywają. To może być niezła burza. – Wyrzwał przez okno, jak gdyby oczekiwał, że nawałnica będzie już wisieć nad pobliskimi górami. Wyglądał na zmartwionego. Z burzami zawsze jest problem.

Gamache bawił się metką zwisającą ze stolika kawowego.

– Olivier wiesza metki na wszystkim – wyznał Gabri – łącznie z naszą prywatną toaletą, jakbyście byli ciekawi. Szczęśliwie ja mam dość elegancji i dobrego smaku, by przewyciężyć tę jedyną wadę Oliviera. Zdaje się, że to

nazywa się chciwość. Ale czy mogę zaproponować państwu kieliszek wina? A może żyrandol?

Myrna zamówiła wino, a Gamache poprosił o szkocką.

– Clara organizuje przyjęcie dla Jane w czwartek, tak jak życzyła sobie Jane – wyjaśniła Myrna, gdy przyniesiono drinki. Pojawiła się też para lukrecjowych fajeczek. – Po wernisażu w Art Williamsburg. Ale jeśli Clara zapyta, musi pan powiedzieć, że wymusił na mnie tę informację torturami.

– Czy chce pani, żeby znowu mnie zawiesili? Sûreté torturująca czarnoskórą kobietę?

– Myślałam, że za takie rzeczy dają u was awans?

Gamache uchwycił spojrzenie Myrny i nie spuścił wzroku. Żadne z nich się nie uśmiechnęło. Oboje wiedzieli, że jest w tym prawda. Nadinspektor zastanawiał się, czy Myrna była świadoma jego szczególnej roli w sprawie Arnot oraz czy wiedziała, jaką cenę za to zapłacił. Przypuszczał, że nie. Sûreté była bardzo dobra w odkrywaniu sekretów innych ludzi i ukrywaniu własnych.

– Ach – wyraziła zachwyt Clara, zajmując miejsce w wielkim fotelu po drugiej stronie kominka. – Przyjemnie tu. Dobrze uciec od smrodu olejów mineralnych. Zaraz idę do domu przygotowywać kolację.

– Chyba nie bardzo ci tu było po drodze – powiedziała Myrna. – My, artystyczne dusze, rzadko idziemy prostą drogą. No chyba, że jest się Peterem. On zaczyna w punkcie A, maluje, maluje i dociera do punktu B. Bez żadnego wahania. To dość, by człowiek zaczął zaglądać do kieliszka. – Zamachała do Gabriego i zamówiła piwo i orzeszki.

– Jak idzie z restauracją wewnątrz? – zapytał Gamache.

– Myślę, że nieźle. Zostawiłam na miejscu Ruth i Bena. Ruth odkryła barek Jane i pisze wiersze, gapiąc się na ściany. Bóg jeden wie, co robi Ben. Prawdopodobnie nakłada farbę. Przysięgam wam, że wygląda, jakby się cofał w tej pracy. Mimo to miło, że jest, a to, co w końcu zrobił, jest fantastyczne, genialne.

– Peter już nie pomaga? – zapytała Myrna.

– Jasne, pomaga, ale pracujemy na zmianę. To znaczy, on pracuje na zmiany. Ja spędzam tam większość dnia. To niemal uzależniające. Nie zrozumcie mnie źle: Peter jest zachwycony dziełami Jane, ale musi pracować nad własnymi.

Pojawił się Gabri z piwem.

– Należy się sto tysięcy dolarów.

– Cóż, możesz pożegnać się czule z napiwkami.

– Gdybym mógł być czuły dla napiwków, nie potrzebowałbym Oliviera.

– Rozmawiamy o czwartku – poinformował Gamache. – Słyszę, że ma być przyjęcie.

– Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko? Chciałam, żeby się odbyło tak, jak Jane sobie życzyła.

– Mam nadzieję, że huragan nie pokrzyżuje tych planów – powiedział Gabri, zadowolony, że znalazł sposobność, by uderzyć w melodramatyczną nutę.

Gamache żałował, że nie pomyślał o tym. Wiedział, że Clara robi to w hołdzie dla przyjaciółki, ale przyjęcie mogło mieć inny praktyczny cel. Mogło zaniepokoić mordercę.

– Nie mam nic przeciwko, o ile zostanę zaproszony.

Isabelle Lacoste podniosła wzrok znad komputera, na którym spisywała raporty z rewizji w domu Fontaine i Malenfant oraz z wizyty u lekarza Timmer. Lekarz przyniósł swój komputer z dokumentacją medyczną Timmer i w końcu, z najwyższą ostrożnością, przyznał, że istniała możliwość, że ktoś pomógł jej przenieść się w zaświaty.

– Morfiną. To jedyny sposób. Na tym etapie naprawdę niewiele by trzeba, już dostawała morfinę, nieco więcej byłoby za dużo.

– Nie sprawdził pan?

– Nie widziałem potrzeby. – Tu lekarz znowu się zawahał. Lacoste była na tyle dobrym detektywem, by czekać. I czekać. W końcu lekarz znowu przemówił. – W takich wypadkach jak ten to się często zdarza. Ktoś z przyjaciół, a najczęściej z członków rodziny, podaje choremu śmiertelną dawkę. Z litości. To się zdarza częściej, niż wiemy lub chcemy wiedzieć. Istnieje pewien rodzaj niepisanej umowy, że w nieuleczalnych wypadkach pod sam koniec życia nie przyglądamy się temu zbyt dokładnie.

Prywatnie Lacoste czuła pewne współczucie i nawet myślała, że to pewnie lepiej, ale teraz była na służbie, a sprawa, o której mówili, nie miała nic wspólnego z miłosierdziem.

– Czy jest jakiś sposób, by to teraz sprawdzić?

– Ciało zostało poddane kremacji. Tak jak zmarła sobie życzyła. – Lekarz zamknął komputer.

Teraz, dwie godziny później, o wpół do siódmej, Lacoste wyłączyła swój. Było już całkiem ciemno na dworze. Przed powrotem do domu musiała porozmawiać z Gamache'em o tym, co znalazła w pokoju Bernarda. Noc była zimna, więc zanim wyruszyła drogą przez most, spinający brzegi rzeki Bella Bella, i dalej ku centrum Three Pines, zapięła płaszcz pod szyję.

– Oddaj mi to!

– *Bonjour*, Bernard. – Jeszcze zanim go zobaczyła, rozpoznała ten burkliwy głos.

– Dawaj! – Bernard Malenfant napierał na nią.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć?

– Pierdol się. Dawaj, no już. – Podniósł pięści do jej twarzy, ale nie uderzył.

Isabelle Lacoste stała w życiu oko w oko z seryjnymi mordercami, snajperami i mężami pijakami maltretującymi żony, więc nie miała złudzeń. Wściekły, pozbawiony kontroli czternastolatek mógł być tak samo niebezpieczny jak każdy z tych typów.

– Zabierz tę pięść. Nie dam ci tego, więc nawet nie próbuj mnie straszyć.

Bernard chwycił jej torebkę, próbując ją wyrwać, ale Lacoste spodziewała się tego. Nauczyła się, że większość chłopców, a nawet niektórzy niezbyt rozgarnięci mężczyźni, nie doceniają kobiet. Lacoste była silna, pełna determinacji i mądra. Nie dała się zbić z pantałyku i wykręciła mu torebkę z ręki.

– Suka! To nawet nie należy do mnie. Naprawdę myślisz, że trzymałbym takie gówno?! – Ostatnie słowo chłopak wykrzyczał jej prosto w twarz, aż poczuła plwocinę na podbródku i jego nieświeży, gorący oddech.

– W takim razie czyje to jest? – zapytała, nie podnosząc głosu, starając się zapanować nad odruchem wymiotnym.

Bernard obrzucił ją pełnym złości, chytrym spojrzeniem.

– Żartujesz chyba. Nie powiem.

– Hej, wszystko w porządku?! – Od strony mostu szła szybkim krokiem

w ich kierunku kobieta z psem.

Bernard odwrócił się i zobaczył ją. Poderwał rower z ziemi i odjechał; zniosło go tak, że prawie najechał na psa, ale udało mu się z nim nie zderzyć.

– Wszystko w porządku? – powtórzyła kobieta, wyciągając rękę i dotykając ramienia Isabelle. Lacoste rozpoznała ją: to była Hanna Parra.

– Czy to młody Malenfant?

– Tak. Zamieniliśmy parę słów. Nic mi nie jest, ale dziękuję, że przyszła pani sprawdzić. – To było szczere. W Montrealu coś takiego by się nie zdarzyło.

– Nie ma za co.

Przeszły razem na drugą stronę Bella Bella do Three Pines i machając sobie na pożegnanie, rozstały się pod bistro.

Pierwsze, co Lacoste zrobiła po dotarciu w pogodne światło i ciepło bistro, to poszła do łazienki, by umyć twarz pachnącym mydłem i czystą wodą. Umywszy się, zamówiła wermut Martini & Rossi i uchwyciła spojrzenie nadinspektora. Skinął ku niej, wskazując mały, odsunięty na bok stół. Mając przed sobą wermut, miseczkę orzeszków i szefa, Lacoste się odprężyła. Opowiedziała nadinspektorowi o rewizji w pokoju Bernarda i, wciąż mówiąc, wręczyła mu to, co tam znalazła.

– No proszę. – Gamache oglądał znalezisko. – Proszę posłać do zdjęcia odcisków palców. Bernard twierdzi, że to nie jego? Powiedział czyje?

Lacoste potrząsnęła głową.

– Wierzy pani, że to nie jego?

– Nie wiem. Nie mam ochoty mu wierzyć, ale instynkt mi mówi, że Bernard mówił prawdę.

Tylko przy Gamache’u mogła mówić o swoich uczuciach, intuicji i instynkcie, nie obawiając się krytyki. Nadinspektor skinął głową i zaproponował, by zjadła kolację przed wyjazdem do Montrealu, ale odmówiła. Chciała zobaczyć swoją rodzinę, zanim wszyscy pójdą spać.

Gamache’a zbudziło łomotanie do drzwi. Budzik przy łóżku wskazywał drugą czterdzieści siedem. Zakładając szlafrok, otworzył drzwi. Stała w nich Yvette Nichol w nieprawdopodobnie puchatym biało-różowym wdzianku.

Nie mogła zasnąć i przewracała się z boku na bok w łóżku, aż w końcu

skuliła się na jednym jego brzegu, gapiąc się w ścianę. Jak do tego doszło? Miała kłopoty. Coś poszło nie tak. Zdaje się, że zawsze coś szło nie tak. Ale dlaczego? Tak bardzo się starała.

Teraz, na progu ledwo świtającego nowego dnia, usłyszała od dawna znajomy głos, który rzekł do niej: „To dlatego, że jednak jesteś wujem Saulem. Durny wuj Saul. Tak na ciebie liczyli, ta twoja rodzina, a ty znów wszystko spierdoliłaś. Wstyd!”.

Nichol poczuła, jak gula w jej piersi twardnieje i przewróciła się na drugi bok. Wyglądając przez okno, zauważyła włączone światło po drugiej stronie skweru. Zerwała się z łóżka, narzuciła szlafrok i pobiegła na górę do pokoju Gamache’a.

– Światło się pali – oznajmiła bez żadnego wstępu.

– Gdzie?

– Po drugiej stronie, w domu Jane Neal. Zapaliło się parę minut temu.

– Proszę zawołać inspektora Beauvoira. Niech się z nami spotka na dole.

– Tak jest.

I wyszła. Pięć minut później Gamache spotkał się na dole z rozczochranym Beauvoirem. Wychodząc, usłyszeli hałas i zobaczyli, jak Nichol schodzi po schodach.

– Proszę tu zostać – zarządził Gamache.

– Nie, sir. To moje światełko. – Gdyby powiedziała „żółta kładka wykałaczką”, pewnie miałyby to dla Gamache’a i Beauvoira więcej sensu.

– Proszę tu zostać. To rozkaz. Jeśli usłyszysz pani strzały, proszę zadzwonić po pomoc.

Gdy obydwaj spiesznym krokiem przemierzali skwerek w kierunku domu Jane Neal, Gamache’owi przyszło do głowy zapytać:

– Wziął pan broń?

– Nie. A pan?

– Nie. Ale musi pan wiedzieć, że Nichol miała przy sobie swoją. No cóż...

Widzieli dwa światła: jedno na piętrze domu, drugie w salonie. Gamache i Beauvoir robili to setki razy, więc znali procedurę. Gamache zawsze wchodził pierwszy, Beauvoir tuż za nim, gotów odepchnąć szefa, jeśli znalazłby się na

linii ognia.

Gamache bezgłośnie wszedł do przedpokoju i wspinał się po dwóch schodkach do kuchni. Na paluszkach wszedł do salonu i nasłuchiwał. Słyszał głosy. Męski i damski. Nie rozpoznał ich, nie rozumiał, co mówią. Dał znak Beauvoirowi, wziął wdech i gwałtownym ruchem otworzył drzwi.

Ben i Clara stali osłupiali na środku pomieszczenia. Gamache czuł się, jakby wpadł do jednej z komedii buduarowych Noëla Cowarda; jedyne, czego brakowało do pełnego obrazka, to jedwabnego szala na szyi Bena i kieliszka martini w jego dłoni. Clara natomiast wyglądała bardziej cyrkowo. Ubrana była w jednoczęściowe, jasnoczerwone wdzianko z flaneli, zakrywające też stopy, pewnie z klapką na plecach.

– Poddajemy się – oznajmiła Clara.

– My też – odparł Beauvoir, z rozbawieniem przyglądając się jej ubraniu. Francuskojęzyczna kobieta za skarby świata nie włożyłaby czegoś takiego.

– Co tu robicie? – Gamache od razu przeszedł do rzeczy. Była trzecia nad ranem i przygotował się już na jakieś nieprzyjemności. Chciał wrócić do łóżka.

– O to samo zapytałam Bena. Nie sypiam najlepiej od czasu, gdy Jane zmarła, więc wstałam, żeby pójść do łazienki i zobaczyłam światło. Przyszłam sprawdzić, co się dzieje.

– Sama?

– Cóż, nie chciałam niepokoić Petera, a poza tym to dom Jane – powiedziała Clara, jakby to wszystko wyjaśniało. Gamache chyba rozumiał. Clara uważała, że to bezpieczne miejsce. Będzie musiał się z nią rozmówić.

– Panie Hadley, co pan tutaj robił?

Ben wyglądał teraz na bardzo zawstydzonego.

– Nastawiłem budzik, żeby tu przyjść. Chciałem, cóż, pójść na górę, znaczy się...

To było tak głęboko pozbawione jakiegokolwiek informacji i tak nudne, że Beauvoir pomyślał, że zaraz zaśnie na stojąco.

– Proszę mówić dalej – zachęcił Gamache.

– Znaczy, żeby dalej pracować. Nad ścianami. Powiedział pan wczoraj, że to takie ważne, żeby odsłonić wszystko, więc... No i oczywiście Clara.

– Słucham pana. – Kątem oka Gamache zobaczył, jak Beauvoir chwieje się na nogach.

– Ukrywałaś to, ale wiem, że traciłaś już do mnie cierpliwość – zwrócił się Ben do Clary. – Nie pracuję zbyt szybko. Chyba niczego nie robię szybko. No więc chciałem cię zaskoczyć i zrobić trochę dzisiaj w nocy. To był głupi pomysł.

– Myślę, że to piękny pomysł. – Clara podeszła do Bena, aby go uścisnąć. – Ale wiesz, w ten sposób się zmęczysz, a jutro znowu będziesz pracował powoli.

– Nie pomyślałem o tym – przyznał Ben. – Ale czy nie mielibyście nic przeciwko, jeśli popracuję przez parę godzin?

– Ja nie mam nic przeciwko – zapewnił Gamache. – Ale następnym razem proszę nas uprzedzić.

– Czy zostać i pomóc ci? – zaoferowała się Clara. Ben zawahał się i już, już miał coś powiedzieć, ale tylko potrząsnął głową. Wychodząc, Gamache odwrócił się i spojrzał na Bena, stojącego samotnie pośrodku salonu. Wyglądał jak mały, zagubiony chłopiec.

Był czwartek, a frekwencja na wernisażu Arts Williamsburg była wszelkie rekordy. Ostatnie podmuchy huraganu Kyla miały dotrzeć do miasteczka późnym wieczorem i oczekiwanie na nie potęgowało ekscytację, towarzysząc temu kulturalnemu wydarzeniu. Zupełnie jak gdyby pojawienie się na nim oznaczało decyzję o wzięciu się za bary z własnym losem i odzwierciedlało siłę charakteru i odwagi – co w gruncie rzeczy dotyczyło większości wystaw Arts Williamsburg.

W przeszłości na otwarciach pojawiali się jedynie sami artyści w gronie paru zabiedzonych przyjaciół, którzy pokrzepiali się winem z kartonu i serem, wyprodukowanym przez kozę, należącą do jednego z członków zarządu. Tego wieczoru gęsty ludzki węzeł otaczał pracę Jane, umieszczoną na zakrytej płótnem sztaludze pośrodku pomieszczenia. Prace pozostałych artystów rozmieszczono wzdłuż białych ścian; sami artyści stanęli tam, gdzie ich dzieła. Mieli niezmiernego pecha, ponieważ zostali zaproszeni na wystawę, na której ich prace najwyraźniej zostały przyćmione przez obraz autorstwa nieżyjącej kobiety. Kilku zapewne zgodziłoby się, że większego pecha miała osoba, która nie żyła. Tak czy owak, życie artysty naprawdę było niesprawiedliwe.

Gamache czekał na odsłonięcie *Dnia jarmarku*. Zarząd Arts Williamsburg zdecydował, by zrobić z tego „wydarzenie”, więc zaproszono media, co oznaczało „Williamsburg County News”, a teraz przewodnicząca jury czekała na *le moment juste*. Gamache spojrzał z zazdrością na Jean Guy, rozciągniętego na jednym z wygodnych krzeseł i zdecydowanego nie ustąpić go starszemu panu. Beauvoir był wykończony. Kiepska sztuka tak na niego działała. Szczerze mówiąc, musiał przyznać, że każda sztuka tak na niego działała. Marne wino, śmierdzący ser i niespecjalnie pachnące dzieła sztuki wysysały z niego całą energię. Rozejrzał się i doszedł do smutnego wniosku, że budynek nie zawali się, gdy później tego wieczoru Kyla wreszcie wyląduje nad miastem.

– Jak państwo wiedzą, tragiczny wypadek odebrał nam wspaniałą kobietę

oraz, jak się okazuje, utalentowaną artystkę – mówiła Elise Jacob, przewodnicząca jury.

Clara usadowiła się pomiędzy Benem a Peterem. Elise mówiła, mówiła i mówiła o zaletach Jane. Praktycznie ogłosiła ją świętą. Potem, gdy Clarze oczy już niemal wychodziły z orbit, powiedziała wreszcie: „A teraz, bez dalszych ceregieli – chociaż Clara, która znała i kochała Jane, uważała, że ceregieli i tak już było za dużo – oto *Dzień jarmarku* autorstwa Jane Neal”.

Zerwano płachtę i *Dzień jarmarku* wreszcie został odsłonięty przy akompaniamencie głośnych westchnień. Potem nastąpiła cisza, która była jeszcze bardziej znacząca. Twarze patrzących na *Dzień jarmarku* wyrażały różne uczucia: od rozbawienia przez obrzydzenie aż po zachwyt. Gamache nie patrzył w gruncie rzeczy na sztalugę; przyglądał się tłumowi i jego reakcjom. A jednak jedyną reakcją, która mogła uchodzić za dziwaczną, była reakcja Petera. Jego niespokojny uśmiech pobladł, gdy odsłonięto *Dzień jarmarku*. Po chwili kontemplacji mąż Clary przechylił głowę na jedną stronę i zmarszczył brwi. Gamache, który obserwował tych ludzi od dwóch tygodni, wiedział, że w wydaniu Petera Morrowa był to ekwiwalent wrzasku.

– Co się stało?

– Nic. – Peter odwrócił się plecami do nadinspektora i odszedł. Gamache poszedł za nim.

– Panie Morrow, moje pytanie nie dotyczyło kwestii estetycznych, ale sprawy morderstwa. Proszę mi odpowiedzieć.

Peter był zaskoczony, jak wszyscy, którzy spodziewali się, że Gamache nigdy nie podnosi głosu.

– Coś w tym obrazie bardzo mnie niepokoi. Nie powiem panu dlaczego, bo nie wiem. Ale nie wygląda tak jak obraz, który ocenialiśmy dwa tygodnie temu, chociaż wiem, że nim jest.

Gamache wpatrywał się w *Dzień jarmarku*. Nigdy nie lubił oceniać, więc nie był dobrym sędzią, ale w odróżnieniu od innych prac na ścianach Jane Neal, ten obraz wcale go nie poruszał.

– Więc co się zmieniło?

– Nic. Może ja. Czy to możliwe? Jak ten trik Jane z damą kierową. Czy sztuka też się zmienia? Jednego dnia wieczorem patrzę na swój obraz i myślę,

że jest świetny, a nazajutrz rano spoglądam na niego znowu i uznaję, że jest do niczego. Obraz się nie zmienił, ale ja owszem. Być może śmierć Jane zmieniła mnie tak bardzo, że cokolwiek widziałem przedtem w tym obrazie, zniknęło.

– Wierzy pan w to?

Niech go diabli – pomyślał Peter.

– Nie.

Obydwaj wpatrywali się w *Dzień jarmarku*, aż nagle rozbrzmiał dźwięk niepodobny do niczego, co zgromadzeni słyszeli kiedykolwiek wcześniej. Odgłos narastał i wzrastał się, aż rozniósł się po całym kręgu widzów. Clara czuła, jak krew odpływa jej z twarzy i rąk. Czy to burza? Czy tak brzmiało preludium do straszliwego huraganu? Czy Kyla wreszcie postanowiła się do nich przyłączyć? Ale hałas pochodził ze środka budynku. Z tego pomieszczenia. A dokładniej, skądś tuż obok Clary. Odwróciła się i zlokalizowała jego źródło. Ruth.

– To ja! – Ruth wskazywała palcem na tańczącą kozę w *Dniu jarmarku*. Po czym hałas zamienił się w gejzer śmiechu. Ruth huczała. Śmiała się tak, że aż musiała wesprzeć się na Gabrim. Jej śmiech zaraził wszystkich zgromadzonych, w końcu nawet skwaśniali zapomniani artyści się śmiali. Większość pozostałej części wieczoru wypełniło rozpoznawanie w pracy Jane siebie samych albo innych ludzi. Ruth odnalazła też rodziców Timmer oraz jej brata i siostrę, oboje już dawno nieżyjących, nauczycielkę z pierwszej klasy i męża Timmer, a także grupę, z którą chodziła na gimnastykę. W ciągu następnej godziny zidentyfikowano praktycznie wszystkie postacie. A jednak Peter wciąż się wpatrywał, nie przyłączając się do ogólnego śmiechu. Coś się tu nie zgadzało.

– Wiem! – Clara wskazała na obraz. – To zostało namalowane na paradzie zamykającej jarmark, prawda? Tego dnia, gdy twoja mama zmarła. Czy to czasem nie jest twoja mama? – Clara pokazała Benowi chmurę z kopytkami. Latającą owieczkę.

– Masz rację – zaśmiała się Myrna. – To jest Timmer.

– Widzisz? To był hołd, jaki Jane złożyła twojej mamie. Każda osoba na tym obrazie była dla niej ważna. Od jej dziadków po jej psy i wszystko pomiędzy.

Teraz Clara zwróciła się do Petera.

– Pamiętasz ostatnią kolację, jaką jedliśmy wspólnie? – Święto

Dziękczynienia?

– Tak, to było wtedy. Powiedziałam, że moim zdaniem sztuka powstaje wtedy, gdy artysta wkłada w nią coś z siebie. Zapytałam Jane, co ona wnosi w swoje prace. Pamiętasz, co odpowiedziała?

– Niestety nie.

– Zgodziła się, że włącza coś od siebie, że w jej pracach jest jakiś przekaz. Zastanawiała się, czy dojdziemy do tego, o co jej chodziło. Co więcej, pamiętam, że patrzyła wprost na Bena, mówiąc te słowa, jakby myślała, że on je zrozumie. Wtedy zastanawiałam się, dlaczego, ale teraz to ma sens. To jest dla Timmer.

– Tak sądzisz? – Ben przysunął się bliżej Clary i wpatrywał się w obraz.

– Cóż, to nie ma żadnego sensu – powiedziała agentka Nichol, która przywędrowała ze swojego stanowiska przy drzwiach, przywabiona śmiechem, jakby to była zbrodnia.

Gamache zaczął iść w jej stronę, mając nadzieję, że zdąży jej przerwać, zanim powie coś obraźliwego. Ale chociaż miał długie nogi, nie dorównywały one szybkością potokowi wymowy Nichol.

– Kim była Yolande dla Timmer? Czy się znały? – Nichol wskazała twarz blondynki, stojącej na trybunie obok akrylowych Petera i Clary. – Dlaczego Jane Neal miałyby włączyć siostrzenicę, której nie znosiła? Z tą babą tutaj to nie może być to, o czym mówiliście, czyli hołd dla pani Hadley.

Nichol najwyraźniej sprawiało przyjemność, że może w czymś przebić Clarę. A Clara wbrew sobie czuła, jak wzbiera w niej gniew. Oniemiała, wpatrywała się w zadowoloną z siebie młodą twarz po drugiej stronie sztalugi. To, że agentka miała rację, tylko pogarszało sprawę. Nie ulegało wątpliwości, że wielka blondyna była w *Dniu jarmarku*, a Clara wiedziała, że jeśli ktoś nie znosił Yolande bardziej niż Jane, to była to Timmer.

– Czy mogę panią prosić? – Gamache stanął pomiędzy Clarą a Nichol, zasłaniając triumfalne spojrzenie tej ostatniej. Bez słowa odwrócił się i podążył w stronę wyjścia, a Nichol przez moment zawahała się, ale poszła za nim.

– Jutro o szóstej rano ze St. Remy odjeżdża autobus do Montrealu. Proszę do niego wsiąść.

Nie miał nic więcej do powiedzenia. Zostawił trzęsącą się ze złości agentkę

Yvette Nichol na ganku Arts Williamsburg. Miała ochotę walić w zamknięte drzwi. Wydawało jej się, jakby wszystkie drzwi zamykano nagle tuż przed jej nosem i oto znowu była na zewnątrz, odcięta.

Trzęsąc się w napadzie furii, postąpiła dwa kroki w bok i spojrzała przez okno do wnętrza na kręcących się ludzi, na Gamache'a rozmawiającą z tą Morrow i jej mężem. Jednak w tym obrazku było coś jeszcze. Po sekundzie uświadomiła sobie, że to jej własne odbicie.

Jak to wytłumaczy ojcu? Spieprzyła to. W którymś miejscu, w którymś momencie zrobiła coś nie tak. Ale co? Nichol nie była w stanie logicznie myśleć. Oczami wyobraźni widziała jedynie, że wchodzi do małego domku z nienagannym ogródkiem we wschodnim Montrealu i mówi ojcu, że wyrzucono ją z dochodzenia. Wstyd. Nagle przypomniała sobie frazę, napotkaną w trakcie śledztwa.

„Patrzysz na problem”.

To coś znaczyło. Była pewna, że to coś istotnego. Aż w końcu dotarło do niej.

Problemem był Gamache.

Stał sobie, rozmawiał, śmiał się zadowolony z siebie i kompletnie nieświadomy bólu, jaki spowodował. Nie różnił się niczym od policjantów z Czechosłowacji, o których opowiadał jej ojciec. Jak mogła być tak ślepa? Z ulgą uświadomiła sobie, że nie musi o niczym mówić ojcu. W końcu to nie była jej wina.

Nichol się odwróciła; obraz rozbawionych ludzi i jej własnego, samotnego odbicia był zbyt bolesny.

Godzinę później przyjęcie przeniosło się z Arts Williamsburg do domu Jane. Wiatr się wzmagił, właśnie zaczynało padać. Clara stanęła na środku salonu, jak zrobiłaby Jane – tak, by widzieć reakcje wszystkich przychodzących.

Najczęściej słyszany reakcjami były: „O, Boże”, „Ja piórkuję” oraz „*tabarouette*”. „*Tabarnouche*” i „*tabarnacle*” niosły się po pokoju. Salon Jane stał się kaplicą, wypełnioną przekleństwami w różnych językach. Clara czuła się praktycznie jak u siebie. Z piwem w jednej, a nerkowcami w drugiej ręce przyglądała się, jak przybywający goście stawali oniemiały z wrażenia. Większość ścian na parterze została odsłonięta i oto przed nimi kłębiła się i wiła

na nich geografia i historia Three Pines. Pумы i rysie, których od dawna się nie widywało; chłopcy maszerujący na pierwszą wojnę światową, a prosto stamtąd na skromne witrażowe okno kościoła Świętego Tomasza, upamiętniające poległych. Były krzaki marihuany, rosące pod posterunkiem policji w Williamsburgu, i zadowolony kot, siedzący na oknie i spoglądający na ich bujny rozrost.

Oczywiście pierwszą rzeczą, jaką zrobiła Clara, było odnalezienie na ścianie samej siebie. Jej twarz wyglądała z krzaka staroświeckiej odmiany róż, zaś Petera można było odnaleźć schowanego za dostojnym pomnikiem Bena w krótkich spodenkach, stojącym na trawniku domu jego matki. Peter miał na sobie swój kostium Robin Hooda, a u boku łuk i strzały; Ben zaś stał niewzruszony i silny, patrząc na dom. Clara przyglądała się dokładnie, by zobaczyć, czy aby Jane namalowała węże, wijące się ze starego domu Hadleyów, ale ich nie było.

Dom wypełniały śmiechy i okrzyki, oznaczające, że rozpoznano kolejne osoby na rysunkach. Czasem ktoś wzruszył się aż do łez z powodów, których nie potrafił wytłumaczyć. Gamache i Beauvoir kręcili się po pokoju, przyglądając się i nasłuchując.

– ...ale co mnie naprawdę rusza, to ta radość obrazowania – mówiła Clarze Myrna. – Nawet śmieci, wypadki, nieurodzaje, wszystko ma w sobie swego rodzaju życie. Uczyniła je czymś naturalnym.

– Ej, ty! – zawołała Clara do Bena, który podszedł ochoczo. – Spójrz na siebie. – Machnęła w kierunku jego wizerunku na ścianie.

– Bardzo mocne. – Uśmiechnął się. – Wręcz posągowe.

Gamache popatrzył na portret Bena na ścianie Jane: silny mężczyzna, który jednak spogląda w stronę domu rodziców. Nie po raz pierwszy pomyślał, że śmierć Timmer Hadley nadeszła w momencie nader korzystnym dla jej syna. Wreszcie mógł wyjść z jej cienia. Co jednak było interesujące, to Peter stał w cieniu. W cieniu Bena. Gamache zastanawiał się, cóż to może znaczyć. Zaczynał doceniać fakt, że dom Jane stał się swego rodzaju kluczem do zrozumienia tej społeczności. Jane Neal była niezwykle spostrzegawczą kobietą.

W tym momencie przyszła Elise Jacob i wchodząc, skłoniła się Gamache'owi.

– Ach, co za wieczór! – zawołała, a jej wzrok szybko przeniósł się na ścianę za nim. Po czym obróciła się, by obejrzeć ścianę za sobą. – Chryste! – wykrztusiła ta śliczna, elegancka kobieta, machając do Gamache’a i do wszystkich dookoła, jak gdyby była pierwszą osobą, która zauważyła rysunki. Gamache uśmiechnął się tylko i czekał, aż Elise dojdzie do siebie.

– Przyniosła go pani? – zapytał, nie do końca pewien, czy go słyszy.

– *C’est brillant* – szepnęła. – *Formidable. Magnifique*. Ja piórkuje.

Gamache był cierpliwy, więc dał jej jeszcze parę minut, by oswoiła się z tym, co zobaczyła w pokoju. Ponadto, jak sobie uświadomił, rozwinął się w nim rodzaj dumy z tego domu, jak gdyby miał jakiś udział w jego powstaniu.

– To oczywiście genialne – przyznała Elise. – Pracowałam kiedyś jako kurator w Musée des Beaux Arts w Ottawie, zanim na emeryturze przeprowadziłam się tutaj.

Gamache po raz kolejny nie mógł się nadziwić, jacy ludzie się tutaj sprowadzają. Może Margaret Atwood zajmowała się tu wywózką śmieci? A może premier Mulroney znalazł tu nowe powołanie jako listonosz? Nikt nie był tym, na kogo wyglądał. Każdy skrywał jakieś drugie oblicze, a jedna z obecnych osób nawet więcej.

– Któż by pomyślał, że ta sama kobieta, która namalowała okropny *Dzień jarmarku*, stworzyła to wszystko? – ciągnęła Elise. – Cóż, widać wszyscy mamy gorsze dni. Jednak mogła wybrać na wystawę coś lepszego.

– To był jedyny obraz, jaki miała – powiedział Gamache. – A przynajmniej jedyny, który nie został namalowany na materiałach budowlanych.

– To dziwne.

– To bardzo oględnie powiedziane – zgodził się Gamache. – Przyniosła go pani? – powtórzył.

– Tak, przepraszam, jest w przedpokoju.

W minutę później Gamache ustawiał *Dzień jarmarku* na sztaludze pośrodku pokoju. Teraz wszystkie dzieła Jane znalazły się pod jednym dachem.

Stał bardzo spokojnie i obserwował. Hałas narastał w miarę, jak goście pili więcej wina i rozpoznawali kolejne postaci na ścianach. Jediną osobą, zachowującą się w nieco niezwykły sposób, była Clara. Gamache przyglądał się, jak wędrowała od *Dnia jarmarku* do ściany. Potem znów do *Dnia jarmarku*

i z powrotem do ściany. I znów do sztalugi. Ale tym razem z większym poczuciem celu. Potem podbiegła do ściany. Stała tam przez dłuższą chwilę. Potem bardzo powoli wróciła do *Dnia jarmarku*, jak gdyby zagubiona we własnych rozmyślaniach.

– Co się dzieje? – zapytał Gamache, podchodząc do niej.

– To nie jest Yolande. – Clara wskazała kobietę stojącą obok Petera.

– Skąd pani wie?

– Niech pan spojrzy tutaj. – Clara machnęła w stronę ściany, której się przyglądała. – To jest Yolande, namalowana przez Jane. Są pewne podobieństwa, ale niewielkie.

Gamache musiał sam zobaczyć, choć wiedział, że Clara ma rację. I rzeczywiście; jedyna kwestia, w której się myliła, to podobieństwa. On nie dostrzegł żadnych. Yolande na ścianie, nawet jako dziecko, była w oczywisty sposób Yolande. Fizycznie, ale także pod względem emocjonalnym. Emanowała niezadowoleniem, chciwością i czymś jeszcze. Wyrachowaniem. Kobieta na ścianie miała wszystkie te cechy. Był w niej też pewien emocjonalny głód. Na płótnie, ustawionym na sztaludze, kobieta była po prostu blondynką.

– Któż to w takim razie jest? – zapytał, wróciwszy.

– Nie wiem. Ale jednego jestem pewna. Zauważył pan, że Jane nigdy nie zmyśliła żadnej twarzy? Wszyscy na tych ścianach to ludzie, których znała, mieszkańcy miasteczka.

– Albo odwiedzający – powiedział Gamache.

– Tak właściwie – wtrąciła się Ruth – nie ma tutaj gości. Owszem, są tacy, co mieszkali tu i się wyprowadzili, a potem przyjeżdżali w odwiedziny, ale ci uchodziliby za mieszkańców miasteczka. Jane znała wszystkich, którzy są na tych ścianach.

– Znała też wszystkich z *Dnia jarmarku* z wyjątkiem tej kobiety. – Clara wykonała gest nerkowcami w kierunku blondynki. – Ona jest obca. Ale to nie koniec. Zastanawiałam się, co się nie zgadza w *Dniu jarmarku*. Jest oczywiście dziełem Jane, ale też nie jest. Jeśliby to była pierwsza rzecz, jaką namalowała, powiedziałabym, że po prostu jeszcze nie odnalazła własnego stylu. Ale to była jej ostatnia praca. Wszystko tu jest namalowane mocno, pewnie, celowo. A jednak jako całość to nie działa.

– Ona ma rację – potwierdziła Elise. – Faktycznie.

Krąg wokół *Dnia jarmarku* rósł; tajemnica przyciągała gości.

– Ale kiedy ocenialiśmy ten obraz, wszystko w nim grało, prawda? – Clara zwróciła się do Petera. – To przez nią. Jej nie namalowała Jane. – Oskarżycielskim gestem wskazała blondynkę, stojącą na płótnie obok Petera. Głowy zgromadzonych skłoniły się ku środkowi kręgu, żeby popatrzeć na tę twarz. – To dlatego w obrazie coś nie gra – ciągnęła Clara. – Zanim ta twarz została zmieniona, wszystko grało. Ktokolwiek to zmienił, nieświadomie zmienił cały obraz.

– Skąd pani wie, że Jane nie namalowała tej twarzy? – zapytał Gamache, a jego głos nagle zabrzmiał oficjalnie.

Beauvoir po drugiej stronie pokoju usłyszał to i podszedł bliżej, wyjmując notes i długopis, gdy tylko stanął przy nich.

– Po pierwsze, to jedyna twarz, która nie wygląda jak żywa. – Gamache musiał się z tym zgodzić. – Ale to subiektywne. Ale jeśli chcecie, jest dowód.

– To byłaby miła odmiana.

– Popatrzcie. – Clara znów wskazała na kobietę. – Jezu, teraz, kiedy przyglądam się dokładniej, dochodzę do wniosku, że musiałam być ślepa, nie zobaczywszy tego wcześniej. Jest jak ten wielki karbunkuł.

Pomimo wysiłków żadne z nich nie dostrzegало, co miała na myśli.

– Na miłość boską, powiedz nam wreszcie, zanim ci przyłożę! – zawołała Ruth.

– Tu – Clara poprowadziła palec zygzakiem przez twarz kobiety. Rzeczywiście, przy bliższym przyjrzeniu się widać było maleńkie smugi. – To jak kurzajka, olbrzymie znamię szpecące ten obraz. – Wskazała na ledwo widoczne rozmazane ślady. – To się robi szmatką i olejem mineralnym, prawda, Ben?

Ale Ben wciąż wpatrywał się w *Dzień jarmarku*, prawie zezując.

– Spójrzcie też na ślady pędzla. Wszystkie w niewłaściwą stronę. – Clara zamachała ręką. – Jane nie malowała z dołu do góry. Wiele razy na boki, ale nigdy dokładnie z góry na dół. Spójrzcie na włosy tej kobiety. Od razu widać. Widzicie farbę? – zwróciła się do Petera, który najwyraźniej czuł się niekomfortowo.

– Nie. Nic nie widać w farbach.

– Oj, przyjrzyj się tylko. Biele są różne. Jane używała bieli tytanowej, tu i tu. Ale tutaj – wskazała na oczy kobiety – to jest biel cynkowa. A to żółć ochrowa. – Clara pokazała na kamizelkę kobiety. – Jane nigdy nie używała ochrowej, wyłącznie kadmowej. To takie oczywiste. Wiecie, spędziliśmy tyle czasu, ucząc sztuk pięknych, a nawet czasami dorabiając sobie renowacją dzieł sztuki dla McCord, że mogę wam powiedzieć, kto co namalował, tylko patrząc na ślady pędzla, a co dopiero na wybór pędzli czy farb.

– Dlaczego ktoś miałby domalować twarz? – zapytała Myrna.

– Oto jest pytanie – zgodził się Gamache.

– I to niejedyne. Zgoda, to dobre pytanie, dlaczego domalowywać twarz, ale ten, kto to zrobił, także usunął twarz. Widać z tych smug. Ta osoba nie tylko domalowała twarz na już istniejącej, którą stworzyła Jane, ale chciała też ją kompletnie usunąć. Nie rozumiem tego. Jeśli Jane, czy ktokolwiek, chciał usunąć twarz, najłatwiej byłoby po prostu zamalować istniejącą. Akrylem można to zrobić, tak się składa, że wszyscy malują akrylem. Praktycznie nikt nie zadaje sobie trudu usuwania czegokolwiek. Po prostu zamalowuje się błędy.

– Ale jeśli ktoś tak robi, czy możliwe jest usunięcie tej twarzy i odsłonięcie oryginału pod spodem?

– Teraz oryginał jest nie do odzyskania – odparł Peter.

– Ktokolwiek to zrobił, nie chciał, żeby ta twarz została rozpoznana – powiedziała Clara. – Więc ta osoba usunęła swoją twarz i namalowała twarz innej kobiety.

– Ale – wtrącił się Ben – zdradziła się, wymazując oryginalną twarz i rysując na niej nową. Nie znała sztuki Jane. Jej kodu. Zmyśliła nową twarz, nie wiedząc, że Jane nigdy tego nie robiła...

– I źle nałożyła farbę – dodała Clara.

– Cóż, to mnie dyskwalifikuje – odezwał się Gabri.

– Ale po co robić to wszystko? Chodzi mi o to, czyja twarz została wymazana? – zapytała Myrna.

Na moment zapadła cisza; wszyscy się nad tym zastanawiali.

– Czy myśli pan, że to zrobił morderca? – zapytała Clara.

– Tak. Nie wiem tylko dlaczego.

– Powiedziała pani „ona” – zwrócił się do Clary Beauvoir. – Dlaczego?

– Może dlatego, że nowa twarz jest twarzą kobiety. Zakładam, że osoba, która to zrobiła, namalowała coś dla siebie łatwego, czyli twarz, jaką codziennie widzi w lustrze.

– Myśli pani, że to twarz mordercy?

– Nie, to nie byłoby najmądrzejsze posunięcie. Sądzę tylko, że to wyjawia płęć mordercy. Pod presją biały mężczyzna najprawdopodobniej namaluje białego, a nie czarnego mężczyznę, i nie białą kobietę; to, co mu najbardziej znajome. Podobnie tutaj.

Gamache uznał, że to dobra obserwacja, ale potem pomyślał, że jeśli mężczyzna malowałby z intencją wprowadzenia innych w błąd, mógłby równie dobrze namalować kobietę.

– Czy zrobienie tego wymagało umiejętności? – zapytał.

– Usunięcie jednej twarzy i zastąpienie jej inną? Owszem, i to sporo. Może niekoniecznie usunięcie pierwszej twarzy, ale z drugiej strony większość ludzi nie wiedziałaby, jak to zrobić. Pan by wiedział? – zapytała Beauvoira.

– Nie, nie miałbym pojęcia. Wspomniała pani szmatkę i olej mineralny, ale ja pierwszy raz usłyszałem o oleju mineralnym kilka dni temu, gdy potrzebowaliście go, by pracować tutaj.

– Dokładnie. Artyści wiedzą takie rzeczy, ale większość ludzi nie. Kiedy twarz została wymazana, sprawca musiał namalować nową, posługując się stylem Jane. To wymaga umiejętności. Ktokolwiek to zrobił, jest artystą, i powiedziałabym, że niezłym. Zajęło nam dobrą chwilę, zanim zauważyliśmy błąd. Gdyby pańska agentka Nichol nie była taka nieznośna, prawdopodobnie nigdy byśmy na to nie wpadli. Stwierdziła, że to nie Yolande. Byłam tak wkurzona, że poszłam szukać postaci Yolande, namalowanej przez Jane, żeby sprawdzić, czy to prawda. I nie była. Ale zmusiło mnie to do tego, by przyjrzeć się bliżej tej twarzy, żeby stwierdzić, kto to może być. To wtedy zauważyłam różnice. Może więc pan powiedziec Nichol, że pomogła rozwikłać sprawę.

– Czy coś jeszcze jej przekazać? – Beauvoir uśmiechnął się do Clary.

Gamache nie zamierzał sugerować Nichol, że jej niegrzeczne zachowanie się opłacało, ale wiedział też, że jeśli by odesłał ją wcześniej, nigdy nie zaszliby tak

daleko. W pewnym sensie Clara miała rację, choć nie przyznawała sobie wystarczająco dużo zasługi. Jej potrzeba, by udowodnić, że Nichol nie ma racji, także grała tu dużą rolę.

– Czy kiedy oceniał pan *Dzień jarmarku* w piątek przed Świętem Dziękczynienia, wydawał się panu dość dobry, by włączyć go do wystawy? – zapytał Petera nadinspektor.

– Uważałem, że jest genialny.

– I to zmieniło się przed poniedziałkiem po Święcie Dziękczynienia – powiedziała Clara, zwracając się do Gamache’a i Beauvoira. – Pamiętacie, kiedy przyszliście i pokazałam wam *Dzień jarmarku*? W tamtym momencie jego magia już zniknęła.

– Sobota i niedziela – rzekł Beauvoir. – Dwa dni. Jakoś w tym czasie morderca przemałował obraz. Jane Neal została zabita w niedzielę rano.

Wszyscy gapili się na obraz, próbując skłonić go, by wyjawiał, kto to zrobił. Gamache wiedział, że *Dzień jarmarku* krzyczał do nich. Powód, dla którego zamordowano Jane Neal, był na tym obrazie.

Clara usłyszała pukanie w okno i poszła sprawdzić, kto stuka. Gdy spoglądała w ciemność, nagle pojawiła się gałąź i uderzyła w szybę. Huragan Kyla w końcu przybył i chciał wejść do środka.

Przyjęcie skończyło się wkrótce potem, wszyscy pobiegli do swoich domów lub samochodów, by zdążyć, zanim burza rozpęta się na dobre.

– Niech cię żaden dom nie przywali! – zawołał Gabri za Ruth, która, znikając w ciemnościach, być może pokazała mu środkowy palec (albo i nie). *Dzień jarmarku* zabrano do pensjonatu, gdzie policjanci i kilkoro mieszkańców zasiedli w przestronnym salonie, popijając likiery i espresso. Ułożono drwa w kominku i rozpalono ogień; na zewnątrz Kyla jęczała i porywała liście z drzew. Deszcz siekł teraz o szyby tak mocno, że aż drżały. Wewnątrz zgromadzeni instynktownie przysuwali się bliżej siebie, rozgrzani ogniem, alkoholem i towarzystwem.

– Kto wiedział o *Dniu jarmarku*, zanim Jane Neal została zabita? – zapytał Gamache.

Byli przy tym Peter i Clara oraz Ben, Olivier, Gabri i Myrna.

– Członkowie jury – odparł Peter.

– Czy nie rozmawialiście o nim przy kolacji na Święto Dziękczynienia w tamten piątek?

– Rozmawialiśmy o nim dużo. Jane nawet go opisała – potwierdziła Clara.

– To nie to samo. Kto widział *Dzień jarmarku* przed dzisiejszym wieczorem? – zapytał Gamache.

Popatrzyli po sobie, potrząsając głowami.

– Jeszcze raz: kto był w jury? Henri Lariviere, Irenée Calfat, Elise Jacob, Clara i ja – wyliczył Peter.

– A kto jeszcze mógł go widzieć? – znów zapytał Gamache. To było kluczowe pytanie. Morderca zabił Jane Neal z powodu *Dnia jarmarku*. Ona lub on musiał go zobaczyć i uznać za zagrożenie dość duże, by przemałować obraz, dość duże, by zabić.

– Isaac Coy – powiedziała Clara. – Opiekuje się budynkiem. Przypuszczam też, że ktokolwiek przyszedł obejrzyć tę wcześniejszą wystawę sztuki abstrakcyjnej, mógł zawędrować do magazynu i go zobaczyć.

– Ale to mało prawdopodobne – rzekł Gamache.

– Na pewno nie przez pomyłkę – zgodziła się Clara. – Przepraszam, ale wydaje mi się, że zostawiłam torebkę w domu Jane. Podskoczę tylko ją zabrać.

– W tę burzę? – zapytała Myrna z niedowierzaniem.

– Ja też pójdę do domu – odezwał się Ben. – Chyba że mogę coś jeszcze zrobić?

Gamache potrząsnął głową; zgromadzeni się rozeszli. Jeden po drugim wychodzili w czarną noc, instynktownie podnosząc ramiona, by osłonić się przed zacinającym deszczem i wiatrem niosącym martwe liście.

Clara musiała pomyśleć, a do tego potrzebowała swojego bezpiecznego miejsca, które znajdowało się w kuchni Jane. Włączyła wszystkie światła i usiadła na jednym z wielkich, starych krzeseł obok opalanego drewnem pieca.

Czy to możliwe? Na pewno coś źle zrozumiała. Zapomniała o czymś albo nadała zbyt wielkie znaczenie czemuś innemu. Po raz pierwszy uderzyło ją to, gdy wpatrywała się w *Dzień jarmarku* podczas koktajlu, mimo że początki tej myśli zakiełkowały w Arts Williamsburg wcześniej tego wieczoru. Ale odrzuciła ją. To było zbyt bolesne. O wiele za blisko. Ale ta przeklęta myśl wróciła teraz z całą siłą w pensjonacie. Gdy przyglądali się obrazowi, wszystkie

fragmenty nagle złożyły się w całość. Wszystkie ślady, wszystkie sugestie. Wszystko miało sens. Nie mogła wrócić do domu. Nie teraz. Bała się iść do domu.

– Co pan myśli? – zapytał Beauvoir, siadając na krześle naprzeciw Gamache’a. Nichol, rozciągnięta na sofie, czytała magazyn i karała Gamache’a milczeniem. Gabri i Olivier poszli spać.

– Yolande – powiedział Gamache. – Ciągłe wracam do tej rodziny. Tyle wątków dochodzenia nas tam doprowadziło. Rzucanie nawozem, wytapetowanie ścian. André ma łuk myśliwski.

– Ale nie ma refleksyjnego – przypomniał Beauvoir ze smutkiem.

– Zniszczył go – podsunął Gamache – ale problem w tym, dlaczego w ogóle miałyby go używać? Dlaczego ktokolwiek użyłby starego łuku zamiast nowego, bloczkowego?

– No chyba, że to była kobieta – odparł Beauvoir. To była jego ulubiona część roboty: siedzenie z szefem późno wieczorem z drinkiem przy kominku i dyskutowanie o zbrodni. – Łuk refleksyjny jest prostszy w użyciu, a stary łuk refleksyjny tym bardziej. Widzieliśmy to z Suzanne Croft. Nie była w stanie użyć nowoczesnego łuku, ale to jasne, że umiała użyć starszego typu. Wracamy do Yolande. Znała sztukę swojej ciotki prawdopodobnie lepiej niż ktokolwiek inny, a członkowie rodziny mają zdolności artystyczne. Jeślibyśmy zaczęli szukać, pewnie dowiedzielibyśmy się, że kiedyś w życiu malowała. Wszyscy w tej okolicy to robią, podejrzewam, że prawo tego wymaga.

– Okej, więc doprowadźmy to do końca. Dlaczego Yolande miałyby zabić Jane?

– Dla pieniędzy czy domu, co sprowadza się do tego samego. Zapewne myślała, że go odziedziczy; podejrzewam, że daje łapówki temu lewemu notariuszowi w Williamsburgu w zamian za informacje; Bóg wie, że miała głęboką motywację, by dowiedzieć się, co jest w testamencie ciotki.

– Zgoda. Ale jaki to ma związek z *Dniem jarmarku*? Co takiego było na obrazie, że Yolande mogła chcieć go zmienić? Przedstawia zeszłoroczną paradę na zamknięcie jarmarku, ale wydaje się hołdem dla Timmer Hadley. Jak Yolande mogła go zobaczyć, a nawet jeśli zobaczyła, dlaczego miałyby chcieć go przemalować?

Odpowiedzią była cisza. Po kilku minutach Gamache przeszedł do innych hipotez.

– Okej, przyjrzyjmy się reszcie. Co z Benem Hadleyem?

– Dlaczego on? – zapytał Beauvoir.

– Ma dostęp do łuków, wie, jak ich użyć, zna okolicę, panna Neal by mu ufała, potrafi malować. Podobno jest w tym bardzo dobry. Jest też w zarządzie Arts Williamsburg, więc miał klucz do galerii. Mógł tam wejść i zobaczyć *Dzień jarmarku*.

– Motyw? – zapytał Beauvoir.

– To jest problem. Nie ma jasnego motywu, prawda? Dlaczego miałyby zabić Jane Neal? Nie dla pieniędzy. Dlaczego?

Gamache wpatrywał się w dogasające płomienie, zachodząc w głowę. Zastanawiał się, czy nie za bardzo się stara, by nie dojść do innego wniosku.

– Dajcie spokój, Peter Morrow ją zabił. Któż inny? – Gamache nie musiał podnosić głowy, żeby wiedzieć, kto się odezwał.

Dynia z okładki magazynu „Harrowsmith Country Life” przemówiła.

Clara wpatrywała się w swoje odbicie w kuchennym oknie domu Jane. Spoglądała na nią poblada, wystraszona kobieta. Jej teoria miała sens.

„Zignoruj to” – powiedział jej wewnętrzny głos. To nie twoja sprawa. Niech policja się tym zajmie. Na miłość boską, nie mów nic. To był bardzo uwodzicielski głos, który obiecywał ciszę, spokój, kontynuację jej cudownego życia w Three Pines. Jeśli zrobi coś motywowana tym, co wie, to życie przestanie istnieć.

„Co, jeśli się mylisz? – mruczał ten głos. – Zranisz wiele osób”.

Ale Clara wiedziała, że się nie myli. Bała się utracić życie, jakie kochała, i człowieka, którego kochała.

„Wpadnie w furję. Wszystkiemu zaprzeczy – piszczał teraz pełen paniki głos w jej głowie. – Zamąci ci w głowie. Sprawi, że poczujesz się okropnie, że coś takiego zasugerowałaś. Najlepiej nic nie mówić. Masz wszystko do stracenia i nic nie zyskujesz. No i nikt nie musi wiedzieć. Nikt się nigdy nie dowie, że przemilczałaś sprawę”.

Ale Clara wiedziała, że głos kłamie. Zawsze ją okłamywał. Clara by

wiedziała, a ta wiedza ostatecznie i tak zniszczyłaby jej życie.

Gamache leżał w łóżku, wpatrując się w *Dzień jarmarku*. Po głowie krążyły mu rozmowy i strzępki dialogów, gdy tak patrzył na stylizowane postaci ludzi i zwierząt, i przypominał sobie, co każda z tych osób powiedziała w pewnym momencie w ciągu tych dwóch tygodni. Yvette Nichol miała rację. Peter Morrow był najbardziej prawdopodobnym podejrzanym, ale zabrakło dowodów. Nadinspektor wiedział, że ma szansę schwytania mordercy dzięki obrazowi i jutrzejszej analizie. *Dzień jarmarku* był ich głównym dowodem zbrodni. Kiedy jednak Gamache patrzył na każdą z namalowanych twarzy na obrazie, pojawiła się inna sugestia, coś tak mało prawdopodobnego, że nie mógł w to uwierzyć. Usiadł na łóżku. To nie to, co widać na obrazie, wskazuje, kto zabił Jane Neal. Wyskoczył z łóżka i narzucił ubranie.

Clara ledwie co widziała przez deszcz, ale wiatr był najgorszy. Kyla zamieniła jesienne liście, takie piękne na drzewach, w małe pociski. Smagały ją ze wszystkich stron, przylepiając się do twarzy. Uniosła ramię, by zasłonić oczy i pochyliła się w zawieruchę, potykając się na nierównym podłożu. Liście i patyczki uderzały w jej płaszcz przeciwdeszczowy, próbując dostać się do skóry. To, co nie udawało się liściom, udało się lodowatej wodzie. Wlewała jej się w rękawy i ciekła po plecach, wpadała do nosa i siekła w oczy, jeśli uniosła zmrużone powieki. Ale prawie była na miejscu.

– Już się zaczynałem martwić, spodziewałem się, że przyjdiesz wcześniej – powiedział, podchodząc, by ją uścisnąć. Spojrzał na nią zaskoczony i zraniony. Potem popatrzył na jej buty, z których spływały woda i błoto, tworząc kałuże na podłodze. Podążyła za jego spojrzeniem i automatycznie zdjęła buty, niemal uśmiechając się, takie to było normalne. Może się myliła. Może mogła po prostu zdjąć buty, usiąść i nic nie mówić. Za późno. Jej usta już zaczęły pracować.

– Myślałam nad tym trochę. – Zamilkła na moment, niepewna, co powiedzieć i jak to powiedzieć.

– Wiem. Widziałem po twojej twarzy. Kiedy się domyśliłaś?

Pomyślała, że jednak nie zamierza zaprzeczać. Nie wiedziała, czy powinna czuć ulgę, czy przerażenie.

– Na przyjęciu, ale nie mogłam poskładać wszystkiego w całość.

Potrzebowałam czasu, by przemyśleć to, przepracować.

– Czy to dlatego powiedziałaś „ona”, opisując fałszerza?

– Tak. Chciałam zyskać trochę na czasie, może nawet zmylić policję.

– Mnie to zmyliło. Miałem nadzieję, że naprawdę tak myślisz. Ale potem w pensjonacie widziałem, jak twój mózg pracuje. Za dobrze cię znam. Co zrobimy?

– Musiałam się przekonać, czy naprawdę to zrobiłeś. Czułam, że jestem ci to winna, bo cię kocham. – Clara nic nie czuła, jak gdyby jej świadomość oddzieliła się od ciała.

– A ja kocham ciebie – powiedział głosem, który nagle wydał jej się afektowany. Czy zawsze tak było? – I potrzebuję cię. Nie musisz mówić policji, nie ma dowodów. Nawet jutrzejsze testy nic nie wykażą. Byłem ostrożny. Jak już raz się na coś zdecyduję, robię to bardzo dobrze, ale ty to wiesz.

Wiedziała. I podejrzewała, że on ma rację. Policja musiałaby się zdrowo namęczyć, żeby mu coś udowodnić.

– Dlaczego? – zapytała. – Dlaczego zabiłeś Jane? I dlaczego zabiłeś swoją matkę?

– A ty byś jej nie zabiła? – spytał z uśmiechem Ben i postąpił naprzód.

Gamache obudził Beauvoira. I teraz dobijali się do drzwi Morrowów.

– Zapomniałaś kluczy? – zapytał Peter, otwierając drzwi. Gapił się na Gamache'a i Beauvoira, nie rozumiejąc. – Gdzie jest Clara?

– O to samo chcieliśmy pana zapytać. Musimy z nią porozmawiać, natychmiast.

– Zostawiłem ją w domu Jane, ale to było – Peter spojrzął na zegarek – godzinę temu.

– To trochę za długo, żeby szukać torebki – powiedział Beauvoir.

– Nie miała ze sobą torebki, to był tylko pretekst, żeby wyjść z pensjonatu i pójść do domu Jane – wyjaśnił Peter. – Wiedziałem o tym, ale domyśliłem się, że potrzebuje pobyć sama, żeby pomyśleć.

– Ale jeszcze nie wróciła? – zapytał Gamache. – Nie martwił się pan?

– Zawsze się martwię o Clare. Martwię się od momentu, gdy wychodzi

z domu.

Gamache odwrócił się i pospieszył przez las do domu Jane.

Clara ocknęła się z bólem głowy. A przynajmniej założyła, że się ocknęła. Wszystko było czarne. Oślepiająco czarne. Jej twarz spoczywała na ziemi, wdychała kurz. Przylegał do jej skóry, wilgotnej od deszczu. Ubranie pod płaszczem przylepiło się do ciała w miejscach, w które przedostał się deszcz. Było jej zimno i niedobrze. Nie mogła przestać się trząść. Gdzie jest? I gdzie jest Ben? Uświadomiła sobie, że ma ręce związane z tyłu. Była w domu Bena, więc to musi być jego piwnica. Powracało do niej na wpół świadome wspomnienie, że dokąś ją niesiono. Oraz wspomnienie Petera. Że go słyszała. Że czuła jego zapach. Że był blisko. To Peter ją niósł.

– Widzę, że się ocknęłaś. – Ben stał nad nią z latarką w ręku.

– Peter?! – zawołała Clara słabym głosem. Ben najwyraźniej był tym rozbawiony.

– To dobrze. To dobrze, czekałem na to. Nie, Petera tu nie ma. Tak się składa, że to będzie dla ciebie noc samych złych wiadomości. Zgadnij, gdzie jesteśmy.

Gdy Clara się nie odezwała, Ben powoli przesunął latarkę tak, że jej światło tańczyło po ścianach, suficie, podłodze. Nie musiał zająć z tym daleko, zanim Clara się domyśliła. Prawdopodobnie wiedziała już wcześniej, ale nie przyjmowała tego do wiadomości.

– Słyszysz je, Claro? – Ben znowu zamilkł, a Clara faktycznie usłyszała. Odgłos wicia się. Pełzania. I czuła ich zapach. Piżmowy, bagienny zapach.

Węże.

Byli w domu Timmer. W piwnicy Timmer.

– Ale dobra wiadomość jest taka, że nie będziesz się długo musiała nimi martwić.

Ben uniósł latarkę tak, że mogła zobaczyć jego twarz. Widziała też, że miał na sobie jeden z płaszczy Petera.

– Przyszłaś tu i spadłaś ze schodów – powiedział pełnym rozsądku głosem, jakby spodziewał się, że przyzna mu rację. – Gamache może coś podejrzewać, ale nikt więcej. Peter nigdy by mnie nie podejrzewał; to ja go będę pocieszał po

jego stracie. Wszyscy inni wiedzą, że dobry ze mnie człowiek. I faktycznie taki jestem. To się nie liczy.

Odwrócił się od niej i podszedł do drewnianych schodów; latarka rzucała fantastyczne cienie na klepisko podłogi.

– Wysiadła elektryczność, potknęłaś się i spadłaś. Właśnie naprawiam schody. Chybotliwa starość. Przez lata prosiłem matkę, żeby je naprawiła, ale była zbyt podła, by wydać na to pieniądze. Teraz ty płacisz za to tragiczną cenę. Na całe szczęście, na wypadek, gdyby Gamache tego nie kupił, zostawiłem dosyć poszlak, żeby oskarżono o to Petera. Spodziewam się, że masz teraz na sobie całą masę włókien z jego płaszcza. Prawdopodobnie nawdychałaś się ich także. Znajdą je w sekcji zwłok. Przyczynisz się do skazania własnego męża.

Clara podciągnęła się do pozycji siedzącej. Widziała, jak Ben pracuje przy schodach. Wiedziała, że to kwestia paru minut, może sekund. Napięła więzy krępujące jej nadgarstki. Na szczęście Ben nie związał ich zbyt mocno. Prawdopodobnie nie chciał, żeby zostały siniaki; to pozwalało jej rozluźnić ręce, ale nie umożliwiało całkowitego wyswobodzenia.

– Co tam się dzieje? – Ben odwrócił latarkę w stronę Clary, która położyła się, by zamaskować, co robi. Jej plecy dotknęły ściany, coś otarło się o jej szyję i włosy. Potem zniknęło. O, Boże. O, Matko Boska. Gdy tylko światło wróciło do poprzedniej pozycji, Clara tym bardziej nerwowo próbowała się oswobodzić, desperacko usiłując uciec raczej od węży niż od Bena. Słyszała, jak prześlizgują się i posuwają się wzdłuż belek i przewodów wentylacyjnych. W końcu więzy na jej rękach pękły i odczołgała się w ciemność.

– Clara? Clara! – Latarka migiała we wszystkie strony, nerwowo jej poszukując.– Nie mam na to czasu.

Ben zszedł ze schodów i zaczął szukać jak szalony. Clara cofała się coraz dalej w głąb piwnicy, w kierunku smrodliwego zapachu. Coś musnęło jej policzek, po czym opadło na stopę. Przygryzła usta do krwi, próbując nie krzyczeć; metaliczny smak pomógł jej się skoncentrować. Kopnęła mocno i usłyszała ciche tąpnięcie, gdy trafiła w ścianę obok.

* * *

Gamache, Beauvoir i Peter biegali po domu Jane, ale Gamache wiedział, że

Clary tu nie będzie. Jeśli miało ją spotkać coś złego, to na pewno nie w tym domu.

– Jest u Hadleyów – powiedział Gamache, kierując się w stronę drzwi. Za progiem Beauvoir szybko go przegonił, podobnie jak Peter. Gdy tak biegli przez burzę w kierunku domu i jego gościnnych światła, ich kroki brzmiały jak tętent dzikich koni.

Clara nie była pewna, czy odgłos, jaki usłyszała, był rykiem wściekłej Kyli, czy jej własnym przerażonym oddechem. Czy może to krew tłukła jej się w uszach. Wydawało się, że cały dom trzęsie się i jęczy. Wstrzymała oddech, ale ciało wołało o tlen i po chwili zmuszona była wziąć spragniony, głośny oddech.

– Słyszałem. – Ben odwrócił się, ale poruszał się tak szybko, że upuścił latarkę, która wyleciała mu z ręki, lądując z dwoma głośnymi uderzeniami. Pierwsze spowodowało, że podskoczyła, uderzając Clarę pełnym impetem w twarz. Drugie zatopiło piwnicę w kompletnej ciemności.

– Cholera! – zasyczał Ben.

O, Boże; o, Boże – pomyślała Clara. Wnętrze zalała całkowita i kompletna ciemność. Zamarła, przerażona. Po swojej prawej stronie usłyszała poruszenie. To wystarczyło, by ruszyła z miejsca. Po cichu, wolno czołgała się w lewo, macając wzdłuż podstawy surowej, kamiennej ściany, szukając kamienia, rury, cegły, czegokolwiek. Tylko nie...

Jej ręka zacisnęła się na nim, a z kolei on zwinął się i zamknął wokół niej. W paroksyzmie rzuciła nim w ciemność i usłyszała, jak odbija się od podłogi.

– Nadchodzę – wyszeptał Ben. Ledwie się odezwał, Clara zrozumiała, że w ciemnościach podczołgała się wprost w jego stronę. Był o krok od niej, ale też nic nie widział. Przykucnęła bez ruchu, czekając, aż schwycą ją jego ręce. Jednak po chwili usłyszała, jak się oddala.

Prosto w kierunku węża, którym rzuciła.

– Gdzież ona jest? – powiedział Peter błagalnym tonem. Przeszukali dom Bena i znaleźli jedynie kałużę. Teraz Peter zataczał koncentryczne kręgi po salonie, zbliżając się coraz bardziej do Gamache'a, stojącego bez ruchu na

samym środku pokoju.

– Panie Morrow, proszę, niech pan będzie cicho.

Peter przestał chodzić. Słowa zostały wypowiedziane cicho, ale stanowczo. Gamache wpatrywał się w przestrzeń przed sobą. Burza na zewnątrz szalała z taką siłą, a przerażenie Petera było tak przemożne, że ledwie słyszał własne myśli.

Clara wiedziała, że ma dwie szanse, co było sytuacją znacznie lepszą niż kilka minut temu. Musiała natrafić na schody albo znaleźć jakąś broń i dopaść Bena, zanim on dopadnie ją pierwszy. Znała Bena. Był silny, ale powolny. Niewiele jej to dawało przewagi, zważywszy, że raczej nie mogła się z nim ścigać, ale to już było coś.

Nie miała pojęcia, skąd wziąć broń. Na podłodze mogła leżeć cegła albo rura, ale wiedziała dobrze, co jeszcze z pewnością tam znajdzie. Słyszała, jak Ben potyka się o jakiś metr od niej. Odwróciła się i padła na kolana, macając rękami przed sobą i modląc się: „Dobry Boże, pozwól mi chwycić coś, co nie uchwyci mnie”. Po raz kolejny Clara usłyszała łomot i życzyła sobie, by jej serce nie tłukło się tak głośno, choć nie chciała, by ucichło całkiem. Jej dłoń musnęła coś i w jednej chwili wiedziała, co to jest. Ale za późno. Z głośnym trzaskiem pułapka na myszy uderzyła w jej palce, łamiąc środkowe dwa i wyrywając z niej okrzyk szoku i bólu. Adrenalina podskoczyła gwałtownie, w jednym momencie Clara zerwała pułapkę ze zranionej dłoni i odrzuciła od siebie. Potoczyła się na bok, wiedząc, że pułapki ustawia się wzdłuż ściany. Ściana musi być tuż przed nią. Jeśli Ben biegnie przez ciemność, by ją schwytać...

Peter usłyszał bolesny krzyk Clary, który gwałtownie ucichł. Wraz z policjantami dotarł do domu Timmer moment wcześniej. Zastali drzwi frontowe otwarte na oścież, obijane przez wiatr. Gamache i Beauvoir wyciągnęli spod płaszczy latarki i oświetlali nimi parkiet na podłodze. Wilgotne ślady prowadziły do środka ciemnego domu. Ruszyli biegiem ich tropem. Gdy tylko wpadli do kuchni, usłyszeli krzyk.

– Tędy. – Peter otworzył drzwi, wiodące w ciemność. Trzej mężczyźni razem ruszyli w dół schodami do piwnicy.

Clara przeturlała się i zatrzymała dokładnie w momencie, gdy Ben rzucił się

w kierunku kamiennej ściany. Uderzył w nią z pełnym rozpędem. Clara się myliła: był szybki. Ale teraz nie bardzo. Odgłos zderzenia poniósł się, wstrząsając całą piwnicą. Zaraz potem Clara usłyszała inny dźwięk. Odgłos walących się schodów.

Wydawało się, że wszystko dzieje się bardzo powoli. Latarka Gamache'a pierwsza uderzyła o ziemię i mrugnęła, gasnąc, ale dopiero po tym, jak nadinspektor dostrzegł Beauvoira, rozciągniętego na zawalonych teraz schodach. Gamache próbował odsunąć się z drogi i prawie mu się udało. Jedna stopa wylądowała pomiędzy stopniami zrujnowanych schodów; obydwaj usłyszeli i poczuli, jak noga trzaska pod naporem jego ciała. Druga stopa wylądowała na czymś znacznie wygodniejszym, choć nie bez hałasu. Gamache usłyszał, jak Beauvoir zawył z bólu, a wtedy Peter spadł także. Leciał prosto w dół. Gamache poczuł, jak ich głowy się zderzyły i zobaczył znacznie więcej światła, niż było w piwnicy, a może nawet w całym kosmosie. Potem stracił przytomność.

Peter ocknął się chwilę później; Clara stała nad nim, wpatrując się, a na jej twarzy malował się lęk. Wprost emanowała przerażeniem. Chciał się podnieść, by ochronić ukochaną, ale nie mógł się ruszyć.

– Szefie? Nic się panu nie stało?

Nadinspektor przesunął zamglone spojrzenie i zobaczył Beauvoira, który także patrzył na niego z góry.

– Zadzwoiłem z komórki po pomoc. – Beauvoir wyciągnął rękę i ujął dłoń nadinspektora. Na ułamek sekundy.

– Nic mi nie jest, Jean Guy. A panu? – Spojrzał na jego zmartwioną twarz.

– Chyba słoń na mnie wylądował. – Beauvoir uśmiechnął się lekko. Bąbelek jasnoczerwonej krwi pojawił się na jego wardze i Gamache wyciągnął drżącą dłoń, by go otrzeć.

– Musisz uważać, chłopcze – szepnął nadinspektor. – Peter?

– Utknąłem, ale nic mi nie jest. Uderzył mnie pan głową.

To nie był właściwy moment, by sprzeczać się, kto kogo uderzył.

– Znowu je słyszę. Pełzanie. – Clara znalazła latarkę i szaleńczo omiatała jej światłem sufit i podłogę, żalując, że nie może nią zrobić nic więcej niż je oświetlić. Przydałby się mały miotacz ognia. Trzymała rękę Petera własną zranioną dłonią, a fizyczny ból zamieniał się w emocjonalny spokój.

– Ben? – zapytał Gamache, mając nadzieję, że niedługo będzie w stanie mówić pełnymi zdaniami. Noga promieniowała bólem i głowa mu pulsowała, ale zdawał sobie sprawę, że zagrożenie wciąż jest gdzieś w ciemności, wraz z nimi w piwnicy.

– Nieprzytomny – odparła Clara. Mogła ich zostawić. Schody się zawaliły, ale nieopodal stała schodkowa drabina, której mogła użyć, by wyjść na górę. Jednak nie zrobiła tego.

Clara nigdy nie zaznała takiego strachu. I gniewu. Nie na Bena, ale na tych idiotów, którzy mieli ją uratować. A teraz to ona musiała ich chronić.

– Słyszałem coś. – Beauvoir próbował podnieść się na łokciach, ale z nogi wystrzelił w jego ciało ból tak silny, że odebrał mu oddech i wszystkie siły. Inspektor opadł z powrotem na ziemię i wyciągnął rękę, mając nadzieję, że złapie coś, czego mógłby użyć jako broni.

– Na górze – powiedział Beauvoir. – Przyjechali.

Gamache i Clara nigdy w życiu nie słyszeli równie pięknych słów.

Tydzień później zebrali się w salonie Jane, w którym już wszyscy, łącznie z Gamache'em, zaczęli się czuć jak u siebie. Wyglądali jak polowa orkiestra po bitwie: Gamache z nogą w gipsie, Beauvoir skulony z pękniętymi żebrami, Peter z obandażowaną głową, Clara z zagipsowaną ręką.

Słyszeli, jak na górze Gabri i Olivier śpiewają *It's Raining Men*^[17]. Z kuchni dochodziło murmurando Myrny, która nuciła coś, przygotowując domową zupę i świeży chleb. Na zewnątrz padał teraz śnieg; jego wielkie, mokre płatki błyskawicznie topiły się na ziemi. Ostatnie jesienne liście opadły z drzew, a ostatnie jabłka z sadów.

– Chyba śnieg zaczyna się zbierać na ziemi – zauważyła Myrna, przynosząc sztućce i rozstawiając tace-stoliczki dookoła strzelającego w kominku ognia. Słyszeli, jak na górze Gabri wznosi okrzyki na widok rzeczy w sypialni Jane.

– Chciwość. Obrzydliwe – powiedziała Ruth i szybko podeszła do schodów,

po czym ruszyła na piętro.

Clara przyglądała się, jak Peter podnosi się i kompletnie niepotrzebnie rozgarnia ogień w kominku. Tamtej nocy, gdy leżał rozciągnięty na klepisku, trzymała go w ramionach. To był ostatni raz, gdy była tak blisko. Od tamtych koszmarnych wydarzeń kompletnie wycofał się na swoją wyspę. Mosty się zawaliły. Wyrósł mur. Teraz nikt nie mógł zbliżyć się do Petera, nawet ona. Fizycznie, owszem, mogła wziąć go za rękę, objąć go – i robiła to. Ale wiedziała, że nie może już dosięgnąć jego serca.

Przyglądała się jego przystojnej twarzy, poznaczonej teraz zmarszczkami smutku, posiniaczonej od upadku. Wiedziała, że to Peterowi stała się najgorsza krzywda, może nawet nie do naprawienia.

– Ja chcę to – oznajmiła Ruth, schodząc ze schodów. Zamachała małą książką, którą następnie włożyła do ogromnej kieszeni swego znoszonego kardiganu. W testamencie Jane zapraszała wszystkich swoich przyjaciół, by wybrali dla siebie jakiś przedmiot z jej domu. Ruth już wybrała.

– Skąd wiedziałaś, że to Ben? – zapytała Myrna, zajmując miejsce i wołając chłopaków z góry na lunch. Porozdawała miski z zupą, a na drewnianej skrzyni postawiła koszyk pełen parujących, świeżych bułek.

– Przyszło mi to głowy na przyjęciu – powiedziała Clara.

– Co takiego zobaczyłaś, czego myśmy nie widzieli? – zapytał Olivier, przyłączając się do towarzystwa.

– Chodziło o to, czego nie widziałam. Nie widziałam Bena. Wiedziałam, że *Dzień jarmarku* to hołd dla Timmer. Wszystkie osoby, które były ważne dla Timmer, znalazły się na obrazie...

– Z wyjątkiem Bena! – zawołała Myrna, smarując bułkę masłem i przyglądając się, jak topi się zaraz po zetknięciu z pieczywem. – Ależ głupio, że to przegapiliśmy.

– Mnie też to zajęło dobrą chwilę – przyznał Gamache. – Dostrzegłem to dopiero, patrząc na obraz u mnie w pokoju. Brakowało Bena.

– Brakowało Bena – powtórzyła Clara. – Wiedziałam, że to wykluczone, by Jane go pominęła. Ale go nie było. Chyba, że był, tylko jego twarz usunięto.

– Ale dlaczego Ben wpadł w panikę, gdy zobaczył *Dzień jarmarku*? Co było takiego strasznego w ujrzaniu własnej twarzy na obrazie? – zapytał Olivier.

– Pomyślcie – powiedział Gamache. – Ostatniego dnia jarmarku Ben podał swojej matce śmiertelną dawkę morfiny, właśnie wtedy, gdy miała miejsce parada. Upewnił się, że ma alibi, miał być w Ottawie na wystawie antyków.

– A był? – zapytała Clara.

– O tak, nawet kupił parę rzeczy. A potem przyznał tutaj, to tylko trzy godziny jazdy samochodem, i czekał, aż parada się zacznie...

– Wiedząc, że zostawię jego matkę samą? Jak mógł wiedzieć? – zapytała Ruth.

– Znał swoją matkę, wiedział, że będzie nalegać.

– I tak się stało. Powinam była zostać.

– Miałaś się nigdy nie dowiedzieć, Ruth – rzekł Gabri.

– I co dalej? – spytał Olivier, maczając bułkę w zupie. – Spojrzał na obraz i...

– Zobaczył siebie, najwyraźniej na paradzie. Na trybunie. Był przekonany, że Jane wiedziała, co zrobił, że jednak był w Three Pines.

– Więc wykradł obraz, wymazał swoją twarz i namalował nową – powiedziała Clara.

– Obok Petera siedziała obca kobieta – zauważyła Ruth. – A to naturalne miejsce dla Bena.

Peter starał się jak mógł, by nie spuścić oczu.

– Tego wieczoru w pensjonacie po wernisażu to wszystko złożyło się w całość – wyjaśniła Clara. – Po morderstwie nie zamykał drzwi na klucz. Wszyscy inni to robili, ale on nie. No i tempo jego pracy nad odsłanianiem ścian, a raczej brak tempa. Tej nocy, gdy zobaczyliśmy światło tutaj, Ben powiedział, że chciał nadgonić z usuwaniem tapety, ale później pomyślałam, że to marna wymówka, nawet jak na niego.

– Okazało się – dorzucił Gamache – że przeszukiwał dom Jane w poszukiwaniu tego. – Uniósł w rękę folder, który Beauvoir znalazł w domu Yolande. – To szkice Jane ze wszystkich jarmarków w miasteczku z ostatnich sześćdziesięciu lat. Ben myślał, że mogły istnieć jakieś wstępne szkice do *Dnia jarmarku*, dlatego ich szukał.

– Czy szkice cokolwiek pokazują? – zapytał Olivier.

– Nie, są zbyt surowe.

– No i jeszcze cebula – przypomniała Clara.

– Cebula?

– Gdy poszłam do Bena tego dnia, kiedy zginęła Jane, smażył cebulę na *chili con carne*. Ale Ben nigdy nie gotował. W moim egoizmie uwierzyłam mu, gdy powiedział, że chciał mnie pocieszyć. W pewnym momencie zawędrowałam do jego salonu i poczułam zapach, który wydał mi się wonią płynu czyszczącego. Ten dający poczucie bezpieczeństwa zapach świadczący o tym, że wszystko jest czyste i zadbane. Myślałam, że to Nellie posprzątała. Ale później rozmawiałam z nią i dowiedziałam się, że Wayne był tak chory, że nie sprzątała nigdzie od tygodnia albo dłużej. Ben musiał używać rozpuszczalnika, a potem smażył cebulę, by ukryć jego zapach.

– Tak właśnie było – potwierdził Gamache, popijając piwo. – Zabrał *Dzień jarmarku* z Arts Williamsburg w tamtą sobotę po waszej kolacji z okazji Święta Dziękczynienia, zmył własną twarz i namalował inną. Ale popełnił błąd, zmyślając rysy twarzy. Wziął też inne farby niż te, których używała Jane. Potem odniósł obraz do Arts Williamsburg, ale musiał zabić Jane, żeby nie zdążyła zobaczyć tej zmiany.

– Pan – Clara zwróciła się do Gamache’a – rozwiął moje wątpliwości. Dopytywał się pan, kto jeszcze widział pracę Jane. Przypomniałam sobie, że Ben specjalnie zapytał Jane w trakcie kolacji świątecznej, czy miałyby coś przeciwko temu, gdyby poszedł do Arts Williamsburg, żeby zobaczyć obraz.

– Myślisz, że tego wieczoru coś podejrzewał? – zapytała Myrna.

– Może raczej czuł się nieswojo. Poczucie winy mogło mu namieszać w głowie. Jane powiedziała, że obraz przedstawia paradę i że jest w nim ukryty przekaz. Patrzyła prosto na niego.

– Miał też dziwną minę, gdy Jane zacytowała ten wiersz – przypomniała Myrna.

– Co to był za wiersz? – zapytał Gamache.

– Auden. Jest tam, w stosie koło miejsca, gdzie siedzisz, Claro. Widzę go. W.H. Auden *Wiersze zebrane*.

Clara podała Myrnie gruby tom.

– O, tu. – Myrna przeczytała fragment z wiersza Audena na cześć Hermana Melville’a:

*Zło nie rzuca się w oczy i zawsze jest ludzkie
Dzieli z nami łoże, je przy naszym stole.*

Peter sięgnął po książkę i przeleciał wzrokiem po początku wiersza, po części, której Jane wtedy nie przeczytała:

*Pod koniec pożeglował ku niezwyklej łagodności
Rzucił kotwicę we własnym domu, przyплыł do żony,
I zacumował w porcie jej dłoni.
Co rano przemierzał dom, idąc do swego gabinetu
Jak gdyby jego zajęcie leżało na oddzielnej wyspie.
Dobro istniało: to była nowa nauka.
Jego groza rozwiła się wreszcie jak burza.*

Peter popatrzył w ogień, wsłuchując się w pomruk znajomych głosów. Delikatnie wsunął kawałek papieru między strony i zamknął książkę.

– Jak każdy paranoik, we wszystkim dopatrywał się ukrytego znaczenia – powiedział Gamache. – Ben miał sposobność i umiejętności, by zabić Jane. Mieszkał praktycznie tuż przy budynku starej szkoły, mógł pójść tam, nie będąc widzianym, wejść do środka, zabrać łuk refleksyjny i parę strzał, zamienić groty z ćwiczebnych na myśliwskie, zwabić Jane i zabić ją.

Ten film wyświetlał się w głowie Petera. Teraz spuścił wzrok. Nie był w stanie spojrzeć na przyjaciół. Jak to możliwe, że nie wiedział tego o swoim najbliższym przyjacielu?

– Jak Jane się tam znalazła?

– Zadzwoił do niej – odparł Gamache. – Jane ufała mu kompletnie. Nie zadawała pytań, gdy poprosił, żeby spotkała się z nim przy sarniej ścieżce. Powiedział jej, że widział kłusowników, więc lepiej, żeby zostawiła Lucy w domu. Jane poszła, nawet się nie zastanawiając.

I tyle wynika z zaufania, przyjaźni, lojalności, miłości – pomyślał Peter. Człowiek zostaje wykiwany. Zdradzony. Zraniony tak głęboko, że ledwie może oddychać; czasem go to zabija. Albo jeszcze gorzej. Zabija ludzi, których się kocha najbardziej. Niewiele brakowało, a Ben zabiłby Clare. Peter ufał Benowi.

I oto, co się stało. Ale nigdy więcej. Gamache miał rację co do cytatu z Ewangelii według Świętego Mateusza, rozdział dziesiąty, wers trzydziesty szósty.

– Dlaczego zabił własną matkę? – zapytała Ruth.

– Najstarsza historia świata – odpowiedział Gamache.

– Ben był męską prostytutką?! – wykrzyknął Gabri.

– To najstarsza profesja. Z kim ty się na głowę zamieniłeś? – zapytała Ruth. – Nieważne, proszę nie odpowiadać.

– Chciwość – wyjaśnił Gamache. – Powinienem być załapać to wcześniej, po naszej rozmowie w księgarni – rzekł do Myrny. – Opisała pani typ osobowości. Takich ludzi, którzy żyją życiem martwych natur. Pamięta pani?

– Tak, pamiętam. Takich, którzy nie rosną ani nie ewoluują, którzy się zatrzymali. Takich, którzy rzadko stają się lepsi.

– Tak, właśnie tak – rzekł nadinspektor. – Czekają, żeby życie się dla nich wydarzyło. By ktoś przyszedł ich uratować.

– Ben – powiedział Peter. To było bodaj pierwsze słowo, które wypowiedział tego dnia.

– Ben. – Gamache skinął głową. – Myślę, że Jane to widziała. – Podniósł się i pokuśtykał do ściany. – Proszę. Jej rysunek przedstawiający Bena. Zauważyliście, że jest w krótkich spodenkach? Jak chłopczyk. I jest z kamienia. Utknął. Patrzy na dom rodziców, w przeszłość. Teraz to oczywiście ma sens, ale wcześniej tego nie widziałem.

– Ale dlaczego my tego nie widzieliśmy? – zapytała Clara. – Żyliśmy codziennie obok niego.

– A dlaczego mieliście widzieć? Byliście zajęci każdym swoim życiem. A poza tym na przedstawiającym Bena rysunku Jane jest coś jeszcze. – Gamache dał im moment, żeby się nad tym zastanowili.

– Cień – odparł Peter.

– Tak. Ben rzuca długi, mroczny cień. A ten mrok wpływa na innych.

– Na mnie, chciał pan powiedzieć – rzekł Peter.

– Tak. I na Clarę. I praktycznie na wszystkich. Był bardzo sprytny, sprawiał wrażenie tolerancyjnego i poczciwego, podczas gdy naprawdę był bardzo

mroczny. I przebiegły.

– Ale dlaczego zabił Timmer? – zapytała znowu Ruth.

– Zamierzała zmienić testament. Nie wydziedziczyłaby go zupełnie, ale zostawiła jedynie dosyć, by mógł przeżyć, tyle, by był zmuszony zacząć coś robić dla siebie. Timmer wiedziała, jakim człowiekiem się stał, widziała jego kłamstwa, lenistwo, wymówki. Ale zawsze czuła się za niego odpowiedzialna. Dopóki nie poznała pani, Myrno. Pani i Timmer rozmawiałyście o takich rzeczach. Myślę, że to, co opisywałyście, zmusiło ją do tego, by pomyśleć o Benie. Wiedziała od dawna, że jest z nim problem, ale postrzegała to jako swego rodzaju problem pasywny. Jediną osobą, jaką krzywdził, był on sam. No i ją, swoimi kłamstwami na jej temat...

– Wiedziała, co Ben opowiadał? – zapytała Clara.

– Tak. Ben wyjawiał nam to w trakcie przesłuchania. Przyznał, że od dzieciństwa opowiadał kłamstwa na temat swojej matki, żeby inni mu współczuli, ale w jego odczuciu najwyraźniej nie było w tym nic złego. Jak sam to ujął, „to mogła być prawda”. Na przykład – Gamache zwrócił się do Petera – powiedział panu, że matka uparła się, by wysłać go do Abbot’s, ale prawda jest taka, że to on ją błagał, by go tam wysłała. Chciał ukarać własną matkę, stwarzając wrażenie, że jej nie potrzebuje. Myślę, Myrno, że dyskusje z panią były punktem zwrotnym w życiu Timmer. Wcześniej winiła siebie za to, co wyrosło z Bena. Po części wierzyła w jego oskarżenia, że była okropną matką. Miała uczucie, że coś mu jest winna. To dlatego przez całe życie pozwalała mu mieszkać u siebie.

– Czy nie wydawało ci się to dziwaczne? – zapytała Clare Myrna.

– Nie. To nieprawdopodobne, jak patrzy się wstecz, że to widać. Ale Ben po prostu tam mieszkał. Poza tym twierdził, że matka nie pozwalała mu się wyprowadzić. Myślałam, że to taki emocjonalny szantaż. Kupowałam wszystko, co mi opowiadał. – Clara potrząsnęła ze zdumieniem głową. – Gdy w końcu przeniósł się do domku dla służby, Ben nam powiedział, że matka go wyrzuciła, bo się jej postawił.

– I uwierzyliście w to? – zapytała cicho Ruth. – A kto kupował od was dość obrazów, byście w końcu mogli kupić dom? Kto dał wam meble? Kto zapraszał was na porządne posiłki, kiedy wiadomo było, że ledwo co jecie? Kto wam przysyłał do domu paczuszki z resztkami z kolacji? Kto zawsze uważnie słuchał

i zadawał ciekawe pytania? Mam listę tak długą, że mogę gadać całą noc. Nic z tego nie zapadło ci w pamięć? Ktoś to ukrywał przed tobą?

Znowu o tym mowa – pomyślała Clara. Kryjówki.

To było o wiele gorsze niż wszystkie rany, które odniosła przez Bena. Ruth wpatrywała się w nich z kamienną twarzą. Jak mogli być tacy naiwni? Jak słowa Bena mogły znaczyć więcej niż czyny Timmer? Ruth miała rację. Timmer zawsze była tolerancyjna, uczynna i hojna.

Z dreszczem zgrozy Clara pojęła, że Ben już dawno temu zaczął mordować własną matkę.

– Masz rację. Tak mi przykro. Nawet te węże. W węże też uwierzyłam.

– Węże? Jakie węże? – zapytał Peter.

Clara potrząsnęła głową. Ben ją okłamał i użył imienia Petera, żeby uprawomocnić swoje kłamstwo. Czemu jej powiedział, że u jego matki w piwnicy są węże? Dlaczego zmyślił tę historię ze swojego i Petera dzieciństwa? Uświadomiła sobie, że to dlatego, że dzięki tej opowieści bardziej wyglądał na ofiarę, na bohatera. A ona była skłonna mu uwierzyć. Mówili o nim „biedny Ben”. Chciał być tym biednym Benem, choć jak się okazuje, nie całkiem w sensie dosłownym.

Kiedy z powrotem włączono prąd, piwnica Timmer okazała się czysta i absolutnie bezpieczna. Żadnych węży. Żadnych węzowych gniazd. Nic nie wskazywało na to, by ktokolwiek prócz Bena kiedykolwiek się tam prześlizgiwał. „Węże” zwisające z sufitu okazały się kablami elektrycznymi, a to, co kopnęła i chwyciła, było węzem ogrodowym. Siła wyobraźni nigdy nie przestała zadziwiać Clary.

– Innym powodem, dlaczego tyle mi zajęło poznanie prawdy – przyznał Gamache – było to, że popełniłem błąd. I to spory. Myślałem, że Ben kochał panią, Claro. Romantycznie. Nawet zapytałem go o to. To był mój największy błąd. Zamiast zapytać, jakie uczucia żywi dla pani, zapytałem go, od jak dawna był w pani zakochany. Dałem mu doskonałą wymówkę dla wszystkich jego ostrożnych spojrzeń. Nie patrzył na panią w ten sposób z namietności, tylko ze strachu. Wiedział, jak wielką intuicją się pani odznacza i podejrzewał, że jeśli ktoś się domyśli, to pani. Ale ja mu odpuściłem i sam wprowadziłem się w błąd.

– Ostatecznie doszedł pan do tego – powiedziała Clara. – Czy Ben zdaje sobie sprawę, co zrobił?

– Nie. W jego przekonaniu to, co zrobił, było kompletnie usprawiedliwione. Pieniądze Hadleyów mu się należały. Majątek Hadleyów mu się należał. Jego matka po prostu przechowywała je, zanim on je odziedziczy. Wizja nieotrzymania spadku była dla niego tak nie do wyobrażenia, że uznał, że nie ma wyboru, jak tylko ją zabić. A ponieważ to ona doprowadziła do sytuacji, że musiał to zrobić, to nie była jego wina. Sama się o to prosiła.

Olivier wzdrygnął się.

– Wydawał się taki łagodny.

– I był – potwierdził Gamache – dopóki ktoś go nie skrytykował albo nie postąpił inaczej, niż Ben sobie życzył. Był dzieckiem. Zabił matkę dla pieniędzy. A potem zabił Jane, bo myślał, że przez *Dzień jarmarku* oznajmi to całemu światu.

– Co za ironia – odezwał się Peter.– Sądził, że przez jego twarz w *Dniu jarmarku* wszystko się wyda. Wydało się dlatego, że usunął swoją twarz. Jeśli zostawiłby obraz w oryginalnej formie, nigdy by go nie złapano. Całe życie był pasywny. Ten jeden raz, kiedy postanowił działać, wydał na siebie wyrok.

Ruth Zardo powoli i z bólem wędrowała w górę wzgórza, prowadząc na smyczy Daisy. Zgłosiła się na ochotnika, że weźmie psa Bena, zaskakując samą siebie wyjściem z tą ofertą nawet bardziej, niż zaskoczyła wszystkich innych. Ale to wydawało się właściwe. Dwie śmierdzące, kulawe starsze panie. Stawiały ostrożne kroki po nierównej ścieżce, uważając, by nie poślizgnąć się na osiadającym śniegu, nie skreślić kostki ani nie nadwyrężyć biodra.

Usłyszała go, zanim zobaczyła. Kij modlitewny z kolorowymi wstążkami, porywanymi wiatrem i darami szybującymi w powietrzu, objadającymi się o siebie. Jak prawdziwi przyjaciele. Tacy, co czasem się zderzają, a czasem nawet zadają sobie ból, choć nigdy nie mieli takiego zamiaru. Ruth ujęła starą fotografię, na której obraz niemal zniknął od deszczu i śniegu. Nie patrzyła na nią od sześćdziesięciu lat, od dnia, gdy zrobiła ją na jarmarku. Jane i Andreas, tak pełni radości. I Timmer za nimi, spoglądająca groźnie prosto w obiektyw na Ruth trzymającą aparat. Ruth wiedziała już wtedy, lata temu, że Timmer wie. Młoda Ruth właśnie zdradziła Jane. A teraz Timmer nie żyje. I Andreas nie

żyje, i Jane nie żyje. Ruth poczuła, że może teraz przyszedł czas, by sobie wybaczyć. Wypuściła fotografię z ręki, a ta szybko dołączyła do innych przedmiotów, tańcząc i igrając wraz z nimi.

Ruth sięgnęła do kieszeni i wyjęła książkę, którą wybrała jako prezent od Jane. Wraz z nią wyjęła też kopertę, którą Jane jej zostawiła. Wewnątrz była pocztówka, ręcznie namalowana przez Jane, z obrazkiem niemal identycznym jak ten na ścianie jej salonu. Poza jednym: zamiast obejmujących się dziewczynek, były na niej dwie kruche i stare kobiety. Dwie staruszki. Obejmujące się. Ruth wsunęła kartkę do książki. Książka, mocno zniszczona, pachniała wodą toaletową Floris.

Drżącym głosem Ruth zaczęła czytać na głos, a wiatr porywał słowa, by pływały pomiędzy wstążkami a płatkami śniegu. Daisy wpatrywała się w nią z uwielbieniem.

* * *

Gamache siedział w bistro; przyszedł się pożegnać i może kupić fajeczkę lukrecjową albo dwie, zanim wyruszy do Montrealu. Olivier i Gabri prowadzili zażartą dyskusję na temat tego, gdzie postawić wspaniałą walijską komodę, którą wybrał sobie Olivier. Oliver próbował jej nie wybrać. Odbył sam ze sobą poważną rozmowę na temat tego, by unikać zabierania najlepszej rzeczy z domu Jane z chciwości.

„Chociaż ten raz – błagał siebie – weź coś symbolicznego. Jakiś drobiazg z porcelany famille rose albo srebrną tacę. Ale nie walijską komodę. Nie walijską komodę.

– Dlaczego nigdy nie stawiamy niczego ładnego w pensjonacie? – narzekał Gabri, podczas gdy spacerowali z Olivierem po bistro, szukając miejsca na walijską komodę. Zauważyli Gamache’a i podeszli do niego. Gabri chciał o coś zapytać.

– Czy nas pan podejrzewał?

Gamache popatrzył na dwóch mężczyzn – jeden z nich był wielki i jowialny, drugi szczupły i powściągliwy.

– Nie. Myślałem, że obaj dość się nacierpieliście w życiu z powodu okrucieństwa innych, więc nie jesteście zdolni do bycia okrutnymi. Z mego

doświadczenia wynika, że ludzie, których ktoś zranił, albo przenoszą to na innych i sami stają się dręczycielami, albo wykształcają w sobie wielką dobroć. Wy dwaj nie jesteście typami morderców. Wolałbym móc to samo powiedzieć o wszystkich pozostałych.

– Co pan ma na myśli? – zapytał Olivier.

– Co pan ma na myśli? – zapytał Gabri.

– Nie oczekujecie chyba, że wam powiem, co? Poza tym ta osoba może nigdy nie wprowadzić tego w czyn.

Gabri w swej przenikliwości zauważył, że Gamache nie był o tym przekonany, a nawet wyglądał, jakby nieco się tego obawiał.

W tym momencie pojawiła się Myrna z gorącą czekoladą.

– Mam do pana pytanie – zwróciła się do Gamache'a, złożony najpierw zamówienie. – Co z Philippe'em? Dlaczego się zwrócił przeciw ojcu?

Gamache zastanawiał się, jak wiele może wyjawic. Isabelle Lacoste wysłała do laboratorium przedmiot, który znalazła przyklejony za plakatem w ramie w pokoju Bernarda, i otrzymali wyniki analizy. Wszędzie były na nim odciski palców Philippe'a. Gamache nie był zaskoczony. Bernard Malenfant szantażował chłopaka.

Ale Gamache wiedział, że zachowanie Philippe'a zmieniło się już wcześniej. Z wesołego, uprzejmego chłopca zamienił się w okrutnego, naburmuszonego, głęboko nieszczęśliwego wyrostka. Gamache domyślał się, czemu, a magazyn potwierdził jego podejrzenia. Philippe nie żywił nienawiści do ojca. Nie. Nienawidził sam siebie i odreagowywał to na ojcu.

– Przykro mi – rzekł Gamache. – Nie mogę pani powiedzieć.

Właśnie wkładał płaszcz, gdy przyszli Olivier i Gabri.

– Zapisaliśmy to na kartce. Jeśli mamy rację, czy może pan przytaknąć?

Gamache rozłożył notatkę i przeczytał, po czym złożył ją z powrotem i wsunął do kieszeni płaszcza. Podchodząc w stronę drzwi, spojrzął na obu mężczyzn, stojących obok siebie, lekko się dotykając. I wbrew temu, co mówił mu rozsądek, skinął głową. Nigdy tego nie pożałował.

Przyglądali się, jak Armand Gamache kuśtyka do samochodu i odjeżdża. Gabri poczuł głęboki smutek. Wiedział o Philippe'ju już od jakiegoś czasu. Co

przewrotne, incydent z nawozem tylko to potwierdził. To dlatego zdecydowali się zaprosić Philippe'a, by odpracował swój dług w bistro. Przy tej okazji mogli mu się przyjrzeć, a co ważniejsze, on mógł przyjrzeć się im. I zobaczyć, że w tym nie ma nic złego.

– Cóż – dłoń Oliviera otarła się o dłoń Gabriego – przynajmniej będziesz miał jeszcze jednego karzełka, jeśli kiedyś zdecydujesz się wystawić *Czarnoksiężnika z Oz*.

– To dla ciebie. – Clara wyciągnęła zza pleców dużą fotografię: stylizowaną, z nałożonym wideo. Zrobiła ją jako zrzut z ekranu swojego maca. Promieniała, gdy Peter się jej przyglądał. Ale z wolna jej uśmiech przygasł. Nie załapał. To nie było nic nowego; rzadko rozumiał jej sztukę. Spodziewała się jednak, że tym razem będzie inaczej. Zarówno fotografia, jak i to, że ufała mu na tyle, by mu ją pokazać, miały być prezentem dla niego. Jej sztuka była tak boleśnie osobista, że odsłaniała się w niej bardziej niż w czymkolwiek innym. Po tym, jak nie powiedziała Peterowi o ambonie i sarniej ścieżce, po tym, jak skrywała przed nim różne rzeczy, chciała mu pokazać, że się pomyliła. Kochała go i ufała mu.

Peter wpatrywał się w dziwną fotografię. Pokazywała skrzynię na szczudłach, wyglądającą jak domek na drzewie. W środku znajdował się kamień albo jajo – Peter nie mógł się zdecydować, co to jest. To było tak bardzo w stylu Clary: nie powiedzieć jasno, o co chodzi. Cały obiekt wirował wokół własnej osi. Zrobiło mu się od tego lekko mdło.

– To domek-kryjówka – wytłumaczyła.

Peter nie wiedział, co odpowiedzieć. Ostatnio, przez cały zeszły tydzień, nie miał nikomu wiele do powiedzenia.

Clara zastanawiała się, czy powinna wytłumaczyć, o co chodzi z kamieniem i symboliką śmierci. Ale obiekt mógł być też jajkiem. Symbolem życia. Więc które z tych dwóch miała na myśli? Na tym polegało niesamowite napięcie w tej pełnej światła pracy. Do tego ranka domek na drzewie stał nieruchomo, ale wszystkie te rozmowy o ludziach, którzy utknęli w miejscu, sprawiły, że Clara wpadła na pomysł, by nim zakreślić jak małą planetę, posiadającą własną grawitację. Jak to bywa z większością domów, zawierał w sobie życie i śmierć, niedające się oddzielić. I wreszcie ostatnia aluzja. Dom jako alegoria jaźni.

Autoportret naszych wyborów i tego, co przed nami ukryte.

Peter nie załapał. Nawet nie próbował. Zostawił Clarę stojącą z dziełem sztuki, za sprawą którego – choć nie wiedział o tym – któregoś dnia miała stać się sławna.

Przyglądała się, jak Peter idzie niemal na oślep do swojej pracowni i zamyka drzwi. Wiedziała, że któregoś dnia opuści swoją bezpieczną, sterylną wyspę i wróci na ten pełen chaosu kontynent. A wtedy będzie czekać na niego z otwartymi ramionami, jak zawsze.

Teraz Clara siedziała w salonie, wyjęła z kieszeni kartkę papieru, zaadresowaną do pastora parafii Świętego Tomasza. Skreśliła pierwszy zapisany fragment. Poniżej napisała coś starannie drukowanymi literami, włożyła płaszcz i ruszyła w górę wzgórza do kościoła z białych desek, gdzie wręczyła kartkę pastorowi, po czym wyszła na świeże powietrze.

Wielebny James Morris rozwinął karteczkę i przeczytał. Były to instrukcje, co wyryć na nagrobku Jane Neal. Na górze strony napisano „Mt 10:36” Ale to skreślono i dopisano coś niżej. Wziął Biblię i wyszukał Ewangelię według Świętego Mateusza, rozdział dziesiąty, wers trzydziesty szósty: „I będą nieprzyjaciółmi człowieka jego domownicy”.

Poniżej była nowa instrukcja: „Zaskoczona radością”.

Na szczycie wzgórza Armand Gamache zatrzymał samochód i wysiadł. Spojrzał w dół na miasteczko i serce w nim rosło. Spojrzał na dachy domów i wyobraził sobie pocziwych, niedoskonałych ludzi, którzy w nich mieszkali, zmagających się z własnym życiem. Ludzi wyprowadzających psy, grabiących nieposkromione jesienne liście, goniących łagodnie padający śnieg. Robiących zakupy w sklepie wielobranżowym pana Beliveau, kupujących bagietki w piekarni Sarah. Olivier stał w drzwiach bistro, wytrzepując obrus. Życie toczyło się tu nadzwyczaj niespiesznie. Ale nie było jak martwa natura.

Przypisy

- [1] Święto Dziękczynienia obchodzi się w Kanadzie w drugi poniedziałek października, inaczej niż w USA, gdzie przypada w czwarty czwartek listopada (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).
- [2] Skandalizujący angielski pisarz, aktor i aktywista gejowski Quentin Crisp (1908-1999), zasłynął z powiedzenia „Awansowałem na jednego ze statecznych homosów Anglii”.
- [3] Vita Sackville West (1892-1962) była angielską poetką, pisarką i ogrodniczką, znaną ze związków z kobietami, m.in. z Virginią Woolf.
- [4] Cytaty nieoznaczone przypisami w przekładzie tłumaczki.
- [5] *Tête carrée* – dosł. kwadratowa głowa – obraźliwe przezwisko używane przez kanadyjskich frankofonów na określenie anglojęzycznych mieszkańców Quebecu.
- [6] Staroświeckie czarne lub czerwone cukierki o smaku lukrecji lub anyżku w kształcie małej fajeczki, pojawiły się w groszowych sklepikach w Kanadzie w latach 40.; dziś koneserzy mogą je czasem upolować w internecie.
- [7] *Tabarnacle* – wywodzące się od słowa na określenie tabernakulum, czyli miejsca przechowywania hostii za ołtarzem w kościele, w kanadyjskiej francuszczyźnie potocznej jest wielofunkcyjnym przekleństwem, nieco podobnym w użyciu do „kurwa”, choć znacznie mniej wulgarnym. Używa się go zarówno dla podkreślenia pozytywnego zaangażowania emocjonalnego, jak i złości, rozczarowania czy zdenerwowania.
- [8] *The Joy of Cooking* Irmy Rombauer, po raz pierwszy wydana w 1931 roku, to jedna z najpopularniejszych amerykańskich książek kucharskich.
- [9] William Szekspir, *Juliusz Cezar*, akt 1, scena 2, przeł. Leon Ulrich.
- [10] John Donne, *Hymn do Boga Ojca*, przeł. Stanisław Barańczak.
- [11] Nieprzetłumaczalna gra słów w języku angielskim: „village people” oznacza wieśniaków lub mieszkańców miasteczka, ale aluzja Ruth dotyczy zespołu The Village People, sławnego za sprawą dyskotekowego przeboju „YMCA”, kultowego w środowisku gejowskim.
- [12] Jos. Luis (rodzaj okrągłych ciastek biszkoptowych o średnicy około 8 centymetrów, przekładanych kremową masą, w polewie czekoladowej) oraz Lune Moons (podobne, przekładane masą waniliowe biszkopki, bez polewy) to kultowe łakocie z kanadyjskiego Quebecu.
- [13] Pan Guimette jest urzędnikiem Le Curateur Public de Québec, organizacji, której zadaniem jest ochrona interesów prawnych nieletnich obywateli Quebecu.
- [14] Publikowany do 1976 roku katalog Eatona był jedną z pierwszych w Kanadzie masowych firm

wysyłkowych, oferujących produkty w niewyróżniającym się, drobnomieszczańskim stylu.

[15] Abbie Hoffman był hipisowskim aktywistą z lat 60. Zasłynął próbą lewitowania budynku Pentagonu za pomocą grupowej medytacji podczas protestów przeciw wojnie wietnamskiej.

[16] Golden Mile albo Le Mille Carré to szykowna, historyczna dzielnica Montrealu, zamieszкана przez najbardziej wpływowych i zamożnych obywateli. Doroczny St. Andrew's Ball, organizowany przez St. Andrew's Society – organizację powołaną do życia dla wspierania kultury szkockiej w Quebecu – jest najbardziej ekskluzywnym przyjęciem w mieście, skupiającym jego biznesową i kulturalną elitę.

[17] Przebój disco z lat 80., znany z nagrania The Weather Girls.